

J o a n n a J a x

# ZEMSTA I PRZEBACZENIE

Tom VI

*Dolina spokoju*



J o a n n a J a x

ZEMSTA  
I PRZEBACZENIE

Tom VI

*Dolina spokoju*

V I D E O G R A F

*Zachowaj spokój serca i bądź cierpliwy, a nie trać równowagi w czasie utra-  
pienia!*

Syr, 2,2

*Ukochanemu Tacie i Siostrze Ewie i Dorocie*

## 1. Los Angeles, 1947

Ocean wydawał z siebie jednostajny, kojący szum. Hanka Lewin przymknęła powieki i wsłuchiwała się w ten dźwięk, jakby chciała, by uciszył wszystko inne, co kołatało jej w głowie. Nadia bawiła się na piasku, kilka metrów dalej, a mały Grześ błogo spał w wózku stojącym obok niej.

– Mamusiu, to dla ciebie. – Usłyszała radosny głos Nadii.

Otworzyła oczy i popatrzyła na małą dłoń dziewczynki. Leżała na niej niewielka muszla, którą jej córka znalazła w czasie zabawy nad brzegiem oceanu.

– Dziękuję – odpowiedziała Hanka, uśmiechając się czule, i wzięła do ręki muszelkę, a potem ucałowała córkę.

Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby nie dzieci. A zwłaszcza Nadia, która okazała się dla niej największym wsparciem. Jakby dziewczynka doskonale rozumiała, że świat Hanki nagle zawalił się, i próbowała wesprzeć swoją matkę w jego odbudowie.

Ostatnie miesiące były dla Lewinówny bardzo trudne, mimo że nie głodowała, nie marzła na kość, a jej kariera rozwijała się rewelacyjnie. Nawet fakt, że w istocie amerykański impresario okazał się krwio pijcą i draniem, nie zmienił tego, iż wciąż mogła o sobie powiedzieć – kobieta luksusowa. Zapewne pozostawione przez Piotra pieniądze dawały jej to poczucie bardziej aniżeli gąże za występy na amerykańskim tournée, jednak batalia, jaką musiała o nie stoczyć, sprawiła, iż wciąż wydawało jej się, że nie zasłużyła na tę hojność. Miała także świadomość, iż wiele jeszcze przed nią, ponieważ zarówno Stefania Niechowska, jak i Tomasz zapewne tak łatwo nie złożą broni.

\*\*\*

Nie chciała wyjeżdżać do Ameryki, bo rana po stracie Piotra, nie tylko męża, ale też jedyne przyjaciela, jakiego miała w Anglii, wciąż była świeża. Jednak dla Swansona taki drobiazg jak śmierć współmałżonka, nie stanowił przeszkody, aby mogła występować. Pukał tłustym palcem w kolejne punkty umowy i plując obficie, straszył Hankę konsekwencjami w postaci kolosalnych odszkodowań, a ponieważ Lewinówna nie miała pojęcia, w jaki sposób zakończy się postępowanie spadkowe, postanowiła nie ryzykować. Poza tym teściowa zgotowała jej piekło na ziemi i właściwie gdy weszła na trap eleganckiego liniowca, odetchnęła z ulgą, że przez jakiś czas nie będzie musiała wysłuchiwać wyrzutów, obelg i pretensji. Nie wiedzieć czemu Stefania obwiniła ją o śmierć Piotra, chociaż w czasie, gdy zginął, jego żona wraz z dziećmi przebywała w Guildford, w jej eleganckim domu. O tym, że Hanką targają wyrzuty sumienia, nie mogła wiedzieć, ponieważ nie miała pojęcia, iż jej pozycje z Piotrem dalekie było od ideału. Jednak to był dramat Hanki, i tylko jej. Nie mogła sobie darować, że była tak marną żoną i nie potrafiła pokochać męża, ale to, że zginął, nie stanowiło w najmniejszym stopniu jej winy.

Pogrzeb Piotra wspominała z przerażeniem. Nie tylko dlatego, że musiała pożegnać kolejną w swoim życiu osobę, która tak wiele dla niej poświęciła, ale z uwagi

na zachowanie pozostałych członków rodziny Niechowskich. I nie tylko ich. Całe towarzystwo traktowało ją i jej dzieci koszmarnie, bo teraz nie było już nikogo, kto mógłby im tego zabronić. Nikt nie podtrzymałby zrozpaczonej wdowy, gdy łkała nad grobem, bliska omdlenia, i jedynie Henrietta Cavendish złożyła jej kondolencje, ścigana nienawistnym wzrokiem pozostałych żałobników. Nikt nie usiadł koło Hanki w kościele podczas nabożeństwa ani w kaplicy, gdzie stała trumna Piotra. Hanka czuła się jak trędowata i nawet Nadia zdawała się skonsternowana faktem, że ani babcia, ani jej ojciec nie uraczyli jej chociażby powitaniem.

Do swojego przepastnego domu, który do niedawna dzieliła z Piotrem, Lewinówna także dotarła sama, po czym przekazując dzieci pod opiekę niani, udała się do sypialni, by dławić w sobie ból po stracie męża. Tak jakby dopiero w momencie, gdy go naprawdę zabrakło, doceniła to, co dla niej zrobił. Bez niego bowiem na pewno nie byłaby w miejscu, w jakim się obecnie znajdowała, i miała tego pełną świadomość. Czuła się rozbita i kompletnie bezradna. Jak wówczas, gdy wracając furmanką do Warszawy, straciła Irenę „Wariatkę”. I tak samo, jak wtedy, tak i w tym czasie towarzyszyło jej ogromne poczucie osamotnienia i straty.

Kolejne dni wcale nie były lepsze, aż w końcu pojawił się Swanson i nie zważając na stan Lewinówny i żałobę po mężu, nakazał jej „wziąć się w garść” i zacząć się pakować na amerykańską trasę koncertową, w przeciwnym razie bowiem uczyni ją bankrutem.

Tak, Hanka wiedziała, że odkąd zginął Piotr, przestała panować nad swoim życiem. Nawet o majątek po mężu nie miałyby siły walczyć, gdyby nie jasne wytyczne zostawione przez starszego z Niechowskich u nobliwego notariusza rodziny. Jakby przeczuwał, że w razie jakiegoś nieszczęścia Hanka podda się i zostawi wszystkie sprawy w rękach teściowej, która jej nienawidziła, oraz Tomasza – utracjusza i egoisty. Sprawa, jaką jej wytoczyli, z góry skazana była na ich porażkę i Lewinówna miała wrażenie, że zaciągnęli ją do sądu jedynie po to, by jeszcze bardziej pognębić.

Później także wszystko działo się pod czyjeś dyktando, a mianowicie impresaria Swansona. Mimo że był szubrawcem, pomógł jej uporać się ze wszelkimi kwestiami związanymi z pozostawieniem domu na wiele miesięcy czy formalnościami paszportowymi. Nie robił tego, oczywiście, z dobroci serca. Nieco załamała go kompletna nieudolność Hanki w tej materii i jeśli chciał, by jej trasa koncertowa doszła w końcu do skutku, po prostu musiał zająć się pewnymi sprawami.

Kilka dni przed wyjazdem do Ameryki Lewinównę odwiedziła Henrietta Cavendish. Przyszła, by sprawdzić stan ducha swojej niegdysiejszej rywalki. Piły kawę w saloniku, gdy Hanka, nieco onieśmielona wizytą byłej narzeczonej Piotra, nie bacząc na konwenanse, zapytała w końcu:

– Henrietto, jestem poruszona twoją troską i życzliwością, której tak bardzo mi ostatnio brakuje, ale dlaczego to robisz? Ty akurat masz najmniej powodów, by mnie lubić czy chociażby szanować.

– Po prostu Piotr kochał ciebie – mruknęła i wzruszyła ramionami, uciekając wzrokiem w stronę fotografii w ramkach, stojących na niewielkiej komodzie.

– Ale spotykaliście się, mieliście plany, a ja po prostu weszłam między was... – powiedziała cicho Lewinówna.

– To Stefania Niechowska i moi rodzice mieli plany, a my im się po prostu poddaliśmy, uznając, że to dobry pomysł. Piotr udawał, że jest we mnie zakochany,

a ja udawałam, iż darzę go równie silnym uczuciem. Oszukiwaliśmy innych i siebie samych... A może sądziliśmy, że to się uda? – Henrietta machnęła ręką i dodała po chwili, wprawiając w osłupienie Lewinównę: – Właściwie to mam wobec ciebie ogromny dług wdzięczności, bo gdyby nie ty, moje życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

– Ty? Wobec mnie? – zdumiała się Hanka.

Henrietta spuściła głowę i przez dłuższy czas milczała. W końcu odparła z westchnieniem:

– Jesteś wyklęta w tym środowisku, a ja niedługo też podzielę twój los, więc będę potrzebowała sprzymierzeńca.

– O tak, moja droga, bez względu na wszystko będziesz mogła na mnie liczyć, o ile moja przyjaźń będzie cokolwiek dla ciebie znaczyć. Czyżbyś miała zamiar popełnić mezalians? – zapytała Hanka.

– Gdybyż to tylko był mezalians... – bąknęła i dodała odważnie: – Powiem ci, bo komuś po prostu muszę, a ty jesteś artystką, z niejednego pieca chleb jadłaś. Nie czułam pociągu do Piotra ani nie czuję go do żadnego mężczyzny. Mam przyjaciółkę, rodzinka powinna się ucieszyć, bo również nosi znakomite nazwisko, ale problem w tym, że między nami... jest coś więcej. Kochamy się i zapewne niedługo wszystko się wyda, bo mamy zamiar osiąść na stałe w Londynie i razem zamieszkać. A wówczas nikt już nie będzie miał wątpliwości co do tego, jak się mają sprawy. Wiem także, jak to się skończy. Nie mam złudzeń, za to przecucie, że zostanę potraktowana tak jak ty. Dlatego tutaj jestem. Trochę z troski, a trochę z ciekawości, jak sobie z tym radzisz.

Hanka Lewinówna prędeż spodziewała się usłyszeć o romansie Henrietty z koniuszym albo lokajem aniżeli z drugą kobietą, dlatego o mały włos nie wylała kawy, słysząc podobne rewelacje. Daleka była jednak od potępiania panny Cavendish, chociaż nie miała pojęcia, jak to jest czuć pożądanie do innej kobiety.

– Moja sytuacja jest nieco inna. Tomasz jest mi właściwie obojętny i łączy nas jedynie córka, a Stefanii nienawidzę równie mocno, co ona mnie. Moi rodzice dawno nie żyją, więc także nie mam dylematów z nimi związanych. Tymczasem twoja rodzina jest ci bliska, zapewne pragną twojego szczęścia i może być ci ciężko, jeśli odsuną się od ciebie – zaczęła ostrożnie Hanka.

Oczami wyobraźni już widziała nagłówki gazet i skandal, jaki wybuchnie wokół tak znanej i poważanej rodziny. Siostra Henrietty chyba dostanie apopleksji, kiedy się o tym dowie, a znając jej charakterek, zamieni życie młodszej panny Cavendish w piekło.

– Moi rodzice... Moja siostra... Jesteśmy rodziną tylko na pokaz. Nie będę cię zanudzać, ale wcale nie jesteśmy tacy święci. Byle tylko pewne grzeszki nie wyszły poza obręb domu, można jej popełniać do woli. A ja mam już dość udawania i ukrywania się z moimi uczuciami i zapewne zapłacę za to wysoką cenę. Na szczęście mam swoją Beatrice i wierzę, że ona da mi szczęście – powiedziała Henrietta.

Hanka wcale nie była tego taka pewna. W tym momencie zapewne panna Cavendish była gotowa poświęcić swoje luksusowe życie dla kilku chwil romantycznych uniesień, ale co będzie później?

\*\*\*



Teraz Hanka, siedząc na ciepłym piasku kalifornijskiego wybrzeża i wsłuchując się w szum oceanu, pomyślała, że to Henrietta lepiej rozumiała życie niż ona. Hanka miała wszystko, co materialne, robiła to, co kochała i jeszcze jej za to płacono, a jednak ta przejmująca pustka w sercu sprawiała, że nie czuła się ani odrobinę szczęśliwa. Brakowało jej w życiu tego najważniejszego – miłości. Po niemal trzech latach, odkąd uciekła z ogarniętego wojną i biedą kraju, nagle dotarło do niej, że splendor i bogactwo są jedynie złudzeniem szczęścia. Żeby chociaż miała przy boku Alicję, nie czułaby się tak źle, ale Hanka oprócz dzieci nie miała już nikogo. Igor odszedł, Piotr i Irena nie żyli, a Alicja? Kto wie, co się z nią teraz działo.

Znalazła się w pięknym kraju, gdzie wojna nie odcisnęła swojego piętna, występowała w najlepszych salach koncertowych i miała pieniądze, a jednak nie dało jej to tak bardzo wyczekiwanego spełnienia.

Otworzyła oczy i zerknęła na złoty zegarek połyskujący na przegubie jej dłoni. Dochodziła czternasta. Jej koncert w Los Angeles miał się odbyć dopiero za tydzień, ale nie oznaczało to wcale błogiego lenistwa. Swanson zaplanował Lewinównie te dni bardzo skrupulatnie. Nagrania w radiu, wywiady dla prasy, wreszcie raut z największymi gwiazdami Hollywood.

Tego dnia, około siedemnastej, w jej bungalowie, w hotelu Beverly Hills, miał zjawić się jakiś bardzo wpływowy dziennikarz, by przeprowadzić z nią obszerny wywiad. Swanson pragnął, by ukazał się jeszcze przed jej występem, a ona miała uchodzić za prawdziwą gwiazdę, godną miejsca w najmodniejszym hotelu w okolicy. Modnym i bardzo drogim, co sprawiało, że honorarium za koncert, który miała dać w Los Angeles, właściwie pokrył koszty jej pobytu w tym mieście. Namawiała Swansona na coś skromniejszego i mniej popularnego, ale ten uznał, że wystawne życie to część jej image'u. „Wszystko na pokaz” – myślała niekiedy złośliwie Hanka. Mieszkając jednak w Wielkiej Brytanii, zdążyła się już do tego przyzwyczaić. Łudziła się, że w Ameryce jest inaczej, bardziej swobodnie, ale myliła się. Tutaj pozory i prywatne życie wielkich gwiazd były równie ważne, co talent i osiągnięcia artystyczne. Nawet wywiad, jakiego miała udzielić, był starannie wyreżyserowany przez Swansona.

Lewinówna zawołała Nadię, zwinęła koc i pchając z trudem wózek, wolno ruszyła w stronę wyjścia z plaży. Najchętniej zostałaby tam do wieczora, w swobodnej sukience, bez makijażu i z rozczochranymi włosami, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić i w ciągu dwóch godzin musi przeistoczyć się w osobę, którą nigdy nie była. Jedynie scena dawała jej poczucie pewności siebie, ale wszystko, co działo się poza nią, ten cały blichtr, za którym niegdyś tak bardzo tęskniła, był jednym, wielkim fałszem, który cieszył ją znacznie mniej, niż to sobie wyobrażała. Kiedyś sądziła inaczej, zwłaszcza gdy biedowała, ale najwyraźniej musiała znaleźć się w tym miejscu, by zrozumieć, że tęskniła za czymś, co było jedynie iluzją szczęścia.

## 2. Kołyma, 1947

– Cieszę się, że znowu tutaj jesteś. Tęskniłem... – powiedział Stiepan Kaganowski.

Alicja siedziała na krześle, wciąż opatulona chustami i w sponiewieranych rękawicach na dłoniach. Kaganowski chodził wokół niej ze splecionymi z tyłu rękami i dopiero po kilku minutach zdobył się, by wypowiedzieć owo zdanie. Nie miał pojęcia, że Alicja w tym momencie czuła jedynie nienawiść, ale postanowiła złamać się i przyjść do niego, by błagać o możliwość zobaczenia córki.

– Nie masz potomstwa, Stiepanie, więc nie rozumiesz, co znaczy miłość do dziecka... – wyjąkała.

– Zatem po to do mnie przyszedłeś? Żeby czynić mi wyrzuty? – westchnął. – A ja... ja zostawiłem cię na kuchni, nie odesłałem do lasu, tylko pozwoliłem, żebyś miała tutaj znośne życie i nie skończyła jak Dumkowa.

Alicja przymknęła powieki na samo wspomnienie tego, co wydarzyło się na porannym apelu. Jedna z więźniarek po prostu dostała obłądu. Rozebrała się do naga i zaczęła tarzać się w śniegu, a potem uciekała z rykiem zranionego zwierzęcia przed strażnikami, by w końcu paść nieżywa od kuli, którą uraczył ją jeden z nich. Ta kobieta po prostu nie wytrzymała i postradała zmysły. Kto wie, może teraz była już szczęśliwa?

– To wielce szlachetny gest, Stiepan, dlatego przyszedłam do ciebie, by poprosić o coś jeszcze...

Alicja starała się być miła i grzeczna, chociaż wszystko w niej drżało i miała ochotę zabić Kaganowskiego za to, że odebrał jej córkę. Nawet jeśli kierowały nim dobre intencje, ona nie potrafiła i nie chciała zrozumieć tego, czego się dopuścił.

– To mówcie, mówcie... – Głos Kaganowskiego zrobił się lodowaty i przybrał służbowy ton.

– Chciałabym zobaczyć Natalię – wydukała Alicja.

Kaganowski odwrócił się gwałtownie.

– Jak to sobie wyobrażacie? – niemal ryknął.

– Mogłabym zacząć pracę w ambulatorium i odwozić dzieci do sierocińca, zamiast Olgi Iwanowny. A wtedy miałabym możliwość, by widywać swoją córkę – powiedziała hardo.

Stiepan Kaganowski w końcu przestał krążyć wokół krzesła Alicji i usiadł za biurkiem. Podpalił papierosa, zaciągnął się dymem i popatrzył na Alicję.

– Nawet nie wiesz, co chcesz sobie zrobić – powiedział cicho. – Odwozimy dzieci raz na kilka miesięcy, oddajemy je tamtejszym opiekunom i samochód wraca do *zony*. Będiesz ją widziała zaledwie przez kilka minut... To niedorzeczne.

– Proszę... – jęknęła.

– Ja też prosiłem! – ryknął ponownie. – Prosiłem, żebyś przyszła i aby było tak jak kiedyś. Ja! Rozumiesz? Ja prosiłem... O kilka godzin, co mówię, nawet minut, ale byłaś gotowa nawet pójść do lasu i zdechnąć z wycieńczenia, byle nie spełnić mojej prośby. Wolłaś, żeby dopadł cię jakiś *urka* i zrobił z ciebie kochankę, niż mnie.



– Miałam do ciebie żal... – Alicja ponownie skuliła się w sobie, słysząc krzyk Kaganowskiego.

– I już nie masz? – zapytał złośliwie.

– Mój żal nie ma dla mnie już żadnego znaczenia. Muszę ją zobaczyć. – Załkała.

– Ale dla mnie ma – odpowiedział stanowczo i dodał: – Przemyślę sprawę, ale dzisiejszy wieczór spędzisz ze mną. I następne też...

Potaknęła głową i przełknęła ślinę. Nie miała pojęcia, jak zdobędzie się na to, by okazywać czułość temu człowiekowi. Nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby przez to przebrnąć. Jedyne myśli, że być może niebawem zobaczy córkę, dodawała jej siły i pozwalała pogodzić się z tą okrutną sytuacją.

Alicja, odkąd zabrano jej Natalkę i odrzucono jej prośbę o skrócenie wyroku, żyła jak w koszmarze sennym. W dodatku nie dostawała już paczek i listów od Sergiusza. Czowała, jakby znalazła się kompletnie sama w jakimś złowrogim świecie i przychodziły chwile, gdy myślała, że oszaleje. Powstrzymywało ją jedynie to, iż jej córeczka może pewnego dnia jej potrzebować, i to powodowało, że złe myśli odfruwwały, a ona oddawała się intensywnym rozmyśleniom, jak wyrwać się z tego piekła.

Po kilku tygodniach doszła do smutnego wniosku, że jedynym człowiekiem, który może ulżyć jej cierpieniom, jest znienawidzony komendant. Kolejne dni zbierała się, by pójść do niego i błagać o pomoc. I za każdym razem, gdy podchodziła do jego pomagiera, żeby zgłosić chęć widzenia z Kaganowskim, nienawiść do Stiepana nakazywała jej odwracać się na pięcie i uciekać. Nie wiedziała, jak zebrać o litość u człowieka, któremu najchętniej wbiłaby nóż w tętnicę, tak jak zrobiła to Swietłanie. Zwyciężyła jednak miłość do córki i pewnego poranka, po apelu, podeszła do zausznika i najwierniejszego sługi komendanta, by zaanonsować się u najwyższej władzy obozu. Czekwała na zgodę niemal trzy dni i właściwie już straciła nadzieję, że zechce z nią rozmawiać, kiedy w okienku do wydawania posiłków ujrzała rozbiegane oczy pomocnika Stiepana. Z jednej strony, odetchnęła z ulgą, słysząc, że ma po kolacji zgłosić się do komendanta, z drugiej – miała świadomość, iż nie ma już odwrotu i będzie musiała zgodzić się na wszystko, czego zażąda Kaganowski.

Tak też się stało. Wieczorem, po spotkaniu, zjawiała się u niego. Stała niepewnie w progu saloniku i przerażona wpatrywała się w sprawcę swojego nieszczęścia. Ona, taka harda, pyskata i niezłomna, stała potulnie, czekając na to wszystko, co wymyśli komendant.

Kaganowski przygotował się na ten wyjątkowy wieczór. Włączył gramofon, zapalił nocną lampkę, a na stole postawił kieliszki, butelkę wódki i jedzenie, jakiego nie jadali więźniowie. Po chwili podszedł do szafy i wyciągnął z niej zieloną sukienkę z dzianiny. Podał Alicji i zaordynował:

– Nagrzałem wody. Umyj się i przebierz.

Wzięła do ręki sukienkę i poczuła pod palcami delikatny, miękki materiał. Nawet ta czerwona sukienka, w której występowała w obozowym teatrzyku, nie była taka piękna i miła w dotyku. Gdyby nie podłość Stiepana, mogłaby pomyśleć, że podobnie jak Martin Gross, Kaganowski zapalał do niej gorącym uczuciem, ale to, co uczynił z jej Natalką, wysyłając ją do sierocińca, rozwiewało jej rozważania. Dla niej miłość oznaczała zupełnie coś innego. A Stiepan chciał jedynie, by była jego własnością i dogadzała mu w sposób, w jaki nigdy nie robiła tego była żona.

Myła się powoli i dokładnie, żeby nacieszyć się tą banalną czynnością, która w *zonie* stanowiła luksus darowany więźniom raz na trzy tygodnie. Następnie włożyła sukienkę podarowaną jej przez Stiepana i pomyślała o stojącej w pokoju wódce. Postanowiła, że jeśli się zmorzy alkoholem, łatwiej jej będzie przebrnąć przez tę noc.

– Od jutra będziesz pracowała w ambulatorium. Olga Iwanowna i ten fryc podszkolą cię trochę – powiedział ugodowo, wpatrując się z zachwytem w Alicję, która już w niczym nie przypominała okutanej w stare szmaty więźniarki.

– Dziękuję – wyszeptała Alicja i poprosiła, by Stiepan nalał jej wódki.

Gdy to uczynił, wypiła ją duszkiem i poprosiła o następny kieliszek.

– Musisz się upić, żeby pójść ze mną do łóżka? – zapytał groźnie.

Pokręciła przecząco głową i nie powiedziała już nic więcej. Jednak z nich dwojga najwyraźniej to Kaganowski bardziej potrzebował alkoholu niż ona, bo pił niemal bez przerwy i wkrótce był kompletnie odurzony.

– Powiedz, że mnie kochasz – wybełkotał.

Uczyniła to, bo było jej już wszystko jedno. Uśmiechnął się jedynie, słysząc te słowa, a potem wstał z krzesła i chwiejnym krokiem podszedł do niej.

– Mogę zatańczyć z moją uroczą żoną. – Język mu się nieco plątał.

Alicja wstała z za stołu i zaczęli wykonywać coś, co w żadnym razie nie było tańcem. Kaganowski kiwał się bezładnie, coraz bardziej otumaniony alkoholem, by następnie paść na stojące obok łóżko i burknąć, by pozostała z nim przez całą noc. Położyła się obok niego i dziękowała w duchu opatrności, że nie musi tym razem kochać się ze Stiepanem.

Mimo wypitego alkoholu, miękkości łóżka i ciepła, jakie panowało w domu Kaganowskiego, Alicja nie mogła zasnąć. Wstała z łóżka i postanowiła rozebrać Stiepana chociaż z butów i spodni. Pomyślała, że o poranku wmówi mu, iż przeżyli razem upojną noc. Mruczał coś pod nosem, gdy ciągnęła go za nogawki, ale chwilę potem mlasnął jedynie i Alicja usłyszała jego głośne chrapanie. Przewiesiła spodnie przez poręcz łóżka, gdy usłyszała delikatny brzęk wypadającego klucza. Odnalazła go i już miała schować z powrotem do kieszeni spodni, gdy zatrzymała się i zaczęła zastanawiać się, co ów klucz otwiera. Ścisnęła go w dłoni i przeszła do gabinetu. Nie zważała nawet na to, że podłoga głośno skrzypiała pod jej stopami, ponieważ Stiepan spał jak zabity. Zapaliła lampę w biurze i przymierzyła klucz najpierw do szuflady biurka, a potem do solidnej szafy. Pasował i wkrótce Alicja ujrzała przed sobą niezliczoną ilość papierowych teczek i segregatorów poustawianych w kolejności alfabetycznej. Nie miała pojęcia, co spodziewała się znaleźć w szafie stojącej w gabinecie komendanta obozu i już miała na powrót ją zamknąć, ale niemal odruchowo sięgnęła po segregator z literą „R”. Zaczęła przerzucać wpięte stronicę, gdy w końcu natrafiła na swoje nazwisko. Nie wiedziała, co jest napisane w znajdujących się tam dokumentach, ale rozpoznała, że pochodzą one z moskiewskiego sądu. Wypięła plik papierów, zwinęła je w rulon, owinęła jakimiś drukami leżącymi na najwyższej półce i postanowiła, że pokaże je Oldze. Może było w nich coś, co dałoby jej nadzieję na kolejne odwołanie i wcześniejsze wyjście. Zamknęła pośpiesznie szafę, dokumenty ukryła w kieszeni swojego palta i włożyła klucz do spodni Kaganowskiego. Potem rozebrała się i położyła obok Stiepana, który wciąż spał kamiennym snem.

Obudził się dopiero nad ranem i Alicja poczuła jego dłoń błędzącą po jej ciele. Pomyślała, że nadeszło nieuniknione, ale on jedynie przytulił ją do siebie i szepnął:

– Kocham cię. Zobaczysz, będziemy tutaj bardzo szczęśliwi.

### 3. Warszawa, 1947

Franek „Diamentowa Rączka” przyglądał się podejrzliwie swojemu kompanowi. Siedzieli w Café Fogg przy Marszałkowskiej i raczyli się gorącą kawą.

– Za kogo ty mnie masz, Franek? – prychnął Emil.

– Ja tam, Lewin, nic nie gadam, obaj mieliśmy tej całej Bronki po dziurki w nosie, ale żebym miał się mokrej roboty imać, to niech mnie dunder prędej świśnie. Bronka martwa bardziej niż wujek Adolf i sama z siebie nie kofnęła. A mnie po milicjach ciągną i muszę udawać płaczącego amanta. Więc kto ją załatwił, jeśli nie ja i nie ty? – Franek mówił ściszym głosem.

– A co ty się mnie pytasz? – zachnął się kolejny raz Lewin. – Dziwne interesa robiła, może kogoś chciała wykołować i się nią zajęła?

– Bronka? Ona nie kantowała. Twarda była, panie, jak odciski drwała, ale nie rolowała w interesach... – mruknął Franek i ponownie zapytał: – Ale pod chajrem ty mi gadaj, żeś jej nie teges.

– Przestań, Franek. – Emil machnął ręką. – Jeszcze mi życie miłe. Mam przytulne mieszkanie, w końcu będę mógł sprowadzić syna do siebie, posadkę jak ta lala i trochę szmalu z tego, co ty zawiniesz. Więc po co miałbym ryzykować?

„Diamentowa Rączka” zamyślił się. To, co mówił Lewin, brzmiało dość logicznie, jednak śmierć Bronki była dla niego wstrząsem i nie mógł pozbyć się wrażenia, że jego kompan miał z tym coś wspólnego.

– Ty, Franek, a może byś się do partii zapisał? – zagadnął Lewin, żeby porzucić temat Bronki.

– Czyś ty się, Lewin, z głupim na rozumy pozamieniał? A na cholere mi to? – warknął zirytowany Franek.

– Mieszkanie samodzielne szybciej dostaniesz i robotę jakąś akuratną, urzędową. Kartki na obiady w komitecie... – zaczął wyliczać Emil.

– Gdybym nie siedział w takim aliganckim lokalu, panie, to bym splunął. Ja tam z władzą to wolę żyć na odległość. A im dalej mi od nich, tym lepiej – odpowiedział stanowczo. – Zresztą twoje ustosunkowanie w zupełności mi wystarczy. A czy władza ludowa nie patrzy podejrzanie, żeś ty taki galant?

– Do roboty aż tak wysztafirowany nie łążę, co by mnie na języki nie wzięli, ale umówiłem się z taką jedną... – mruknął od niechcienia Emil, żeby nie zdradzić się przed kolegą, że owa kobieta nie jest dla niego tylko zwykłą podrywką.

Magdalena Walewska, gdy po raz pierwszy ją zobaczył w swoim mieszkaniu, zrobiła na nim piorunujące wręcz wrażenie. Nie myślał o żadnych świństewkach, jak to zwykle bywało, gdy zawiesił oko na jakiejś elegantce, ale pragnął, by go polubiła i miała o nim dobre zdanie. Tak jak wiele lat temu Adrianna Daleszyńska. Tymczasem nie miał żadnego pomysłu, jak to zrobić. Panna Magdalena opiekowała się teraz Szymkiem i zapewne myślała o Lewinie niezbyt pochlebnie. W końcu zachował się jak drań, zarówno w stosunku do Szymka, jak i Kamila Grotowskiego. Na szczęście nie znała całej prawdy i to dawało mu nadzieję, że pewnego dnia spojrzy na niego łaskawym okiem. Marzenie, by normalna kobieta zauroczyła się nim, znając jego trud-

ną przeszłość, było nierealne, dlatego wciąż musiał grać. Przed Szymkiem także, ponieważ nie mógł się pogodzić z faktem, że przestał być dla niego autorytetem. Nie rozumiał także do końca rozgoryczenia chłopaka, uważał bowiem, że nie dopuścił się aż takiej niegodziwości, by ten nagle zapomniał o wszystkim, co dla niego zrobił. A może Szymkowi chodziło o coś jeszcze? Miał nadzieję, że wkrótce się tego dowie.

Pożegnał Franka i ruszył w kierunku Mokotowa, gdzie w jednej z ocalałych kamienic mieszkała panna Walewska wraz ze swoim nowym podopiecznym. Odwiedzał ich od czasu do czasu i za każdym razem, gdy zbliżał się do miejsca ich zamieszkania, czuł w ustach suchość, drżały mu nogi, a ręce stawały się mokre od potu. Wycierał je przed drzwiami chusteczką, by nie odstręczyć pięknej Magdaleny śliskim dotykiem, gdy będzie się z nią witał. Tym razem także sytuacja była podobna i zanim nacisnął dzwonek przy drzwiach wejściowych, wytarł dłonie i wziął kilka głębokich oddechów.

Magdalena Walewska jak zwykle przywitała go życzliwym uśmiechem i zaprosiła do pokoju, który zajmowała wraz z Szymkiem. Przegrodziła go szafą, by chłopak nie czuł się skrępowany jej obecnością, przez co jej część pomieszczenia zmniejszyła się do wręcz mikroskopijnych rozmiarów. Oprócz tapczanu, na którym sypiała, stał tam także stół i kredens, które to meble skutecznie zagracały powierzchnię.

– Szymek jest na czynie społecznym – powiedziała ciepło Magdalena. – Jeśli jednak chce pan na niego poczekać, zapraszam. Powinien niebawem wrócić.

Emil, amant uwodzący każdą niemal kobietę, zawsze wyszczekany i pewny swojego uroku, tym razem zdołał jedynie pokiwać głową, po czym, miętosząc w dłoni rondo kapelusza, wszedł do ciasnego pomieszczenia, w którym rezydowała Magdalena. Poczul jakiś przyjemny zapach, chociaż nie były to perfumy, raczej ledwie uchwytna woń świeżych kwiatów. Chwilę potem spostrzegł stojący w wazonie bukiet konwalii. Od razu poczuł zazdrość, bo pomyślał, iż piękna Magdalena zapewne dostała ów bukiet od jakiegoś wielbiciela, może nawet od tego samego, który niegdyś obdarowywał kwiatami jego Adriannę.

– Zaszalałam dzisiaj i kupiłam konwalie – powiedziała przeproszającym głosem panna Walewska, jakby chciała usprawiedliwić swoją rozrzutność w tak ciężkich czasach, i dodała: – Pójdę do kuchni zaparzyć herbatę.

Lewin zdjął letni płaszcz, powiesił na prowizorycznym wieszaku przymocowanym do szafy i usiadł za stołem. Dotychczas bywał tylko w części zajmowanej przez Szymka i jedynie od czasu do czasu słyszał odgłosy krzątającej się za szafą Magdaleny. Rozejrzał się dookoła i uznał, że mimo ciasnoty wszystko, na co spoglądał, podoba mu się. Może dlatego, że piękna panna Walewska sypiała na tapczanie, na który zerkał ukradkiem, siedziała przy tym samym stole, przy którym on teraz, i dotykała swoimi szczupłymi dłońmi wszystkiego, co znajdowało się w tym pokoju.

„Czyżbym się zakochał?” – zapytał siebie w myślach, czując, jak bardzo jest bezradny wobec tkliwości, która go w tym momencie ogarniała.

Po kilku minutach powróciła Magdalena, niosąc na drewnianej tacy szklanki i dzbanek parującej herbaty. Postawiła ją na stole, wlała naparu i podała Lewinowi. Emil patrzył na jej subtelne ruchy i miał ochotę chwycić ją w ramiona. Wdychać jej zapach, głaskać po gładko upiętych włosach i patrzeć na tę piękną twarz, która wciąż kojarzyła mu się z wizerunkami aniołów.

– Szymek to bardzo mądry chłopiec. Jeśli będzie się uczył, może zostać lekarzem albo adwokatem – powiedziała Magdalena, aby powiedzieć cokolwiek, bo nie bardzo wiedziała, o czym mogłaby rozmawiać z Emilem Lewinem.

– Tak, gdyby nie wojna... Ale Bóg mi świadkiem, panno Magdaleno, że starałem się zapewnić mu wszystko, co najlepsze... – bełkotał Lewin.

– Mówił mi. Że był pan dla niego bardzo łaskawy. – Uśmiechnęła się.

– Ale nie może mi darować, że nie powiedziałem mu prawdy o Adriannie – westchnął Lewin.

– Tak... Ale wierzę, że mu przejdzie. W końcu zrobił to pan, by go zanadto nie ranić, prawda? Proszę więc mieć nadzieję. Gdy będzie starszy, na pewno zrozumie, że czasami trzeba skłamać, by ochronić bliskie sercu osoby. Dobrze nam się razem mieszka, Szymek pomaga mi w wielu sprawach, a ja mu w nauce, ale jest do pana bardzo przywiązany i słyszę niekiedy zza szafy, że chlipie w poduszkę. Pewnie nigdy by się do tego nie przyznał, więc nie pytam, ale wiem, że to z tęsknoty za panem – powiedziała cicho Magdalena.

„Boże, dawno nikt nie mówił do mnie z takim szacunkiem” – pomyślał Lewin i posłał w kierunku Walewskiej wdzięczny uśmiech.

– Ja także za nim tęsknię, ale prawdę mówiąc, nie jestem zbyt wykształcony i zapewne nie byłbym w stanie przekazać mu tyle wiedzy, ile pani – wydukał.

– Czasami wykształcenie niewiele mówi o człowieku. Wyraża się pan bardzo pięknie, posiada pan nienaganne wręcz maniery – odpowiedziała.

Emilowi serce zaczęło walić jak oszalone. Tak, umiał zachowywać się elegancko i szarmancko. Czasami. Jednak miał świadomość, że niekiedy zachowuje się jak prostak. A może płynąca w nim krew Chełmickich jednak miała znaczenie i niekiedy dochodziła do głosu, robiąc z niego dżentelmena?

– Panno Magdaleno...? – zapytał odważnie Emil. – W mieście organizowane są potańcówki, robi się coraz cieplej, nie miałyby pani ochoty wybrać się ze mną na jedną z nich?

Magdalena Walewska zarumieniła się, a potem popatrzyła w okno. Lewin nie miał pojęcia, o czym myślała, ale jej twarz nagle posmutniała i był niemal pewny, że dostanie kosza. Po chwili jednak piękna Magdalena zmrużyła oczy, zacisnęła usta i powiedziała:

– Tak, panie Emilu, chętnie wybiorę się z panem na potańcówkę...

Lewin był oszołomiony i szczęśliwy bezgranicznie, że ktoś taki jak panna Walewska zechciał się z nim umówić. Pomyślał, że być może los ulitował się nad nim i zamiast ciągłego taplania się w brudzie podarował mu możliwość obcowania z taką doskonałą istotą. Postanowił, że teraz zrobi wszystko, by skończyć z dawnym życiem i rozpocząć nowe. Takie, dzięki któremu zasłuży na miłość tego ludzkiego anioła.

Tę romantyczną chwilę, nasyconą fruwającymi, niewidzialnymi amatorami, przerwało pojawienie się Szymka. Wszedł do pokoju, uścisnął jak zwykle Lewina, po czym roześmiał się.

– Pani kierowniczka odnalazła Zosię... Jest w sierocińcu koło Bydgoszczy. Niemcy wywieźli ją po powstaniu pod Szczecin, a potem ją przeniesiono. A przedtem w szpitalu była...

– Pewnie chciałbyś ją odwiedzić – stwierdził Lewin. – Pojedziemy razem.

– Mogę sam jechać, tylko chciałbym sobie najpierw jakieś galante ubranie



sprawić. – Szymek nie przestawał się uśmiechać.

– No, jak chcesz, ale pozwól, że odzienie to ja ci zafunduję. – Lewin puścił do niego oko.

Szymek przez chwilę zawahał się, ale potem pomyślał, że niepotrzebnie unosi się honorem. Ubranie w końcu mógł przyjąć, nawet jeśli wciąż żywił urazę do pana Emila Lewina.

#### 4. Los Angeles, 1947

Fiodor Łyszkin kompletnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że rozmowa o Hance Lewin jest dla jego syna niczym sól sypana na otwartą ranę. Dlatego bez żadnych złych przeczuć zaczął głośno czytać wywiad, jakiego udzieliła Lewinówna jednej z plotkarskich gazet, w których to zaczytywała się namiętnie Maria Łyszkin.

– Słuchaj, Igor, ta Hanka Lewinówna to jednak nieciekawe życie miała – powiedział. – Dziennikarz pyta: „Jak pani radzi sobie po śmierci męża? Byliście małżeństwem bardzo krótko, gdy zginął w wypadku”. Dasz wiarę? Ledwie wojna się skończyła, a tu chłop jej w wypadku zginął. Życie to jednak ludziom płata figle.

Igor starał się nie słuchać ojca, ale wiadomość, że Hanka poślubiła innego, by niedługo potem pozostać wdową, zmroziła go. Nie dość, że ostatnio przeżywał istne katusze związane z pobytem Hanki w Los Angeles, to jeszcze teraz rodzice dosłownie co chwilę rozprawiali na jej temat. A on nie chciał mieć żadnych komplikacji sercowych przed swoim ślubem. Judith wciąż była nudna i potulna, ale odkąd zaciągnął ją do łóżka, czas z nią spędzony należał do zdecydowanie bardziej udanych. Wszystko było gotowe, nawet poznał jej rodziców, gdy tymczasem świadomość bliskości syna i Hanki dobijała go. Zastanawiał się, czy jest wystarczająco silny, by spotkać się z nimi, a potem zniknąć kolejny raz z ich życia. Myślał też o Hance. A co jeśli wciąż coś do niego czuje i okupi to rozstanie łzami i cierpieniem? Nie mógł jej narażać podczas pełnienia swojej misji ani też swojego syna, ale być może w przyszłości istniała dla nich jakaś szansa?

– Ale się dziewczyna wybiła. – Fiodor zagwizdał z uznaniem. – Nawet ją zakwaterowali w hotelu dla sław. W Beverly Hills Hotel mieszkają tylko największe gwiazdy.

Igor nie wytrzymał. Wstał z kanapy i powiedział głośno:

– Jadę do Judith. Wezmę twój samochód, tato. Być może wybierzemy się do San Diego i tam zostaniemy na noc.

Stary Łyszkin oderwał wzrok od gazety i popatrzył znad okularów na syna.

– Dobrze, weź. Jeśli nie wrócisz do rana, wezmę cadillaca mamy – odpowiedział spokojnie i powrócił do czytania.

Matka także nie skomentowała nagłego wyjścia syna, jedynie uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Ona także kiedyś była zakochana i nie podejrzewała nawet, iż związek z młodziutką i śliczną Judith jest jedynie wyreżyserowanym spektaklem, a w sercu Igora tkwi inna kobieta. Ta sama od wielu lat.

Igorowi drżały ręce, gdy przekręcał kluczyk w stacyjce lincolna należącego do Fiodora. Dość nieporadnie wyjechał z posesji i dopiero na ulicy zdołał się opanować. Przecież pojawienie się Hanki w Los Angeles było jak zrzędzenie losu, chociaż powinien domyślić się, że pewnego dnia to nastąpi. Każda europejska gwiazda marzyła o występach w Ameryce i jeśli była wystarczająco utalentowana, wcześniej czy później tam przybywała. A przecież już w Londynie kariera Hanki nabierała zawrotnego tempa. Będąc zaś w Stanach Zjednoczonych, nie sposób było ominąć takiego miejsca jak Los Angeles.

Podjechał przed hotel i przez chwilę siedział w samochodzie, jeszcze zastanawiając się, czy na pewno dobrze robi. Postanowił, że zada sobie odwrotne pytanie. Co stanie się, jeśli nie wejdzie tam, nie spotka się z synem i Hanką, tylko odjedzie? Cholera, do końca życia będzie się zastanawiać, czy uczynił słusznie.

Wysiadł z samochodu i poszedł do recepcji hotelu. Zapytał stojącego za kontuarem mężczyznę w eleganckim uniformie o numer pokoju pani Hanny Lewin.

– Czy pani Lewin oczekuje pana? – zapytał uprzejmie recepcjonista.

– Tak – odpowiedział bez wahania – Od dawna.

– Pańska godność?

– Łyszkin. Igor Łyszkin – mruknął.

Recepcjonista sięgnął po stojący obok telefon i wykręcił numer. Łyszkin miał nadzieję, że Hanka Lewin nie wyprze się znajomości z nim i zechce go przyjąć w swoim pokoju.

– Pani Lewin oczekuje pana. Bungalow numer siedem – powiedział recepcjonista i wskazał drogę prowadzącą w głąb posesji. – Czy boy ma pana zaprowadzić?

– Nie, dziękuję. Trafie – burknął Igor i wyszedł na zewnątrz.

Zbliżał się wieczór i wzdłuż ścieżek zapalono już lampy, a niebo przybrało granatowy odcień. Łyszkin z trudem odczytywał numery domków, gdy wkrótce zobaczył kobiecą postać stojącą w drzwiach jednego z nich. Lewinówna miała na sobie cienką, niemal przezroczystą sukienkę, sięgającą kostek, i sandałki na wysokim obcasie. Igor musiał przyznać, że wyglądała naprawdę światowo. Zobaczywszy go, wyszła mu naprzeciw. Stąpała powoli po kamiennych płytach ułożonych na ścieżce wiodącej do głównego gmachu hotelu i patrzyła dziwnym wzrokiem na Igora. Nie było w jej oczach takiego żaru jak wówczas, gdy spotkali się na Waterloo Bridge w Londynie. W spojrzeniu Hanki był przejmujący smutek. Smutek kobiety, którą zawiódł najważniejszy mężczyzna w życiu.

– Witaj – powiedziała oschle i zamiast rzucić mu się na szyję wyciągnęła w jego kierunku dłoń.

– Cóż za chłodne przywitanie – wyjąkał.

– Równie chłodne, jak twoje pożegnanie – mruknęła. – Po co przyjechałeś?

– Nie zapytasz, co tutaj robię i jak się znalazłem w tym miejscu? – mruknął, zawiedziony reakcją Hanki.

– Dajże spokój, Igor. Potrafisz być wszędzie i kiedy chcesz. Pojawiasz się jak duch i jak duch znikasz. – Zaczynał drzeć jej głos.

– Wiesz... i wiedziałaś od początku, czym się zajmuję – bąknął, wciąż niepewnie.

– Tak, wiedziałam. Nie wiedziałam tylko, że potrafisz tak po prostu nas zostawić. – Spuściła głowę i przytknęła dłoń do ust, żeby się nie rozplakać.

– Chciałem, żebyś była szczęśliwa... – Igor próbował załagodzić sytuację.

– Ale nie jestem – wyłkała.

Łyszkin podszedł do niej i wziął w ramiona. Nie odepchnęła go. Oparła jedynie głowę o jego pierś i niemal bezgłośnie płakała, jakby przeczuwała, że to kolejne, krótkie spotkanie, po którym Igor ponownie zniknie na wiele miesięcy.

– Mogę zobaczyć Grzesia i Nadię? – zapytał cicho.

– Już śpią. Tylko nie hałasuj, w pokoju obok śpi ich niania, panna Bellow – powiedziała z westchnieniem Hanka, po czym wyplątała się z uścisku Igora i ruszyła

w stronę bungalowu.

Weszli do środka i od razu skierowali swoje kroki do pokoju dzieci. Igor pomyślał, że znowu ogląda swojego syna, gdy ten już śpi. Postanowił jednak, że jeśli Hanka pozwoli mu zostać na noc, poczeka, aż wstanie i spróbuje chociaż trochę go poznać.

Kiedy powrócili do salonu, Lewinówna zdjęła sandaalki, usadowiła się na miękkiej kanapie i podwinęła nogi, Igorowi zaś wskazała ręką fotel stojący naprzeciwko.

– Jeśli masz ochotę na drinka, tuż za tobą jest barek, a w nim wszystko, co potrzeba. – Jej chłodny ton powrócił i Łyszkin już wiedział, że to będzie bardzo trudna noc, a ich czeka poważna rozmowa.

– Tak, drink mi się bardzo przyda. Czy tobie też zrobić? – zapytał.

– Tak, zrób mi coś mocniejszego. Najlepiej whisky, chociaż nie robi mi to najlepiej na struny głosowe – mruknęła.

– Słyszałem, że owdowiałaś... – powiedział, niby od niechcenia, stawiając przed Hanką szklankę bursztynowego napoju.

– Niestety – odpowiedziała z westchnieniem, po czym niemal duszkiem wypila całego drinka.

– Kochałaś go? – zapytał złośliwie.

– Nie, nie kochałam, ale on kochał mnie i dzieci. Całym sercem. Zrezygnował dla mnie z wielu wspaniałych rzeczy, zapewnił mi byt na poziomie, o jakim tobie się nawet nie śniło, a ja nie potrafiłam niczego mu podarować w zamian – powiedziała zimno Lewinówna.

– Ty, Haniu? Dlaczegoż to? – Nie potrafił zrezygnować z sarkastycznego tonu, jakby był zazdrosny nawet o nieboszczyka.

– Nie pytaj o to kobiety, której złamano serce – wyszeptwała.

– Posłuchaj, Hanka... Sam się w tym wszystkim pogubiłem. Kocham ciebie, Nadię i naszego synka, ale nie mogę wam zapewnić normalnego życia. Chciałbym tego. Już sam nie wiem, co powinienem zrobić. Stawiam sprawę uczciwie... – zaczął tłumaczyć się Igor.

– Dobrze, że chociaż teraz mówisz uczciwie... – mruknęła.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Mojego brata. Emila. Wiedziałaś, że jest konfidentem gestapo, że przez niego oboje wylądowaliśmy na Szucha, a nawet o tym, iż chciał mnie wykorzystać, gdy już byłam w Londynie. A jednak nie powiedziałaś mi o tym... – warknęła.

– A ty byś mi powiedziała, gdyby mój brat albo siostra robili podobne rzeczy? – odpowiedział pytaniem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co bym zrobiła, ale chyba bym ci powiedziała. Żeby cię chronić.

– Uważasz, że ja nie myślałam o twoim bezpieczeństwie? Naprawdę masz o mnie złe zdanie... – W głosie Igora zabrzmiał wyrzut.

Hanka Lewin wtuliła twarz w dłonie i szepnęła, porzucając drażliwy temat:

– Co teraz, Igor? Co teraz będzie? Z nami?

Tego pytania Łyszkin obawiał się najbardziej. Ale wiedział, że padnie, a on będzie musiał na nie odpowiedzieć. A kiedy już to uczyni, także będzie musiał zadać Hance jedno z najważniejszych pytań, jakie kołatały mu w sercu. Czy poczeka na niego?

Zaczął mówić. Nie zdradzał żadnych szczegółów, ale nie ukrywał, z czym wiąże się jego misja w Stanach Zjednoczonych, jeśli chodzi o kwestie prywatne. Na jej wykonanie dał sobie maksymalnie dwa lata, a potem postara się pójść na zasłużoną emeryturę i osiąść na stałe w Polsce, ewentualnie w Związku Radzieckim. W każdym innym kraju, poza blokiem wschodnim, będzie jednostką podejrzaną i niebezpieczną dla swoich przełożonych, a on nie chciał już uciekać. A teraz Hanka musi zdecydować, czy poczeka na niego i czy gotowa jest, by powrócić do Polski.

Lewinówna słuchała z trwogą Igora i sprawa nawet kilkuletniego czekania na miłość swojego życia nie wydała jej się tak okropna, jak myślała, że ten będzie dzielił łożę i całe życie z inną kobietą, bez względu na to kim ona była. Od razu pomyślała, że podobny ból musiał odczuwać Igor, dowiadując się o Ritzu albo o jej ślubie z Piotrem. W jednej chwili zrozumiała, co się wówczas czuje. Jedyną reakcją, na jaką było ją stać w tym momencie, to rozplakać się.

Igor podszedł do kanapy i usiadł obok Hanksi. Głaskał ją po włosach, dłoniach i ramionach, jakby te gesty mogły ukoić jej żal. I dotarło do niego, że Lewinówna wciąż go kocha, być może równie mocno, co on ją, jednak sytuacja wciąż nie pozostawiała nadziei na szczęśliwe zakończenie. Nic jednak na tę chwilę nie mógł jej dać. Oprócz miłości.

## 5. Okolice Lozanny, 1947

Weronika Chełmicka wracała do domu niezmiernie szczęśliwa. Mimo że w Polsce nastąpiła era komunistycznych rządów, o których krążyły legendy, do Szwajcarii dotarły dokumenty z uczelni, gdzie studiowała, i ze szpitala, w którym praktykowała, a to dawało nadzieję, że niedługo będzie mogła powrócić do wykonywania zawodu chirurga. Droga była, co prawda, jeszcze daleka, ale to był najważniejszy krok, jaki postawiła. Wysiadła z autobusu i szła w kierunku domu, patrząc na niego z odległości i wciąż nie mogąc uwierzyć, że wszystko, co złe i ponure, już za nią. Domek i jego otoczenie prezentowały się bajkowo. Biała elewacja, morze kolorowych kwiatów, a tuż obok stadko koni o lśniącej sierści, które ze spokojem stąpały po soczyście zielonej trawie. Sielankowego obrazka dopełniły błękitne niebo i pejzaż gór. Idealne miejsce dla artysty, który szuka inspiracji.

Weronika pieczołowicie dbała o każdy szczegół otoczenia, jak gdyby pragnęła stworzyć swojej rodzinie idealne warunki ku temu, by byli szczęśliwi i radosni. Śnieżnobiałe firanki w oknach, ozdobne donice, a nawet ławeczka przed domem były dobierane z ogromnym pietyzmem. Weronika włożyła wiele serca w to ich miejsce do życia i każdy, kto na nie spojrział, odnosił właśnie takie wrażenie. Do pełni idealnego obrazka brakowało jedynie kręcących się po posesji ludzi z radosnymi obliczami i równie szczęśliwymi jak to, które malowało się na jej twarzy, gdy podążała w kierunku domu.

Weszła na ocienioną winoroślą ganek i spostrzegła Juliana siedzącego na ławeczce. Niestety, jego mina nie dopełniała tego słodkiego pejzażu.

– Kochanie, co się stało? – zapytała zatrwożona i niemal od razu zapomniała o miłych wiadomościach, jakie tego dnia do niej dotarły.

– „Kary” napisał... – bąknął.

Weronika od razu poczuła ukłucie w sercu, bo była niemal pewna, że wieści, jakie przesłał Sergiusz Dargiewicz, dotyczyły Alicji, zaś pobladła twarz męża świadczyła, iż nie były one zbyt pomyślne.

– Coś z Alicją? – zapytała niepewnie.

Chełmicki pokręcił przecząco głową.

– O Alicji nadal nic nie wiadomo. „Kary” nie miał od niej wieści już od wielu miesięcy. Liczy na to, że kiedy skończy się tam okres najcięższych mrozów, listy znowu zaczną przychodzić. Wiesz, będąc w Warszawie, poprosiłem Sergiusza, by w miarę możliwości pojechał do Chełmic i zobaczył, co z domem, Ludmiłą, Majkowskim i całą ojcowizną. Dzisiaj dostałem od niego informacje – powiedział Julian niemal ze łzami w oczach.

Weronika usiadła obok męża i ujęła jego dłoń.

– I co? – zapytała.

Również była zatrwożona. Majątek Chełmickich nie był tak istotny, ale dom, w którym wychował się Julian, był częścią tradycji wielowiekowego rodu i wspomnieniem pogodnego dzieciństwa. Tak jak ten, który stworzyli z Chełmickim u podnóża Alp, był częścią życia ich pokolenia i świadectwem historii dla przyszłych.



– Nie mam już rodzinnego domu. Nie ma już niczego w Polsce, co należałoby do mnie. Gorzelnię i ziemię znacjonalizowano, podobnie zresztą jak dworek. Pozostali tam Ludmiła i stary Majkowski mieszkają w służbówkach, a w domu mieszczą się teraz biura administracji gorzelni. Wszystko zdewastowane, rozkradzione... – Chełmicki machnął ręką i dodał: – Ale nie to jest najgorsze... Wojna nauczyła mnie pokory i tego, że gdy ludzkie życie jest zagrożone, cała reszta nie ma kompletnie żadnego znaczenia. Boli mnie jedynie, że tego spustoszenia dokonał człowiek, w którym płynie krew Chełmickich... Mój brat. Jakże on musiał nas nienawidzić, jeśli osobiście przyjechał dopilnować dzieła zniszczenia. Rozumiem jego żal do ojca, ale co ja mu zrobiłem? Mógłby być mi bratem, może nawet byłbym w stanie wybaczyć mu kolaborację z Niemcami, ale jego nienawiść do mnie przysłoniła mu wszystkie wartości.

– Julianie, nawet nie wiem, co powiedzieć. Jestem jedynaczką, a losy mojej rodziny były dużo bardziej zawile i plątałyśmy się po różnych miejscach. Przykro mi. – Weronika tak naprawdę nie do końca rozumiała rozpacz męża. Przecież wojna powinna go nauczyć, co zresztą sam twierdził, że najważniejsze jest życie, a całą resztę można zbudować na nowo.

– Myślałem, że gdy w Polsce sytuacja się nieco uspokoi, a może nastąpią jakieś zmiany dające nadzieję na prawdziwą wolność, odnowię dworek w Chełmicach, zabiorę tam matkę i was, i będę chronił dziedzictwo rodu. Tylko to mogłem zrobić dla ojca i w ten sposób podziękować mu za to, kim jestem. Tymczasem nigdy tego nie uczynię, a ród Chełmickich zostanie zapomniany. Kiedy dowiedziałem się, że Emil prawdopodobnie jest moim bratem, pomyślałem, iż podzielę się z nim schedą po ojcu, mimo że Antoni nie miał o nim najlepszego zdania. Teraz jednak czuję taką złość na niego, iż o jakimkolwiek pojednaniu nie może być mowy. I przysięgam ci, że pewnego dnia ten drań zapłaci za wszystko, co zrobił. A tym, który wymierzy mu sprawiedliwość, będę ja... – z żalem powiedział Julian.

– Zapomnij o przeszłości. Myślmy o tym, co mamy i co będzie. Niedługo powrócę do zawodu chirurga, twoja szkółka prosperuje coraz lepiej, a nasze dzieci są mądre i zdrowe. Nie warto rozdrapywać starych ran... – Weronika próbowała mówić spokojnym, terapeutycznym głosem.

Nie miała pojęcia, co stało się z jej mężem. Były sytuacje w ich życiu daleko bardziej dramatyczne, a jednak Julian potrafił się uśmiechać, patrzeć optymistycznie na kolejny dzień i była w nim jakaś radość życia, głód szczęścia i pragnął, aby to wszystko osiągnąć. A gdy to nastąpiło, zgorzkniał zupełnie i zamiast jasnych stron egzystencji wynajdywał kolejne powody, by narzekać, zamartwiać się i utyskiwać. Nie takiego Juliana Chełmickiego pokochała i nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić, by ten dawny powrócił.

Ona także martwiła się o Alicję. W końcu gdyby nie ona, nie przeżyłaby powstania, ale nie mogła każdego dnia zadrećcać się myślami o jej losach. Patrzyła z trwogą w kierunku swojej ojczyzny, ale uważała, że teraz normalnym ludziom jest tam znacznie lepiej niż podczas okupacji. Polacy odbudowywali swoją ojczyznę, mogli się kształcić, chodzić swobodnie po ulicach, a nawet bawić się. Być może życie pod czujnym okiem Rosjan nie było stanem idealnym, jednak w gazetach szwajcarskich pisano o pewnej stabilizacji i spokoju. Tymczasem Julian wciąż myślał o zorganizowaniu jakiegoś zbrojnego powstania, życiu w podziemiu i ani na moment nie za-

stanawiał się nad losem zwykłych ludzi, którzy po prostu mieli dosyć takiego życia, a powstanie uświadomiło im, że z pewnymi sprawami należy się po prostu pogodzić, bo nikt im nie zwróci już życia bliskich osób. Zapewne nie było takiej rodziny w Polsce, która nie przeżywała swoich prywatnych dramatów, smutnej pozostałości po wojnie, i pragnęła ową żałobę przeżyć w spokoju i z nadzieją na lepsze jutro.

– O, przyjechał Gustav z małą Clarą – powiedziała z westchnieniem Weronika i pogłaskała małżonka po dłoni.

Ten jednak odsunął rękę, jakby zły był na żonę za brak zrozumienia dla jego rozterek i podniósł się z ławki. Przywitał się ze swoją uczennicą i jej ojcem, po czym zabrał dziewczynkę w kierunku stajni, Gustava zaś skierował w stronę fikuśnej ławeczki, na której jeszcze przed chwilą siedział z Weroniką. Ta uśmiechnęła się promiennie do ojca Clary i zaproponowała kawę w swoim towarzystwie. Lubiła Gustava Duranda, bo niemal zawsze tryskał dobrym humorem. Julian twierdził, że ludziom, którzy w spokoju i dostatku przeżyli wojnę, może dopisywać pogodny nastrój, bo nigdy nie mieli okazji przekonać się, jak to jest stracić swoich najbliższych. Być może miał rację, ale Weronika łaknęła takiego towarzystwa, gdzie nie rozpamiętywano tego całego piekła, które zgotował im Hitler.

– Clara robi niesamowite postępy. Julian mówi, że w swojej grupie wiekowej jest najlepsza – powiedziała życzliwie Weronika.

– Jestem z niej bardzo dumny. – Gustav uśmiechnął się, odgarniając opadający mu na czoło kosmyk włosów.

Gustav Durand miał w swojej rodzinie jakichś nordyckich przodków, po których odziedziczył nie tylko skandynawskie imię, ale także jasne włosy, niebieskie oczy i wysoki wzrost. Po chwili dodał:

– Manon byłaby również.

Weronika nie miała pojęcia, kim była owa Manon, dlatego zapytała o nią, uznając, że jeśli Gustav sam o niej wspomniał, nie będzie to jakimś szczególnym nie-taktem.

– Manon to moja żona. Zmarła kilka lat temu i od tej pory staram się być dla Clary i matką, i ojcem. Manon kochała konie i zawsze, gdy tylko obowiązki jej na to pozwalały, wyjeżdżała z Lozanny do zaprzyjaźnionej stadniny i oddawała się temu zajęciu. Jestem adwokatem, ona była moją asystentką, więc nie mieliśmy zbyt dużo wolnego czasu. Jednak zawsze wyjeżdżaliśmy w weekendy. Najpierw sami, a potem z Clarą. Niestety, nie doczekała chwili, aż jej córka dosiądzie konia... Tylko niech pani nie myśli, że zmuszam małą do tego zajęcia przez wzgląd na upodobania Manon, moja córka zdaje się wysysać miłość do koni wraz z mlekiem matki. – Po raz pierwszy Gustav zdobył się na takie wyznanie, co nieco zdziwiło Weronikę.

– A na co zmarła pana żona? – zapytała niepewnie.

– Na raka, ale pozwoli pani, że oszczędzę nam obojgu szczegółów dotyczących jej choroby – odpowiedział życzliwie.

– Spędzaliście ze sobą każdą chwilę, pewnego dnia jej zabrakło, a jednak jest pan tak pogodnym człowiekiem, iż nigdy nie domyśliłabym się, że nosi pan w sercu taką osobistą tragedię. – Weronika westchnęła i od razu pomyślała o Julianie, na którego twarzy można było odczytać niemal każde niepowodzenie i stratę.

– Miła pani... Wszyscy umrzemy. Nikogo to nie ominie. Za jakiś czas być może znowu spotkam Manon. A życie jest takie krótkie, każda jego chwila powinna

być cenna i niepowtarzalna. I nie chcę tych chwil trwonić na smutek i żal. Zapewne Manon także nie chciałaby tego. Poza tym mam córkę i ona daje mi tak wiele radości... – odpowiedział Gustav, uśmiechając się łagodnie.

– Także mam córkę. I syna. Rozumiem więc pana, dzieci w istocie są w stanie zrekompensować nam bardzo wiele.

Weronika pomyślała, że najchętniej zamieniłaby podejście Juliana do życia na to, które prezentował Gustav. Wówczas może doceniłby jej starania, by to, co złe, odeszło w zapomnienie. Tymczasem wszystko, co robiła, te jej zabiegi, by stworzyć Julianowi niemal raj na ziemi, zdawały się dla jej męża kompletnie bez znaczenia. Cóż z tego, że Durand nie przeżył piekła wojny i okupacji, tylko mieszkał w spokojnej i niemal sielankowej Szwajcarii, jeśli i jego spotkało nieszczęście w postaci utraty ukochanej osoby. A jednak Gustava cieszyło wszystko – jednakowo jasne słońce i błękitne niebo, jak i padający niekiedy bardzo obficie śnieg. Julian stracił podczas wojny jedynie wiekowego ojca, który zresztą umarł śmiercią zupełnie naturalną, a jednak wciąż widziała jego smutną twarz i tęsknotę za nie wiadomo czym.

Tego wieczoru, gdy lekcje w szkółce zakończyły się, a Weronika i jej bliscy siedzieli w przytulnym salonie, zapatrzeni w płomień w kominku, ta pomyślała o istocie szczęścia. I doszła do wniosku, że to wszystko, co ją otaczało, było kompletnie bez znaczenia, bo bez względu na to, jak bardzo będzie się starała, nie zmieni przekonań kryjących się w sercu Juliana. Jakby nagle zrozumiała, że żadna fikuśna firanka ani elegancka filizanka nie spowodują, iż jej małżonek stanie się chociaż odrobinę bardziej zadowolony z życia.

## 6. Okolice Wesel, Nadrenia Północna-Westfalia, 1947

Miasteczko Wesel było kolejnym miejscem, którego nie ominęła zemsta wojsk alianckich. Kompletnie zniszczone, podobnie jak wiele innych, przypominało cmentarzysko. Gdzieś tam można było dostrzec już nowo wybudowane domy czy sklepy, ale życiu w miasteczku daleko było do normalności. Walter przywykł już do takich widoków, dlatego nie robiły na nim szczególnego wrażenia. Kierowca z trudem przebrnął przez zdewastowane ulice i wkrótce opuścił miasto. Dosłownie kilkanaście kilometrów dalej wszystko wyglądało już zupełnie inaczej. Może dlatego, że zabudowania ustąpiły miejsca malowniczym rozlewiskom Renu i okalającym je gęstym lasom. Tutaj niszczycielska siła bombowców nie dotarła, dając złudzenie, że wojna jest czymś odległym i abstrakcyjnym.

Zaciszny pensjonat także sprawiał wrażenie, jakby pożoga wojenna go nie dotyczyła. Obok budynku z muru pruskiego, wypełnionego czerwoną cegłą i wykonanego ciemną stolarką, pyszniły się rabaty kwiatów i krzewy ozdobne, a wokół panowała kojąca cisza.

Gospodyni *gasthausu* nie była jednak tak szczęśliwa, jak mogłoby się wydawać, patrząc na budynek i jego otoczenie. Utyskiwała, że ma niewielu gości, bo w tak ciężkich czasach mało kto myśli o wypoczynku. Zaś tych, którzy stracili swoje domostwa w Wesel, gościć nie chciała, bo zazwyczaj, jak to mówiła, groszem nie śmierdzieli, a jej nie było stać na akty miłosierdzia. Zapowiedziała także, że posiłki są mniej wykwintne niż zazwyczaj, ponieważ braki w zaopatrzeniu dotknęły również i ją. Walter wzruszył jedynie ramionami na tę wieść, ponieważ przywykł już do prostego jedzenia, a także do jego braku. Potrafił wytrzymać bez pożywienia nawet dwa dni, niekiedy z przymusu, a czasami był tak dalece pochłonięty swoją pracą, że po prostu zapominał o posiłku.

Gospodyni, która sama chyba nie posiadała podobnych problemów, była dość otyła, miała zaczerwienioną, nalaną twarz i wąskie usta wygięte w grymasie niezadowolenia. Sądziła, że gość, który przybył, będzie kolejną osobą narzekającą, podobnie jak ona, na powojenny los, ale Lossow nie miał ochoty na żadne pogaduszki. Na wysłuchiwanie utyskiwań tym bardziej. Zbył gospodynię kilkoma frazesami i niemal od razu udał się do wskazanego przez nią pokoju.

Pomieszczenie było obszerne i wręcz luksusowe w porównaniu z jego berlińską norą. Zapewne Lilly byłaby zachwycona tym miejscem, ale Walter nie zwracał sobie zbytnio głowy wystrojem wnętrza. Jedynie szerokie łóżko ze śnieżnobiałą pościelą przykuło jego uwagę, dając nadzieję, że po męczącej podróży zdoła należycie wypocząć i przygotować się do spotkania z sekretarką Ludwiga Libera. Wiedział bowiem, że nie będzie łatwo przekonać pannę Rauch, by ta namówiła swojego szefa na rozmowę z dziennikarzem. Miał świadomość, że stanie się tak jedynie wówczas, gdy zdoła jej wmówić, iż tak będzie lepiej dla samego Libera. Nie była to prawda, bo Liber w ten sposób wystawiał się pod ostrzał opinii publicznej, ale Lossow nauczył się manipulować ludźmi i przemawiać do nich w taki sposób, by mu wierzyli, nawet jeśli przekazywał im kompletne bzdury.

Rozpakował torbę, wyłożył na stół swoje notatki i miał zamiar je przestudować, ale rychło zmęczenie dało mu o sobie znać. Zdołał jedynie umyć się i otworzyć okno, po czym padł na ogromne łoże i zasnął niemal natychmiast.

Obudziło go rześkie powietrze dolatujące z zewnątrz i świergot ptaków. Przeciągnął się i zerknął na zegarek. Miał jeszcze kilka godzin, zanim stanie twarzą w twarz z Marie Rauch. Powinien ją oczarować, zarówno wyglądem, jak i krasomówstwem, dlatego najpierw starannie się ogolił, a potem przygotował sobie świeżą koszulę. Była nieco pognieciona, ale miał nadzieję, że gospodyni dysponuje żelazkiem i odprasuje mu garderobę.

Po śniadaniu, które wbrew temu, co mówiła gospodyni, było dość obfite i syćące, zasiadł do swoich notatek i zeznań świadków. Przejrzał jeszcze zapiski z procesu kierownictwa Kruppa i był gotów stawić czoło panie Rauch, broniącej dostępu do swojego szefa lepiej niż Cerber strzegący wejścia do Hadesu. Zastanawiał się, gdzie najlepiej odbyć tę rozmowę, by nikt postronny nie słyszał ich opowieści i zdecydował się na małą, ocienioną altankę w głębi ogrodu. Gości było w pensjonacie zaledwie kilku i Walter miał nadzieję, że żaden z nich nie zechce skorzystać akurat z tego miejsca, by napić się herbaty czy zapalić papierosa.

Na dworze na szczęście panowała przyjemna aura i Walter miał nadzieję, iż Marie Rauch nie będzie miała nic przeciwko temu, by spędzić z nim kilka godzin na świeżym powietrzu, w zaciszu altany.

Wkrótce po obiedzie nadjechała. Samochód zapewne należał do jej pracodawcy – był to lśniący czarny mercedes 770k z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Panna Rauch wysiadła z niego i niepewnie rozejrzała się dookoła. Lossow wstał zza stołu stojącego w altanie i miał już wyjść naprzeciw sekretarce Libera, gdy nagle zastopowało go i zamiast ruszyć naprzód, bacznie zaczął się przyglądać panie Rauch. Jej figura i sposób, w jaki stała na niewielkim dziedzińcu pensjonatu, jak żywo przypominały osobę, którą już znał... Jednak ta kobieta nie miała długich blond włosów, ale krótko przycięte, o rudym odcieniu i nieco inne rysy twarzy. Była także szczuplejsza od kobiety, której nigdy więcej nie chciałby spotkać na swojej drodze, Renate Zoll. W końcu zganił się za podobne przywidzenia i idąc kamienną ścieżką, krzyknął:

– Panno Rauch, jestem tutaj! Zapraszam!

Marie Rauch odwróciła się i lekko mrużąc oczy, przez chwilę wpatrywała się w Waltera. Potem bardzo powoli zaczęła stąpać po ścieżce wiodącej do ogrodowej altany. Szła jakby niepewnie, jak gdyby owa ścieżka była chyboczącą się kładką, nie dbała rzuconą przez rwący strumień. Lossow odetchnął z ulgą. Renate nie poruszała się w taki sposób. Jego była narzeczona chodziła pewnym krokiem, ponętnie kręciła biodrami, a jej duże piersi lekko falowały pod wpływem ruchu ramion. Mimo to kobieta wciąż przypominała mu Renate. Tym bardziej, gdy zbliżyła się do niego i popatrzył w jej zimne oczy.

– Renate? – wyjąkał.

Był przekonany, że pobladł, bo miał wrażenie, iż cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Kto? Mam na imię Marie – ochryplym głosem odpowiedziała panna Rauch.

Głos też nie należał do Renate. Lossow wypuścił powietrze, niemal momentalnie czując ulgę, że to wszystko, co przed chwilą zobaczył, było jedynie przywidze-

niem.

– Oczywiście... Oczywiście... Przepraszam, panno Rauch, ale przypomina mi pani kogoś, kogo kiedyś znałem – wydukał Lossow.

– Patrząc na pana twarz, można mniemać, że nie darzył pan tej osóбки zbytnią sympatią – nieco złośliwie odpowiedziała kobieta.

– Ależ skąd. – Walter machnął ręką, chcąc zbagatelizować całą sytuację. – Właściwie kiepsko ją znałem, ale ona nie żyje, więc sama pani rozumie... hm... moje skonsternowanie.

Marie Rauch uśmiechnęła się kwaśno i usiadła przy ogrodowym stoliku. Uczynna gospodyni postawiła na nim dzbanek z kompotem i jabłkową struclę, której woń mieszała się z zapachem kwitnących kwiatów. Lossow spostrzegł, że sekretarce Libera trzęsły się ręce, a buńczuczność, jaką okazywała podczas rozmowy telefonicznej, gdzie się ulotniła. Walter pomyślał, że trud włożony, by wyglądać uwodzicielsko, opłacił się i zrobił wrażenie na pannie Rauch. Ona też wyglądała atrakcyjnie, chociaż jej podobieństwo do Renate nakazywało mu utrzymać pewien dystans. Zresztą nie spotkał się z nią, by ją adorować, ale chciał, by udzieliła mu pewnych istotnych informacji, a być może nawet przekonała Libera do spotkania. Wnikliwie studiował jej twarz i trochę żałował, że cienista altana nie pomaga mu w tym. Chciał odgadnąć po mimice jej twarzy, czy odpowiada na jego pytania zgodnie z prawdą, czy też próbuje go oszukać. Mimo że światło nie było najlepsze, spostrzegł, że twarz kobiety nosi wzdłuż policzków ślady blizn, które usiłowała ukryć pod krótką fryzurą. Najpewniej przechodziła operację plastyczną, co po wojnie nie było jakimś szczególnym dziwowiskiem. Jeśli kogoś było stać, mógł zniwelować szkody, jakie wyrządzały bomby zapalające, odłamki granatów czy ogień trawiący całe miasta. Pomyślał, że w takim razie będzie mu znacznie trudniej czytać emocje z twarzy jego towarzyszk i musi się skupić na ruchach jej dłoni, postawie, a wreszcie głosie. Tych wszystkich sztuczek nauczył się w kompanii propagandowej i w takich chwilach jak ta myślał, że każda nauka bywa przydatna.

– Dlaczego *Herr Liber* nie chciał się ze mną spotkać? – zapytał w końcu.

– Ludwig Liber nie chce rozgłosu. Dla firmy nie jest on wskazany, zaś on nie ma zamiaru odpowiadać za coś, czego nie zrobił. – Chrapliwy głos Marie Rauch nieco drżał, ale Walter pomyślał, iż zapewne obawiała się, że może powiedzieć zbyt dociekliwemu dziennikarzowi coś, czego nie powinna.

– Myślę inaczej. Taki rozgłos byłby bardzo wskazany. W tej chwili wszyscy patrzą na zakłady Kruppa przez pryzmat zatrudniania przymusowych robotników i produkcji broni dla reżimu Hitlera. Chyba czas pokazać, że ten potężny koncern to coś więcej niż zbrojenia. Poza tym ci, co teraz najgłośniejsz krzyczą, w czasie wojny niespecjalnie przejmowali się reputacją Kruppa – rzeczowo stwierdził Walter.

Marie Rauch wyprostowała się na krześle, po czym założyła ręce na piersiach i pogardliwie popatrzyła na Lossowa.

– Nawet jeśli koncern współpracował z amerykańskimi przedsiębiorstwami, to były jedynie interesy, na których zarabiała obie strony. *Herr Liber* nie widzi powodu, aby ujawniać kulisy tych kontraktów. To mogłoby stawiać Kruppa w złym świetle jako partnera handlowego. A opinii publicznej to nie obchodzi. Oni chcą krwi. Interesują się przymusowymi, dotacjami dla NSDAP i zastanawiają się, czy właściciele nie ukryli jakiegoś majątku. Takie szczegóły, jak kooperanci, mają, że użyję takiego do-



sadnego słowa, w nosie – stanowczo odpowiedziała Marie.

– Chodzi o to, żeby utrzyć nosa Amerykanom. Z jednej strony potępiają i wsadzają do więzienia zarząd Kruppa, z drugiej zarabiali na nich krocie. – Walter wciąż blefował.

– Dobrze, spróbuję przekonać mojego szefa, by udzielił panu wywiadu, ale nie obiecuję, że to się uda – bąknęła kobieta, gdy w końcu zakończyli długą szermierkę słowną, przerzucając się wzajemnie kolejnymi argumentami.

Walterowi zaimponowała sekretarka Libera. Sądził, że będzie jedynie zaprzeczająca, ale jej wywody były spójne, logiczne i świadczyły o ogromnej wiedzy na temat pracy Libera. Tym bardziej że, jak twierdziła, była jego pracownicą od niedawna. Tak, Marie Rauch była inteligentna, stanowcza i kompletnie różna od jego Lilly. Spędzili ze sobą całe popołudnie i Walter musiał stwierdzić, że nie nudził się ani przez chwilę.

## 7. Los Angeles, 1947

To była magiczna noc, która jednak niczego nie zmieniła między Hanką a Igorrem. Rozmawiali aż do świtu, opowiadając sobie o tym, co wydarzyło się, gdy żyli z daleka od siebie. Łyszkini co prawda nie mógł powiedzieć wszystkiego, a i też nie bardzo chciał. Jego nadmierna szczerość zapewne zraniłaby Lewinównę i była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Zwłaszcza gdy opowiadała mu o swojej gehennie – głoździe, lęku, napaści przez radzieckiego żołdaka, a wreszcie o utracie Ireny „Wariatki” i męża. Igor nie był pewny, czy również Hanka powiedziała mu całą prawdę, ale w pewnym momencie przestało mu na tym zależeć. Wystarczająco podle się czuł, gdy odkrył, że jest zazdrosny nawet o jej zmarłego męża, Piotra Niechowskiego. Dlatego nie naciskał, gdy Lewinówna upierała się, że Hermann Ritz był jedynie jej przyjacielem i nigdy nie poszli ze sobą do łóżka. I to mu wystarczało. On także nie widział potrzeby opowiadania o kobietach, który pojawiały się w jego życiu, bo nic już dla niego nie znaczyły. Co dałaby im prawda o przeszłości? Zgryzotę, nieufność i ból. A tego mieli przez ostatnie lata pod dostatkiem.

Igor sądził jednak, że po tych całonocnych zwierzeniach uzyska od Hanki obietnicę, iż będzie na niego czekała, Lewinówna jednak nie zapewniła go o niczym. Najwyraźniej czuła się zbyt zraniona, by tak łatwo wybaczyć Łyszkiniowi. A może bała się, że kolejny raz ją zwodzi? Wierzyła, iż kocha ją ten szaleniec, ale jego zajęcie nie dawało żadnej gwarancji na to, że w końcu doczeka się chwili, gdy będą naprawdę razem. Blisko siebie. Bez ciągłej tęsknoty, czekania, myśli pełnych trwogi i lęku o ukochanego. Hanka zachowywała się tak, jakby przestała wierzyć, że w jej życiu będzie tak, jak być powinno.

O poranku, gdy wstały dzieci, Igor mógł w końcu przytulić syna, pobawić się z nim i zamienić kilka zdań. Oddawał się temu tak zachłannie, że aż Nadia zaczęła być zazdrosna o uwagę, jaką darzył jedynie jej brata. W końcu jednak i nią się zajął, nosząc na barana, bawiąc w chowanego albo pluskając się z obojgiem w basenie. Hanka w tym czasie siedziała na tarasie, w ogromnym słomkowym kapeluszu, i zerkała na nich przez ciemne szkła okularów przeciwsłonecznych, uśmiechając się od czasu do czasu. Swojej niani dała tego przedpołudnia wolne, co dziewczyna przyjęła z niekłamaną radością, jednak nieco podejrzliwie zerkała na Igora Łyszkina.

Igor wiedział, że niebawem ta sielanka dobiegnie końca, bo po południu Hanka miała próbę z nowymi muzykami, ale pragnął nacieszyć się tą chwilą, by móc powracać do niej pamięcią, gdy ich drogi się ponownie rozejdą. Miał świadomość, że wszystko jest w jego rękach. Lewinówna była wolna i mogła zamieszkać z nim w dowolnym miejscu na ziemi. Gdyby uciekli i osiedlili się gdzieś w Utah albo Oregonie, zapewne nikt by ich tam nie znalazł, bo nawet tutaj, w Los Angeles, nie było bezpiecznie, gdyż rojło się od radzieckich szpiegów i zauszników. A GRU, jego macierzysta organizacja, bez wątpienia rychło upomniałoby się o niego. Zatem musieliby osiąść w jakiejś małej społeczności, żeby nikomu nie przyszło do głowy, by go tam szukać. I to byłby nawet niegłupi plan, gdyby nie to, że Hanka Lewin była teraz u szczytu sławy, a im bardziej była popularna, tym większe mogło to stanowić nie-

bezpieczeństwo dla niej i dzieci. Jego dowódcy doskonale wiedzieli, że wystarczy zaszantażować go Hanką, by potulnie powrócił na ich łono i zrobił, co mu każą, ewentualnie zatrzymają go i zakończą jego żywot. Być może Lewinówna byłaby gotowa oddać wszystko, co miała, za życie z nim, ale on nie chciał jej odbierać tego, co tak bardzo kochała. To, o czym marzył, mogło się ziścić. Ale jeszcze nie teraz. Czy mógł jednak oczekiwać od Hanki, by na niego czekała? Pragnął tego i w duchu liczył na to, jeśli jednak postanowiłaby inaczej, nie będzie mógł mieć do niej pretensji.

– Cudownie, prawda? – powiedziała cicho, gdy cała trójka rozłożyła się na leżakach.

– Tak, Haniu. Jest pięknie – wyszeptał Igor.

– Igor... Do diabła, rzuć to wszystko. Odejdź ze służby albo ucieknij i wyjedźmy gdzieś, gdzie nikt nas nie odnajdzie. Nie wiem... Do Australii, do Argentyny... Gdziekolwiek. – W jej głosie zdawało się pobrzmiwać błaganie.

– Nie mogę, Hanka. Jeszcze nie teraz. Ale przysięgam ci, że po tej misji zrobię wszystko, by wysłali mnie na emeryturę. Jestem nawet gotów zostać kaleką, by w końcu zakończyć tę przygodę. – Igor starał się, by jego głos brzmiał stanowczo.

– I co dalej? Będziemy mieszkać w Polsce albo Związku Radzieckim i żyć jak umiłowana klasa robotnicza? A ja będę śpiewała pieśni rewolucyjne dla wodza Stalina? Na Boga, Igor... Jaką przyszłość będą miały nasze dzieci? – nieco rozzłościła się Hanka.

– Posłuchaj, Haniu... Doprawdy nie wiem, jakie gazety czytasz i jakich plotek słuchasz, ale naprawdę tam, gdzie panuje socjalizm, nie żyje się źle. Ludzie mają pracę i mogą za darmo się wykształcić. Ani Nadia, ani Grześ nie będą musieli mieć worków złota, by zostać lekarzami czy naukowcami. Nie będziesz musiała martwić się, gdy zachorujesz, bo nikt nie będzie zważał na to, czy jesteś bogata, czy biedna. Czy to naprawdę jest takie złe? Czuć się bezpiecznie bez względu na to, jak poukłada się życie? Poza tym ludzie po tamtej stronie też się bawią, chodzą na potańcówki i lubią słuchać pieśniarek. I zapewniam cię, że nie śpiewają one o rewolucji i Stalinie, ale o tym, co wszędzie. O zawiedzionej miłości, tęsknocie albo kwiatach na łące. Patrzą na wszystko przez pryzmat swojej przyjaciółki, ale zapewniam cię, że pewnego dnia i ona powróci do Polski – mówił Igor.

– Ale jeszcze nie powróciła – warknęła Hanka.

– Haniu, zrobiłem, co mogłem. Więcej już nie dam rady. Przynajmniej na razie, dopóki tutaj siedzę. A może ten cały Sergiusz wcale nie wysłał mi kartki z wiadomością, a może zaginęła po drodze i twoja przyjaciółka już dawno cieszy się wolnością? – tłumaczył się Igor.

– Nie wróciła, wiem o tym. Przynajmniej taką wiadomość otrzymałam, będąc jeszcze w Londynie. Sergiusz ma tam siostrę i to ona przekazuje mi wieści. O Alicji nic nie wiadomo od niemal roku. To jest ten twój cudowny, demokratyczny ustrój. Twoje państwo dobrobytu, równości i sprawiedliwości. I chcesz, żebym tam wróciła i żyła jak na beczce prochu, znowu bojąc się wyjść na ulicę? Tego pragniesz dla swojego syna? Sam mówiłeś, że jeśli zechcesz odejść, zabiją cię. Więc, do cholery, czemu tak bardzo chcesz tam powrócić? – Hanka była nieprzejednana.

– Bo wszędzie potraktowano by takie zachowanie w podobny sposób. Nie tylko w Związku Radzieckim. Uciekający szpieg... Dobrze na scenariusz filmowy. Zresztą nie mówię, że wszystko jest idealne, ale chcę ci tylko powiedzieć, że tam

można żyć, że tam da się żyć i odnaleźć szczęście.

Igor zaperzył się, bo w tym, co mówiła Hanka, było wiele racji. Jednak nie mógł i nie chciał powiedzieć jej wprost, że nawet jeśli zakończy służbę, a ucieknie na drugą stronę, zostanie potraktowany jak zdrajca. A jeśli pozostaną w Polsce, wiele rzeczy może się udać. Będą w stanie stworzyć dla siebie dom, zbudować życie od nowa i nie bać się, że pewnego dnia to wszystko runie, bo będą musieli gdzieś uciekać albo ukrywać się.

W pewnym momencie Igor Łyszkin uciął rozmowę. Nie chciał, by to ich cudowne spotkanie zakończyło się w taki sposób.

– Kiedy opuszczasz Los Angeles? – zapytał w końcu.

– Za pięć dni – mruknęła.

– Podarujesz mi te pięć dni ze swojego życia? – zapytał cicho.

Pokiwała głową.

– Zajmiesz się dziećmi, gdy ja będę zajęta? Zafunduję Elizabeth kilka dni urlopu w Santa Monica – zapytała rzeczowo.

– Z radością. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i dodał: – I dziękuję.

– Za co? – Hanka była nieco zdziwiona.

– Że podarowałaś mi te pięć dni. – Spochmurniał nieco, myśląc o Judith, której będzie musiał opowiedzieć jakąś bajeczkę, dlaczego przez ten czas nie będą mogli się widywać.

– Igor... to nie żaden podarunek. Ja chcę spędzić z tobą ten czas, bo być może to będzie ostatnie pięć dni, jakie ukradniemy życiu... – wyszeptwała.

Igor przez cały czas, który spędził z Hanką, żył jak we śnie. Nawet nie pomyślał, że tak właśnie może wyglądać normalność. W ciągu dnia chodzili na plażę albo jeździli po okolicy lincolnem ojca, którego Fiodor wspaniałomyślnie mu pożyczył, sądząc, iż wybiera się z Judith na nieco dłuższą wycieczkę. Jadali obiady w rodzinnych knajpkach, a gdy Hanka udzielała się w radiu, zabierał dzieci do lunaparku albo do kina, na kreskówki Disneya. Nocami zaś, gdy dzieci zasypiały po dniu pełnym wrażeń, kochali się z Hanką jak szaleni w wygodnym łóżku hotelowego bungalowu.

Dla Hanki były to najpiękniejsze dni, jakie przyszło jej przeżyć, a i Igor poczuł w końcu, że to, co roił sobie w głowie podczas samotnych wieczorów, właśnie się ziściło. Z Lewinówną niekiedy rozmawiali spokojnie, czasami kłócili się zawzięcie, ale gdy nadchodziła noc, wszystko pozostawało w oddali, jakby było kompletnie pozbawione znaczenia. Liczyły się tylko ich ciała, zmysły i rozkosz, którą sobie dawali. Łyszkin miał w swoim życiu wiele kobiet, nie pamiętał nawet imion wielu z nich, a jednak z Hanką to było zupełnie coś innego. To nie były tylko ich splątane w miłosnym uścisku ciała, ale także stęsknione miłości dusze, które muskały się pod wpływem dotyku, głosu czy zapachu. Igor przez wiele lat nie wierzył w istnienie duszy, podobne kwestie pozostawiając naiwnym wyznawcom Boga, ale musiał przyznać, że człowiek jednak musi coś takiego posiadać. Judith była młoda, absolutnie piękna i miała doskonałe ciało, jędrne i pełne krągłości, ale to właśnie w ramionach dużo starszej i nieco wychudzonej Hanki czuł się tak, jakby nie istniało nic oprócz niej i ich gorącego uczucia.

W dniu, w którym miał odbyć się koncert Hanki Lewin, Igor kupił sobie jasny garnitur, elegancko ubrał dzieci i skorzystał z biletów подарowanych mu przez Hankę. Lewinówna żałowała, że nie zdobyła dla nich lepszych miejsc, ale zbyt późno

zgłosiła swoją prośbę do Swansona i jej najbliżsi usiedli dopiero w dziesiątym rzędzie. Igor nawet ucieszył się z tego, obawiał się bowiem, że jakiś fotoreporter zrobi mu zdjęcie i następnego dnia jego wizerunek pojawi się w plotkarskich gazetach. Przed rodzicami być może jakoś wytłumaczyłby ten fakt, ale z Judith nie poszłoby tak łatwo, nie mówiąc już o radzieckich współpracownikach rozsianych po całej Kalifornii.

Igor bardzo przeżył koncert Lewinówny. Powróciły wspomnienia chełmickiego dworku, gdy Hanka stała przy fortepianie, trochę niepewna, skromnie ubrana i chyba nieco przerażona obecnością tak wykwintnego towarzystwa. Po tamtej dziewczynie nie było już śladu, Lewinówna błyszczała, roztaczała wokół siebie aurę blichtru i luksusu, ale jej głos wciąż pozostał taki sam. I mimo że zakochał się właśnie w tej ubogiej, zakompleksionej Hance, teraz czuł się podobnie jak wówczas, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Jego uczucia wciąż miały w sobie jakąś świeżość pierwszego, odurzającego zakochania.

– To nasza ostatnia noc – powiedziała Hanka, niosąc do bungalowu śpiącego Grzesia.

– Nadia też nie wytrzymała. – Igor uśmiechnął się, dźwigając dziewczynkę ubraną w różową koronkową sukienkę.

– Masz na nią dobry wpływ. Kiedy ja chciałam założyć jej tę sukienkę, niemal dostała hysterii. Marudziła, że drapie, że ciśnie, i prawie mi wmówiła, że siedzi w niej potwór. – Hanka uśmiechnęła się i powtórzyła: – Igor... to nasza ostatnia noc. Jutro wyruszam na Florydę, a potem wracam do Londynu.

– Wiem, Haniu. Ale mówienie, że to nasza ostatnia noc, jest ponad moje siły. Wolę myśleć, iż jest jedną z wielu, jakie nam przyjdzie razem spędzić – jęknął.

– Jesteś mistrzem samooszukiwania – westchnęła, po czym popchnęła drzwi do pokoju dzieci.

Ułożyła Grzesia na tapczaniku i zaczęła zdejmować mu buciki, a potem malutką marynarkę. Igor nawet przypiął synowi małą aksamitną muchę pod szyję. Hanka była taka szczęśliwa w tym momencie. Wszystko wokół zdawało się idealne. Wręcz doskonałe. Jej koncert zakończyła burza oklasków, na sali koncertowej siedział Igor i ukochane dzieciaki, a teraz układała je do snu, by nocą wtulić się w szerokie ramiona Łyszkin. Ostatni taki dzień i noc, która będzie musiała jej wystarczyć na bardzo długo. Wiedziała, że jeśli już nigdy nie zobaczy Igora, nie będzie w stanie być bardziej szczęśliwa niż w tej chwili.

Ucałowała synka i Nadię, którą ułożył do snu Igor, po czym wyszła z pokoju dzieci i udała się na taras. Zapaliła lampion, usiadła w miękkim fotelu i czekała, aż obok pojawi się Igor.

– Chciałabym, abyś wiedział, że nigdy nie byłam szczęśliwsza, niż przez te ostatnie dni – szepnęła. – Będą dla mnie najpiękniejszym wspomnieniem, bez względu na to, gdzie będę. Mam także nadzieję, że Alicja już cieszy się wolnością i siedzi sobie z „Karym” na jakimś zacisznym tarasie, tak jak ja teraz z tobą. Wiem, że oczekujesz ode mnie obietnicy, jakiejś deklaracji... Nie mogę ci jej dać, tak jak ty nie możesz nic obiecać mnie, ale wiedz, że kocham cię nieprzytomnie i zrobię wszystko, by powtórzyć to, co było naszym udziałem przez te kilka dni.

Łyszkin nie powiedział ani słowa. To, co wyznała Hanka, wystarczyło mu w zupełności. Podeszedł do niej i wziął ją za rękę, by zaprowadzić do sypialni. Nie

miął pojęcia, jak teraz będzie wyglądało jego życie bez Lewinówny, gdy ta już odjedzie do Miami. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić tęsknoty, jaka będzie mu towarzyszyła, gdy obudzi się pojutrze we własnym łóżku, nie znajdzie obok siebie Hanki i nie usłyszy zza ściany śmiechu Nadii i Grzesia. Tak bardzo starał się przez ostatni czas, by miłość nie zaprzętała mu głowy i nie tkwiła niechciana w jego sercu, ale teraz zrozumiał, że życie bez uczuć nie ma najmniejszego sensu. Nawet jeśli niekiedy tak bardzo bołą.



## 8. Kołyma, 1947

W baraku obozowego ambulatorium wzrok personelu był skierowany na stojącą z tobołkiem w rękę Alicję i wyrażał niechęć, a nawet wrogość. Każdy w obozie wiedział, kim była i wbrew pozorom nikt nie szukał jej towarzystwa. Zyskała opinię zarówno kochanicy komendanta, jak i stukaczki. Pojawienie się jej w ambulatorium nie oznaczało więc specjalnych przywilejów, ale trzymanie języka za zębami i robienie wszystkiego, co nakazywał drakoński regulamin. Nawet Olga Iwanowna nie stała w jej obronie, uznając, że tak będzie lepiej dla nich obu.

– To wasza nowa pomoc – powiedział stanowczo pomagier komendanta. – Zamieszka w izbie z Iwanowną.

Po chwili zwrócił się w stronę Olgi.

– Będziecie za nią odpowiedzialni – burknął.

Olga skinęła jedynie głową i zaprowadziła Alicję do swojej kwatery, która nawet dla niej samej była za ciasna. Wstawienie kolejnej pryczy oznaczało, że w tym małym pokoiku nie będą mogły zrobić nawet kroku. Nie powiedziała jednak ani słowa, tylko uprzątnęła swój niewielki dobytek i zrobiła miejsce na posłanie Alicji, które kilka minut później wnieśli więźniowie. Nakazała im także, aby wbili w ścianę dodatkowe gwoździe na garderobę Alicji.

– To pomysł Kaganowskiego? – zapytała z westchnieniem Olga. – Przecież najlepiej jest w kuchni. Znowu mu podpadłaś czy co?

Alicja usiadła na pryczy i zaczęła powoli zdejmować z siebie waciak i odwijać omotaną na głowie i szyi chustę.

– Nie, Olga. Ja go poprosiłam o przeniesienie tutaj – mruknęła.

– Oszalałaś? Żle ci było przy garach? Tutaj nie jest tak źle, jak na *zaboju* czy w lesie, ale różowo też nie. Mamy dwunastogodzinne dyżury przy chorych, musimy oporządzać tych z *aktirowki* i... Co ci strzeliło do głowy?! – Olga niemal krzyczała.

– Kaganowski obiecał, że jeśli będę pracowała w ambulatorium, pozwoli mi odwozić dzieci do sierocińca. A wtedy będę mogła zobaczyć Natalkę – powiedziała ze smutkiem Alicja.

Olga popatrzyła na nią ze współczuciem. Nawet nie pomyślała o czymś takim, może dlatego, że sama nigdy nie była matką i nie miała pojęcia, czym jest rodzicielska miłość. Kobieta, która teraz siedziała skulona na pryczy, była gotowa zrezygnować z najlepszej roboty w obozie, byle raz na kilka miesięcy móc zobaczyć przez parę minut swoją córkę.

– Zaczynamy dyżury od szóstej. Albo od szóstej rano, albo od szóstej wieczór. Porozmawiam z Ernstem i powiem mu, by nie dawał cię na *aktirowkę*. Niech nadal chodzi tam Daniłowa. Zresztą musisz się nauczyć wielu rzeczy. Nie martw się, dasz radę, ja także nie miałam pojęcia o tym fachu, ale perspektywa pracy przy drewnie podziałała na mnie motywująco. – Olga poklepała Alicję po dłoni i zapytała cicho: – To dlatego znowuż do niego poszłaś?

Alicja pokiwała głową i powiedziała cicho:

– Dzisiaj wieczorem też do niego idę. I pozostanę tam do rana, ale o szóstej za-

melduję się jak należy. Olgo... mam do ciebie ogromną prośbę... Wykrałam Kaganowskiemu swoje dokumenty z sądu moskiewskiego, nie mam jednak pojęcia, co tam jest napisane, nie znam cyrylicy. Proszę, przetłumacz mi je. Może jest w nich coś, co mi pomoże przy kolejnym odwołaniu.

– Alicjo... naprawdę igrasz z losem. Co ja mówię... z życiem. – Olga zrobiła ogromne oczy na wieść o zuchwałym czynie swojej koleżanki.

– Olgo, a cóż mam do stracenia? Życie? Dwadzieścia trzy lata w tym piekle to żadne życie. – Alicja wzruszyła ramionami i wyciągnęła z tobołka zwinięte w rulon papiery.

– To dlatego tak pilnowałaś tych rzeczy – zauważyła bystrze Olga, nie mając pojęcia, że oprócz wykradzonych z biura komendanta dokumentów Alicja posiada także pieniądze wysyłane jej niegdyś przez Sergiusza.

– Co to? – Olga aż się zachłysnęła, patrząc na czyste blankiety, w które Alicja zawinęła sądowe pisma.

– Jakieś śmieci, musiałam w coś zawinąć te kwity, żeby przypadkiem nie upały się...

– To blankiety zwolnień z obozu... – wydukała Olga, przeciągając sylaby.

– Akurat dwa... – Oszołomiona Alicja popatrzyła na Olgę.

– I co dalej? Uciekniemy w tę zmarzlinę? Przecież to pewna śmierć, a na normalną podróż trzeba mieć pieniądze. Zresztą... Kaganowski, gdy się połapie, od razu wyśle po nas swoich żołnierzy. Ale taka okazja... No dobrze, najpierw zobaczę, co wymyśliły te bydlaki, żeby cię tutaj zatrzymać. Jestem pewna, że jesteś wrogiem publicznym, przestępcą okrutnym i nie rokujesz... – burknęła Olga i zaczęła czytać dokumenty z sądu.

Alicja czekała cierpliwie, wpatrując się w drewniane ściany kwatery. Puste, bezimienne. Bez żadnych obrazków czy zdjęć bliskich. Wszędzie było podobnie. Jakby w owych barakach nie mieszkali ludzie, ale zwierzęta, dla których jedynym życiowym celem były strawa i sen.

– Alicja! – krzyknęła Olga i zakryła dłonią usta.

– Boże, Olgo, nie strasz mnie, tylko czytaj. Zniosę wszystko.

– Alicja... Tutaj jest napisane, że po rozpatrzeniu twojego zażalenia oraz wstawieniu się za tobą towarzysza generała Sudopłatowa sąd zwalnia cię z obozu pracy z dniem... Czeka, czeka... Ty powinnaś wyjść pięć miesięcy temu! – Twarz Olgi zrobiła się niemal kredowobiała. – Reszta to jakieś pierdoły, opinia Kaganowskiego, paragrafy i uzasadnienie decyzji.

Alicja zmrużyła oczy. A więc dlatego Stiepan nie chciał pokazać jej tych dokumentów, tylko łął, że będzie to dla niej zbyt bolesne. I wysłał jej córkę do sierocińca, chociaż wiedział, że jest już wolnym człowiekiem i mogą obie opuścić obóz.

– Podły skurwysyn – syknęła mściwie Alicja. Po chwili, gdy już otrząsnęła się z szoku, zarządziła: – Te blankiety ukryj gdzieś, ten parch i tak się nie doliczy. Z tych sądowych wyjmę jedynie decyzję, resztę zaś podrzucę mu z powrotem. Wszystko będzie tak, jakbym miała tutaj zostać przez najbliższe dwadzieścia lat... A ja już coś wymyślę, żeby wykołować gnoja. – Alicji mówiła powoli, z trudem hamując narastającą złość.

Jeśli jakiś czas temu znienawidziła Kaganowskiego, tak uczucia, jakie nią tarpały w tym momencie, nie dały się porównać z niczym innym. Nawet nie miała

ochoty go zamordować, ponieważ uznała, że śmierć nie byłaby dla niego wystarczająco dotkliwą karą. Chyba że wcześniej zadałaby mu niewyobrażalny ból.

– Alicja, tylko nie zrób żadnego głupstwa – jęknęła Olga, widząc zaciśnięte usta Rosińskiej i wzrok rzucający iskry, gdy ta zaczęła się ubierać, by wyjść na nocną schadzke z Kaganowskim.

– Nie martw się, moja droga. Nie zrobię. Będę skoncentrowana, czujna i odegram jedną z najlepszych ról dramatycznych w swoim życiu – wysyczała i wyszła z ambulatorium.

Rulon z sądowymi dokumentami wcisnęła pod nieco rozprutą podszewkę waciaka i z miną zbrodniarki ruszyła w stronę domku Kaganowskiego. Nie miała zamiaru robić mu awantury ani histerycznie łkać. To na niewiele by się zdało. Jeśli okazał się tak podły, by ukryć przed nią wyrok sądu, i tak perfidny, żeby zabrać jej córkę, nie zrobią na nim wrażenia jej łzy.

Zanim dotarła do domku na wzgórzu, miała opracowany plan. Wymagał jeszcze dokładnego przeanalizowania, ale była przekonana, że się powiedzie. A szanowny komendant Stiepan Kaganowski nie będzie mógł kompletnie nic zrobić. Zanim jednak wprowadzi ów plan w życie, uspi czujność komendanta. Zrobi dokładnie to, co kiedyś z Martinem Grossem – a potrafiła to czynić w sposób niemal mistrzowski: uzależniać od siebie mężczyzn. Nie tylko cieleśnie, to nigdy na dłuższą metę nie działało, ale duchowo i emocjonalnie. Pozwalała im wierzyć, że jest jedyną kobietą na świecie, bez której nie ma życia, nie ma nic. A Kaganowski pokazał Alicji swoim czynem, że już teraz jest do niej przywiązany, ponieważ zdobył się na taką podłość, byle tylko została przy nim. Nie obawiała się już, że będzie miała problem z udawaniem zaangażowania. Teraz wiele się zmieniło, bo pojawił się cel, który wart był wszystkiego.

Weszła do domku, zdjęła w ciemnym korytarzu waciak i udała się do saloniku. Stiepan siedział w fotelu i kolejny wieczór raczył się wódką.

– Przyłączysz się, moja piękna? – wybełkotał.

Podeszła do niego, ucałowała go w policzek i wyjęła mu z dłoni kieliszek.

– Znowu pijesz, Stiepanie? – zapytała czule.

– Piję... – Kaganowski czknął.

– Kiedyś nie robiłeś tego tak często. – Wydęła wargi.

– Czasami trzeba pić, żeby nie myśleć – powiedział ze smutkiem.

„Pewnie dławi cię sumienie, parszywy gnoju” – pomyślała Alicja ze złością. Głośno jednak wypowiedziała inne zdanie, uznając, że dzisiejsza popijawa jest jej bardzo na rękę. Nie będzie musiała martwić się, że Kaganowski obudzi się w najmniej odpowiednim momencie.

– W takim razie będę dzieliła z tobą twoje smutki, kochanie – powiedziała słodko i wzięła w dłoń pusty kieliszek.

Stiepan nalał jej wódki, którą wychyliła duszkiem, nawet nie zagryzając leżącym na stole chlebem.

Stiepan wciąż dolewał do kieliszków, jakby chciał jak najszybciej się upić, ale Alicja nie mogła sobie na to pozwolić. Musiała mieć jasny umysł i być czujna. Kiedy więc on wychylał kolejną porcję, jej wódka zasilająca stojący w kącie pokoju okazały fikus.

Gdy Kaganowski był już nieco otępiały, Alicja zaproponowała, żeby znowu

zatańczyli, ale Stiepan jedynie pokręcił przecząco głową.

– Zrobiłaś kiedyś, Alicjo, coś naprawdę strasznego? – zapytał.

„Tak, świnió, na pewno powierzę ci tajemnice swojego życia” – kolejny raz niezycyliwie pomyślała Alicja.

– To zależy, co masz na myśli... – mruknęła. – Kiedyś odebrałam rolę jednej takiej spod Łomży. Była na mnie wściekła.

– Alicjo... – niemal ryknął. – Coś naprawdę paskudnego.

– Nie – wydukała. – Aż tak strasznego to chyba nie. Bo to, że zabiłam kilku szwabów, chyba się nie liczy.

– A z miłości byłabyś w stanie zrobić coś podłego?

Kaganowski nie przestawał pytać. Teraz Alicja była już niemal pewna, że Stiepanem targają wyrzuty sumienia. Nie wiedziała jednak, czy w końcu zwycięży w nim uczciwość, czy chęć, aby Alicja pozostała z nim w obozie.

– Oczywiście – odpowiedziała obłudnie. – No, wiesz, gdyby ktoś chciał cię skrzywdzić, bez namysłu wbiłabym mu nóż w serce.

– Tak jak wbiłaś nóż w tętnicę tej *urkaczki*? – zapytał nieco złośliwie.

– Broniłam się, Stiepanie. Gdybym tego nie uczyniła, nie siedziałabym teraz na twoich kolanach, ale leżała w charakterze zamrożonej mumii pod przyzmi śniegu. Zresztą po tym, co mi zrobiła, nawet nie myślę o niej jak o człowieku. Są granice ludzkiej podłości, których się nie przekracza. Bo jeśli się to uczyni, przestajesz być człowiekiem.

Alicja miała świadomość, że podobnymi stwierdzeniami jeszcze bardziej pograża Stiepana. Zapewne pomyślał o swoim czynie, który niebezpiecznie go do tej granicy zbliżył. Wychylił kolejny kieliszek i nie powiedział już nic więcej tego wieczoru, oprócz jednego:

– Kocham cię, Alicjo. Bardzo. Nawet bardziej, niż kochałem swoją żonę. Szaleję za tobą i wierzę, że pewnego dnia razem opuścimy to miejsce i zamieszkamy w jakimś pięknym domu, gdzieś na południu. Żeby było ciepło – wybelkotał Stiepan, po czym wstał i tak jak to było poprzedniego wieczoru, chwiejnym krokiem udał się do swojego łóżka.

I tak jak wówczas Alicja zdjęła mu buty, a potem spodnie. Włożyła dłoń do kieszeni, potem do drugiej, ale w żadnej z nich nie znalazła klucza.

– Cholera jasna! – syknęła pod nosem.

Chciała jak najszybciej pozbyć się spod podszewki dokumentów sądowych i włożyć je na miejsce. Być może Kaganowski nie wpadłby na pomysł, by kolejny raz je przeglądać, nie posądzała go także o żaden akt miłosierdzia w stosunku do niej, ale nie mogła codziennie paradować z rulonem kwitów za pazuchą.

Zaczęła nerwowo rozglądać się po pokoju. Podeszła do szafy z garderobą Stiepana i przetrząsnęła mu wszystkie kieszenie spodni i marynarek od munduru. Nie ominęła nawet cywilnych ubrań, ale i w nich nie znalazła tego, czego szukała.

Wyszła do korytarza i ponownie się rozejrzała. Na drewnianym wieszaku wisiał płaszcz Stiepana. Zanurzyła dłoń w kieszeni i z ulgą poczuła chłód metalu. Wyciągnęła klucz i najciszej jak to możliwe otworzyła drzwi biura. Podeszła do metalowej szafy, z której poprzedniego wieczoru wykradła dokumenty, ale niestety, klucz nie pasował. Nie wpadła jeszcze w panikę, ale już była nieco zdenerwowana, co zawsze przeszkadzało jej w racjonalnej ocenie sytuacji. Uspokoila oddech i już miała

odłożyć niepasujący klucz do kieszeni, gdy cofnęła dłoń i powróciła do biura. Podeszła do biurka i przymierzyła go do długiej szuflady znajdującej się tuż pod blatem. Pasował. Przekręciła go i wysunęła szufladę, a potem zapaliła lampkę na biurku. Światło było tak ostre, że niemal ją oślepiło, ale wystarczyło jej zaledwie kilka sekund, by rozpoznać właściwy klucz. Pozostałe były duże i ciężkie, a te mniejsze znajdowały się w pękach przytwierdzonych do metalowych kólek. Już miała zgasić światło, gdy jej wzrok padł na leżące w szufladzie koperty. Pewnie nie zwróciłyby na nie uwagi, gdyby nie rozpoznała zamaszystego pisma Sergiusza. A zatem Kaganowski nie tylko ukrył przed nią fakt, że sąd przychylił się do jej odwołania, ale także schował listy Sergiusza. Korciło ją, by po nie sięgnąć i przeczytać, ale ryzyko było zbyt duże. Podeszła więc szybko do szafy, otworzyła ją, odnalazła segregator z literą „R”, po czym włożyła do niego dokumenty i pozamykała wszystko.

Gdy wracała do pokoju, w którym spał Stiepan, cała drżała. Jakże miała ochotę zamordować tego drania za odebranie jej tej ostatniej radości i nadziei – listów od ukochanego. Zapewne także jej korespondencja lądowała w śmietniku, więc i Sergiusz nie miał pojęcia, co się z nią dzieje. A wszystko dlatego, że jakiś bydlak czuł się okrutnie samotny w swoim miejscu pracy.

Wiedziała, że „Kary” łatwo nie odpuści i w końcu dowie się, że w świetle prawa, nawet tego radzieckiego, jest wolnym człowiekiem. Nie miała pojęcia, jakie kroki podejmie i w jaki sposób rozwiąże tę kwestię Kaganowski, nie chciała jednak czekać, aż coś się wyjaśni w tej sprawie, w tym wypadku była zdana jedynie na siebie. Poczowała jednak coś w rodzaju ulgi. Jeśli Sergiusz pisał, to oznaczało, że wciąż jest mu bliska i czeka na nią. A wraz z nim jej ukochany synek. Tak, była gotowa odpuścić nawet czytanie tych listów, byle dać sobie większe szanse na opuszczenie obozu.

## 9. Okolice Bydgoszczy, 1947

Budynek sierocińca znajdował się właściwie na przedmieściach Bydgoszczy, dlatego Szymek Wielopolski nie musiał łapać okazji czy tułać się przepełnionymi autobusami, by się do niego dostać. Miał na sobie nowe ubranie, całkiem przyzwoite, które zafundował mu pan Lewin. W kieszeni letniej kurtki trzymał schowane pudierko, a w nim nieco tandetny wisiorek, kupiony na bazarze Różyckiego. W pierwszej chwili pomyślał, że kupi w Bydgoszczy kwiaty dla Zosi, ale uznał, że dzieciaki z sierocińca wyśmieją ich oboje i będą nazywać zakochaną parą. Poza tym miał zaanonsować się u wychowawców ośrodka jako jej kuzyn, a rzadko kiedy bracia, nawet ci cioteczni, kupowali swoim siostrom kwiatki, idąc do nich w odwiedziny.

W przeciwieństwie do budynku sierocińca, w którym Szymek mieszkał do czasu swojej ucieczki do Warszawy, ten był niski, długi i przypominał obozowe baraki. Pośrodku tego długiego budynku znajdowały się podwójne, odrapane z farby drzwi, a do ściany przytwierdzona była nowiutka czerwona tablica, informująca, że oto trafił tam, gdzie powinien. Otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do wnętrza. Nawet gdyby nie tabliczka informacyjna, chłopiec od razu odgadłby, gdzie się znajduje, bowiem pachniało tutaj dokładnie tak samo, jak w pryjucie, w którym on niegdyś przebywał. Zastanawiał się niekiedy, skąd bierze się ów przedziwny zapach, ale zapewne pochodził on od proszków na odwszawianie albo preparatów odkażających, które mieszały się z wonią jedzenia i dziecięcego potu.

Podszedł do dyżurki, podał swoje nazwisko i poprosił o spotkanie ze swoją kuzynką. Kobieta siedząca w dyżurce przegryzła kanapkę, po czym wpisała do opasłej księgi jego dane. Z ustami pełnymi chleba wymamrotała, gdzie ma poczekać. Owo pomieszczenie zapewne było czymś w rodzaju świetlicy. Stało tam kilka stolików, regałów ze zniszczonymi książkami, a pośrodku leżał wyświechtany dywan z obszarpanymi krawędziami. Na parapetach okiennych poustawiano doniczki z rachitycznymi kwiatkami, które zamiast dodawać przytulności jedynie szpeciły wnętrze, bo doniczki były obskurne, a ledwie wyrosnięte kwiatki smutnie prezentowały się na tle dużych okien.

Po kilku minutach do salki weszła Zosia, ubrana w granatowy, połyskliwy fartuszek szkolny z białym kołnierzykiem. Włosy zaplecione miała w warkocze, a dłonie pobrudzone atramentem. Szrama na policzku była wciąż bardzo widoczna, ale w tej chwili nie była to rana, a jedynie paskudna blizna szpecąca całkiem ładną buzię dziewczynki.

– Szymek! – wykrzyknęła z uśmiechem i po chwili, jakby odruchowo, zakryła bliznę brudną dłonią.

– Dzień dobry, Zosiu – szarmancko przywitał się chłopak i dodał ze śmiechem: – A dajże spokój! Co się tak zaślaniasz, jakbym tej dziury na gębie nigdy nie widział? Sam przecie ci ją zalepiałem...

Zosia spuściła głowę, zarumieniła się i odsunęła dłoń od policzka.

– A kiedy śmieją się ze mnie, zem taka paskudna przez tę bliznę, i teraz, jak mnie kto pierwszy raz widzi, to od razu się za ten policzek łapię. Jak przyjechali do

nas z komitetu na akademię z okazji wyzwolenia Bydgoszczy, to mi dyrektorka nakazała do ostatniego rzędu iść, żebym gości nie wystraszyła, więc potem jeszcze bardziej się ze mnie śmiali – powiedziała ze smutkiem.

– Głupie ludzie... A mnie się tam i z taką gębą podobasz – pocieszająco odparł Szymek.

Zapewne nie był to najlepszy komplement, jakim młody chłopak powinien obdarzać swoją sympatię, ale Szymek Wielopolski sam dokładnie nie wiedział, czy Zosia to jego kumpel i kompan w niedoli, czy pierwsze młodzieńcze zauroczenie. Z jednej strony nie pocily mu się ręce, nie czuł onieśmienia w jej towarzystwie, z drugiej – myślał o niej niemal codziennie i z determinacją szukał, odkąd zakończyła się wojna. Nie potrafił określić swoich uczuć do Zosi, ale na pewno lubił ją bardzo i traktował jak najlepszego przyjaciela. Poza tym, czy jadąc na spotkanie z kumplem, odziałby się tak elegancko, nie mówiąc już o prezencie, jaki jej przywiózł?

Zosi chyba niezbyt spodobał się ten mało wyszukany komplement, bo zmrużyła oczy i zaprosiła Szymka do stolika. Zaczęła wypytywać o jego losy od momentu, gdy ich rozdzielono w Pruszkowie, a potem opowiedziała o tym, co z nią się działo.

– No i tak to było, Szymek. Tę dziurę w policzku to mi tak byle jak zaszyli, że potem musieli poprawiać, dlatego w szpitalu byłam. Ale za bardzo to nie naprawili, tyle tylko, że mogę buzię szeroko otwierać. A Ziułek to nie wiem jak, ale ukrył się gdzieś w wagonach, bo jeszcze go w Pruszkowie widziałam, jak się kręcił po drugiej stronie torów. Może go kto przygarnął, bo to przecie takie mądre psisko było – dokończyła Zosia.

– Jak wrócisz do Warszawy, to pojedziemy do Pruszkowa i będziemy od chałupy do chałupy chodzić, i pytać o Ziułka. Inaczej to chyba nie da rady... – mruknął Szymek.

– Ale jakże do Warszawy? – zdziwiła się Zosia. – Tam podobnież kamień na kamieniu nie został, a zanim odbudują na tyle, żebym tam do jakiego sierocińca trafiła, to Ziułek już dawno zdechnie. Pytałam takiej jednej wychowawczynie, czy my kiedy do domu wrócimy, to powiedziała, że na pewno nie, bo Ziemia Odzyskana trzeba zasiedlać i niektórych to przeniosą do Wrocławia albo Olsztyna.

– Ale ja to cię tutaj nie zostawię... w pryjucie.

Nie miał pojęcia, co mógłby zrobić i kogo poprosić o pomoc, ale wiedział, że nie zostawi Zosi w jakimś obskurnym sierocińcu. Był gotów nawet pojednać się z panem Lewinem, byle pomógł jego koleżance znaleźć normalny dom.

– I co zrobisz? – prychnęła. – Ożenisz się ze mną?

Szymek zrumienił się.

– No chyba za młody na żeniączkę jestem, ale jeszcze ze dwa lata i kto wie. Tylko tak sobie miarkuję, że najsampierw to muszę jakiś kwaterunek znaleźć... I cykam się trochę, bo pan Franek to zawsze mówi, że baba w domu to skaranie boskie. Trochę nie dziwota, że tak nawija, bo jego ostatnia narzeczona, Bronka, co to ją bandyty jakie zamordowały, to tak wyglądała, że nie daj Boże... A i charakterek taki... – Szymek paplał jak nakręcony, bo niewinny żart Zosi nieco go przeraził.

– Dajże spokój, głupot nie opowiadaj. Toż ja nawet piętnastu lat nie mam. – Machnęła ręką.

– E tam, te kilka lat to minie, zanim się obejrzysz.

– Tutaj, Szymek, to wszystko mi się dłuży tak ze dwa razy. – Zosia ściszyła

głos.

– Tak jest okropnie? – zapytał z troską.

Dziewczynka pokiwała głową.

– Podobnie jest, jak było na Woli, ale tam to ja jak u siebie byłam, a tutaj...

Jak nas do kina wiozą, to już taka wyprawa, że trzy dni się do niej szykujemy. I do szkoły daleko, to nas, póki co, tutaj uczą. I cały czas nam prawią, jakie Ruskie fajne są. – Zosia wydeła wargi, a po chwili spuściła głowę i szepnęła: – Szymek, jakże ja się cieszę, żeś ty przeżył. Jakby tobie się co stało, to nikogo, nikogo... samiuśka jak ten palec. Bo wszystkie koleżanki i przyjaciółkę, i siostry z Woli, wszystkich wybili. Więc gdyby i ciebie...

Zosia zawstydziała się swojego wyznania. Może gdyby nie jej kompleksy związane z paskudną szramą na twarzy, która skutecznie ją szpeciła, byłaby bardziej odważna, ale czuła się przy elegancko ubranym i przystojnym Szymku jak brzydkie kaczątko. Gdzież było jej myśleć, że ten miły i odważny chłopiec mógłby ją polubić nie tylko jako koleżankę.

– Zośka, toż ja ciebie cały czas szukałem. – Uśmiechnął się, po czym wyjął zza pazuchy puzderko i wręczył dziewczynie.

Wzięła niepewnie upominek i delikatnie otworzyła, jakby spodziewała się raczej jakiegoś psikusa aniżeli dziewczęcej ozdoby. Tombakowy wisiorek na rzemyku miał kształt słonecznika i ozdobiony był małymi bursztynami. Na twarzy Zosi kolejny raz tego dnia pojawił się rumieniec. Wzięła w dłoń upominek i dotykała drobnymi palcami.

– Nigdy nie dostałam czegoś tak ładnego – wzruszyła się Zosia.

– E tam, to nic takiego, ale na razie jestem goły jak święty turecki, bo nie chcę się upominać u pana Lewina o swoje oszczędności, co to mi skitrał przed powstaniem – od niechcenia powiedział Szymek.

– Jest śliczny i w ogóle bardzo ci dziękuję, ale czemu nie chcesz się upomnieć o swoje? – zapytała nieco zdziwiona Zosia.

– Kiedyś ci opowiem, ale nie chcę sobie takiego ładnego dnia marnować. – Szymek machnął ręką i dodał: – Ja to myślałem, że mi jakiego buziaka dasz za ten prezent.

Zosia uśmiechnęła się, rozejrzała niepewnie dookoła, po czym wstała z krzesła, nachyliła się nad Szymkiem i dała mu całusa w policzek. Chłopak popatrzył na nią i pomyślał, że nawet z tą brzydką blizną Zosia jest bardzo ładną dziewczynką. Poza tym była jego najlepszym przyjacielem. Kiedyś za takiego uważał pana Lewina, bo mimo że był jego opiekunem i autorytetem, to właśnie jemu ufał bezgranicznie, teraz jednak wiele się zmieniło.

Po godzinie Zosia wyszła na chwilę ze świetlicy, by odmeldować się u wychowawczynie, że wychodzi z kuzynem na spacer. Pogoda była piękna i szkoda jej było siedzieć w ponurej świetlicy, kiedy kilkaset metrów od sierocińca znajdowały się sady owocowe należące teraz do jakiejś spółdzielni. Dzieciaki z sierocińca mogły tam przychodzić i nikt ich nie przeganiał, zapewne dlatego, że nie bardzo dbano o te sady. Maj był wyjątkowym miesiącem, bowiem to właśnie o tej porze roku drzewka owocowe spowite były kwieciami, które na tle błękitu nieba wyglądały bajkowo i pozwalały chociaż na chwilę zapomnieć o obskurnych sypialniach, zimnych salach lekcyjnych i zawilgoconej jadalni. Pachniało też ładniej.



Usiedli pod jednym z drzewek i nawet nie przeszkadzało im to, że każdy podmuch wiatru strząsał płatki z kwiatów, które opadały im na włosy, dłonie i ubrania.

– Jak kiedy będę miał swój dom, to posadzę dużo takich drzewek, żeby mi na łeb taki ładny śnieżek z kwiatów padał – roześmiał się Szymek.

– A ja to bym chciała mieć dużo dzieci. Bo to wtedy jest prawdziwy dom, jak dużo dzieci wokół biega – westchnęła Zosia.

– No to w przyjucie musisz się czuć jak w domu – zarechotał Szymek.

– Ty to już jak coś powiesz... – obruszyła się Zosia i dodała: – A wiesz, Szymek, że mnie to się niekiedy te kanały śnią. Tak idę nimi i idę, i wyleźć nie mogę, dopóki się nie obudzę. A potem to na powrót zasnąć nie daję rady, bo się boję, żeby mi się znowuż to nie przyśniło.

– Mnie tam jak kiedy, ale przeważnie to nie pamiętam, co mi tam się kielbasi w głowie, gdy śpię. Ale wiesz, Zosiu, ja tak miarkuję, że kiedyś to ci przestaną się śnić te potworności – powiedział pocieszająco.

– Może kiedyś – westchnęła Zosia i zaczęła spoglądać w niebo.

I wtedy pomyślała, że warto było tułać się wśród trupów i przejść te wszystkie okropności, by móc teraz popatrzeć w niebo.

## 10. Los Angeles, 1947

– Chyba nie masz innej kobiety? – zapytała Judith, marszcząc czoło i wydymając swoje pełne usta.

– Judith, rozumiem, gdybyś zadała mi podobne pytanie dwadzieścia lat po ślubie, ale teraz, gdy nasz związek jest świeży i piękny? – Łyszkin wykpił się pytaniem, które miało brzmieć niemalże retorycznie.

– Odkąd powróciłeś ze swojego tajemniczego wyjazdu, jesteś jakby nieobecny. – Judith nie dawała za wygraną.

Igor popatrzył na fale zatoki. Siedzieli w jednej z tych przytulnych, małych knajpek, do których zabiera się dziewczyny na randki albo kochanki, które należy ukryć przed światem. Każdy stolik osłonięty był bambusowym parawanem, dając poczucie intymności. Wieczorami zapalano świece i lampiony, a z głośników sączyły się same romantyczne przeboje. Te wszystkie elementy miały zapewne zrekompensować niezbyt dobrą kuchnię i kosmiczne ceny. Judith jednak bardzo lubiła tutaj przychodzić, mimo kiepskiego jedzenia, bo mogła bez specjalnego skrępowania dotykać dłoni Igora i od czasu do czasu raczyć go całusem. Z reguły reagował na te niewinne pieszczoty uśmiechem, ale odkąd wyjechała Hanka, nie był w stanie zbyt dobrze odgrywać roli zakochanego w Judith amanta. Myślał intensywnie, jak wybrnąć z sytuacji, bo naprawdę nie mógł się zdobyć nawet na życzliwy uśmiech. Postanowił więc wykpić się sprawą, o której wcześniej czy później i tak musiałby porozmawiać z Judith.

– Wiesz... doskwiera mi pewien problem. Lubię Los Angeles i lubię to luksusowe życie, jednak mój ojciec nie potrafi zrozumieć, że jestem już dorosłym człowiekiem i wciąż traktuje mnie jak gówniarza – skłamał.

– Jest przeciwny naszemu małżeństwu? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Judith.

– Ach nie, to nie to... – Igor machnął ręką. – Ale uważa, że może decydować za mnie o pewnych sprawach, uznając, iż cały biznes należy do niego, a ja wcale nie pracuję, tylko udaję. No, wiesz, wciąż uważa, że mnie utrzymuje. Nie mogę tego znieść. Jednak prawdą jest, że pracując gdzieś indziej, nie stać byłoby mnie na te wszystkie rozrywki.

– I co zamierzasz? – zapytała.

– Chcę stąd wyjechać. Im dalej, tym lepiej. Znaleźć pracę i zbudować wszystko od podstaw. Rozumiesz? – Łyszkin mówił z taką zaciętością w głosie, jakby w istocie była to prawda.

Judith nieco spochmurniała i Igor doskonale wiedział dlaczego. Dla tej dziewczyny pieniądze i blichtr światowego życia były bardzo ważne. Ciężko pracujący Igor, otrzymujący taką pensję, jak wielu innych Amerykanów i żyjący z hipoteką na karku, wiele tracił na atrakcyjności. Postanowił więc, że nic więcej nie powie, dopóki nie zostaną małżeństwem. Obawiał się, iż jego pomysł wyjazdu do Los Alamos spotka się z jej sprzeciwem. Na tyle mocnym, by zrezygnowała z wyjścia za niego, a to skomplikowałoby wiele spraw. Natomiast wykpił się tymi swoimi wyimaginowanymi

mi rozterkami i Judith już przestała go nagabywać o powody jego posępnej miny.

Koło północy Igor odwiózł swoją narzeczoną do domu i powrócił do siebie. Cały trząśł się w środku. Był tak wściekły na całą tę sytuację, że koniecznie musiał się gdzieś wyładować. Za to, że Hanka wyjechała i być może nigdy więcej się nie zobaczą, a także za to, iż musiał odgrywać ten teatrzyk z Judith. Krzywdził ją z premedytacją, wiedział bowiem, że nie będzie dla niej dobrym mężem. Już sam fakt, że Kochając się z nią, będzie myślał o innej kobiecie, doprowadzał go do szału. Jednak ślub z Judith był jedynym sposobem, by szybko otrzymać status obywatela amerykańskiego. Nie działało się to automatycznie, ale wiedział, że jego towarzysze załatwią sprawę najszybciej jak to możliwe.

Wjechał na posesję, zaparkował lincolna ojca i pobiegł na skraj posesji, gdzie stała okazała palma. Zaczął tłuc pięściami w jej pień, jak bokser chcący powalić na deski swojego przeciwnika. Nie zważał na to, że kaleczy sobie dłonie, tylko tłukł bez opamiętania, by wyładować frustrację. W pewnym momencie poczuł na swoim ramieniu dłoń. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył potężną postać swojego ojca.

– Chyba musimy porozmawiać, synu – powiedział łagodnie Fiodor.

– Nie chcę rozmawiać, tato... Nie mogę o tym rozmawiać i nie potrzebuję. To i tak niczego nie zmieni. Niczego... – powiedział cicho Igor i szybkim krokiem udał się do domu.

Wszedł do łazienki i zaczął obmywać poranione dłonie. Pomyślał, że jakkolwiek to walenie pięściami w pień nie na wiele się zdało, tak piekące rany na dłoniach pozwolą mu się skupić na innej myśli niż na tej, że jest zwykłym bydlakiem.

Nagle drzwi łazienki otworzyły się i stanął w nich Fiodor, trzymający w dłoni butelkę jodiny. Podał ją Igorowi i miał już wyjść, gdy jego syn powiedział cicho:

– Przepraszam, tato, ale naprawdę nie mogę o tym rozmawiać. Sam narobiłem sobie bałaganu w życiu i sam muszę go posprzątać.

– Rozumiem – odpowiedział Fiodor, po czym dodał: – Do twarzy ci w jasnym garniturze, zresztą ta dwójka dzieciaków też do ciebie pasowała. Ten mały wygląda zupełnie jak ty, gdy byłeś w podobnym wieku. Szkoda, że twoje tajemnice sprawiły, iż nie mieliśmy okazji poznać swoich wnucząt.

– Nadia nie jest moją córką – odruchowo zaprzeczył Igor, a potem popatrzył w lustro i napotkał wzrok ojca.

– Pewnie zastanawiasz się, skąd wiem. Może myślisz, że postanowiłem szpiegować swojego syna, który jest już facetem przed czterdziestką? Nie, mój drogi. Byłem tak bardzo ciekawy występu Hanki Lewin, że w końcu zdobyłem bilety na jej koncert. Ponieważ podobno wyjechałeś na wycieczkę z... Judith, poszliśmy sami z mamą. Zobaczyłem cię w holu... i zacząłem się zastanawiać, dlaczego to wszystko przed nami ukrywasz. Nawet jeśli nie wyszło wam z Hanką, macie jednak ze sobą coś wspólnego. Na całe życie. Czy tego chcecie, czy nie. Zresztą byłeś tam, siedziałeś niedaleko sceny, w dodatku z tymi dziećmi, zatem wasze relacje są chyba poprawne. Dlaczego więc nie przywiozłeś ich do nas? Maria nie zauważyła cię, a ja zrobiłem wszystko, żeby i po koncercie nie natknęła się na ciebie. Pękłoby jej serce... – Fiodor mówił głosem pełnym żalu. Zapewne dlatego, że zachowanie syna wydawało mu się kompletnie niezrozumiałe.

– Tato, oni wyjechali. Hanka, jej córka i mój syn. Pewnie minie wiele czasu, gdy znowu ich zobaczę. Nie chciałem... żebyście wiedzieli i zadawali pytania –

mruknął Igor.

– Lewinówna mieszka w Anglii, została wdową. Dlaczego nie mielibyśmy utrzymywać kontaktu z własnym wnukiem? – zirytował się Fiodor.

– Ponieważ to mogłoby być niebezpieczne. Dla nich i dla was – wyszeptał Igor.

– A jednak... Ty ciągle dla nich pracujesz. I jesteś aparaczką, który przybył do Stanów, by donosić swoim szefom, co tutaj się dzieje – ze smutkiem dokończył Fiodor i wyszedł z łazienki, powoli zamykając za sobą drzwi.

– Kurwa żeż mać! – wysyczał do siebie Igor, gdy został sam.

Jeszcze tylko tego mu brakowało do szczęścia. Teraz już zawiódł wszystkich – Hankę, swojego syna, Judith i rodziców. Najgorsze było jednak to, że jeśli chciał ich chronić, musiał zrobić to, czego od niego oczekiwano. I musiał milczeć, uchodząc w oczach swoich najbliższych za ostatniego skurwysyna.

Udał się do swojego pokoju, rzucił na łóżko i miał ochotę wyć. Nie tak miało to wszystko wyglądać i kolejny raz jego uczucie do Hanki sprowadziło na niego kłopoty. Powinien trzymać się od niej z daleka, dopóki nie będzie wolnym człowiekiem. A jednak złamał się, by za pięć dni szczęścia przynieść zgryzoty wszystkim dookoła. Był przekonany, że i Hanka teraz cierpi, a dzieci jeszcze długo będą za nim tęsknić, bo dał im namiastkę obecności ojca, którego tak bardzo im brakowało po śmierci Piotra Niechowskiego. Wyrzucał sobie głupotę, słabość i nieodpowiedzialność. Ostatni raz był tak na siebie wściekły, gdy zginęła Marina. Nawet wówczas, gdy z powodu swojej niefrasobliwości został raniony w Zamościu, nie czuł do siebie aż takiej niechęci, jak w tym momencie.

Próbował usnąć, ale sen nie nadchodził. Włożył dresy i wybiegł na ulicę. Nie zważając na porę, po prostu biegł przed siebie, jedynie od czasu do czasu zatrzymując się, by złapać oddech. Tak bardzo chciał zostawić swoją przeszłość na dnie duszy, usnąć ją na tyle skutecznie, by już nigdy więcej się nie obudziła, tymczasem los sprawił, że nie tylko odżyła na nowo, ale powróciła do niego ze zdwojoną siłą.

Igor Łyszkin nie należał jednak do ludzi, którzy łatwo się poddają. Nie lubił też zanadto samobiczowania, więc gdy po kilku godzinach powrócił do domu, miał w głowie już tylko jedno – wykonanie misji, najlepiej i najszybciej jak to tylko możliwe. Po to, by znowu poczuć się wolnym człowiekiem. A wtedy naprawi wszystko, co po drodze spieprzył.

Nazajutrz przeprosił ojca, że go zawiódł, i przyrzekł mu, iż pewnego dnia wyprostuje swoje życie, ale musi w ogóle przeżyć, bo w przeciwnym razie już nic nie będzie możliwe. Liczył na wielkoduszność i mądrość swojego ojca, ale Fiodor jeszcze nie był gotów, by przejść do porządku nad pewnymi sprawami.

– Mam tylko nadzieję, synu, że wiesz, co robisz. I jeśli mogę cię o coś poprosić, to błagam jedynie o to, abys nie żenił się z Judith. Jesteś moim synem i zawsze cię będę kochał, bez względu na wszystko. Zresztą jakiego cię wychowałem, takiego cię mam. Może dawałem ci zbyt wiele swobody, może powinienem pewnego dnia stłuc cię na kwaśne jabłko i nie wypuszczać cię z Polski. Nie wiem... Po prostu co zasiałem, to zebrałem. Ale ta biedna dziewczyna... Ona jest taka młodziutka, taka śliczna. Nie krzywdź jej, nie możesz tego zrobić – wygłosił mowę Fiodor.

Igor nie chciał już dyskutować z ojcem. Odpowiedział jedynie:

– Ale muszę, tato.

Mimo że Sergiusz Dargiewicz z wielką niechęcią odnosił się do ustroju, jaki próbował narzucić Polsce nowy sprzymierzeniec, musiał przyznać, że jego rodacy nieco odżyli po okrutnej wojnie i dramacie, jaki rozegrał się podczas powstania w Warszawie. Miasto tętniło życiem, każdego dnia wyrastały z ruin nowe budowle, komunikacja działała coraz sprawniej, a na Wiśle odbudowano i oddano do użytku dwa mosty, zniszczone w chwili, gdy Niemcy postanowili zrównać miasto z ziemią. Komitet Odbudowy Warszawy potrafił zjednoczyć wszystkich. Mieli wspólny cel, a było to przywrócenie Polsce stolicy. On sam chodził na stołeczne budowle, by w ramach czynu społecznego budować nową Warszawę. Ludzie chcieli żyć w normalnym mieście, pracować, mieszkać w godnych warunkach i cieszyć się życiem. Tylko nieliczni buntowali się i wyklinali na nową władzę, ale rychło znikali w stalinowskich więzieniach, z których zapewne już nigdy nie wyjdą. Tak jak przywódcy Narodowych Sił Zbrojnych czy Armii Krajowej. I być może tak jak jego Alicja.

Odegnął jednak tę ponurą myśl. Dopóki istniał cień szansy, że jego ukochana opuści łagry wcześniej, niż zakładał pierwotny wyrok, nadzieja trzymała go przy życiu. A teraz czekał na wiadomość od rodziny Alicji. Z uwagi na opieszałość całego procesu odwoławczego matka Alicji napisała do władz, by udzieliły jej informacji na temat ewentualnego skrócenia wyroku. Czekali już miesiąc na odpowiedź, ale „Kary” wierzył, że w końcu nadejdzie i będzie ona pomyślna.

Zerknął na zegarek i chwilę potem usłyszał dźwięk szkolnego dzwonka. Postać jeszcze chwilę i zobaczył w drzwiach małego Mateuszka, którego tornister zdawał się większy od niego.

– Daj, mogę ci nieść ten tobołek – powiedział ze śmiechem Sergiusz.

– Przestań, tato. Chcesz, żeby koledzy się ze mnie śmiali? Powiedzą, że jestem słabeusz i ojciec mi musi tornister nosić – obruszył się chłopiec.

– Obiad zjadłeś? – zapytał „Kary”, zmieniając temat.

– Nie cały, bo był niedobry. W zupie pływały takie twarde kawałki mięsa, a ja tego nie lubię – bąknął Mateuszek.

– Za bardzo cię rozpieścili u wujka Makarego i teraz grymasisz.

Sergiusz nie miał już siły walczyć z Mateuszkiem, by ten jadł szkolne obiady, bo i tak to niewiele pomagało, a nie chciał, by mały go oszukiwał i ukradkiem robił sobie kanapki, gdy Sergiusz zajęty był pracą w pralni. Prawdę powiedziawszy, obrzydło mu już to zajęcie i zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić ze swoim życiem. W czasie okupacji pralnia była jedynie przykrywką dla jego innej działalności, ale teraz handel bronią nie miał najmniejszego sensu. Nawet gdyby nadal to robił, bo w lasach ukrywało się jeszcze wielu partyzantów, ryzyko było zbyt duże. Tak samo wielkie, jak za Niemca, z tą jednak różnicą, że wówczas nie miał pod opieką małego chłopca, który kolejny raz został pozbawiony macierzyńskiej miłości. Sergiusz właściwie niewiele potrafił w życiu robić. Nie wyobrażał sobie obecnie zajmować się końmi czy handlować na dużą skalę, bo musiałyby to robić pod czyjeś dyktando. Nie sądził także, aby mógł parać się handlem na jednym ze stołecznych targowisk. Stanie

w miejscu przez kilkanaście godzin zapewne doprowadziłoby go do obłądu. On musiał być w ruchu, jeździć, przemieszczać się, ale w tych czasach prywatna inicjatywa była bardzo źle widziana i nawet ta nieszczęsna mała pralnia stanowiła sól w oku nowej władzy, podobnie jak stoiska na bazarach. Postanowił jednak, że z pewnymi decyzjami poczeka do powrotu Alicji. Miał nadzieję, że wtedy spakują dobytek i znajdą sposób, by przedostać się na Zachód. Posiadał dość znaczne oszczędności, a dolary były najlepszą przepustką, żeby opuścić kraj. Na razie jednak wciąż czekał, żyjąc marzeniami i czyniąc plany na przyszłość.

Kiedy dotarli do domu, zgodnie z przewidywaniami pierwszą rzeczą, jaką zrobił Mateuszek, było przygotowanie sobie kanapki z kiełbasą i wypicie kubka zimnego mleka. A gdy już się posilił, wyciągnął z tornistra zeszyty, usiadł przy stole i zabrał się za lekcje. Szkoła bardzo spodobała się chłopcu, dlatego Sergiusz nawet nie musiał go zachęcać do nauki, jedynie od czasu do czasu pomagał mu przy rachunkach. „Kary” tymczasem powracał do swojego znenawidzonego zajęcia w pralni, myśląc o tym, że gdy powróci Alicja i stąd wyjadą, przez resztę życia to ona będzie prała im garderobę.

Po godzinie usłyszał brzęczyk w drzwiach i do środka wszedł listonosz. Przywitał się i oznajmił, że ma dla pana Dargiewicza telegram spod Kielc. Sergiusz podpisał jego odbiór drżącą ręką i gdy tylko listonosz zniknął za drzwiami, pośpiesznie go rozerwał. Treść była tyleż krótka, co niepokojąca. Rodzina Alicji poprosiła go o natychmiastowy przyjazd.

– Cholera – mruknął pod nosem, wściekły, że nie przekazano mu niczego więcej.

Nie zastanawiał się, czy i kiedy powinien tam pojechać, tylko niemal natychmiast zaczął pakować rzeczy swoje i Mateuszka. Miliony myśli przebiegały mu przez głowę. Poczawszy od tej najbardziej optymistycznej, że Alicja niebawem powróci do kraju, poprzez bardziej katastroficzne, jak na przykład śmierć babki Alutki. Szybko jednak wykluczył tę możliwość, bo gdyby zmarła, pewnie napisaliby to wprost.

Mateuszek kręcił nosem, że opuści kilka dni w szkole, ale po godzinie doszedł do wniosku, iż nawet dość mocno stęsknił się za babkami i dziadkami. Zwłaszcza że majowa pogoda zachęcała do brykania po podkieleckich lasach.

Do leśniczówki wuja dotarli pod wieczór i obawy Sergiusza zamieniły się w lęk. Miny domowników, w tym babki Alutki, która wbrew domysłom wciąż żyła, mówiły, że musiało stać się coś bardzo złego. Tradycyjnie jednak nie chciano poruszać pewnych tematów przy Mateuszku, dlatego Sergiusz wiedział, że musi poczekać, aż ten pójdzie spać, by mógł dowiedzieć się w końcu, o co chodzi.

– Błagam, mówcie, bo zwariuję z niepokoju – powiedział Sergiusz, gdy zszedł z piętra, gdzie znajdował się pokój Mateuszka.

– Alicja nie żyje – wyłkała Michalina i wyciągnęła z kieszeni fartucha chustkę do nosa.

– Nie wierzę. Nie... Nie, to nie może być prawda... – Sergiusz zbladł i nie był już w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nie docierała do niego ta informacja. Nie wierzył w nią, bo nie chciał w nią uwierzyć.

– Dostaliśmy dokumenty. Z sądu. Skrócono jej wyrok. Właściwie już od pięciu miesięcy była zupełnie wolna. Zaczęliśmy się niepokoić i ponownie napisaliśmy do nich, że nie mamy żadnych wieści od naszej krewnej. Skierowano nas do ewidencji

więźniów, czy jak to tam oni nazywają. I dwa dni temu przyszło... Taki odpis, że Alicja zmarła w obozie na Kołymie. Podali tylko pod jakim numerem. I na tym kwitku podpisał się komendant obozu, w którym Alicja odbywała karę. Jakiś Stiepan Kaganowski. Nic więcej nie napisali. Kiedy zmarła, jak zmarła, nic kompletnie. Sergiusz, nie wiemy, co robić. W tutejszej bezpiece wyśmiali nas, gdy pytaliśmy o możliwość sprowadzenia zwłok. Moja córeczka... moja mała córeczka umierała w samotności, a teraz gdzieś leży pochowana na drugim końcu świata i nawet nie będę mogła zapalić jej na grobie świeczki. – Michalina wybuchła płaczem.

– Chcę zobaczyć te dokumenty – wyszeptał „Kary”, który wciąż nie dowierzał słowom Michaliny.

Dziadek Bronek otworzył szufladę komody, wyciągnął z niej szarą kopertę i podał Sergiuszowi. „Kary” wpatrywał się w druk z obozu „Raj”, miejsca, gdzie wysyłał listy do Alicji, i nagle dotarło do niego, dlaczego nigdy nie doczekał się odpowiedzi. Nie zdążyli z Łyszkinem jej uratować, chociaż tak niewiele brakowało. Wpatrywał się w słowo „zgon”, potem w zamaszty podpis komendanta na kiepskiej fotokopii i w końcu dotarło do niego, że już nigdy więcej nie zobaczy Alicji, a Mateuszek znowu został sierotą.

Wstał z krzesła i jak automat wyszedł z domu. Po chwili siedzący w dużym pokoju mieszkańcy leśniczówki usłyszeli rozdzierający krzyk Sergiusza. Michalina chciała wybiec na zewnątrz, ale wuj Makary zatrzymał ją.

– Zostaw go. Niech wykrzyczy swój ból. Będzie mu łatwiej – powiedział.

– Obiecała mi, że wróci przed moją śmiercią – wyszeptała babka Alutka. – Obiecała mi, a ona zawsze dotrzymuje obietnic.

– Przestań, mamó! – zrugła ją Michalina. – Ona nie żyje i pogódź się z tym. Przestań bredzić, że wróci! Alicja już nigdy nie wróci!

– Nie krzycz na mnie – spokojnie powiedziała Alutka. – I pozwól mi wierzyć przez ten czas, który mi jeszcze pozostał, że ona żyje, wróci do domu i pożegna się ze mną.

– Jak mam wierzyć? No jak? – zaszlochała Michalina. – Przecież tam jest napisane. Więc jak, u diabła, mam wierzyć, że kiedykolwiek wróci?

– Uspokójcie się – wtrącił się wuj Makary. – Każdemu pomaga coś innego. Jedni chcą się łudzić, inni spojrzeć prawdzie w oczy, a jeszcze inni wykrzyknąć swoją rozpacz. Pomyślmy, jak przeprowadzić przez tę tragedię Mateuszka. Stracił matkę, najważniejszą osobę w swoim życiu.

Kobiety zamilkły, jakby dopiero teraz dotarło do nich, że jest jeszcze mały chłopiec, któremu ktoś będzie musiał powiedzieć o śmierci matki.

– Myślę, że Sergiusz powinien to zrobić – niepewnie bąknął dziadek Bronek.

– Jeśli będzie w stanie... – mruknęła Alutka.

– Ale są bardzo zżyci, więc może od niego przyjmie lepiej tę wiadomość – upierał się dziadek Bronek.

– Nie... – Sergiusz, wciąż blady, stanął w drzwiach pokoju. – W ogóle mu nie powiemy. Niech najpierw przywyknie do nieobecności Alicji, niech przestanie o nią pytać, a ja wtedy przygotuję go na tę informację.

– Ma prawo wiedzieć... – bąknęła Michalina.

– Powiedziałem „nie” i uszanujcie to. Wiem, co robię – powiedział stanowczo Sergiusz i dodał: – Wybaczcie, muszę zostać sam i pożegnać się z moją żoną.

Wyszedł z pokoju i udał się na piętro do pokoju, w którym nocował z Mateuszkiem. Położył się obok niego i mocno przytulił.

– Powiedz mi, Alicjo, co ja mam teraz zrobić? – szeptał do siebie, kołysząc się wraz ze śpiącym chłopcem. – Jak mam mu powiedzieć, że ciebie już nie ma? Jak mam sobie powiedzieć, że już nigdy cię nie zobaczę? Dlaczego nas opuściłaś? Przecież my ciągle na ciebie czekamy...

Po chwili zaczął płakać. Niemal bezgłośnie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio płakał, ale teraz nie był w stanie się powstrzymać. Nawet wówczas, gdy zamordowano jego rodziców, był dzielny i nie uronił ani łzy. Może dlatego, że wtedy przyświecała mu myśl o dokonaniu zemsty i to dodawało mu sił. Teraz jednak jakakolwiek zemsta nie znaczyła kompletnie nic, bo nie chciał niczego więcej, tylko tego, żeby Alicja do nich powróciła.



Renate Zoll nie była dobrym kierowcą i rzadko korzystała z samochodu swojego szefa. Jeśli wyjeżdżali gdzieś razem, najczęściej prowadził Liber, ona zaś siedziała w charakterze pasażera i mimo nalegań nie paliła się wcale do trzymania kierownicy. Tym razem sytuacja była wyjątkowa i postanowiła skorzystać z hojności Ludwiga. Jednak wracając ze spotkania z Walterem von Lossowem, pożałowała swojej decyzji. Cała dygotała w środku, czuła na przemian uderzające gorąco, by chwilę potem trząść się z zimna. Ręce jej drżały i musiała mocno trzymać kierownicę, by panować nad ogromnym pojazdem. W końcu zjechała na pobocze i postanowiła, że najpierw nieco się uspokoi, a dopiero potem wyruszy w dalszą drogę. Wołała nie ryzykować, chociaż od rezydencji Libera dzieliło ją zaledwie piętnaście kilometrów. Wyszła z samochodu i chodziła w tę i z powrotem, intensywnie oddając się wspomnieniom z zakończonego niedawno spotkania.

O mały włos jej mistyfikacja nie zakończyłaby się fiaskiem, Walter znał ją dobrze i dlatego w pierwszej chwili wypowiedział jej imię. Później było już nieco lepiej, a pomógł jej w tym zmieniony głos, będący efektem uszkodzenia tchawicy przez tego ogromnego psa, który pewnego dnia rzucił jej się do gardła. Nie to jednak sprawiło ją w przygnębienie, ale reakcja Waltera, gdy wypowiadał jej imię. Był osłupiały, przerażony, a jego twarz wyrażała wszystko oprócz radości, że mógłby ponownie spotkać na swojej drodze Renate Zoll. Gdyby zachował się inaczej, na przykład uśmiechnął się czule albo powiedział coś miłego, być może przyznałaby się do tego, kim naprawdę jest, ale on był wręcz spanikowany. Obawiała się, że gdy potwierdzi swoją tożsamość, ten ucieknie z krzykiem. Zabolęła ją takie nastawienie, bo ona poczuła coś zgoła innego. Ani Emil Lewin, ani też Erich Vader czy jakikolwiek kochanek, którego miała, nie robił na niej takiego wrażenia, jak Lossow. Nawet po tych kilku latach, gdy zdawało się jej, że uczucia do Waltera już całkiem wygasły.

Jedyną jej myślą, gdy jechała na spotkanie z Lossowem, była chęć zbliżenia się do niego tylko po to, by zemścić się na nim za to, w jaki sposób ją niegdyś potraktował. Kiedy jednak zobaczyła go, usłyszała i poczuła zapach Waltera, jej serce zaczęło walić jak oszalałe i jedyne, czego pragnęła, to wpaść wprost w jego ramiona i pozostać w nich na zawsze. Jakież to było dla niej upokarzające. Wciąż kochała mężczyznę, który tak bardzo ją skrzywdził. Potrafiła ziać nienawiścią do apodyktycznego ojca i braci tyranów i nawet więzy krwi nie zmieniły jej nastawienia, gdy tymczasem była gotowa wybaczyć Walterowi wszystko, byle tylko z nią był. Nigdy jej nie kochał, nawet chyba niezbyt ją lubił, a ona mogłaby zaprzedać duszę diabłu, byle tylko zechciał na nią spojrzeć łaskawszym okiem.

Miała zamiar wybadać go i dowiedzieć się o nim jak najwięcej, by potem uknuć jakiś chytry plan, który sprawi, że ów mężczyzna za jej przyczyną znajdzie się na dnie. Jednak gdy siedziała z nim w zacisznej altance, cała chęć zemsty ulotniła się niepostrzeżenie. Wybaczyła mu od razu, chociaż sama przed sobą nawet nie potrafiła się do tego przyznać. A jednak tak było. Zapomniała w mgnieniu oka, że uciekł przed nią, a przedtem wykorzystał, by uratować Juliana Chełmickiego. Już od dawna prze-

stała wierzyć, że pomógł mu, bo ten stanowił dla niego jakieś zagrożenie. Sama się dziwiła, że połknęła tak bezsensowną wymówkę, kompletnie otumaniona uczuciami, które dotąd były jej obce. I co gorsze owe uczucia ani trochę się nie zmieniły. Dlatego zamiast wcielić w życie swój plan, po prostu za wszelką cenę starała się zrobić na nim dobre wrażenie. Tak jakby pragnęła zacząć od nowa. Bez bolesnej przeszłości i bez rozważania krzywdy, jaką jej wyrządził.

Pod koniec spotkania Walter sprawiał wrażenie, jakby był nią oczarowany, ale wcale nie była pewna, czy znowu nie kierują nim po prostu osobiste interesy. Chciał pogrążyć Libera, jak również wytknąć i pokazać światu, że alianci wcale nie mają takich czystych rąk jak twierdzą, a ona mogła dostarczyć mu informacji, dzięki którym tak się stanie. Rozum podpowiadał jej, że właśnie takie intencje nim kierowały, gdy uwodzicielsko ściszał głos albo niby niechcący dotykał jej dłoni, kiedy podawał jej filiżankę z herbatą czy szklankę z kompotem. Ten sam rozum krzyczał, że gdy Losow osiągnie swój cel, ponownie ją porzuci. Bez względu na to, czy będzie Renate Zoll, czy Marie Rauch. Ale serce... To cholerne serce pchało ją w zimne i wyrachowane ramiona i krygowała się przed tym mężczyzną, jak nastolatka przed pierwszą sympatią.

Dlatego Renate chodziła coraz szybciej po kamienistym poboczu, by w końcu rozum zapanował nad sercem, a ona na powrót stała się zimną suką łaknącą zemsty. Po półgodzinie doszła do wniosku, że jej umysł jednak przegrał tę walkę, a ona spróbuje podarować Walterowi wszystko, czego zażąda, byle dać sobie chociaż cień szansy na to, by go ponownie zdobyć.

Wsiadła do mercedesa i powoli pojechała w stronę rezydencji. Było późno i miała nadzieję, że Liber już śpi. Nie miała ochoty odpowiadać na jego pytania, w ogóle nie chciała z nikim rozmawiać, tylko pogrążyć się w rozmyślaniach o spotkaniu z Walterem. Na jej nieszczęście Liber nie spał, tylko siedział w salonie, ubrany w kąpielowy szlafrok, i niemal natychmiast rozpoczął rozmowę.

– Długo pani nie było... – mruknął.

Nie odpowiedziała, uznając, że jest dorosłą kobietą i nie musi się tłumaczyć ze wszystkiego swojemu pracodawcy. Przez chwilę panowała niezręczna cisza, a Renate stała w drzwiach salonu, nie bardzo wiedząc, czy kompletnie zignorować Libera i pójść do siebie, czy rzucić mu kilka zdawkowych zdań.

– Ten dziennikarz twierdzi, że wcale nie chce pana pogrążyć ani nie zależy mu na tym, by posadzić pana na ławie oskarżonych – bąknęła.

– Zatem niech mnie zostawi w spokoju – warknął Liber.

– Uważa jednak, że niemiecka i europejska opinia publiczna powinny się dowiedzieć o tym, że Amerykanie, którzy teraz tak chętnie szafują wyrokami skazującymi albo naciskają na innych, by takie wyroki wydawali, mają także niezbyt czyste ręce – powiedziała stanowczo, chociaż głos jej nieco drżał. Nie dlatego, że rozmawiała z Liberem, ale z uwagi na to, iż wciąż była wytrącona z równowagi spotkaniem z Walterem.

– To niech się dowiedzą w inny sposób, bez mieszania mnie w tę kwestię. – Liber był nieprzejednany.

– Właściwie dlaczego, *Herr* Liber? Moim zdaniem tym miłośnikom pokoju i demokracji należałoby trochę przytrzeć nosa – powiedziała Renate.

– Moja droga, nie mieszajmy interesów z polityką. Jak pokazuje przeszłość, to

nie jest najlepszy związek.

– Ale... – zaczęła Renate, jednak Liber jej przerwał.

– Jest pani zapewne zmęczona, proszę już iść spać, jutro porozmawiamy.

– Dobranoc – wydukała i w istocie przestała dyskutować, tylko udała się do swojej sypialni.

Kompletnie źle to rozegrała. Zamiast mówić wprost, powinna poprowadzić rozmowę z Liberem w taki sposób, aby sam doszedł do wniosku, że nie będzie dłużej robił z siebie kozła ofiarnego. Zbyt szybko chciała położyć Walterowi Libera na tacy i zyskać jego aprobatę. A może wdzięczność? Mimo że raz już pokazał, iż nie potrafi jej okazywać.

Napuściła wody do wanny i kilka minut później zanurzyła się w gorącej kąpie-  
li. Wanna była ogromna, nowoczesna i cała ta willa stanowiła kwintesencję luksusu,  
podobnie jak samochód Libera. Oprócz tego ten mężczyzna miał tyle pieniędzy ukry-  
tych na zagranicznych kontach, że mogłaby żyć w dostatku przez resztą swojego ży-  
cia. A jednak w tym momencie przestało jej na tym zależeć i zaczęła widzieć jedynie  
wady ewentualnego związku z Liberem. Willa znajdowała się na kompletnym zadu-  
piu, nie lubiła prowadzić samochodu, nawet tak luksusowego, jak ten, którym jechała  
na spotkanie z Walterem, a wygląd Libera odstręczał ją. Zaczęła nienawidzić tego  
miejsca, jakby dusiła się w nim. Tak samo niechętnie pomyślała o swoim pracodaw-  
cy, którego do tej pory nawet lubiła. Po prostu zrozumiała, że w tym miejscu nie od-  
najdzie szczęścia. A może po prostu zdawało jej się, iż bez Lossowa nigdy i nigdzie  
go już nie odnajdzie?

Gdy wyszła z wanny, ubrała się w miękki szlafrok i cicho zeszła do gabinetu  
Libera. Wcześniej upewniła się, że śpi, a potem zapaliła lampkę przy biurku i zaczęła  
wyciągać z teczek dokumenty świadczące o współpracy koncernu Kruppa z amery-  
kańskimi spółkami. I to wcale nie były jakimiś, ale których nazwy często pojawiały się  
na pierwszych stronach gazet. Pomyślała, że ma wiele do zyskania. Tak podpowiada-  
ło jej serce. „I do stracenia” – bez ustanku szeptał jej rozum.

Kiedy zgromadziła już wystarczająco dużo materiału, schowała dokumenty do  
jednej z teczek, zgasiła lampę w gabinecie i poszła do siebie. Jeszcze długo nie mogła  
zasnąć, przewracając się z boku na bok, i wspominała wieczór z Walterem von Los-  
sowem. Nie chciała myśleć o tym, co jej zrobił, ale odtwarzała w głowie każde sło-  
wo, które wypowiedział, gesty, spojrzenia i ulotne muśnięcia dłoni. Nic nieznaczące,  
jakby bezwiedne, do których zapewne nie przywiązywał zbytnej wagi, ale dla niej  
w tej chwili były wszystkim, czym potrafiła się cieszyć.

13. Londyn, 1947

Wybrzeże Wielkiej Brytanii przywitało Hanke, dzieci i towarzyszącą im nianię mżawką i szarymi chmurami spowijającymi niebo. Mgła nie była może tak gęsta, jak to często bywało, ale i tak brzeg Southampton był kiepsko widoczny.

– A w Kalifornii było tak słonecznie i ciepło. Chętnie bym tam wróciła – mruknęła Elizabeth Bellow, opiekunka Nadii i Grzesia, spoglądając na ponurą aurę panującą za oknem luksusowego liniowca zmierzającego w kierunku portu.

– Wcale ci się nie dziwię. Dostałaś prawie tydzień wolnego i mogłaś wygrzewać się do woli na plażach w Santa Monica. – Hanka puściła do niej oko.

– Ten urlop spadł mi z nieba, a raczej pani adorator, pani Hanko. – Dziewczyna odwdzińczyła się uśmiechem.

– To mój kuzyn – mruknęła Lewinówna.

Nie chciała wtajemniczać Elizabeth w swoje intymne sprawy. Zapewne fakt, że Hanka mogłaby mieć romans w kilka miesięcy po śmierci Piotra, którego panna Bellow wielbiła wręcz nieprzytomnie, nie wzbudziłby jej aprobaty.

– Ach, wszystko mi jedno, grunt, że mogłam poleniuchować. Domek był uroczy i chociaż uwielbiam pani dzieci, kilka dni w kompletnej samotności dobrze mi zrobiło. Byłam nawet w Hollywood, ale niestety, nie natknęłam się na żadną gwiazdę kina – westchnęła Elizabeth.

– Być może mijalaś je na plaży albo w pobliżu restauracji, ale one na co dzień zwykle wyglądają nieco inaczej niż w filmach. Najczęściej chowają twarze pod ogromnymi rondami letnich kapeluszy, a oczy zakrywają ciemnymi okularami – roześmiała się Hanka.

– Tak jak pani... – cicho powiedziała dziewczyna i dodała: – Jednak to miłe ze strony pani kuzyna, że zajął się dziećmi w czasie, gdy pani nagrywała do radia.

Hanka wiedziała, że Elizabeth chce usłyszeć jakieś pikantne szczegóły i wyciągnąć od niej nieco więcej informacji na temat tajemniczego mężczyzny, którego pewnego dnia zastała w bungalowie Lewinówny. Cała podróż po Stanach Zjednoczonych, począwszy od Nowego Jorku, a skończywszy na Miami, była dla panny Bellow niesamowitą przygodą. Zapewne gdyby nie wydarzenia, które miały miejsce przed ich wyjazdem, także Lewinówna bardziej doceniłaby tę wyprawę, ale była zbyt przybita, by napawać oczy pięknymi widokami i słoneczną aurą. Jedynie te kilka dni spędzone z Igorem sprawiły, że i ona miała co wspominać. Nie zamierzała jednak zwierzać się z tego opiekunce do dzieci, a zwłaszcza takiej pokroju Elizabeth Bellow. Gdyby nie przywiązanie dzieciaków do niej, zapewne odprawiłaby ją zaraz po śmierci Piotra, ale nie chciała robić tego Nadii i Grzesiowi, bo uwielbiali tę dziewczynę tak bardzo, że niekiedy bywała nawet zazdrosna.

Kiedy żył Piotr, Lizzy była mu oddana do ostatnich granic i Hanka niekiedy myślała, czy przypadkiem nie mają romansu, ale rychło okazało się, że jej podejrzenia są bezpodstawne. Niechowski kochał żonę miłością tyleż zaborczą, co silną i zdawał się nie zauważać istnienia innych kobiet wokół siebie. Nie licząc Henrietty Cavendish, ale w tej relacji od początku niemal wszystko było grą. Albo interesem. Le-

winówna miała świadomość, że to miłosne odurzenie Piotra minie po pewnym czasie, zwłaszcza jeśli wciąż zachowywałaby się jak zwykła żoźa, ale nie było jej dane się o tym przekonać.

W Southampton na całą czwórkę czekała limuzyna i pod wieczór dotarli do Londynu. Na szczęście Hanka nie musiała zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami, jak rozpakowanie bagaży czy przygotowanie dzieci do snu, bowiem pierwszymi kwestiami zajęła się służba, a maluchami panna Bellow. Ona zaś udała się do swojej sypialni, którą niegdyś dzieliła ze swoim mężem. Postanowiła, że za kilka miesięcy zmieni jej wystrój, bo obecnie wciąż miała wrażenie, iż zaraz otworzą się drzwi i stanie w nich Piotr.

Zanim zasnęła, jeszcze chwilę rozmyślała o Igorze. Odkąd się rozstali, po jej koncercie w Los Angeles, każdego wieczoru syciła duszę wspomnieniami tych kilku dni, które mieli okazję razem spędzić. Wbrew pozorom nie była zdruzgotana tą rozłąką, przeciwnie, to spotkanie dodało jej sił. Łyszkini ją kochał i tylko to się w tej chwili liczyło. Wciąż nie pasował do jej życia, a jego nadal było pokrętne i niebezpieczne, ale myśl, że istnieje na tym świecie ktoś, kogo z wzajemnością darzy uczuciem, działała jak balsam. Znowu zaczęła wierzyć, że jest dla nich jakaś szansa na wspólne życie, chociaż nie miała pojęcie, jak to mogłoby wyglądać. Nie potrafiła sobie wyobrazić Igora na londyńskich salonach, a siebie ponownie w jakiejś zgrzebnej sukience i siedzącej w ubogiej chacie.

Tego wieczoru jednak nie poświęciła na rozmyślanie zbyt wiele czasu, ponieważ była zmęczona podróżą. Miała także nadzieję, że rychło przestawi się na czas londyński i zacznie normalnie funkcjonować. Dla niej to „normalne” życie oznaczało kładzenie się spać grubo po północy i wylegiwanie się w łóżku niekiedy do południa.

\*\*\*

Nie miała pojęcia, ile czasu spała, ale obudził ją donośny głos byłego męża, Tomasza. Hałaśliwie witał się z córką i Hanka pomyślała złośliwie, że młodszy z braci Niechowskich w końcu dorósł i zaczął zachowywać się jak prawdziwy ojciec. Kiedy podróżowały po Ameryce, wydzwaniał po hotelach, w których się zatrzymywali, by chociaż przez chwilę pogwarzyć z Nadią. A teraz przybiegł od razu po ich powrocie. Nie była z tego powodu zbyt zadowolona, ale uznała, że lepszy nadopiekuńczy ojciec niż żaden.

W pewnej chwili zerwała się z łóżka i sięgnęła po szlafrok. „U licha, Nadia zapewne wygada ojcu o odwiedzinach pewnego sympatycznego wujka” – pomyślała z trwożą. Panna Bellow od biedy mogłaby uwierzyć w istnienie jakiegoś tajemniczego kuzyna, ale Tomasz doskonale wiedział, że Hanka nie ma żadnej rodziny, oprócz Emila, który – jak wiadomo – mieszkał w Polsce i ostatnio nawet się z nią nie kontaktował.

Zbiegła na dół i przywitała się chłodno z Tomaszem. Ten zapytał tylko:

– Mogę ją zabrać na cały dzień do Guildford? Bardzo się stęskniłem...

– Na pogrzebie Piotra zdawałeś się w ogóle jej nie zauważać – wytknęła mu.

Tomasz nie odpowiedział, tylko zaczął błędzić wzrokiem po ścianach pokoju, jakby wiszące nań obrazy widział po raz pierwszy w życiu. Hanka nie zamierzała jednak ciągnąć dyskusji, tylko stwierdziła:

– Powiem Elizabeth, w co ma ją ubrać.

Wyszła z salonu i pobięła na górę. Wyjęła z szafy niezbędne ubranka i zwróciła się do opiekunki:

– Sama przygotuję Nadię, możesz zejść z Grzesiem na dół i nakarmić go.

Panna Bellow była nieco zdziwiona, bo jej pracodawczyni rzadko kiedy ubierała swoje dzieci, ale bez komentarza wyszła z pokoju dziecięcego, zabierając ze sobą chłopca, jakby domyślała się, że Lewinówna chce zostać sama z córką.

– Nadiu, pojedziesz z tatą do Guildford – oznajmiła.

– A ty? – zapytała dziewczynka.

– Wiesz, że ja tam nie jeżdżę – mruknęła Lewinówna.

– Bo ty i babcia się nie lubicie, prawda? – Pytanie Nadii brzmiało niemal retorycznie.

– Jak by to powiedzieć... Tak, nie darzymy się zbyt dużą sympatią – przyznała ze śmiechem.

– Szkoda, wolę, jak jesteś ze mną. – Dziewczynka spuściła głowę, ale nie protestowała.

Lubiła Guildford głównie z uwagi na psy i kucyka, jednak nie rozumiała tych wszystkich zawłości rodzinnych.

– Nadiu... – zaczęła niepewnie Hanka. – Ten pan Igor... Tatuś nie musi o nim wiedzieć.

– Dlaczego? Igor jest bardzo miły, tata i babcia na pewno by go polubili – zdziwiła się dziewczynka.

„O tak, zapewne” – pomyślała Hanka.

– Posłuchaj, kochanie, zapewniam cię, że bardzo by się na mamusię gniewali, gdyby dowiedzieli się o Igorze. I nie polubiliby go. Więc bądź tak grzeczna i zrób dla mamusi to, o co cię prosi. Po prostu nie mów babci i tacie o Igorze. Dobrze? – Hanka wiedziała, że nie będzie w stanie wytłumaczyć pewnych rzeczy swojej córce. Sytuacja i tak była wyjątkowo zagmatwana.

– Dobrze, mamusiu, będę cicho jak myszka. – Dziewczynka uśmiechnęła się i dodała: – O nie, mamusiu, tylko nie ta sukienka. Ona gryzie...

Lewinówna przewróciła oczami, ale postanowiła nie walczyć z córką. W końcu musiała ją jakoś przekupić, by ta w istocie nie powiedziała o spotkaniu z Igorem. Pozwoliła więc Nadii, aby ta sama wybrała sobie sukienkę. Gdy pomagała dziewczynce ją włożyć, zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak bardzo chce ukryć Igora przed światem, bez względu na to, kim był. Nie miała pojęcia, skąd wziął się u niej ten ciągły lęk przed osądem. I to kogo? Tej starej prukwy i lekkoducha, Tomasza? Do diabła, była dorosła, niezależna i cokolwiek by zrobiła lub nie zrobiła, i tak nie zyska aprobaty teściowej.

Po chwili doszła do wniosku, iż po prostu nie chce dawać pożywki Stefanii, by ta mogła w towarzystwie wylewać na nią kubły pomyj. A może obawiała się, że kolejny raz pozwie ją do sądu, by zabrać jej to, co pozostawił dla niej Piotr? Nie rozumiała tej zawziętości starej Niechowskiej, bowiem jej syn zabezpieczył ją także, więc dlaczego chciała dostać wszystko? Na te pytania Hanka nie potrafiła sobie odpowiedzieć i nawet nie próbowała. Jednak pomyślała ze zgrozą, że czuje się bardziej zniewolona konwenansami niż wówczas, gdy przybyła do Londynu z kilkudziesięcioma funtami w kieszeni.

## 14. Kołyma, 1947

Kiedy na kołymskie terytoria nadchodziła długo wyczekiwana wiosna, skuta lodem ziemia zamieniała się w błotniste rozlewiska. Brązowa, lepka maź pokrywała drogi, leśne trakty i ścieżki prowadzące do stołówek, baraków i na plac apelowy. Rzucane kłody bezlitośnie tonęły w brunatnych odmętach, a błoto obryzgiwało budynki, ubrania i oblepiało obuwie więźniów. Jednak spragnieni odrobiny ciepła ludzie nie zważali na roztopy, chcąc nacieszyć się krótką wiosną i równie krótkim latem. Coraz więcej osób kręciło się po zonie, kiedy tylko mieli chwilę czasu i siły po wyczerpującej pracy. Można było nawet zauważyć grupki zawzięcie dyskutujące ze sobą, a niekiedy zamyślonych poetów siedzących na długich ławach, z ołówkami w dłoni i cienkimi zeszytami leżącymi na ich kolanach. Być może tworzenie pomagało im przetrwać ten ponury czas, może prowadzili dzienniki, które miały im przypominać, że wciąż są ludźmi, jednak byli wśród nich i tacy, którzy obserwowali współwięźniów i skrupulatnie notowali ich poczynania, by za dodatkową porcję zupy przekazać swoje spostrzeżenia strażnikom.

– Cicho bądźcie, bo idzie suka komendanta – wysyczał jeden z mężczyzn do stojących przy palenisku towarzyszy.

Cała grupka jak na komendę zamilkła, śledząc niechętnym wzrokiem przechodzącą obok Alicję. Usłyszała to ostrzeżenie i niezbyt wyszukane określenie jej osoby, nie przejęła się jednak ani trochę. Nawet nie było jej przykro, jak jeszcze do niedawna, gdy po cichu nazywano ją kurwą, szmatą i pieprzoną *stukaczką*. Była skoncentrowana na zupełnie czymś innym – na swoim planie opuszczenia obozu. Nie chciała tego nazywać ucieczką, w świetle prawa była wolnym człowiekiem. Miała jednak świadomość, że w „Raju” owo prawo stanowi Stiepan Kaganowski i jeśli nie oddali się na odpowiednią odległość od tego miejsca, ten przywlecze ją na powrót do obozu, a wtedy albo zginie, albo pozostanie jego niewolnicą, dopóki mu się nie znudzi. Jeśli jednak jej plan się powiedzie i znajdzie się wystarczająco daleko od *zony*, Kaganowski nie będzie miał żadnych podstaw, by zawiadomić władzę o uciekinierce z obozu, ponieważ dokumenty, jakie posiadała, zadawały temu kłam.

Praca w ambulatorium nie była aż tak wyczerpująca, jak w lesie, ale ostatnie noce Alicja prawie nie spała. Albo miała dyżur i musiała zajmować się chorymi, albo dogadzała Stiepanowi, by potem, gdy już zasnął, studiować mapę Kołymy, wiszącą w jego gabinecie, i przerysowywać ją na niewielkim skrawku papieru.

Jej plan był doskonały, pod warunkiem że bardzo dokładnie przygotuje się do jego realizacji. Dlatego musiała wiedzieć, gdzie się znajduje, dokąd musi się udać i gdzie będzie mogła natknąć się na jakieś siedziby ludzkie, by poprosić o nocleg czy kupić od gospodarzy jedzenie. Wiosenne roztopy z jednej strony dawały jej nadzieję, że nie zamrznie na śmierć, z drugiej – mogły zniweczyć jej śmiałe zamiary.

Zanim rozpoczęła swoją zmianę, poprosiła Olgę o chwilę rozmowy.

– Olgo, czy będziesz tak dobra i pomożesz mi? – zapytała życzliwie.

– Hm... Jeśli będę mogła – odpowiedziała ze spokojem Iwanowna.

– Te kwity, które schowałeś... Trzeba je wypełnić moimi danymi. Zrobiłabym

to sama, ale obawiam się, że te bukwy w moim wykonaniu nie będą wyglądały najlepiej. – Alicja ściszyła głos.

– A jednak... – Olga zmrużyła oczy i dodała po chwili: – To szaleństwo. Do najbliższej wioski jest stąd kilkadziesiąt kilometrów. A miejscowi od razu doniosą na ciebie. Nocą wciąż panują mrozy... Alicja, to naprawdę nie ma prawa się udać.

– Zjedźmy zupę w naszym pokoju, wszystko ci opowiem – konspiracyjnie szepnęła Alicja.

Gdy były zupełnie same, Alicja wyciągnęła rozrysowaną mapę i zaczęła mówić.

– Niebawem odwożę dzieci do sierocińca, do Udarnika. Oprócz mnie będzie jedynie ten Michaił, kierowca, ewentualnie pierwszy raz wyślą cię ze mną. Sterroryzuje go albo zabiję, a sama ukradnę ciężarówkę i pojedę w kierunku Uolby. Ciebie najwyżej zostawię gdzieś na drodze. To osiemdziesiąt pięć kilometrów, a stamtąd Drogą Kości dojadę do Jakucka. To już większe miasto i na pewno kursuje tam normalna kolej. Myślałam o Magadanie, ale obawiam się, że to będzie pierwsze miejsce, gdzie zaczniesz mnie szukać Stiepan. Jeśli będzie mi kiepsko szło, porzucę samochód gdzieś po drodze, nie wiem, w okolicach Dakki albo dalej, koło Churapchy. Mam jednak nadzieję, że zanim Kaganowski spostrzeże, iż pojechałam gdzieś indziej niż do Magadanu, zdołam przebyć te czterysta kilometrów do Jakucka. Stiepan może jedynie zgłosić kradzież ciężarówki, a nie moją ucieczkę, ponieważ ja już dawno powinnam być w domu – tłumaczyła Alicja.

– Chcesz zabrać małą? – dopytywała się Olga.

– Oczywiście, bez niej nie ruszę się z Kołomy – odpowiedziała Alicja z zaciętym wyrazem twarzy.

– Nie widzę tego dobrze – mruknęła Iwanowna.

– Posłuchaj... Mam pieniądze, dolary i ruble. A to mi daje szansę na przetrwanie. – Alicja była przekonana, że plan, który obmyśliła, musi się powieść.

– Jeśli trafisz na jakąś chatę w leśnej głuszy, ci ludzie nawet nie będą wiedzieli, co zrobić z tymi papierkami, które zechcesz im podarować za nocleg czy miskę zupy. Poza tym niedaleko Udarnika płynie Ałdan, a na nim stoi drewniany most, który ledwo trzyma się kupy. Opowiadał mi Michaił, że któregoś razu pękła deska i koło ZIS-a utknęło, a on czekał kilkanaście godzin na pomoc. Dobrze, że było lato, w przeciwnym razie zamarłby na śmierć. Droga do mostu o tej porze roku to bagnisko, a ZIS-6 to nie takie małe auto... – Olga jakby myślała na głos.

– Olga, wiem, wiem, ryzyko jest ogromne... ale nie mam wyboru. Musiałam się zdecydować i uczyniłam to. On mnie tu trzyma bezprawnie, ale komu, do licha, mam się poskarżyć? I w jaki sposób, jeśli moją korespondencję trzyma w szufladzie? On jest tu panem i władcą, decyduje o życiu i śmierci, i nawet wyroki sądu ma gdzieś. Jeśli jednak znajdę się z dala od niego, nie odważy się, by mnie ścigać, bo po prostu nie ma podstaw. Jedynie może zgłosić zaginięcie ciężarówki, ciebie i Michała, ale nie mnie.

Olga Iwanowna przez chwilę wpatrywała się w błotniste podwórze przed ambulatorium. To był obrzydliwy widok, jeszcze gorszy niż w porze zimowej. Kojarzył się Oldze z wylanymi fekaliami.

– Dobrze, wieczorem ci wypiszę ten dokument, bo w istocie, może kwit z sądu nie wystarczy... – powiedziała i powróciła do patrzenia w okno.



\*\*\*

Alicja nie bardzo mogła się skupić na pracy, dlatego Ernst co i rusz musiał ją rugać za opieszałość. Nie robił jej jednak awantur, bo mimo wszystko nie chciał zamienić pracy w ambulatorium na harówkę w *zaboju*, a jego nowa podopieczna mogła przecież szepnąć komendantowi to i owo, a wtedy kto wie, co mogło się wydarzyć. Kiedy jednak wbijała pacjentowi igłę czwarty raz, nie mogąc trafić w żyłę, ryknął:

– Zostaw to Daniłowej, zastąpisz ją dzisiaj na *aktirowce*!

Alicja wzruszyła jedynie ramionami i poczekała, aż Daniłowa powróci i przekaże jej dalsze wytyczne. Olga przestrzegala ją przed *aktirowką*, ale Alicja uznała, że widywała w swoim życiu tak straszne rzeczy, iż to nie powinno na niej zrobić szczególnego wrażenia.

Po północy udała się więc w miejsce niekiedy zwane grobowcem, niosąc ze sobą latarkę i środki odkażające, na wypadek gdyby któryś z więźniów zmarł. Lekarstw w tym miejscu nie podawano, uznając, że szkoda ich dla tych, którzy i tak jedynie czekają na śmierć. Ponieważ wieczorami robiło się chłodno i temperatura spadała w okolice zera, Alicja narzuciła wacik na biały fartuch.

– Gdzież to się wybierasz, moja piękna? – Usłyszała za plecami głos Kaganowskiego.

Odwróciła się i zaświeciła latarkę. Stiepan chyba znowu raczył się alkoholem, bo błyszczaly mu oczy, a na policzkach pojawiły się silne rumieńce.

– Ach, to ty, Stiepanie – powiedziała z ulgą w głosie Alicja. – Dzisiaj wysłano mnie do *aktirowki*.

– Kto?! – ryknął Stiepan. – Przecież mówiłem wyraźnie, że masz nie chodzić do trupiarni. Zabiję tego fryca...

– Uspokój się! – nakazała dość ostro Alicja. – Nic się nie stało, to wyjątkowa sytuacja.

– Pójdę do niego i odeślę do kopalni, niemieckie ścierwo – wybelkotał Kaganowski i chwiejnym krokiem ruszył w stronę ambulatorium.

– Nie, proszę, Stiepan. – Alicja próbowała go zatrzymać, chwytając za rękę.

Kaganowski zachwiał się, a potem ślizgając się po błotnistej mazi, runął na ziemię. Próbował wstać i złapać równowagę, opierając się o ramię Alicji, ale miało to jedynie taki skutek, że oboje chwilę potem tarzali się w błocie. Latarka i butelka ze środkiem odkażającym wypadły Alicji z ręki, momentalnie zrobiło się ciemno, a ona czuła, że jest cała oblepiona błotnistą mazią.

– I co narobiłeś? – powiedziała, lekko rozzłoszczona. – Wstań i idź do domu. A gdy wytrzeźwiejesz, sam dojdiesz do wniosku, że tego typu reakcje nie przystoją komendantowi.

Stiepan podniósł ubłoconą dłoń i dotknął policzka Alicji. Po chwili wybelkotał:

– Zrobię, co każesz, moja ukochana żono.

Alicja milczała i nie zareagowała na to określenie. Często ją tak nazywał, gdy wódka zaczynała uderzać mu do głowy.

– No widzisz, jaki potrafisz być miły – powiedziała z udawanym śmiechem i podniosła się z ziemi.

Potem pomogła wstać Kaganowskiemu i upewniła się, czy na pewno podążył

w stronę domu. Szedł niepewnie, od czasu do czasu ślizgając się po błotnistej brei, gdy w pewnej chwili odwrócił się i powiedział:

– Ależ ja cię kocham, krasawica...

– Idź już, Stiepanie... – jęknęła.

– Gdybyś kiedyś ode mnie odeszła, serce by mi pękło – wyznał i czknął głośno.

– Nie odejdę – odpowiedziała głośno, ale w duchu pomyślała: „Liczę na to, bydlaku”.

Nie poszła już do *aktirowki*, tylko wróciła do ambulatorium. Stała w drzwiach, upaprana błotem, i popatrzyła jedynie na zszokowaną minę Ernsta. Po chwili jednak doktor zaczął się głośno śmiać.

– Na miły Bóg, przecież ty nawet nie potrafisz przejść z jednego budynku do drugiego, niedojdo.

Alicja machnęła ręką i nic nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru informować go, że wygląda tak, bo właśnie ratowała mu życie. Uśmiechnęła się jedynie przeproszająco i udała się pod szpitalny prysznic.

\*\*\*

Przed szóstą rano weszła do izby, którą zajmowała z Olgą, i szarpnęła ją za ramię.

– Olgo, już prawie szósta.

Iwanowna otworzyła oczy i pokiwała jedynie głową.

– Wypisałaś mi kwit? – zapytała Alicja.

– Wypisałam dwa – powiedziała, ziewając.

– Olgo! Komu jeszcze? Przecież... – irytowała się Alicja.

– Sobie... – wyszeptała Olga Iwanowna.

Tak zwana potańcówka odbywała się na wolnym powietrzu i daleko było takiej imprezie do słynnych przedwojennych dansingów. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni nie wyglądali zanadto szykownie, a i atmosfera nie była zbyt intymna. Wokół tańczących par zebrał się tłum gapiów, którzy wpatrywali się z zainteresowaniem w bawiących się ludzi, niekiedy klaszcząc jakiemuś wirtuozowi tańca towarzyskiego. Emil, będąc niegdyś stałym bywalcem warszawskich lokali, opanował tę sztukę w stopniu wysoce zadowolającym i nie miał się czego wstydić. Jego partnerka, Magdalena Walewska, pozwalała mu się prowadzić w rytm najpopularniejszych szlagierów i były chwile, gdy Emil zapominał, że tańczą na ulicy, a w tle stoją zrujnowane budynki Warszawy, tak bardzo niepasujące do lekkiej i zabawnej atmosfery imprezy.

Patrząc w oczy tej zjawiskowej kobiety, jaką niewątpliwie była panna Walewska, Lewin myślał o tym, że jego życie wygląda teraz podobnie. Wszystko, co złe, było gdzieś obok, a on na ruinach ponurej przeszłości budował coś pięknego. Nic już nie miało znaczenia, nawet bogactwo, które zdobywał z trudem przez lata, mając się niezbyt moralnych zajęć, ale to, że panna Magdalena patrzyła na niego wzrokiem pełnym sympatii. Wierzył, iż pewnego dnia owa sympatia zamieni się w uwielbienie, a wówczas stanie się najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Niekiedy myślał, że nie zasłużył sobie na taką kobietę, jak kryształowo czysta Walewska, ale potem sam siebie rugał za podobne dylematy. Przecież to dzięki niej zaczął myśleć o tym, by naprawić swoje życie i stać się dobrym człowiekiem. Nawet chwilami żałował swojej zawziętości i tego, że pojechał do Chełmic, by napawać się upadkiem dzieciactwa Chełmickich. Teraz taki rodzaj zemsty wydawał mu się dziecinny, a przede wszystkim niepotrzebny. Panna Magdalena zapewne zmieniłaby o nim zdanie, gdyby się o tym dowiedziała. I o wielu innych rzeczach, daleko bardziej godnych potępienia. Był człowiekiem, który sprzeniewierzył się wszystkim dziesięciu przykazaniom, diabłem wcielonym, a jednak na jego drodze stanęła kobieta, która mogła to zmienić. Bolesny czyn, jakiego dopuścił się mały Szymek, wyprowadzając się od niego, okazał się najlepszym, co mogło się Lewinowi przytrafić. Wciąż miał z nim kontakt i dzięki temu mógł również zbliżyć się do panny Walewskiej, w przeciwnym razie zniknęłaby z jego życia równie szybko, jak się w nim pojawiła.

– Ależ z pana wyśmienity tancerz, panie Emilu – powiedziała Magdalena z uśmiechem, gdy odpoczywali po kolejnym utworze. – Wszyscy się na nas patrzyli.

– Panno Magdaleno, oni się patrzyli, bo zapewne nigdy nie widzieli tak pięknej kobiety – szarmancko odpowiedział Lewin.

– Jest pan bardzo miły. – Magdalena zarumieniła się.

– Czy wobec tego po tańcach da się pani zaprosić na lody? Znam pewną, zaciszną kafejkę serwującą najlepsze lody w Warszawie – zaproponował Emil.

– Przyda mi się nieco schłodzić ciało po takim tanecznym maratonie.

Emil Lewin był wniebowzięty, a gdy zmierzali w kierunku lodziarni i Magdalena włożyła mu dłoń pod rękę, jego radość sięgnęła zenitu. Nigdy nie pomyślałby,

że podobny drobiazg byłby w stanie wprowadzić go w taką euforię. Jego, który miał w łóżku niemal każdą kobietę, jaka na niego spojrzała. Ale z panną Walewską było zupełnie inaczej – nie zależało mu na erotycznym romansie, ale prawdziwym związku z ponętą osóbką o wspaniałym usposobieniu. I taką właśnie kobietą była Magdalena.

– Przepraszam, że się ośmielam... – zagadnął Emil, gdy wyjadali ze szklanego pucharka puszyste lody. – Ale jak to się stało, że taka piękna kobieta jest wciąż sama?

Walewska najpierw popatrzyła na niego smutnym wzrokiem, a potem spojrzała w stronę okna cukierni.

– Mój narzeczony zginął w powstaniu – powiedziała cicho.

Lewin przełknął ślinę. Z jednej strony taka wiadomość dawała mu szansę, z drugiej – poczuł ukłucie zazdrości, że jego wybranka mogła mieć w sercu jakiegoś innego mężczyznę i kochać go na tyle mocno, by nawet po jego śmierci pozostać mu wierną.

– Przykro mi – wydukał i położył rękę na dłoni Magdaleny.

Ta jednak odsunęła ją, jakby ten gest wcale nie był dla niej czymś przyjemnym.

– Przepraszam – bąknął, zmieszany.

– Niech pan nie przeprasza... Jest pan fascynującym mężczyzną. Kulturalnym, szarmanckim i przystojnym, ale ja po prostu potrzebuję czasu – wyjąkała.

Lewin nie wytrzymał. Chwycił dłoń Magdaleny i przyciągnął do ust. Po chwili, sam sobie się dziwiąc, wyszeptał żarliwie:

– Magdaleno, jeśli mogę tak się do ciebie zwracać, czekałem na ciebie całe życie, więc poczekam jeszcze trochę.

Walewska znowu się zarumieniła i spuściła wzrok.

– Oczywiście, Emilu, że możesz tak do mnie mówić. Ja po prostu... boję się tego, że zakocham się ponownie, będę szczęśliwa, a potem ktoś mi to szczęście odbierze. Wiem, to nieracjonalne, wojna skończyła się dwa lata temu i nie zanosi się na następną, ale życie jest takie kruche – powiedziała cicho.

– I właśnie dlatego, że jest kruche, należy cieszyć się każdą chwilą, zamiast rozpamiętywać przeszłość. Każdy nosi w sobie jakąś krzywdę i ból, ale może czas powiedzieć „dość”. – Lewin był naprawdę przekonany, że może jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić swoje życie i zapomnieć o wszystkim, co zrobił i co jemu uczyniono.

– Jest w tym pewna mądrość, ale w praktyce... jest trudniej. Wiem, ty także straciłeś Adrianę, która na dodatek na twoich oczach pozbawiła się życia... Nie chcę już ci wypominać, że zatajenie tego było czymś bardzo złym, ale niekiedy próbuję postawić się na twoim miejscu, próbuję cię zrozumieć. Nie wiem, jak ja zachowałabym się w obliczu takiej tragedii i lęku o to, co może się stać, jeśli Niemcy by na mnie polowali... – wyznała Magdalena.

„Cholera, czy musiała o tym wspominać?” – pomyślał Emil i poczuł się jak ostatnia świnia. Bo okłamywał kogoś takiego, jak Magdalena Walewska. Ale cóż miał powiedzieć? „Kochana Magdaleno, zabiłem ojczyma, starego Niechowskiego, Jakuba Mosela, nobliwego profesora uniwersytetu i dwie kobiety, bo te osoby stały mi na drodze do realizacji moich planów. Poza tym byłem konfidentem gestapo, za-

tem ofiar na sumieniu mam znacznie więcej. Nawet nie wiem ile, bo kto by to spa-  
miętał? Byłem i jestem złodziejem, parałem się szantażem i sypiałem z kobietami,  
żeby osiągnąć cel albo zdobyć pieniądze. Tak, moja ukochana, czysta Magdaleno,  
byłem jak te dziwki siedzące w lokalach i rozglądające się za bogatymi klientami.  
I nadal dogadzam jednej, ponieważ dzięki niej mam stanowisko i nie muszę się bać,  
że powieszają mnie za współpracę z Niemcami. A teraz mnie kochaj i myśl o mnie jak  
najlepiej”? Wiedział, że taki scenariusz jest niemożliwy, jednak tak bardzo chciał za-  
cząć wszystko od początku, z czystą kartą, i mieć przy boku kogoś, kto pozna jego  
brudne sekrety, a jednak wciąż będzie go kochać i uwierzy, że naprawdę pragnie być  
innym człowiekiem.

Przez resztę wieczoru niewiele już mówili. Emil czuł się nieco zawstydzony  
swoim wyznaniem, a Magdalena dla odmiany trochę niezręcznie, nie mogąc obiecać  
Lewinowi, że rychło zapomni o Władku i zwiąże się z nim. Gdy Lewin odprowadzał  
Magdalenę do domu, liczył na jakiś pożegnalny pocałunek. Na tyle czuły, by dać mu  
nadzieję, że kiedyś Walewska poczuje to samo, co on do niej – absolutne oczarowa-  
nie. Niestety, jego marzenia tego wieczoru nie miały się ziścić, bo gdy wchodzili do  
bramy kamienicy, natknęli się na powracającego spod Bydgoszczy Szymka. Nastąpi-  
ło przywitanie, chłopak zaczął podekscytowany mówić o wizycie u Zosi i cały ro-  
mantyczny nastrój szlag trafił. Zwłaszcza że gdy skończył opowiadać, zaczął po-  
dejrzliwie patrzeć na Lewina i Magdalenę. Walewska chyba wyczuła skonsternowa-  
nie chłopca, bo powiedziała, nieco zawstydzona:

– Emil zaprosił mnie na potańcówkę... Chciał, żebym się trochę rozerwała po  
pracy w garkuchni.

– Panna Walewska bardzo ciężko pracuje i robi tyle pożytecznych rzeczy,  
chciałem sprawić jej jakąś przyjemność. – Lewin także zaczął nieskładnie się tłumac-  
zyć przed chłopcem, widząc jego nachmurzoną twarz.

Szymek jedynie wzruszył ramionami, pożegnał Emila i poszedł z Magdaleną  
do domu, odbierając tym samym Lewinowi szansę na gorący pocałunek.

\*\*\*

Następnego dnia Emil Lewin nie był w stanie skupić się na żadnej sensownej  
czynności. Papiery, które miał przejrzeć i podpisać, leżały na biurku odłogiem, a on  
wpatrywał się w krajobraz za oknem i marzył, aby ponownie zobaczyć Magdalenę  
i zdobyć jej serce. Te mrzonki przerwał mu jednak dźwięk telefonu. Usłyszał w słu-  
chawce nieco spanikowany głos sekretarki, a chwilę potem Julię Dregerową.

– Dzień dobry, towarzyszu Lewin – chłodno powiedziała Dregerowa.

– Witajcie, towarzyszeko – równie chłodno przywitał się Emil, ale w środku aż  
zadygotał.

– Zapomnieliście o mnie, Lewin – mruknęła Julia.

– Jak mógłbym o was zapomnieć – przeciągnął sylaby Lewin i zacisnął na słu-  
chawce dłoń tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

– A zatem będziecie dzisiaj u mnie... – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak, będę – powiedział z westchnieniem Lewin i wkrótce zakończyli rozmo-  
wę.

Wieczorem szedł do domu Dregerowej jak na ścięcie. Wcześniej nawet bawiły  
go i podniecały perwersyjne zabawy Julii, ale teraz było zupełnie inaczej. Nie miał

ochoty iść do łóżka ani z nią, ani z żadną inną kobietą, oprócz jego pięknej Magdaleny. Wiedział jednak, że jeśli chce być jeszcze kiedyś szczęśliwy, po prostu musi. Miał jednak nadzieję, że ta nienasycona kobieta wkrótce się nim znudzi i poszuka sobie innego kochanka. Uśmiechnął się pod nosem na tę myśl. Chyba pierwszy raz od niepamiętnych czasów życzył sobie takiego obrotu spraw – by jakaś kobieta przestała odczuwać podniecie na jego widok. I nawet nie byłoby to ujmą dla niego, ale prawdziwym wyzwoleniem, a on mógłby w końcu poczuć, że jego serce znajduje się we właściwym miejscu, a nie w rozporoku.

Wiedział, że to wszystko, co złego działo się wokół niego, było rachunkiem, jaki wystawiło mu życie za nieczne uczynki, jakich się dopuścił, ale był gotów zapłacić każdą cenę, by poczuć się w końcu szczęśliwym.

## 16. Los Angeles, 1947

Łyszkin siedział naprzeciwko Wołodii i w skupieniu słuchał informacji, jakie ten miał mu do przekazania. Z jednej strony Igor był nieco przerażony ożenkiem z Judith, z drugiej – pragnął jak najszybciej zająć się swoją misją. Wszystko było przygotowane na jego przyjazd do Los Alamos. Miał być zatrudniony w firmie telekomunikacyjnej, jako monter i serwisant urządzeń telefonicznych w domach klientów. Dla kogoś takiego jak on była to wręcz wymarzona przykrywka. Nikogo nie będzie dziwiło, że płacze się po cudzych domach czy kręci się przy osiedlowych centralkach. Jako człowiek tego fachu nie mógł mieszkać jak klasa średnia, ale znalaziono mu niewielki domek pokryty białym tynkiem, podobnie jak inne znajdujące się na niezbyt luksusowym osiedlu Denver Steel. Igor nie miał pojęcia, że owo miejsce, w którym miał zamieszkać z Judith, nie jest typowym miasteczkiem, ale od podstaw wybudowanym kompleksem, który niewiele miał wspólnego z luksusem, bez względu na rangę i sprawowaną funkcję pracujących tam ludzi. Zarówno osiedle, jak i całe miasteczko było odizolowane od reszty świata, a można było się tam dostać jedynie ze specjalnymi przepustkami. I jedną z nich miał posiadać nowy pracownik firmy telekomunikacyjnej – Igor Łyszkin, obywatel amerykański. Najwyraźniej jednak dla jego współbraci nie istniały rzeczy niemożliwe, a jedną z nich było uczynienie z Igora Amerykanina w ciągu kilku miesięcy po ślubie z Judith. Tutaj nie mógł już się pod nikogo podszywać, bo zapewne zanim powierzono mu tę fuchę, sprawdzono go bardzo dokładnie. Wszystko musiało wyglądać tak, jakby w istocie młody Łyszkin dołączył do rodziców i nie miał zamiaru powracać do Związku Radzieckiego. Zwłaszcza gdy poślubi Amerykankę – Judith Grace.

Łyszkin pożegnał swojego kompana, po czym udał się na spotkanie z narzeczoną, by wyznaczyć datę ślubu.

– Za miesiąc? Tak szybko? – Dziewczyna była szczerze zdziwiona nagłym pośpiechem narzeczonego.

– Mówiłem ci, że staram się o posadę, bo nie chcę już pracować ze swoim ojcem. Być może kiedyś, gdy już odejdzie na emeryturę i nie będzie wtrącał się do biznesu, powrócę i znowu będę sprzedawał cadillaki, ale na razie muszę sobie znaleźć inne zajęcie. Dlatego jeśli nie chcesz ze mną mieszkać na kocią łapę, musimy się pobrać. – W głosie Igora zabrzmiał wyrzut. Nie proponował jej ślubu nazajutrz, ale dopiero za miesiąc, a ona tymczasem zaczynała kręcić nosem.

– Ale miesiąc? Na te wszystkie przygotowania? Ksiądz pomyśli, że jestem w ciąży i dlatego tak mi się śpieszy. – Judith wydeła pełne wargi, co było oznaką niezadowolenia.

– Kto, u licha? – wyrwało się Igorowi.

– No, ksiądz... – wydukała Judith, jeszcze bardziej zdziwiona.

Łyszkin przeklął w duchu. Nie pomyślał o tym, że Judith, jako katoliczka, ze chce zaciągnąć go do kościoła, by przysięgał jej dozgonną miłość przed drewnianym krzyżem i facetem w czarnej sukience. Nie bywał w podobnych przybytkach, ostatni raz, gdy uciekał przed gestapo i skorzystał z uprzejmości pewnej zakonnicy. Była to

ironia losu, że on, zatwardziały ateista, wyśmiewający się z wszelkiej pobożności, właśnie dzięki klerowi uszedł z życiem. Został, co prawda, ochrzczony, ale gdy to się wydarzyło, był w wieku, w którym nie mógł wyrazić sprzeciwu, i ten rytuał kompletnie nic dla niego nie znaczył. A teraz piękna Judith chciała, by kolejny raz uczestniczył w jakimś cyrku.

– Nie chodzę do kościoła, Judith – prychnął, ale chwilę potem zreflektował się, że być może dla niej i jej rodziny jest to coś ważnego, dlatego dodał: – Naprawdę tak bardzo ci na tym zależy?

– Nie chcesz robić dużego przyjęcia, podróż poślubna ma trwać trzy dni, a teraz jeszcze chcesz, żebym przed urzędnikiem ci przysięgała...

Igor miał wrażenie, że dziewczyna się zaraz rozpłacze. Pomyślał, że właściwie jest mu wszystko jedno i może zrobić dla niej taki gest. Już widział oczami wyobraźni minę ojca, gdy oznajmi mu, że ślub odbędzie się w kościele. A tym bardziej, gdy poznał jego sekret. Zapewne uzna to za świętokradztwo i zrobi mu awanturę. Nawet nie z powodu ślubu przed ołtarzem, ale z uwagi na Judith.

– Dobrze, Judith, zrobię to dla ciebie, ale nie licz, że pójde do spowiedzi... – mruknął. – Podobno można jakoś takie kwestie załatwić.

– Mojemu ojcu to wszystko jedno, ale mamusia będzie zdruzgotana. Jest Meksykanką, a tam wszyscy są bardzo pobożni – powiedziała, ale i tak nieco się rozpromieniła, że Igor zgodził się wziąć ślub w kościele.

To nie była jedyna niespodzianka, jaką jej szykował. Ale z tą drugą miał zamiar poczekać, aż Judith zostanie jego żoną. A wtedy dowie się, że w kilka miesięcy po ślubie przeprowadzą się z tętniącego życiem Los Angeles do niewielkiej miejsciny w Nowym Meksyku. Miał także nadzieję, że Judith nie będzie nalegała, by od razu mieć dziecko, bo to skomplikowałoby wiele spraw. Gdyby Judith zaszła z nim w ciążę... Nawet nie chciał o tym myśleć.

Zanim jednak wcielił się w rolę zakochanego nieprzytomnie pana młodego, udał się na rekonesans do Los Alamos. Miał spotkać się ze swoimi przyszłymi pracodawcami i człowiekiem o imieniu Juan, który zamierzał się nim zaopiekować i w teorii wszystkiego nauczyć. W praktyce zaś był jedynie osobą, która będzie wykonywała za niego robotę. Zwerbowany Meksykanin dostawał za to z Moskwy pieniądze w takiej wysokości, o jakiej nawet nie mógł marzyć, pracując jako monter. Juan planował po całej sprawie wziąć co jego i powrócić do Meksyku, by tam żyć spokojnie, niemal jak król wioski, u boku swojej żony i czwórki dzieci. Zapewne gdyby chociaż przez chwilę zastanowił się nad ewentualnymi konsekwencjami, nie dałby się tak łatwo przekonać albo zażądałby dużo większej kwoty, ale Juan Escobar nie miał pojęcia o tym, nad czym naprawdę pracowano w Los Alamos i komu mogłoby się to przydać, oprócz Amerykanów.

Igor przybył do Los Alamos w południe. Było gorąco, a niebo niemal bezchmurne. Okazał przy bramie wjazdowej przepustkę i czekał, aż strażnik zadzwoni do firmy telekomunikacyjnej i potwierdzi przybycie Łyszkin. Pomyślał, że Amerykanie są wyjątkowo ostrożni, jeśli tak pilnie strzegą nie tylko ośrodka badawczego, ale całego miasteczka. Po kilku minutach strażnik machnął ręką na znak, że Igor może jechać, i otworzył mu bramę wjazdową.

Samochód, którym poruszał się Łyszkin, był chyba najgorszym rzęchem, jaki miał w posiadaniu Fiodor. Służył podrzędnym pracownikom do załatwiania sprawun-



ków, częściej zaś stał pod ocienioną wiatą i rdzewiał. Najpewniej ojciec Igora nie zrobiłby na nim dobrego interesu, dlatego postanowił, że poczeka, aż będzie musiał oddać go na złom. Dla młodego Łyszkina taki pojazd był w sam raz na Nowy Meksyk i jako środek lokomocji niezbyt zamożnego montera. Gdyby tak zajechał lincolnem, od razu wzbudziłby podejrzenia.

Firma telekomunikacyjna mieściła się w niewielkim, jednopiętrowym budynku, umiejscowionym przy ulicy zamieszkiwanej przez naukowców z laboratorium. Kilkaset metrów dalej stała kolejna budka strażnicza i szlaban chroniący wjazd na teren ośrodka badawczego. Całe miasteczko wyglądało jak jeden wielki zakład przemysłowy. Nie było typowego centrum ani urokliwych skwerów czy stylowych miejsc, gdzie skupiało się życie towarzyskie. Wszystkie budynki użyteczności publicznej, począwszy od niewielkiego szpitala, a skończywszy na kantynie, były prostymi budowlami o nieskomplikowanej konstrukcji i kiepskiej estetyce. Igor miał to gdzieś, nie przybył tutaj, by napawać się widokami, ale obawiał się reakcji Judith. Cóż ona będzie tutaj robiła, jeśli nawet nie było kina? Będzie musiał ją przekonać, że jest to stan przejściowy i jego przepustka do wielkiej kariery. Być może widok malowniczych gór nieco zrekompensuje jej ten brak wszelkich rozrywek, ale gdyby miał na to postawić, nie wyłożyłby nawet centa.

– W takim razie witamy niebawem na pokładzie, gdy już dopełnisz wszelkich formalności. – Kierownik placówki uśmiechnął się i wyciągnął dłoń w kierunku Łyszkina. – Na razie nie będziesz miał wstępu na teren ośrodka, ze względów bezpieczeństwa. Tam mogą pracować tylko najbardziej zaufani ludzie, ale i w cywilnej części będzie roboty pod dostatkiem. Wszystko pokaże ci Juan Escobar.

Igor uściśnął rękę kierownika i zapytał:

– Czy mógłbym obejrzeć dom? Przyjadę tutaj z żoną... I... – zaczął się jąkać.

– I chcesz przygotować ją na to, co zobaczy – roześmiał się kierownik. – Pamiętaj, praca w tym miejscu, nawet w części socjalnej, to służba. I wyróżnienie.

Pożegnawszy kierownika, Igor poszedł do działu kadr, wypełnił stosowne dokumenty, łącznie z oświadczeniami o zachowaniu tajemnicy służbowej i państwowej, po czym odebrał klucze od nowego domu i udał się na rekonesans.

Było gorzej, niż się spodziewał. Domek był mały, brzydki i jedyną jego zaletą było to, że niemal pachniał nowością. Niewielki skrawek ziemi wokół niego był klepiskiem, na którym nie rosły ani drzewa czy krzewy, ani kwiaty. Jedynie pod oknem kuchennym ktoś umieścił prostą ławkę, jednak otoczenie raczej zniechęcało do odpoczywania na niej. Igor pomyślał, że będzie musiał jakoś zrekompensować Judith te nieco spartańskie warunki i kupi jej kilka drogich prezentów, by chociaż tym mogła się pocieszyć.

17. Warszawa, 1947

– Tato, moja pani nauczycielka chce, żebyś przyszedł do szkoły – powiedział Mateuszek, rzucając w kąt tornister.

– Narozrabiałeś? – zdziwił się Sergiusz.

Chłopiec wzruszył jedynie ramionami, po czym odrzekł:

– Idę na dwór.

– Ej, ej, co ci tak śpieszno? A lekcje? – zapytał „Kary”.

– Nie mam nic zadane – mruknął pod nosem Mateusz i zanim Sergiusz zdołał cokolwiek powiedzieć, chłopca już nie było.

Wiedział, że powinien teraz wyjść za dzieckiem, przyprowadzić do domu, dać reprimendę i stosownie ukarać, ale nie miał na to siły. Ani ochoty. Ostatnio na nic nie miał. Od czasu, gdy dotarła do niego informacja, że jego ukochana Alicja zmarła w sowieckim łagrze, miał wrażenie, iż na niczym mu już nie zależy. Nie rozpaczał, nie wściekał się, ale dopadł go taki stan, w którym człowieka nic nie obchodzi, nic nie cieszy i nic nie martwi. Czuł, jakby był pusty w środku. Pozbawiony uczuć i emocji. Niestety, to także dotyczyło syna, któremu pozwalał na wszystko, a Mateuszek skwapliwie to wykorzystywał. Był małym chłopcem, trudno było oczekiwać od niego odpowiedzialności, więc nie zważając na słabe protesty Sergiusza, robił, co chciał. „Karego” dziwiło jednak, że dzieciak, który jeszcze nie tak dawno bardzo garnął się do nauki, nagle stracił nią zainteresowanie, stał się krnąbrny i jeśli nawet nie pyskował, to kompletnie nie słuchał ojca.

Idąc następnego dnia do szkoły, by spotkać się z nauczycielką syna, Sergiusz był pełen złych przeczuć. Mógł się spodziewać, że jeśli Mateuszek nie słucha jego, zapewne także nauczycielka nie miała na dzieciaka wpływu.

Gdy zabrzączał dzwonek, dzieci wyszły z klasy i rozpierzchły się po szkolnym korytarzu. Mateuszek wyszedł na końcu i nawet nie przywitawszy się z ojcem, usiadł naburmuszony na ławce przed klasą i mruknął:

– Pani Iza czeka na ciebie.

„Kary” pokręcił jedynie głową i pomyślał, że mimo żałoby, jaką nosił w sercu, musi zająć się synem, bo najwyraźniej działo się z nim coś niedobrego. Sądził, iż w ten sposób Mateuszek próbuje zwrócić na siebie uwagę, bo odkąd wrócili z leśniczówki, Sergiusz był nieobecny duchem i właściwie nie zauważał syna, pogrążony we własnych myślach, wspomnieniach i ogromnym żalu po stracie Alicji.

Panna Izabela Maliszewska była drobną, młodą kobietą o ciemnych oczach i długich, brązowych włosach, które związała w koński ogon. Robiła sympatyczne wrażenie i Sergiusz cieszył się, że nie musi mieć do czynienia ze starą, nobliwą nauczycielką, która karciłaby go równie mocno, co swoich małych uczniów.

– Dzień dobry – powiedział cicho. – Pani chyba chciała się ze mną widzieć?

– Dzień dobry – odpowiedziała ciepło nauczycielka i pokiwała głową. – Tak, chciałabym z panem porozmawiać.

Zapewne niezbyt pewnie czuła się w obecności mężczyzny, któremu sięgała do ramion, w dodatku szerokich i umięśnionych, które nawet na potężnym osiłku mogły-

by zrobić wrażenie.

– Mateuszek ostatnio dziwnie się zachowuje. Nie odrabia lekcji, dostaje złe stopnie i jest krnąbrny. Wczoraj pobił kolegę... Właściwie bez powodu. To dość drastyczna zmiana, bo jak dotychczas nie miałam powodu, by powiedzieć o Mateuszkowi cokolwiek negatywnego. Czy wydarzyło się ostatnio coś, co mogło go przybić, wywołać złość albo frustrację?

Ton głosu nauczycielki wciąż był łagodny, niemal serdeczny. Miała świadomość, że w swojej pracy ma do czynienia z dziećmi, które przeszły przez piekło wojny i jej konsekwencji, dlatego z wielkim spokojem podchodziła do pewnych zachowań swoich uczniów. Niektórzy z nich dopiero teraz dowiadawali się o stracie bliskich albo docierało do nich, że ci bliscy już nigdy nie powrócą.

– Nie – stanowczo powiedział Sergiusz. – Nic takiego się nie wydarzyło. Może po prostu byłem ostatnio zbyt zajęty i nie poświęcałem mu tyle czasu, ile potrzeba.

– A jego matka? – delikatnie zapytała panna Maliszewska. – Wciąż się nie odnalazła?

– Jeszcze nie – bąknął niepewnie Sergiusz.

– Może chłopiec zaczyna tracić nadzieję i stąd jego frustracja? Być może lepiej byłoby przygotować go na najgorsze? – niepewnie zaproponowała nauczycielka.

– Mam mu zabrać te resztki nadziei i zniszczyć dzieciństwo? – warknął nieprzyjemnym tonem Sergiusz.

Izabela Maliszewska aż skuliła się w sobie, słysząc ostry ton Dargiewicza.

– Ale jednak musi pan coś zrobić, w przeciwnym razie Mateuszek może nie otrzymać promocji do następnej klasy, a rok szkolny dobiega końca i nie zostało mu zbyt wiele czasu. A za bójki będę musiała go karać i poinformować dyrekcję, jeśli podobne sytuacje staną się nagminne – hardo odpowiedziała nauczycielka.

Chciała pomóc, podsunąć jakieś rozwiązanie samotnemu ojcu, ale nastawienie Sergiusza do całej sytuacji zniechęciło ją.

– Porozmawiam z nim i przypilnuję z lekcjami. Proszę się nie martwić – zimno odpowiedział Dargiewicz i wyszedł z klasy.

Był wściekły, bo kolejna osoba sugerowała mu, żeby zdobył się na szczerą i wyjawiał Mateuszkowi prawdę o jego matce. On jednak cały czas tkwił w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję i ma jeszcze trochę czasu, by przygotować chłopca na takie wieści. Musiał jednak sam nabrać sił, by stać się podporą dla Mateuszka, a na ten moment sam potrzebował wsparcia, którego nikt mu nie mógł dać.

Niemal w milczeniu dotarli do domu. Sergiusz wciąż był zły na pannę Maliszewską i nie stać go było na obiektywną ocenę jej zachowania, a Mateuszek szedł ze spuszczoną głową i kopał w kamyczki leżące na zrujnowanym chodniku.

– Zniszczysz buty, a niedawno ci je kupiłem – dość ostro powiedział Sergiusz.

Jego syn kompletnie się tym nie przejął i z jeszcze większym impetem kopał w napotkane na swojej drodze kamienie. „Kary” rozżłościł się jeszcze bardziej. Zatrzymał się, nachylił nad chłopcem i chwycił za ramiona.

– Przestań, słyszysz?! Nie rozumiesz, co ja do ciebie mówię? Masz przestać! – krzyczał.

Chłopiec popatrzył na Sergiusza z wyrzutem, wyrwał się z jego uścisku i pobiegł w kierunku domu. Gdy i „Kary” zbliżył się do posesji, ujrzał chłopca siedzącego na odwróconym dziurawym wiadrze, które ktoś zapewne zamierzał wyrzucić, ale

dzieciaki z podwórka postanowiły zrobić z niego użytek. Dargiewicz ochłonął nieco i zaczął żałować swojego zachowania. Dzieciak miał tylko jego i Sergiusz musiał znaleźć w sobie siłę, by należycie się nim zaopiekować i dać mu tyle miłości, ile potrzebował.

– Synku... – zagadnął cicho i spokojnie. – Co się dzieje? Powiedz mi... Chciałbym ci jakoś pomóc, ale nie potrafię, bo nie wiem, co się stało.

Mateuszek podniósł wzrok na Sergiusza. Jego ciemne oczy ciskały błyski wściekłości.

– Ona nigdy nie wróci! Ona umarła i zostawiła mnie... A ty ciągle kłamiesz. Ja słyszałem, jak babcia mówiła i słyszałem, jak płakałeś. A ty mi nakłamałeś. Nienawidzę cię! – wykrzyczał chłopczyk i zaczął łkać.

Dargiewicz oniemiał i od razu zrozumiał zachowanie chłopca, jego bunt i złość. A to wszystko było nakierowane na to, by sprawić przykrość człowiekowi, którego nazywał ojcem, bo ten go okłamał. Sergiusz nie miał pojęcia, jak teraz z tego wybrnie i musiał przyznać przed samym sobą, że popełnił błąd. Wyciągnął ręce w kierunku płaczącego chłopca, wziął go na ręce i mocno przytulił. A potem wolnym krokiem ruszył w kierunku pralni, bo podwórko nie było najlepszym miejscem na prowadzenie podobnych rozmów.

– Przepraszam – powiedział cicho Sergiusz, gdy już znaleźli się w pokoju.

Chłopiec wciąż milczał, co było jeszcze gorsze niż jego pyskowanie.

– Nie umiem sobie z tym poradzić... bo tak bardzo chcę, żeby twoja mama żyła. Przysięgłem ci kiedyś, że wróci, i nie dotrzymałem słowa, ale naprawdę zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby tak się stało. Bardzo kocham twoją mamę i zawsze będę kochać. – Sergiusz mówił łagodnie, aby rozbić mur, jaki postawił między nimi chłopiec.

– Już nie będę tak robić, tatusiu – powiedział Mateuszek po dłuższej chwili milczenia, która wydawała się Sergiuszowi bardzo długa. Pociągnął nosem i przytulił się do ojca.

„Kary” miał ochotę krzyknąć, szlochać, zabić kogoś, byle tylko Alicja żyła, ale wiedział, że teraz musi wziąć się w garść i zająć synem, póki jeszcze nie jest za późno. Jeśli to odpuści, pogrążony we własnym żalu, być może pozostawi w Mateuszku poczucie krzywdy i zawodu na bardzo długo.

Tego popołudnia Sergiusz pomógł odrobić Mateuszkowi lekcje, również te zaległe, przepisał z polskiego, a potem zjedli kolację, planując jakąś ciekawą wycieczkę za miasto. Sergiusz patrzył na smutne oblicze syna i wiedział, że jedynie znalezienie mu kolejnej, czulej i kochającej matki ukoji tęsknotę dziecka, bo bez względu na to, jak bardzo będzie się starać, nigdy mu jej nie zastąpi.

\*\*\*

Następnego dnia, po lekcjach, wszedł do klasy, gdzie siedziała Izabela Maliszewska i powiedział:

– Chciałem jak najserdeczniej panią przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie i podziękować za przenikliwość. Mój syn...

Maliszewska przerwała mu:

– Mateuszek mówił mi... Bardzo mi przykro z powodu śmierci narzeczonej, gdybym mogła coś zrobić...

– Może w ramach przeprosin za okropne zachowanie nas obu wybrałaby się pani z nami na pyszne pączki? Blikle to nie jest, ale smakują wybornie. – Sergiusz uśmiechnął się przeproszająco.

– Mateuszek już mnie przeprosił dzisiaj z rana. – Nauczycielka spuściła głowę, nieco zawstydzona propozycją Sergiusza. Był taki męski, przystojny i... wolny.

Krygując się jeszcze przez chwilę, w końcu zgodziła się i w godzinę później cała trójka siedziała w cukierni u Zawiślaków, na Hożej, oraz zajadała się pączkami przy mikroskopijnym stoliku ustawionym przy oknie. Sergiusz jednak nie miał ochoty nawet na flirt, mimo bezsprzecznej urody panny Izabeli i jej zapewne szlachetnego charakteru. Dla niego było jeszcze za wcześnie, w jego sercu Alicja wciąż żyła i mimo faktów, które nie pozostawiały złudzeń, nie był w stanie pogodzić się z jej odejściem. Jeszcze nie teraz.

Rozległe połacie łąk, gdzieniegdzie jakiś zagajnik czy wreszcie rzeczne rozlewiska nie były najlepszym miejscem na romantyczne spacerowanie, ale Marie Rauch bardzo chciała, aby kolejne spotkanie z Walterem von Lossowem odbyło się poza pensjonatem, w którym się zatrzymał. Zgodził się. Nie tylko z uwagi na fakt, że spodziewał się usłyszeć naprawdę pikantne historie, ale także dlatego, iż spacer w towarzystwie Marie wydawał mu się kuszący, podobnie jak ona sama. Powiało romantyzmem, którego Walterowi bardzo brakowało. Pewnych upodobań nie udało mu się wykorzystać i gdzieś na dnie duszy był spragniony tych wszystkich emocji, jakie niosą momenty fascynacji kobietą. Wyrósł już co prawda z czasów, gdy najistotniejszy był idealny wygląd kobiety i kontemplowanie go do chwili, gdy w zasięgu wzroku nie pojawiała się następna dziewczyna, jeszcze piękniejsza i doskonalsza od tej poprzedniej. Teraz szukał czegoś innego – jakiegoś duchowego i intelektualnego pokrewieństwa. Być może dlatego, że brakowało mu przyjaciół.

Ostatnio jego spotkania z Julianem czy Igozem dotyczyły jakichś dramatycznych sytuacji i o długich rozmowach przy butelce alkoholu nie mogło być mowy. Ostatnia, jaką odbył z Łyszkinem, w okolicach Smoleńska, dotyczyła spraw niemalże ostatecznych i właściwie to Igorowi zawdzięczał życie. Był w takim momencie swojej egzystencji, że myśl o zakończeniu swojego żywota wydawała mu się kojąca, bo doszedł do ściany i nie widział żadnego celu, by sprawdzać, co znajduje się za nią. Igor nie był czarodziejem, który nagle i nieodwracalnie odmienił jego życie, ale sprawił, że przynajmniej chciał spróbować to zrobić. Walter musiał się uporać z wieloma sprawami, poukładać to wszystko w swoim umyśle i duszy, a i teraz niekiedy powracały do niego demony, z szyderczym uśmiechem przesuając obrazy przed jego oczami. Gwałconej Olgi Iwanowny, której spojrzenie mówiło więcej, niż gdyby wypowiedziała setki słów, symfonii w opustoszałej sali koncertowej w wykonaniu ludzi, których dni były policzone, czy wreszcie martwych oczu Hansa Gąski. Gdzieś tłukły mu się w głowie słowa Lilly Berg, pełne zawodu i rezygnacji, a wreszcie powracały przed jego oczy ruiny Berlina, odsłaniające ogrom ludzkiej tragedii. Niekiedy miał wrażenie, że on sam jest jak to miasto. Wszystko, w co wierzył, nagle zamieniło się w pył. A gdy ten opadł, odsłonił całą jego brzydotę, nieszczęście, małość i słabość. Któż mógłby zrozumieć podobne dylematy, rozterki i tę niechęć, jaką niekiedy człowiek żywi do samego siebie, bo chciałby być kimś innym i żyć inaczej? Być może zbyt wiele wymagał od losu i siebie, ponieważ w życiu niemal każdego człowieka zdarzają się sytuacje, po których już nic nie jest takie samo.

Marie Rauch sprawiała wrażenie kobiety, której podobne rozważania nie są obce. Była inteligentna i miała w sobie ten rodzaj wrażliwości, jaką posiadają ludzie, którzy wiele przeszli i te doświadczenia wciąż w nich tkwią. Jakby księga życia pisana przez nich samych utknęła gdzieś w połowie, a oni nie mieli pomysłu, co zamieścić na następnej stronie, obawiając się, że dobrną do zakończenia, które nie będzie takie, jakby chcieli. Kobieta niewiele mówiła o sobie, raczej wypowiadała ogólne myśli i spostrzeżenia, ale przecież nie o konkrety chodziło, tylko o uczucia, emocje

i wewnętrzne dylematy.

Usiedli na trawie i przez chwilę milczeli, wpatrując się w spokojne wody Renu. Każde z nich nie chciało powracać z tego świata finezyjnych rozmów i przejść zbyt nagle do konkretów i kwestii, z powodu których się spotkali.

– Kiedy Ludwig Liber odkryje, że przekazałam te dokumenty panu, wyrzuci mnie z posady. A to była dobrze płatna praca i nawet ją lubiłam – westchnęła kobieta, po czym sięgnęła do dużej torby, którą miała przewieszoną przez ramię. Wyciągnęła z niej plik papierów i podała Walterowi. Po chwili dodała: – Liber nie spotka się z panem i nie udzieli wywiadu, ale myślę, że te dokumenty wystarczą do tego, by zawrzało.

Lossow wziął do ręki papiery przyniesione przez Marie Rauch, ale zanim do nich zajrzał, powiedział:

– Jeśli tak się stanie i Liber panią zwolni, proszę przyjechać do Berlina. Pomogę pani znaleźć pracę.

– Nie musi pan używać słowa „jeśli”, bo jest to pewne. Ale proszę nie mieć wyrzutów sumienia, to jest moja decyzja. – Uśmiechnęła się, delikatnie wyginając usta.

Naciągnięta twarz nie pozwalała jej na szeroki uśmiech, ale może tak było lepiej, bowiem to mogła być kolejna rzecz, która mogłaby ją zdradzić.

– Dlaczego pani to robi? – zapytał.

– Chcę panu pomóc napisać ten artykuł – bąknęła.

– Wiem, że chce pani mi pomóc, ale nie wiem dlaczego. – Roześmiał się.

– Nie wiem... – skłamała Marie Rauch. – Może dlatego, że zrobił pan na mnie wrażenie człowieka prawego i uczciwego.

– Co do prawości, trudno było przeżyć tę wojnę, nie brudząc sobie rąk i nie obciążając sumienia, ale prawdą jest, że jestem uczciwy. Wobec samego siebie – odpowiedział z westchnieniem Lossow, bo jakoś nie miał już ochoty odgrywać roli człowieka, którym nie był, tak jak robił to w przypadku swojej żony.

– Wyjawi mi pan jakieś swoje grzeszki? – zapytała, niby z lekkością, ale wszystko w niej drżało.

– Skrzywdziłem pewną kobietę... – zaczął niepewnie Walter.

Serce sekretarki Libera zaczęło walić jak zwariowane. Jakże pragnęła usłyszeć, że pewnego dnia skrzywił Renatę Zoll, wykorzystując ją do własnych celów, a potem porzucił. I przez ten cały czas żałował swojego uczynku. Ona wówczas wpadłaby w jego ramiona, przyznała, kim jest i powiedziała, że to, co złe, już minęło, wybaczyła mu ten jego czyn, a teraz mogą zacząć wszystko od początku. Z nową, czystą kartą.

– Moją żonę. – Usłyszała po chwili i piękne marzenie zamieniło się w kupkę gruzu.

Przez chwilę milczała, trawiąc w duszy zasłyszaną informację. Nie chodziło jej nawet o to, że ożenił się z kimś, ale o to, iż nie miał wobec niej poczucia winy.

– Kocha ją pan? – zapytała drżącym głosem.

– Nie. Ale bardzo lubię – odpowiedział z westchnieniem Walter, zgodnie z prawdą zresztą.

Lubił Lilly i życzył jej wszystkiego, co najlepsze, bo zasłużyła na to, jednak nie kochał jej, mimo że bardzo chciał, aby to uczucie obudziło się w nim i trwało. Nie

potrafił zrozumieć, iż był taki czas w jego życiu, kiedy uważał Lilly za kobietę swojego życia. Może po prostu dlatego, że czuł się w Kleine Seedorf bardzo samotny i wybrał spośród garstki kobiet tę najładniejszą i najśladszą? I dopiero gdy wyjechali stamtąd, spostrzegł, jak wiele ich dzieli?

– To dlaczego się pan ożenił? – brnęła dalej Marie Rauch.

– Bo chciałem być uczciwy wobec obietnic, które poczyniłem. Jednak okazało się, że nie byłem uczciwy ani wobec niej, ani wobec siebie – mruknął Walter.

– A czegoż jej brakowało? – nieco złośliwie zapytała Marie.

– Hm... Nie potrafiłem z nią rozmawiać, tak jak z panią na przykład. – Lossow uśmiechnął się smutno.

Milczała, ale nadzieje znowu powróciły. Tylko jak długo będzie mogła odgrywać tę komedię? Poza tym kiedyś Walter odkryje mistyfikację, była o tym przekonana. Zwłaszcza jeśli pewnego dnia wylądują w łóżku. I tak często wspominał, że przypomina mu pewną kobietę, wręcz łudzaco. Nie był idiotą, to pewne, i fakt, że wciąż miał wątpliwości, wcale jej nie pomagał. Co prawda od ich rozstania minęło trochę czasu, a i wówczas nie spędzali go ze sobą zbyt wiele, bo Walter unikał spotkań z nią, ale znali swoje ciała i zachowania podczas miłosnych uniesień i była przekonana, że gdy tylko zobaczy jej piersi albo nogi w pełnej krasie, od razu pojmie, z kim ma do czynienia. Pomyślała jednak, że jeśli zakocha się w Marie Rauch, nie będzie już musiała udawać i Lossow nie ucieknie od niej, gdy dowie się, jak naprawdę się nazywa.

W końcu Walter zaczął przeglądać papiery przyniesione przez sekretarkę Libera i chyba pierwszy raz od dłuższego czasu zabrał się za to bez większego entuzjazmu, chociaż wiedział, że może znaleźć w nich naprawdę mocny materiał. Istotnie tak było. Oprócz małych i nikomu nieznanymi firm pojawiły się dwie nazwy, które wymienione w kontekście Trzeciej Rzeszy wstrząsną opinią publiczną – IBM i General Electric. Potężne koncerny i niechlubna karta ich historii. Nikomu nie uda się już tego zamieść pod dywan. Nie musiał już zabiegać o wywiad z Liberem, Marie Rauch podała mu wszystko na tacy. Jedyne, co go niepokoiło, to fakt, że mimo lakonicznych wyjaśnień kobiety nie miał pojęcia, dlaczego to zrobiła. Tym jednak postanowił zająć się później.

Pod wieczór pożegnał sympatyczną pannę Rauch i wręczając jej swoją wizytówkę, oznajmił, że następnego ranka wraca do Berlina. Zapewnił ją również, iż w razie problemów może na niego liczyć.

Kiedy wszedł do swojej kwatery, wyciągnął z walizki maszynę do pisania. Postanowił, że jeszcze tego wieczoru zacznie pisać artykuł, by jak najszybciej móc go przekazać do redakcji. Wciągnął papier do maszyny i zanim zdążył uderzyć palcem w pierwszy klawisz, usłyszał pukanie do drzwi. Nieco rozzłoszczony powiedział „proszę”, sądząc, że to wścibska gospodyni postanowiła sprawdzić, czy jest sam, ale w progu stanęła Marie Rauch. Zdziwił się, ale złość minęła, bo widok tej kobiety działał na niego kojąco.

– Zapomniała pani czegoś, panno Rauch? – zapytał zyczliwie.

Nie odpowiedziała, tylko podeszła do niego, nachyliła się i zaczęła delikatnie muskać jego usta. Po chwili sięgnęła do włącznika stojącej na stole lampki i zgasiła światło. Walter także nic nie mówił, tylko wstał z krzesła i zaczął rozpinąć bluzkę kobiety. Gdy dotykał jej ciała, czuł, jak cała drży. Sądził, że to efekt emocji, wstydu



i pożądania, nie mając pojęcia, iż jego partnerka po prostu bała się. Ryzykowała wiele, a jednak chęć zbliżenia do Waltera była silniejsza od lęku. Tymczasem Lossow kompletnie stracił głowę i nawet nie myślał o tym, by kontemplować jej ciało i porównywać je do figury kobiety, z którą stracił kontakt prawie pięć lat temu. Było mu dobrze i pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczuł, że nie tylko odczuwa rozkosz cielesną, ale przeżywa także duchową ucztę. Ten akt stanowił doskonałość w każdym jego aspekcie i Walter pomyślał, że właśnie czegoś takiego brakowało mu do szczęścia.

Niestety, następnego ranka jego piękny sen na jawie skończył się brutalnie, bo obudziwszy się, nie zastał już fascynującej panny Rauch przy swoim boku.

Miłość od pierwszego wejrzenia? Oczywiście, wierzył w to. Tym bardziej że wydawało mu się, iż zna Marie od lat. Jak to kiedyś określił jego znajomy – ta kobieta była niczym ubranie szyte na miarę, idealnie dopasowane do niego. Nawet nie próbował się zastanawiać, że jego podejście do niektórych spraw jest irracjonalne i godne przemyśleń szesnastolatka. Nic nie wiedział o Marie Rauch, a jednak w ciągu kilku dni myśli o niej nie dawały mu zasnąć. Czuł, że to jest właśnie kobieta, na którą czekał. Wydawało mu się w tym momencie, iż za rok i lat dziesięć będzie w takim samym stanie miłosnego upojenia. Wszelki racjonalizm rzucił w ką, pragnął być jak średniowieczny trubadur, wieczny kochanek, którego o poranku budzi przyjemne podekscytowanie, że za chwilę ujrzy ukochaną. Tak to postrzegał, w taki sposób pragnął widzieć uczucie zwane miłością. I nie chciał nawet dopuścić myśli, że niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością.

19. Londyn, 1947

Lokal Lady's Club cieszył się w Londynie bardzo złą sławą. Znajdował się w SoHo, w oficynie jednej z kamienic, i na zewnątrz prezentował się jak wiele innych przybytków w tej dzielnicy proponujących jedzenie, alkohol i dobrą muzykę. Tym, co go wyróżniało pośród innych, były plotki, że mile widziane są w nim jedynie kobiety. Posądzenie w gazetach jakiejś lady o odwiedzenie tego miejsca od razu budziło niesmak i zgrozę. Nie tylko dlatego, że padało podejrzenie o skłonności lesbijskie, ale także o wywrotowe poglądy, stawiające kobiety na równi z mężczyznami. Mówiono, a raczej szeptano, że bywalczyń klubów myślą o tak nedorzecznych sprawach, jak zasiadanie kobiet w Izbie Lordów czy nawet umożliwienie im bycia biskupami. Uważano, że większość osób odwiedzających Lady's Club to jednostki zdegenerowane, zepsute i ze skłonnościami do wiązania się z innymi kobietami.

Henrietta Cavendish była jedną ze stałych bywalczyń klubu, co oczywiście stało się przedmiotem plotek. Zgodnie z przewidywaniami rodzina odcięła się od Henrietty, niemal publicznie wyrzekając się jej, a druga panna Cavendish, pytana o relację z siostrą, mówiła bez ogródek, że siostry już nie ma. Hanka czytywała w plotkarskich gazetach o wyczynach Henrietty, nie tylko w kontekście jej podejrzanego związku z lady Beatrice Norton, ale także z racji wygłaszanych przez nią poglądów, tyleż postępowych, co szokujących.

Lewinówna niepewnie weszła na posesję, podeszła do dwuskrzydłowych drzwi, na które niebieskie światło rzucał przymocowany nad nimi neon, i nacisnęła klamkę. Wewnątrz usłyszała cichą muzykę dobiegającą z ciemnej sali i chwilę później podeszła do niej młoda dziewczyna w męskim uniformie. Uśmiechnęła się życzliwie, a potem przyjrzała się twarzy Hanki, bo w mdłym świetle korytarza nie była pewna, czy oczy jej nie zawodzą.

– Pani u nas? – zdziwiła się dziewczyna.

– Szukam Henrietty Cavendish – bąknęła zdenerwowana Hanka.

– Jest dzisiaj. Wraz z panną Norton. Zaprowadzę panią. – Dziewczyna ukloniła się i ruszyła przed siebie.

Lewinówna podążyła za nią trochę niepewnie i zastanawiała się, kiedy napiszą o tym gazety. Po chwili doszła do wniosku, że ma ważniejsze sprawy na głowie i nie będzie przejmowała się ludzkim gadaniem. Zapewne gdyby nie dramatyczna sytuacja, w jakiej się znalazła, nigdy nie przyszłaby do tego miejsca, ale desperacja nakażała jej zwrócić się do Henrietty o pomoc.

Zarówno panna Cavendish, jak i jej partnerka szczerze zdziwiły się, widząc Lewinównę w tak podejrzanym miejscu, ale blada twarz Hanki i wygięte w podkówkę usta świadczyły o tym, że kobieta nie pojawiła się tam z ciekawości czy chęci zabawy.

– Musimy porozmawiać, Henrietto – powiedziała Hanka, spuszczać wzrok.

– Mów, Haniu, nie mam przed Beatrice tajemnic – odpowiedziała życzliwie Henrietta i skinieniem dłoni wezwała kelnerkę, uznając, że Lewinównie przyda się kieliszek sherry.

– Henrietto... Niechowsy chcą mi zabrać Nadię. Pozwali mnie do sądu, a ja nawet nie wiem, do jakiego adwokata mam się zwrócić, by uczciwie zajął się sprawą. Czytałam, że ty ciągle masz jakieś procesy i wyśmienitego prawnika... Może mogła-byś mi pomóc, doradzić albo zarekomendować mnie u niego? Cena nie gra roli. Oddam wszystko, co mam, byle nie stracić córki.

– To banda łotrów! – wyszczała Beatrice. – I w takich przypadkach kobieta bywa bezbronna. Ty przynajmniej masz pieniądze, a co mają powiedzieć te, które są biedne?

W tym momencie inne kobiety zupełnie nie obchodziły Hanki. Ona nie mogła dopuścić, by zabrano jej Nadię i nie miała pojęcia, jaki oręż wystawią Niechowsy, by tak właśnie się stało. Była przecież zamożna i mogła zapewnić Nadii wszystko, co najlepsze. Odkąd pojawiła się w Wielkiej Brytanii, jej sytuacja zmieniła się diametralnie, i dzięki sławie, którą zdobyła, i dzięki spadkowi po Piotrze Niechowskim.

– Skontaktuję cię z moim Barrym. To dobry adwokat i jest przyjacielem kobiet. Jeśli Niechowsy dowiedzą się, kto cię reprezentuje, od razu spuszcza z tonu – pocieszająco powiedziała Henrietta.

– Boże, Henrietto, nawet nie wiesz, jak mi ulżyło... Byłam pewna, że ty na pewno coś wymyślisz – z ulgą wyznała Hanka.

– Odkąd zamieszkałam z Beatrice mam piekło na ziemi. Przywykłam i nauczyłam się bronić. Ty też się tego nauczysz. – Puściła do niej oko.

– Rozprawa jest za miesiąc. Powinam jak najszybciej skontaktować się z adwokatem – jęknęła Hanka.

– Jutro zadzwonię do Barry’ego, a potem do ciebie i powiem ci, kiedy i gdzie masz się z nim spotkać. Jego kancelaria mieści się w Chelsea, nawet nie będziesz musiała brać taksówki, by się do niego dostać.

– Dziękuję – wybełkotała Hanka, wychyliła duszkiem kieliszek sherry, co nie było zbyt eleganckie, i wstała z krzesła.

– Nie zostaniesz z nami? – zapytała Beatrice, podejrzliwie marszcząc czoło.

– Nie mogę, wracam do córki. Nie wiadomo, jak długo będę mogła nacieszyć się jej obecnością.

– Bądź dobrej myśli, Barry to prawdziwy rekin wśród adwokatów, a nawet jeśli przegra, coś wymyślimy, żeby te nadęte gnoje nie zabrały ci dziecka – stanowczo odpowiedziała Beatrice, po chwili jednak dodała: – Idź, zapewne nie masz nastroju do zabawy.

Kobieta miała rację, Lewinówna była kompletnie rozbita i ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, to bez troskie rozmowy w nocnym klubie. Była zdruzgotana ostatnimi wieściami. Zwłaszcza że jakkolwiek po teściowej spodziewała się wszystkiego najgorszego, tak zachowanie Tomasza kompletnie ją zaskoczyło, a to właśnie on złożył pozew, argumentując, że Hanka źle traktuje swoją córkę, a prowadzi się jeszcze gorzej i tym samym naraża Nadię na złe wpływy. Ten drań uznał, iż jest złą matką! A gdzie był, gdy przymierały głodem i uciekały przed bombami? Lewinówna podejrzewała, że wcale nie zależy mu na córce, ale ma ochotę położyć łapę na funduszu powierniczym, który założył dla Nadii Piotr. Stefania zaś zrobiłaby wszystko i dopuściłaby się każdej niktzemności, byle pogrzyść Hankę. I w takie łapy miałyby oddać swoją ukochaną córkę? Nigdy w życiu.

\*\*\*

W kancelarii Barry'ego Colliera Hanka zjawiała się nazajutrz. Adwokat był mężczyzną dobiegającym czterdziestki, niezwykle szczupłym i wysokim. Miał zaczesane do tyłu włosy i niewielką bródkę, którą głaskał, skubał i pocierał, gdy się nad czymś zastanawiał.

– Hm... Zatem jeszcze raz. Była pani żoną najpierw jednego brata, potem drugiego. Z Tomaszem ma pani córkę i rozwiodła się pani z nim, a Piotr zginął. Drugie dziecko zostało poczęte jeszcze z innym mężczyzną, i to w czasie, gdy była pani żoną Tomasza Niechowskiego.

Collier mówił wolno i szarpał swoją brodę tak intensywnie, że Hanka miała wrażenie, iż zaraz wyrwie z niej wszystkie włosy. A to mogło oznaczać, że jej sprawa wygląda dość kiepsko. Pokiwała głową i dodała:

– Panie mecenasie, nie widziałam mojego pierwszego męża przez pięć lat. Wyjechał do Anglii, a mnie zostawił w Polsce, gdy byłam w ciąży. Nie interesował się ani losem moim, ani córki. A każdy wie, co się działo w tym kraju podczas okupacji.

– Lewinówna próbowała się usprawiedliwiać.

Barry podniósł palec do góry, po czym coś sobie zanotował i rzekł:

– Można więc założyć, że pani syn jest owocem gwałtu, a nie romansu?

– Panie mecenasie, niech pan zakłada cokolwiek, byle Nadia została przy mnie – westchnęła Hanka, w istocie gotowa na każdą linię obrony.

– Być może będzie musiała pani o tym opowiedzieć – mruknął.

– Opowiem – wyszeptła, wspominając swoją nieprzyjemną przygodę z radzieckim partyzantem. Mogła o tym opowiedzieć, aczkolwiek nie zamierzała przyznawać się, że Irena zarąbała go siekierą, a potem obie zakopały go za komórką, pod stołem obornika.

– Dobrze... To da nam szansę na wybielenie pani w oczach sądu i wyjaśnienie, skąd pojawiło się dziecko z nieprawego łoża. Teraz drugi zarzut. Czy ma pani świadków, że była pani troskliwą i czułą matką dla swojej córki? Nie mam na myśli przytulania i trzymania na kolanach, ale dbania o jej zdrowie i rozwój. – Barry kolejny raz przytknął pióro do kajecika, czekając na informacje od swojej klientki.

– No, nie wiem, właściwie nie mam tutaj przyjaciół... Może Henrietta? – ucieszyła się Hanka.

Collier westchnął. Gorszego świadka nie mogła chyba wymienić.

– Lady Lewin, mam wielką słabość do lady Cavendish i bardzo lubię tę szaloną kobietę, ale niech mi pani wierzy, jej pojawienie się w sądzie w charakterze świadka może panią jedynie pogrzyżać. Henrietta ma fatalną reputację – westchnął adwokat.

– Wobec tego zostaje tylko guwernantka – powiedziała Hanka, chociaż wołała nie mieszać służby do swoich rodzinnych spraw.

– Dobrze – mruknął Barry. – W takim razie musimy się wziąć do roboty...

– Panie mecenasie...? Wygramy?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby właśnie tak się stało – dyplomatycznie odpowiedział adwokat, po czym popatrzył na Hanke i dodał: – Czeka nas ciężka batalia, lady Lewin. Bardzo ciężka...

– Dlaczego, do cholery, to tak długo trwa? Czy on przypadkiem czegoś nie kombinuje? – syknęła Alicja do Olgi, gdy przygotowywały leki dla chorych.

– Uspokój się, Alicja. Nie ma dzieci, nie ma wyjazdów – proste. Ale moim zdaniem to lepiej, że jest lato. W tym bloku mogłybyśmy daleko nie zajechać. Niedługo córka Mikołajewny skończy osiemnaście miesięcy i dadzą nakaz wyjazdu. – Iwanowna starała się pocieszyć Alicję.

– Kiedy ja już długo nie wytrzymam – jęknęła Alicja. – Tęsknię za małą i codziennie martwię się, czy nie stało się jej co złego. Ale najgorsze jest to, że Kaganowski budzi we mnie najgorsze instynkty. Gdy patrzę na niego, widzę oczami wyobraźni, jak dynda powieszony na sznurze albo rozstrzelany leży w kałuży krwi. Rzygać mi się chce, gdy dotyka mnie swoimi łapami i zaciskam zęby i dłonie, byle nie odwinąć się i nie dać mu po mordzie. Mdli mnie, gdy słucham o jego rzekomej wielkiej miłości, która z tym uczuciem nie ma nic wspólnego.

– Kaganowski nie jest taki zły. On też wariuje w tym bagnie i tęskni za namiastką normalności. – Olga próbowała bronić komendanta, by Alicja nieco schłodziła swoją postawę wobec niego i nie zrobiła niczego głupiego, co mogło narazić ją na kłopoty i zniweczyć ich plany.

– Posłuchaj, Olgo. On w porównaniu z nami ma normalność. Żre jak panisko, może codziennie się kąpać, a jedynym jego zajęciem jest przekładanie papierków i chodzenie po *zonie*, jak bez mała jakiś cesarz. Powinien jeszcze wznosić albo opuszczać kciuk na znak, czy ktoś ma żyć, czy zdechnąć. Raz do roku wyjeżdża na urlop, a gdy na dworze jest minus pięćdziesiąt, siedzi przez cały czas przy swoim piecyku, owinięty pledem, i czyta książki. To jest normalne życie. To tak jak być hodowcą świń – niekoniecznie jest estetycznie i ładnie pachnie, ale po jego obejściu świni nie łążą i nie musi ich wąchać ani oglądać unurzanych w błocie racic. I my jesteśmy jego świniami...

Alicja wypluwała z siebie jad i nienawiść do Kaganowskiego, bo zdawało jej się chwilami, że nie wytrzyma ani dnia dłużej w swojej roli, że nie zdoła już ani razu uśmiechnąć się sztucznie, ani też wypowiedzieć życzliwszego słowa. Obawiała się, iż nadejdzie taka chwila, gdy pęknie i wykrzyczy temu draniowi, co naprawdę o nim myśli, a wtedy wszystko szlag trafi. Tutaj, za płotem i zasiekami z drutu kolczastego, nie mogła nic, była zdana na owego cesarza i mogła jedynie patrzeć, czy ów metaforyczny kciuk uniesiony jest ku górze. Cóż oznaczał wyrok sądu, jeśli nikt nie interesował się jego wykonaniem? Obojętnie, czy dotyczył rozstrzelania, czy zwolnienia z obozu.

– Alicja, opanuj się, jeszcze ktoś cię podsłucha i doniesie. A wtedy zostanie ci jedynie jawna konfrontacja. Zapewniam cię jednak, że przegrasz, bo z nim się po prostu nie wygrywa. I przyłóż się trochę do pracy, bo Ernst zaczyna na ciebie narzekać – ostro powiedziała Olga.

W istocie Alicja nieco ochłonęła. Jej koleżanka miała rację, ale cóż z tego, jeśli w jej duszy działały się rzeczy, które powoli zaczynały wymykać się spod kontroli.

\*\*\*

Po zakończonym dyżurze, jak niemal każdego wieczoru, udała się do domu komendanta, który to dom w jej oczach stawał się lochem, nad którym czuwała bestia z piekła rodem. Spotykała w swoim życiu większych oprawców, sadystów i bezlitośnych gwałcicieli, ale nie mogła darować Kaganowskiemu, że zabrał jej to, co najbardziej kochała. Dziecko i wolność. A tam daleko czekał na nią syn i Sergiusz, i mogła być już dawno z nimi, gdyby nie on i chęć posiadania jej na własność oraz na wyłączny użytek.

Stiepan siedział jeszcze w biurze i pochylony nad stosem papierów przecierał zmęczone oczy.

– Jeszcze pracujesz? – zapytała Alicja, zaglądając do biura.

– Tak, muszę zrobić raport miesięczny dla Magadanu. Idź, zjedz coś, zaraz skończę. Aha, jutro zobaczysz swoją córkę. Pierwszy raz pojedziesz z Iwanowną, musi ci objaśnić co i jak. Mam nadzieję, że to dobra wiadomość dla ciebie. – Uśmiechnął się.

Alicja przełknęła ślinę. A zatem to już jutro...

– Najlepsza, jaką mogłam usłyszeć – wydukała, zdenerwowana.

Z jednej strony czuła podekscytowanie, że ten koszmar może się skończyć, z drugiej istniało ogromne ryzyko tego przedsięwzięcia. Jeśli ucieczka nie powiedzie się tego dnia, nie uda się już nigdy, a ona zgnije w łagrze.

Wyszła z biura i niemal na chwiejnych nogach udała się do saloniku. Podeszła do okna i wpatrywała się w kamieniste wzgórza. W tę ogromną przestrzeń, wręcz niewyobrażalną, przez którą będzie musiała się przedrzeć, by zakosztować normalnego życia. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek będzie mogła mówić o normalności po tym, co przeszła w „Raju”, ale pragnęła nade wszystko zobaczyć jeszcze swoich bliskich, poczuć spokój. Na kilka chwil, może dni, posmakować tej sielanki, gdy masz obok siebie wszystkich, których kochasz. Była przekonana, że wówczas poradzi sobie ze złymi wspomnieniami, bo ta bliskość odepchnie je w najdalsze zakamarki jej umysłu.

Odeszła od okna, by usiąść w fotelu i rozkoszować się przez chwilę samotnością oraz marzeniami. Jej wzrok padł na stojącą kozę, o tej porze roku używaną jedynie sporadycznie. Tuż obok niej leżał stos drewna i oparta o niego niewielka siekierka. Pewnie nie zwróciłaby na nią uwagi, gdyby nie przemożna chęć rozłupania nią głowy Kaganowskiego. A potem pomyślała, że owo narzędzie może jej się bardzo przydać do sterroryzowania Michaiła, jak również podczas ich nieprzewidywalnej podróży. Przeniosła siekierkę do korytarza i oparła o ścianę, tuż przy drzwiach wyjściowych. Miała nadzieję, że Stiepan nie będzie nagle jej potrzebować i nie zniweczy jej planu kradzieży.

Tej nocy była rozkojarzona i nieobecna duchem, który krążył już po soczystych łąkach Chełmic albo przechadzał się po ulicach Warszawy. Na szczęście Kaganowski zrzucił to na karb podekscytowania faktem, że Alicja nazajutrz ujrzy swoją córkę, i pomyślał, że taką małą rzeczą mógł sprawić swojej wybrance tak wielką przyjemność.

Tuż przed świtem Alicja jak zwykle wymknęła się z domu komendanta, tym razem dzierżąc w dłoni siekierkę. Przechodziła koło miejsca, gdzie stał obozowy żył,

którym miały z Olgą zawieźć dzieci, i wrzuciła narzędzie na pakę samochodu, a potem niemal tanecznym krokiem udała się do ambulatorium.

Okolo godziny dziewiątej ośmioro dzieci siedziało w samochodzie i prawie każde z nich darło się wniebogłosey. Olga skorzystała z ogromnego przywileju darowanemu jej przez kierowcę i usiadła z nim w szoferce, by nieco go poczarować. Na początku opierała się, bo Michał był wyjątkowo odstręczający, ale Alicja przypomniała jej, że musiała robić gorsze rzeczy, i to przez wiele miesięcy.

Alicja nie wiedziała, jak długo jechali do Udarnika, ale zdawało jej się, że bardzo długo, co ją zmartwiło. Jeśli będą miały takie tempo, do Jakucka mogą dotrzeć za dwa dni, a to wiązało się z ogromnym ryzykiem. Nie mogła jednak skupić się zbytnio na rozmyślaniach, bo co i rusz z szoferki dobiegał głośny ryk Michała, by uciszyła bachory. Zapewne ich płacz przeszkadzał mu w adorowaniu Olgi, więc Alicja robiła, co mogła, by zamilkły.

W końcu samochód wjechał na obskurny dziedziniec sierocińca. Z uwagi na letnią porę, wręcz panujący w ciągu dnia upał, wszystkie okna w ośrodku były po otwierane, chociaż takie rozwiązanie zapewne jeszcze potęgowało duchotę w pomieszczeniach. Olga wyjaśniła jej, że w całym budynku robią przeciągi, by pozbyć się nieznośnego zapachu niezmiennych pieluch i nie zważają na to, że to najlepszy sposób, by dzieciaki złapały jakieś choróbko. Nikt jednak nie przejmował się takimi drobiazgami, ponieważ śmiertelność na farmie i tak była bardzo wysoka.

Olga wysiadła z szoferki i krzyknęła do wychodzącej z budynku kierowniczk:

– Przywiozłyśmy dzisiaj siedmioro. Mam pomocnicę, więc ona zajmie się ulokowaniem ich w pokojach, a my odbębniemy papiery.

– Niech młodsze da na piątkę, tam są cztery wolne łóżka, a te trochę starsze na siódmkę – odpowiedziała kierowniczka i dodała: – Miała być ósemka.

– Jedno zmarło dzisiaj rano, nie zdążyłyśmy wam przekazać i od razu przyjechałyśmy – odpowiedziała Olga ze spokojem, ale Alicja zauważyła, że głos jej koleżanki jest drżący i jakby niepewny.

– Zawsze to lepiej, niż byś miała przywieźć jedno więcej. – Kierowniczka zarechotała i obie zniknęły we wnętrzu budynku.

Alicja zaczęła zdejmować z paki dzieci i po kolei zanosila je do środka. Gdzieś mignęła jej postać opiekunki niosącej worek z pieluchami, kawałek dalej zobaczyła kucharkę palącą papierosa przy oknie. Włożyła dwójkę dzieci do wyznaczonych łóżeczek i zanim poszła po następne, zaczęła nerwowo zaglądać do sal, by odnaleźć Natalkę. Nie zważała na smród ani rozdzierający płacz dzieci, który mógł skruszyć serce nawet najbardziej zimnej istoty, tylko w panice szukała swojej córki. W końcu ujrzała ją. Dziewczynka siedziała w brudnych, dziurawych na jednej stopie śpioszkaach za szczebelkami metalowego łóżeczka i wpatrywała się to w ścianę, to w sufit, jakby pragnęła znaleźć sobie jakąś rozrywkę. Alicja przełknęła ślinę, żeby się nie rozkleić, podeszła do łóżeczka i chwyciła dziewczynkę. Przytuliła ją do siebie i szepotała uspokajająco, aby przypadkiem Natalka nie zaczęła płakać. Wyszła na korytarz i rozejrzała się. Kucharka wciąż paliła papierosa, ale zdawała się kompletnie nie interesować kobietą w białym fartuchu i czepku, niosącą na ręku dziecko.

Alicja wyszła przed budynek i ponownie rozejrzała się. Jedyńa osobą, którą zobaczyła, był Michał, który rozpostarł jakąś derkę na spłachetku wysuszonej trawy i korzystał z chwilowego postoju, by nieco poleniuchować. Posadziła dziewczynkę

na pace samochodu i w tym momencie jej córka zaczęła rozdzierająco krzyczeć, jakby dotarło do niej, że oto jej mama wzięła ją w ramiona, by chwilę potem kolejny raz zostawić ją na pastwę losu. Alicja podała jej butelkę z wodą i dziewczynka zamilkła. Ona zaś w pośpiechu wyprowadzała albo niosła na rękach kolejne dzieci i lokowała je w pokojach. Jedno z nich umieściła w łóżeczku Natalki. Wychodząc z budynku, natknęła się na Olgę, kiwnęła głową w jej stronę na znak, że zrobiła, co trzeba i obie udały się w kierunku samochodu. Alicja wzięła w ramiona córeczkę i cały czas przemawiała do niej cicho, żeby dziewczynka przestała kwilić. Na szczęście chwilę potem rozległ się warkot odpalanego silnika, który skutecznie zagłuszył cichy płacz dziecka. Teraz czekało je najtrudniejsze zadanie i Alicja miała nadzieję, że Olga sobie z tym poradzi. A musiała, jeśli chciała być wolna.



– Już mi nogi w tyłek wlażyły od tego łażenia. I gorąco jak w piekle – powiedział nieco zniecierpliwiony Szymek.

– Mnie też w gardle zaschło. Może poprosimy jakiegoś gospodarza, żeby nam jaką kwadrę wody ze studni dał? – westchnęła Zosia. – Ja to myślę, że my głupio robimy. Dwa lata minęły z nadstatkiem, a my psa szukamy.

– Ja tam też miarkuję, że go nie znajdziemy, ale przynajmniej chcę myśleć, że próbowałem. Ciebie też szukałem i znalazłem – bąknął Szymek i zapytał: – A jak ci tam, u tych Walewskich?

– Dobrze. Mam swój pokój i do szkoły normalnej pójdę od września. Co prawda klasy łączone, ale ładnie tam jest. Kiedyś to był dworek i jacyś wielcy państwo tam mieszkali, więc podobno nawet parkiet jest na podłodze i sztukaterie na ścianach – powiedziała podekscytowana Zosia, po czym dodała: – Pan Walewski to wyklina na nową władzę, że dworek przywłaszczyła, i szczęście od Boga, że szkołę w nim zrobiła, a nie chlew. Ja tam się nie odzywam, bo i po co, ale przecież gdyby nie wzięli tego dworku, to szkoły w ogóle by nie było. Ale pan Walewski mówi, że to grabież i złodziejstwo i że kiedyś komuniści za to wisieć będą. Ja to w ogóle kombinuję, że on kiedy do kozy pójdzie, bo tak się z tymi obok kłóci, że aż mi wstyd niekiedy. Bo ci, co musiał im pół domu oddać, to kury samopas puszczają na podwórko i wszędzie kurze kupy leżą, nieraz przywlekłam na sandałkach do domu. I tam, gdzie kiedyś pan Walewski bryczkę trzymał, to sobie świnię sprowadzili i trzymają. Ale przecie to nie są złe ludzie, to nie wiem, po co on ich tak wyklina – perorowała przejęta Zosia.

– Pan Lewin mówi, że to dziejowa sprawiedliwość, żeby wszyscy mieli po równo – niepewnie bąknął Szymek.

– Mnie też się tak zdaje, że teraz to ci bogaci powinni podzielić się z tymi, co nic nie mają. W sierocińcu przyjeżdżał taki jeden w kapeluszu i zbierano nas w świetlicy. Opowiadał nam, że teraz będzie inaczej, jak przed wojną. Fajnie gadał i chyba był mądry. Mówił, że nie może być tak, iż jedni umierają z głodu, a inni cierpią z obżarstwa. Tylko o Ruskich za dużo opowiadał, że nas wyzwolili i powinniśmy być im wdzięczni. A przecie w Warszawie to nam jakoś nie pomogli za bardzo. A pan Walewski to znowuż inaczej gada... Kto tam by się w tym połapał. Ja to się cieszę, że teraz to nawet będę mogła lekarzem zostać, jak zechce, bo za darmo kształcić się można, a tak to kto by mi zapłacił za szkoły, jak ja sierota? Teraz jak kto biedny albo sierota, to i do bursy szybciej go dadzą albo co. Mnie się to nawet podoba. – Zosia była bardzo podekscytowana nowym ustrojem, widząc w nim jedynie plusy, i nie bardzo rozumiała utyskiwania pana Walewskiego, chociaż wdzięczna mu była, że ją wziął z sierocińca i dał opiekę.

Zosia i Szymek właściwie zwiedzali tereny wokół Pruszkowa, uznając, że tak potężny pies, jakim był Ziutek, mógł jedynie znaleźć dom na wsi. Co prawda pytali u dróżnika, a nawet zajrzeli do niegdysiejszego dulażu i indagowali strażnika przy bramie, ale niestety, nikt nic nie wiedział i nikt nie widział potężnego, kudłatego

czworonoga.

Szymek wszedł niepewnie do następnej zagrody, obawiając się jakiegoś zjadłego stróża, ale uwiązany do budy kundel, z zaropiałymi ślepiami i plackami na ciele pozbawionymi sierści, nawet nie zwrócił na nich uwagi. Zapewne ów pies był już wiekowy i czekał jedynie na nieuchronną śmierć, nie zadając sobie trudu przeganiaania intruzów. Być może nawet nie miał siły szczekać i warczeć, dlatego łypnął jedynie okiem, zobojętniały na otaczający go świat.

Niemal na środku posesji stał potężnych rozmiarów klon, ocieniając podwórze i stojącą kawalek dalej studnię, zabudowaną drewnianym daszkiem. Część rozłożystych gałęzi zahaczała o dach pokrytego omszałą dachówką domu. Po lewej stronie, w pełnym słońcu, stała drewniana stodoła, a obok niej niewielki chlew, zamknięty na metalową, nieco przerdzewiałą sztabę, jak gdyby gospodarz ukrywał w niej co najmniej złoto i klejnoty. Szymek pomyślał, że gdyby w istocie tak było, każdy złodziej w pierwszej kolejności dobrałby się do tego miejsca, sądząc, że znajdzie tam coś drogiego.

Para zbliżała się do drzwi domostwa, pomalowanych na przedziwny kolor przegniłych liści, gdy wierzeje stodoły otworzyły się i stanął w nich mężczyzna dość stary, z siwymi, przeredzonymi włosami i wyrazem twarzy człowieka, dla którego każdy napotkany osobnik jest wrogiem. Nie tylko ów wyraz twarzy świadczył o niezbyt pozytywnym nastawieniu do świata, ale sugerowały to także trzymane w ręku widły.

– Czego? – zapytał gromko, kierując metalowe ostrza wideł w ich stronę.

– Wody trochę chcieliśmy się napić, panie gospodarzu, bo gorąc jak w piekle – grzecznie powiedział Szymek, przerażony zachowaniem mężczyzny.

Człowiek odłożył widły, opierając je o wierzeje stodoły, i bez słowa podszedł do studni. Otworzył klapę i nabrał wody. Podał Szymkowi metalowy kubek stojący na wystającym kręgu i wciąż milcząc, wpatrywał się wnikliwie w parę nastolatków.

– A możemy tu chwilę usiąść pod drzewem i odpocząć? – niepewnie zapytała Zosia.

Gospodarz pokiwał głową i miał już odejść do swoich zajęć, uznając, że przybysze nie są groźni, gdy Szymek zagadnął:

– Psa szukamy. Takiego wielkiego mieszańca. Tu gdzieś się zawieruszył w okolicach Pruszkowa, ale rzuca się w oczy, bo psisko wielkie jak mały cielak.

– A kiedy on wam się zapodział? – zapytał mężczyzna, wciąż głosem niezbyt przyjemnym.

Szymek popatrzył na Zosię, jakby wstydził się wyznać, że dawno temu, i wydukał:

– A zara po powstaniu, jak nas do dulażu w Pruszkowie zwieźli. Jakoś się do wagonu zaplątał, a potem czmychnął do miasteczka.

– Chyba żeście pogłupieli, że zwierzaka szukacie po takim czasie. Ja tylko jednego wielkiego psa znam w okolicy, u Waszuta takiego dużego mają, ale on zdaje się to już dłużej u nich jest. Tak mi się jakoś majaczy. Zapamiętałem, bo jak bronę od Waszutów chciałem pożyczyć, to mi skurkowaniec mało tyłka nie odgryzł. Idźta i zapytajta, może to i on – powiedział gospodarz.

Szymek chciał jeszcze dopytać o dokładniejszy wygląd psa, bo do owych Waszutów było przeszło trzy kilometry, a upał panował ogłuszający i myśl o przejściu

tej drogi bez celu odstręczała go. Nie zdążył jednak, bo przed dom podjechał gazik i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden ubrany był w stare wojskowe spodnie i brudny podkoszulek, drugi zaś miał odprasowaną białą koszulę i czerwony krawat.

– Obywatelu Kaszkowski... – powiedział oficjalnie człowiek w krawacie. – Dlaczegoście nie wydali żyta na podatek gruntowy?

– Małe zbiory miałem, ziemia na wiór zeschnięta – prychnął Kaszkowski.

– U innych nie zeschnięta, tylko u was zeschnięta? – zapytał chłopak nieco złośliwym tonem.

– A tak wypadło – burknął chłop.

– A to pokażcie, co tam w stodole macie. Żniwa się skończyły. – Mężczyzna w krawacie zaśmiał się szyderczo.

– Ty, Lisiak, zaglądamy sobie do komitetu partii, a nie do mojej stodoły. Gacie w zębach nosiłeś, jak ja gospodarzę po ojcu przejąłem, a za okupacji i tak głodowaliśmy. Ale wojna się skończyła i ja głodować już nie zamierzam! – krzyknął zdenerwowany Kaszkowski.

– Milicję sprowadzę, a i tak weźmiemy, co się według dekretu należy. A wy, Kaszkowski, w więzieniu skończycie, jako wichrzyciel i wróg władzy ludowej – odpyskował chłopak.

– Ojcu wstyd przynosisz, gówniarzu. Ludzi porządnych okradasz, złodzieju. – Kaszkowski aż poczerwieniał ze złości.

– Ojciec też musiał oddać, co nie jego. A z wami inaczej się rozprawię – warknął Lisiak, po czym wsiadł wraz ze swoim kompanem do gazika i odjechał, wzniecając tumany kurzu.

– Nie moje, cholera jasna, nie moje?! A czyje, jak nie moje?! – Kaszkowski wciąż krzyczał, zdegustowany zachowaniem przybyłego urzędnika.

Był tak poirytowany, że Zosia z Szymkiem czym prędzej opuścili posesję i poszli drogą w kierunku domostwa, gdzie mieszkał pies, który podobno był postrachem całej okolicy.

Na szczęście odpoczęli w cieniu klonu i napili się lodowatej wody ze studni, dzięki czemu wędrówka nie była tak męcząca. Wkrótce doszli do zabudowań Waszutów i zaczęli wyglądać psa. Podwórko jednak było puste. Nie było też nikogo z domowników i nie mogli nawet zapytać o swojego przyjaciela. Zajrzeli do obory, ale wewnątrz także nikogo nie zastali.

– Nie wiem jak ty, Szymek, ale ja to już nóg nie czuję. Trzeba nam do domu jechać. I państwo Walewscy będą się martwić, jak tak długo nie będę wracała – powiedziała ze smutkiem Zosia.

– Ja też już straciłem nadzieję, wracajmy – z westchnieniem odparł Szymek. – Ale szkoda tak odchodzić z niczym, jakeśmy już tutaj doleźli.

– A wiadomo, gdzie są? – Zosia wzruszyła ramionami. – Ja dłużej czekać nie mogę, bo pociąg nam ucieknie i do Walewskich na noc zajadę.

Szymek potaknął i powłócząc nogami, ruszyli piaszczystą drogą w kierunku miasteczka i stacji kolejowej. Mimo że było już po południu, słońce nie odpuszczało i wciąż było przeraźliwie gorąco.

– Jak na pustyni – mruknęła Zosia, powoli stawiając kroki.

– Podobnież na pustyni to majaki się ma. Rozumiesz, widzisz drzewo albo studnię, idziesz w to miejsce, a tam nic nie ma – powiedział Szymek.

– To ja już to chyba mam, bo Ziotka widzę – jęknęła Zosia.

Szymek zmrużył oczy i zaczął patrzeć na drogę, ale jedyne, co widział, to furmankę, obok niej idącego chłopca, a za wozem kroczące powoli cztery krowy, którym najwyraźniej także musiał dokuczać upał, bo gospodarz co i rusz zatrzymywał się, oglądał się na swoje stadko i klął jak szewc.

– Może żeś go z krową pomyliła – zarechotał Szymek. – Tylko Ziutek nie ła-ciaty ani trochę.

– Pewnie to te pustynne majaki – mruknęła Zosia i ruszyła przed siebie.

W pewnym momencie jednak Szymek zatrzymał się i chwycił dziewczynę za rękę.

– A niech mnie! – krzyknął i pobiegł w stronę furmanki.

Zosia odruchowo ruszyła za nim, ale nie miała siły, więc została w tyle i usiłow-ała zgadnąć, dlaczego jej przyjaciel nagle zaczął tak się śpieszyć.

Ziutek krążył pomiędzy krowami i głośnym szczekaniem usiłował zmusić je do żywszego poruszania się. Nagle stanął w miejscu, pośrodku piaszczystej drogi, i najeżył sierść. Szymek nie przestraszył się ani trochę, będąc przekonany, że pies go rozpozna i nie zrobi mu żadnej krzywdy. W istocie, dosłownie po kilku chwilach Ziutek zaczął merdać ogonem i biec w stronę Szymka.

– Ziutek, piesku, żyjesz. – Szymek łkał, nie zważając na to, że tuż za nim szła Zosia i nie bardzo wypadało, by mazać się przy dziewczynie.

Zosia jednak nie zwróciła na to uwagi, tylko kucnęła obok Szymka i głaskała psa po szorstkiej, gęstej sierści. Chłop patrzył na ten obrazek z niedowierzaniem, bo-wiem Ziutek był groźnym psem i nie lubił obcych, tymczasem ta dwójka dzieciaków zrobiła z tego ostrego psa potulnego zwierzaka. Domyślił się, że ta para jest mu do-brze znana.

– Dzień dobry – powiedziała do gospodarza uradowana Zosia. – To nasz pies, Ziutek się nazywa. Szukaliśmy go po całym Pruszkowie.

– Ziutek... – uśmiechnął się chłop. – Ja to na niego Misiek wołam, bo niedź-wiedzia przypomina. Jak się dowlókl do mnie, ledwie zipiąc, to myślałem, że na-prawdę jaki gruby zwierz się przypałętał, i już nawet dubeltówkę uszykowałem. Ale patrzę potem, a to psisko. Dałem mu wody i trochę kaszy, i tak został u mnie na go-spodarce. A mądry taki, że nigdy takiego psa nie miałem. Gadam do niego, jak do człowieka, a on patrzy na mnie, tak ten łeb przechyla, jakby skubaniec wszystko ro-zumiał.

– Bo on rozumie – powiedział Szymek. – W powstaniu z nami był, a potem nas wywieźli i dopiero teraz przyjechaliśmy go szukać.

– I co zamierzacie? Przecież on w mieście tylko męczyć się będzie. – Chłop zmarszczył czoło.

– On mnie w kanałach nie zostawił, to i ja go nie zostawię, choćbym miał z nim nawet w piwnicy mieszkać. – Szymek znowu się rozkleił i w jego oczach poja-wiły się łzy.

– Oj, smutno mi będzie bez niego, ale jak wasz, to i tak za wami polecę – po-wiedział z westchnieniem chłop i pogłaskał Ziutka po łbie, a potem oglądając się jeszcze za swoim przyjacielem, ruszył w stronę zabudowań.

## 22. Los Angeles, 1947

Igor Łyszkin czuł się dziwnie, gdy przysięgał przed ołtarzem miłość i wierność Judith Grace. Nie chodziło o fakt, że robił to w kościele, do którego nie chadzał, ale o kłamstwa, jakie wypowiadał. Pomyślał, że gdyby mityczny Bóg istniał, powinien w tym momencie zareagować i na przykład uderzyć piorunem w jego osobę. Nic jednak takiego nie nastąpiło, a nabożeństwo odbyło się bez zakłóceń. Rodzice panny młodej byli wniebowzięci, bo tego dnia ich córka wyglądała jak bogini i miała na sobie suknię wartą tyle, ile oboje zarabiali w ciągu roku. Poza tym para młoda przybyła do kościoła lincolnem, luksusowym autem, o jakim nigdy nawet nie marzyli.

Fiodor wciąż był wściekły na syna i składając życzenia młodej parze, nawet nie uśmiechnął się. Maria Łyszkin, dla odmiany, pochłipywała ze wzruszenia, że oto jej syn w końcu się ożenił, a ona może już powoli wypatrywać wnucząt. Jej małżonek wciąż ukrywał przed nią, iż została babcią cztery lata temu, a jej wnuczek mieszkał teraz z gwiazdą piosenki, Hanką Lewinówną. Fiodor nie miał pojęcia, w co wpakował się jego syn i jak zakończy się ten cały teatrzyk, ale miał nadzieję, że Igor posiadał jakąś przyzwoitość w sobie i chociaż minimalny instynkt samozachowawczy. Nie rozumiał jednak, po co mieszał w to wszystko całkiem miłą dziewczynę, która być może płakałaby za nim czas jakiś, ale wkrótce mogłaby znaleźć sobie kolejnego adoratora.

Zgodnie z planem para młoda zaraz po dość skromnym przyjęciu udała się w bardzo krótką podróż poślubną, a potem wprowadziła się do wynajętego mieszkania, znajdującego się w jednym z przyjemnych, wielorodzinnych domów w dzielnicy Venice. Igor teoretycznie wciąż pracował u ojca i niemal każdego dnia utyskiwał na trudny charakter Fiodora. Rodziców odwiedzali rzadko, ale gdy to robili, stary Łyszkin w istocie miał skwaszoną minę i niezbyt wylewnie witał syna. Judith nie mogła wiedzieć, że owe chłodne stosunki między ojcem i synem wynikały zupełnie z czegoś innego i nie dotyczyły pracy w firmie Fiodora.

Wkrótce jednak nadszedł dzień, w którym Igor bez przeszkód mógł podjąć pracę w Los Alamos, bo wszelkie formalności związane z jego statusem zostały dopełnione, z firmy telekomunikacyjnej przyszło potwierdzenie, że miejsce do pracy i życia czeka na niego, zatem pozostało mu jedynie zakomunikowanie tego Judith. W tym celu postanowił zabrać ją na krótką wycieczkę do San Francisco.

Judith wyglądała na szczęśliwą i zrelaksowaną, gdy jechali wzdłuż oceanu i kompletnie nie spodziewała się tego, co usłyszy.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział Igor z uśmiechem i tonem tak beztróskim, jakby w istocie wyjazd do Los Alamos uważał za dar niebios dla nich obojga.

– Słucham. – Judith przeciągnęła się jak kociak, z nadzieją, że usłyszy za chwilę jakieś cudowne wieści dotyczące ich wspólnej przyszłości.

– Dostałem pracę. I to nie byle gdzie. W końcu będę niezależny. Czyż to nie cudowne? – powiedział z entuzjazmem.

– Opowiadaj. Szybko. – Judith była podekscytowana.

– W firmie telefonicznej, będę zakładał telefony. Ale najważniejsze, że dostałem także dom, za który nie będę musiał płacić – odparł Łyszkin.

Przez chwilę w samochodzie zapanowała cisza. Najwyraźniej Judith trawiła otrzymane wiadomości, zapewne zastanawiając się, czy w istocie praca w charakterze montera telefonów jest tak intratna. Służbowy domek wzbudził jednak jej zainteresowanie i na pewno ta informacja była nad wyraz dobra.

– I w której dzielnicy zamieszkamy? Też w Venice? – zapytała niepewnie, bo w końcu ich domek mógł znajdować się w jakiejś nieciekawej okolicy. Trudno było przypuszczać, że zwykły monter otrzyma służbowe lokum w Beverly Hills.

– Właściwie to małe miasteczko. Los Alamos – powiedział Łyszkin, nie przestając się uśmiechać.

– A gdzie to, u licha, jest? Gdzieś nad oceanem? – dopytywała się Judith, której pomysł wyprowadzenia się na prowincję niezbyt się spodobał.

Miała jedynie nadzieję, że owo miasteczko znajduje się blisko Los Angeles i jest być może jednym z tych turystycznych miejsc, do którego zjeżdża w weekendy cała śmietanka tego wielkiego miasta, by anonimowo odpocząć od wyczerpujących zajęć.

– Nie, nie nad oceanem – odpowiedział Igor. – W Nowym Meksyku.

Judith otworzyła usta, jakby nie dowierzała temu, co usłyszała, a potem zamknęła je i przez dłuższą chwilę nie wypowiedziała słowa. Po kilkunastu minutach odezwała się jednak.

– To był żart, prawda? – wydukała.

Igor spodziewał się podobnej reakcji. Zapewne byłaby podobna, gdyby oświadczył jej, że oto zabiera ją na Alaskę.

– Nie, Judith. Nie żartuję. To dla mnie ogromna szansa, ponieważ będę pracował dla rządu. Może na początku moja praca nie zagwarantuje mi jakichś spektakularnych sukcesów, ale z czasem... – zaczął, ale Judith przerwała mu.

– Igor, jesteś już w wieku, gdy powinno się być na szczycie, a nie zaczynać od początku. Twój ojciec ma swoje lata, lada moment przestanie pracować. Na Boga, co złego jest w sprzedawaniu samochodów? I to w dodatku nie jako najemnik, ale właściciel. Naprawdę mam skakać z radości, że zrezygnowałeś z dość luksusowego życia, żeby zakładać ludziom telefony? – prychnęła rozzłoszczona.

Łyszkin zjechał z drogi i zatrzymał się na kamienistym poboczu. Odwrócił twarz w stronę Judith, a jego oczy rzuciły gromy. Doszedł do wniosku, że nie będzie tłumaczył się ze swoich decyzji, gdy już został mężem Judith.

– Powiedziałaś, nie dalej jak wczoraj, że mnie kochasz. A dzisiaj obrażasz się, bo nie będziesz pławiła się luksusach. A może ty kochasz pieniądze mojego ojca, a nie mnie? – zapytał ostro.

Judith w jednej chwili straciła rezon i nieco wystraszyła się tonu Igora.

– Dobrze, już dobrze. Jeśli tak bardzo nie cierpisz Los Angeles i swojego ojca, to wyjedźmy. Mam nadzieję, że niebawem zajdę w ciążę i urodzę dziecko, w przeciwnym razie oszaleję na tym pustkowiu. Przecież Nowy Meksyk to kompletna dzicz – mruknęła.

– Grzeczna dziewczynka. – Łyszkin uśmiechnął się i ruszył przed siebie.

Wiedział, że zachowuje się podle, ale nie miał ochoty zajmować się humorami Judith, bo on ryzykował życiem, a co najmniej swoją wolnością. Judith pewnego dnia

straci jego, ale to będą jedyne szkody. Była młoda i piękna, zapewne po jego odejściu rychło znajdzie nowego męża, a on? Różnie mogło być. W Los Alamos mieli kompletnego świra na punkcie tajemnic i naukowcy pracujący w ośrodku nie mieli prawa rozmawiać na temat swojej pracy, nawet ze swoimi współmałżonkami. Nie mogli wypowiadać ani jednego słowa dotyczącego nazwy programu, co zakrawało już na lekki obłąd, bowiem każdy, kto tam przebywał, doskonale wiedział, co się dzieje za bramą zakładu. Zapewne szczegóły były znane tylko nielicznym, ale im częściej używano słów „tajne” lub „ściśle tajne”, tym większą to budziło sensację.

Ta podróż nie należała do udanych i Igor z ulgą opuścił San Francisco. Judith, mimo że już nie dyskutowała z nim o przeprowadzce do Los Alamos, była wciąż naburmuszona i nie bawiło ją nic, co zaproponował Igor. Ani kolacja w najbardziej romantycznej i cholernie drogiej knajpie, ani też spacer przy blasku księżyca. Ożywiła się na krótko jedynie wówczas, gdy podarował jej bransoletkę od Tiffany’ego. Nawet w łóżku nie potrafił odnaleźć swojej gorącej kochanki, którą niegdyś była.

Po kilku dniach, zapakowawszy rzeczy do starego gruchota, którego Igor wspaniałomyślnie otrzymał w prezencie od Fiodora, dotarli do skromnego domku w Los Alamos. Firma meblarska zdążyła już dowieźć zamówienie, a ponieważ meble były nowe i całkiem eleganckie, Judith nieco odzyskała humor. Łyszkin z ulgą przyjął fakt, że jego niedawno poślubiona małżonka oddała się całkowicie urządzeniu ich domostwa, i zajął się swoimi sprawami.

Poszedł do łazienki i wyciągnął z za rezerwuaru foliową torebkę, a z niej pióro. Odkręcił je i wysunął stamtąd zwiniętą karteczkę, posługując się wsuwką do włosów należącą do Judith. Z kieszeni spodni wyjął lupę i zaczął studiować życiorys pewnego wybitnego profesora. Był jednym z wielu niemieckich naukowców, których alianci przygarnęli tuż po wojnie, by teraz pracowali na rzecz rządu Stanów Zjednoczonych. Nazywał się Reinhard Foks i zajmował się badaniami nad materiałami rozszczepialnymi. Pochodził z Getyngi, studiował w Monachium, a został odizolowany od reszty świata na wyspie Uznam. Teraz mieszkał w równie małym domu, co Łyszkinowie, ale jego sąsiadami nie był personel pomocniczy, ale inni naukowcy. Nie miał żony i do domu wracał jedynie po to, żeby się przespać, bowiem nawet posiłki spożywał w kantynie na terenie ośrodka.

Kiedy Igor już przeczytał wiadomości na temat Foksa, wrzucił karteczkę do toalety i spuścił wodę. Wyszedł z łazienki, pochwalił żonę za firanki w oknach i obrus w kwiaty, po czym poszedł do sypialni i równo o dziesiątej wieczorem zasnął kamiennym snem. Tak, nie wyzbył się tych wszystkich rytuałów, którym hołdował, wykonując misje w Związku Radzieckim. Plan dnia, łącznie z godzinami snu i spożywania posiłków, był starannie ustalony i rzadko kiedy Igor łamał swój harmonogram zajęć, przygotowując się do jakiegoś zadania. Tym razem w swoim grafiku musiał uwzględnić również czas dla Judith i dogadzanie jej w łóżku. Doszedł do wniosku, że trzy razy w tygodniu w zupełności wystarczą. A ponieważ plan zakładał, że będzie się to odbywało we wtorki, czwartki i soboty, tego dnia mógł zasnąć bez konieczności umizgiwania się do żony.

Weronika Chełmicka nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio siedziała w przytulnej kafejce, piła wino i słuchała komplementów. Było pięknie, romantycznie i jedyne, czego żałowała, to tego, że owym czarującym mężczyzną siedzącym naprzeciwko niej nie jest jej mąż, tylko Gustav. Natknęli się na siebie przypadkiem, gdy szła na przystanek i nagle lunął deszcz. Niebo spowiło się ciężkimi, ciemnymi chmurami, a potem hektolitry wody spadły na ulice Lozanny, zamieniając je w rwące potoki. I wtedy zaproponował, by przeczekać tę ulewę w jednej z przytulnych knajpek. Być może gdyby nie fakt, iż naprawdę lubiła Gustava i jego radosne usposobienie, odmówiłaby, ale wiedziała, że z nim czas upłynie jej szybko i miło.

Gustav pytał ją o Juliana, o wydarzenia w Polsce i o powstanie, ale Weronika nie chciała mówić o przykrych sprawach z przeszłości, a skupić się na planach i marzeniach.

– Jeśli będziesz już mogła praktykować, zostanę twoim pierwszym pacjentem – zapewnił z uśmiechem.

– Jesteś na coś chory? – zapytała z troską.

– Chyba nie, ale coś wymyślę, żebym mógł poczuć na skórze twoje delikatne dłonie – powiedział niskim, uwodzicielskim głosem.

Podtekst był oczywisty i powinna zachnąć się albo obrócić to zdanie w żart, ale wbrew pozorom brakowało jej męskiego zainteresowania. Julian prawie jej nie zauważał, a jeśli już, traktował jak naczynie na swoje niechciane emocjonalne odpadki. Słuchała cierpliwie, pocieszała, mówiła pokrzepiające banały, po czym nadchodził wieczór, kładli się do łóżka i Julian natychmiast odwracał się plecami, by kilka minut później spać głębokim snem. Być może powinna zrobić mu karczemną awanturę, rozplakać się histerycznie albo urządzić mu ciche dni, ale ona nie potrafiła zachowywać się jak Alicja Rosińska. Była damą, a te nie wszczynały kłótni ani też nie okazywały zbyt emocji. A może to był błąd? Od samego początku? W końcu Julian, nawet wówczas, gdy już byli małżeństwem, wciąż wzdychał to Alicji. Tak różnej od niej. Nie potrafiła myśleć o niej źle. Pewne bolesne wydarzenia bardzo zbliżyły je do siebie, ale faktu, że ta kobieta wciąż stała między nimi, nie mogła ignorować. Przynajmniej w swoim sercu.

Gustav wciąż mówił miłe rzeczy, niekiedy zabawne, a przede wszystkim okazywał jej troskę. Przecież zmokła i może się przeziębic, ma daleko do domu, a deszcz wciąż pada. A czy noga, na którą utyka, przypadkiem jej nie boli, gdy chodzi zbyt długo. Dla Weroniki takie sprawy wydawały się głupstwami, do których nie przywiązywała żadnej wagi. Bo cóż znaczył katar, gdy szła z kulą w nodze przez ciemny, śmierdzący kanał, unurzana w brudnej wodzie i z wysoką gorączką? Drobiazgiem, na który nie zwracała szczególnej uwagi, bo gdy wygrywa się życie, nabiera się do takich kwestii ogromnego dystansu. Zachowywała się zupełnie inaczej niż jej mąż. On nie potrafił cieszyć się, że dostał od losu drugą szansę.

– Wiesz co, zrobimy tak... Pójdziemy do mnie i wezmę samochód, a potem odwiozę cię do domu. A przedtem dam ci jakieś suche rzeczy. Nie pozostało mi już



nic po Manon i będziesz musiała zadowolić się męskim odzieniem, ale zawsze to lepiej, niż miałabyś chodzić w mokrych ubraniach – powiedział Gustav.

Zgodziła się. Nie dlatego, że bała się przeziębienia, ale rozczułała ją postawa tego mężczyzny. Jego opiekuńczość była szczerą, a nie podyktowaną wypełnianiem przykrego obowiązku. Dopili wino i opuścili lokal. Deszcz nieco osłabł, ale wciąż padał i wcale nie było tak ciepło, jak można byłoby się spodziewać po letniej porze roku.

Gustaw mieszkał kilka przecznic dalej, przy zacisznej, zadrzewionej uliczce. Kamieniczki były urocze, pamiętające poprzedni wiek, i w jednej z nich jej towarzysz miał mieszkanie. Spodziewała się po nim, że ma je urządzone w nieco renesansowym stylu, z ciężkimi, antycznymi kredensami i takimiż kanapami. Zdziwiła się jednak, bo w domu Gustava dominowały jasne, proste meble, które stawały się coraz modniejsze, jednak wciąż uważane były za zbyt ekscentryczne. Spodziewała się także, że z każdego miejsca będą spoglądały na nią czujne oczy zmarłej małżonki, ale dostrzegła tylko jedną, niewielką fotografię w prostej ramce, przedstawiającą postawną blondynkę, Gustava i małą dziewczynkę siedzącą w wózek. Jedna ściana salonu zabudowana była jasnymi regałami, które po brzegi wypełnione były książkami, a w oknach wisały jedynie lekkie, płócienne zasłony, co sprawiało, że pomieszczenie wydawało się przestronne i widne.

Gustav posadził ją w futurystycznym fotelu i zniknął w sypialni, by powrócić po chwili z grubym ręcznikiem, swoją koszulą i jasnymi spodniami. Weronika uśmiechnęła się, gdy wyobraziła sobie, jak będzie wyglądała w obszernych ubraniach Gustava, ale pomyślała, że gdy je założy, może poczuje zapach innego mężczyzny i przez chwilę nie będzie musiała myśleć o tym, który ją ignorował. Przeszła do łazienki i po kilku minutach pokazała się w nowym stroju.

– Wyglądasz słodko – powiedział Gustav i spoważniał. – Naprawdę, jesteś tak piękną kobietą, że nawet w takim stroju prezentujesz się doskonale.

Weronika spuściła wzrok. Jakże jej tego brakowało... Wciąż kochała Juliana, ale przez jedną krótką chwilę przemknęła jej myśl, że nie miałaby nic przeciwko temu, żeby uciąć sobie jakiś mały romans, by poczuć się znowu kobietą. Odpędziła jednak tę myśl. Julian, bez względu na to, jak się zachowywał, wciąż był jej mężem i pewnego dnia postanowiła, że będzie z nim na dobre i na złe. Na złe już była, więc może nadejdzie wkrótce to dobre?

– Odwieź mnie do domu, Gustavie. Julian będzie się niepokoił, że tak długo nie wracam z Lozanny – powiedziała cicho i spuściła głowę.

– Oczywiście, moja droga. Ja też muszę odebrać Clarę ze szkoły. Kończy lekcje za dwie godziny – odpowiedział ze smutkiem w głosie.

Weronika popatrzyła na Gustava i napotkała jego spojrzenie. Był to wzrok człowieka, który współczuje drugiemu, że ten nie otrzymuje tego, na co zasługuje. Pomyślała, iż musi wyglądać na nieszczęśliwą kobietę, i doszła do wniosku, że w istocie ostatnio tak się czuła.

W drodze do domu Chełmickich niewiele rozmawiali. Od czasu do czasu padały jakieś zdawkowe uwagi dotyczące pogody czy dzieci, ale atmosfera między nimi wciąż była pełna jakiegoś napięcia, jakby oboje myśleli o tym samym, ale nie bardzo mogli na ten temat porozmawiać. Oboje tęsknili, by być z kimś, kto kocha, rozumie i jest podporą w każdej sytuacji.

– Jak będę w Lozannie następnym razem, zadzwonię i wpadnę zwrócić ci ubrania. Albo do domu, albo do kancelarii – powiedziała Weronika, zegnając się z Gustavem.

– Koniecznie. Będą mi bardzo potrzebne w najbliższym czasie. – Puścił do niej oko.

– W takim razie postaram się to uczynić jak najszybciej. – Roześmiała się i poszła w stronę domu.

Julian siedział przy stole w kuchni i karmił Amelkę. Popatrzył na żonę ze zdziwieniem, gdy weszła ubrana w za duże ubrania, i w dodatku męskie.

– A co ty, u licha, masz na sobie? – zapytał, marszcząc czoło.

– Przemokłam do suchej nitki, w torbie mam swoją sukienkę. Ale wyobraź sobie, spotkałam Gustava, zaprosił mnie do siebie i pożyczył swoje ubranie, a potem odwiózł samochodem do domu. Czyż to nie uprzejme z jego strony? – powiedziała Weronika, badawczo przyglądając się mężowi.

Miała nadzieję, że zrobi jej scenę zazdrości albo przynajmniej zapyta o coś więcej, ale on tylko pokiwał głową i powiedział bez najmniejszej złośliwości w głosie:

– Miły człowiek z tego Gustava. Muszę postawić mu piwo, gdy przyjedzie z tą małą na lekcję.

Weronika stała jeszcze przez chwilę w drzwiach, wpatrując się w swojego męża, ale ten niemal natychmiast stracił nią zainteresowanie, zanurzył łyżeczkę w kaszce Amelki i wsunął jej do ust. A potem pogłaskał po głowie i powiedział do niej czule:

– Dzielna dziewczyna. Mała córeczka tatusia...

Kobieta wymamrotała, że pójdzie się przebrać, po czym odwróciła się na pięcie i wbiegła na piętro, gdzie znajdowała się ich sypialnia. Popatrzyła na szerokie, wygodne łóżko i ze smutkiem stwierdziła, że ostatnio ten mebel służy im jedynie do spania. Zaczęła rozpinąć guziki koszuli, a gdy ją zdjęła, wtuliła w nią twarz i wdychała zapach Gustava. Poczowała się przeraźliwie samotna, mimo że jej mąż i córka znajdowali się piętro niżej, w kuchni. Jednak ona miała pustkę w sercu, taką jaką tworzy się, gdy ktoś, kto siedzi obok ciebie, jest tak daleki, jak gdyby przebywał tysiące kilometrów stąd. Gorące łzy zaczęły płynąć po jej policzkach i ogarnęło ją poczucie winy. Nie smutku i złości, ale właśnie winy. Tak bardzo chciała zbudować szczęście na ruinach miłości Juliana i Alicji, tak usilnie starała się wbić klin między nich, desperacko i bezwzględnie, bo straciła głowę dla Chełmickiego. Miała poczucie, jakby teraz życie kazało jej za to zapłacić. Została żoną Juliana, urodziła mu córkę, mieszkali w małym, pięknym domku na wsi, więc spełniły się te wszystkie marzenia, które przez kilka lat pielęgnowała w swoim umyśle. A jednak nic nie było takie, jakie być powinno.

24. Berlin, 1947

Nad Berlinem powoli wschodziło słońce, zapowiadając kolejny ciepły, a wręcz upalny dzień. Walter von Lossow wypił ostatni łyk czarnej jak smoła kawy i z dumą popatrzył na maszynopis artykułu. Wiedział, że informacje tam zawarte sprawią, iż przez najbliższe kilka tygodni wszyscy będą mówili tylko o nim. Marie Rauch, asystentka Ludwiga Libera, dostarczyła mu nie tylko wiedzy w interesującym go temacie, ale także dokumenty, dzięki którym byłby w stanie wygrać każdy proces sądowy, gdyby któraś z wymienionych w artykule firm chciała go pozwać. Tytuł brzmiał prowokacyjnie – „Co wspólnego mają amerykańskie koncerny z Holocaustem?”. A w treści było już tylko gorzej. Z dokumentów Libera wynikało, że w pewnym momencie doszło do zмовy cenowej Kruppa i General Electric na wolfram potrzebny do produkcji uzbrojenia. Tym samym alianci stanęli w gorszej pozycji niż zakłady zbrojeniowe w Trzeciej Rzeszy. Kolejnym koncernem umocznym po same uszy był słynny IBM, dostarczający maszyny liczące nie tylko do zakładów związanych z Kruppem, ale także korzystała z nich kolej i administracja obozów koncentracyjnych. Walter wymienił także inne, mniejsze firmy ze Stanów Zjednoczonych, które mimo szalejącej wojny nie miały oporów, by robić interesy z niemieckim przemysłem zbrojeniowym i mordującym na masową skalę ludność cywilną. Owe firmy zza oceanu musiały także wiedzieć, że ich niemieccy partnerzy zatrudniają przymusowych robotników, bo nie stanowiło to szczególnej tajemnicy.

Lossow wziął zimny prysznic, przebrał się w świeże ubranie i zostawiając okropny bałagan w pokoju, pojechał rowerem do redakcji. Mimo wczesnej pory i chłodu poranka dotarł do biura z plamami potu pod pachami i na plecach. Przeklął w duchu, patrząc na swoje odbicie w dużym lustrze znajdującym się w holu redakcji, i postanowił nieco doprowadzić swój wygląd do porządku, zanim zjawi się na kolegium redakcyjnym.

Kiedy wszedł do sali, gdzie omawiano materiał do następnego numeru, Walter wyciągnął swój artykuł „petardę” i zreferował jego treść. Prawnik, otyły i wiecznie spocony Günter Stein, popatrzył znad szkieł okularów na Waltera i w zdumieniu aż otworzył usta, słuchając jego wywodów.

– Przeciągną nas po wszystkich sądach – jęknął.

Niekiedy Lossow zastanawiał się nad jego rolą w redakcji. Zamiast szykować linię obrony dla dociekliwych i niewygodnych dziennikarzy, odwodził ich i naczelnego od publikacji. Zapewne to było prostsze niż późniejsza batalia sądowa, tym razem jednak Walter nie zamierzał odpuszczać.

– Mam tego świadomość – mruknął.

– To może nas kosztować fortunę. A jeśli dojdzie do tego, po prostu przestaniemy istnieć.

Stein puścił w obieg kolejnego straszaka, który niemal zawsze działał. Zarówno na kierownictwo, jak i dziennikarzy. Zamknięcie gazety niesło za sobą konsekwencje utraty pracy, a na taki scenariusz z oczywistych względów patrzono niechętnie.

– Jeśli nie byłbym pewien swoich racji, nie narażałbym gazety. Mam dowody – ze spokojem powiedział Lossow.

Prawnik zaczął połykać powietrze, poruszając jedynie ustami, jakby nie bardzo wiedział, co powiedzieć, gdy w końcu wycedził:

– Ich stać na najlepsze kancelarie prawnicze, tak czy siak rozniosą nas w pył.

– Słuchaj, Stern... – niezbyt przyjemnie Walter skontrolował wypowiedź prawnika. – Z takimi materiałami, jakie posiadam, a pochodzą one z biura Ludwiga Libera, zajmującego się w Kruppie interesami za oceanem, nawet student prawa wygrałby w sądzie. Czyżbyś był aż tak niekompetentny?

– Jestem ostrożny, to wszystko. – Prawnik wzruszył ramionami.

– Tak, jesteś. I dlatego nasza gazeta zaczyna dramatycznie pikować w dół. Bo nie mamy niczego ciekawego ani pikantnego do przekazania. Nie możemy zapychać całej gazety procesami norymberskimi, bo po dwóch latach przestały one być tak ciekawe, jak na początku. Ludzie są znużeni. Tymczasem gdy mamy coś naprawdę wybuchowego, jak chociażby produkcję cyklonu B przez jeden z koncernów farmaceutycznych, to każesz nam się wycofywać, strasząc wizją upadku gazety – nie wytrzymał Lossow.

– Panowie, przestańcie i ochłońcie – powiedział redaktor naczelny, Klemens Grünberg, przyglądając nieco przydługie, nasiąknięte brylantyną włosy.

Zamilkli i nastąpiła niezręczna cisza, którą przerwał jeden z reporterów. Przedstawił propozycję swojego artykułu, tyleż bezpiecznego dla gazety, co nudnego.

– Lossow, przekaz fotokopie dokumentów Sternowi – zwrócił się Grünberg w kierunku Waltera, a potem powiedział do prawnika: – A ty bardzo dokładnie zbadaj, co to jest i jakie mamy szanse na wypadek procesu. Później podejmiemy decyzję, tylko proszę cię, Günter, zrób to piorunem, taki materiał nie może zbyt długo czekać. Być może przedsiębiorcza sekretarka sprzedała te kwity nie tylko nam i za chwilę okaże się, że się spóźniliśmy. Martwi mnie coś innego...

Oczy Waltera w skupieniu przyglądały się twarzy Klemensa Grünberga.

– Atak na amerykańskie koncerny może być odebrany jako atak na aliantów. Zgadnijcie, kto nam przykłaśnie? Stalin i jego świta. Sytuacja jest i tak bardzo napięta. Po prostu posądzą nas o konszachty z komunistami – powiedział z westchnieniem.

– Nie sądzę, Klemens. – Walter wciąż się upierał. – Niedawno napisaliśmy o gwałtach, jakich dopuścili się Sowieci na niemieckich kobietach. Nie był to pochlebny obrazek. Wiele z tych kobiet zamordowano, okaleczono albo zapłodniono. Nie sądzę więc, żeby można było nas podejrzewać o sympatyzowanie z Sowietami. Rzetelne dziennikarstwo nie polega na tym, by przypodobać się komukolwiek, ale pisać prawdę i ujawniać niewygodne fakty.

– Jednak ten podział między Wschodem i Zachodem jest coraz głębszy i można mówić nawet o otwartej wrogości, więc wszystko, co skierujemy przeciwko państwu sprzymierzonym, zyska aplauz na Wschodzie – perorował naczelny. Po chwili jednak zamyślił się i dodał: – Dobrze, Lossow, jeśli Stern uzna, że nasze dokumenty są niepodważalne, wypuścimy ten artykuł.

Lossow odetchnął z ulgą. Miał świadomość, że lekko nie będzie, ale uznał, iż musi spróbować. Gdyby jednak nie zgodzono się na publikację, gotów był pójść z tym gdzieś indziej i tym samym zrezygnować z pracy dla „Der Tagesspiegel”.

Kiedy zakończono spotkanie, Walter pozostał jeszcze w sali i poprosił o krótką

rozmowę z Grünbergiem.

– No co jest, Lossow? Chcesz mnie namówić na puszczenie tego bez opinii Sterna? – mruknął naczelny.

– Nie. Nie chodzi o to. Jestem pewny, że moje dowody są na tyle mocne, iż nawet taki struś jak Stern będzie musiał się z tym zgodzić. Nasza gazeta nie będzie miała problemów, jestem o tym przekonany. Natomiast osoba, która dostarczyła mi te wszystkie papiery, będzie je miała na pewno. Straci pracę, co oczywiste, i obiecałem, że wówczas jej pomogę w otrzymaniu innej. To bystra, inteligentna kobieta. Nie znalazłbyś dla niej jakiejś posady u nas? – zapytał nieśmiało.

– Pamiętaj, Lossow, może jest i bystra, ale kurewsko nielojalna. Wykradła dokumenty swojemu szefowi i podała je na tacy prasie. Skąd pewność, że nie wyniesie czegoś z naszej redakcji i nie sprzeda konkurencji? Zastanów się, chociaż rozumiem twoje poczucie odpowiedzialności. Nie zatrudnię jej jednak, nawet gdyby dostała Pulitzera – prychnął Grünberg.

– Ale muszę jej pomóc. Obiecałem jej to. Jeśli odwróćę się od niej w sytuacji, gdy znajdzie się na lodzie, to ja okażę się nielojalny. W stosunku do niej – burknął Walter.

– Rozumiem i dlatego nie zostawimy jej na lodzie. Załatwię jej robotę u mojego przyjaciela, w wydawnictwie. Wydaje ckleiwe romanse, więc nie będzie mogła mu zaszkodzić. – Grünberg machnął ręką.

– Dziękuję. – Walter uśmiechnął się.

Pozwolił sobie tego dnia już nie zajmować się pracą. Zamierzał spać co najmniej przez dwie doby i zregenerować siły po upojnej nocy z Marie i kolejnej, kiedy pisał artykuł.

Wchodził właśnie do bramy oficyny, gdzie znajdowała się jego nora, gdy ujrzał przechadzającą się Lilly Berg. W letniej sukience w polne kwiaty wyglądała bardzo ładnie i dziewczęco. Waltera jednak przeraziło jej pojawienie się. Zdołał przywyknąć do kawalerskiego życia wypełnionego pracą, życiowego chaosu, totalnego bałaganu w mieszkaniu, a przede wszystkim w jego sercu pewna kobieta pozostawiła swój ślad tak mocny, że był w stanie porównywać to zauroczenie jedynie do tego, jakie ogarnęło go, gdy poznał Holly Evans. To właśnie ta odważna, bezkompromisowa Amerykanka wstrząsnęła jego wartościami i spojrzeniem na świat. Sądził, iż nigdy już nie poczuje takiej fascynacji, jak wówczas, gdy ją poznał. Tymczasem pojawiła się na jego drodze Marie Rauch i od tego momentu niemal bez przerwy zaprzętała jego myśli.

– Lilly? – zdziwił się Walter.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się kwaśno.

– Fatalnie wyglądasz, Walterze.

– Jak miło... – mruknął i zaprosił żonę do mieszkania.

Kiedy weszła, popatrzyła z niesmakiem na porozrzucane papiery, popielniczkę pełną niedopałków i kubki z niedopitą kawą. A do tego wszystkiego niemal pośrodku pokoju leżała górnica brudnych ubrań. Przełożyła stos dokumentów na stół i usiadła na krześle. Po chwili popatrzyła szelmowsko na Waltera i oznajmiła:

– Zakochałam się. Na zawsze, bez pamięci i... potrzebuję jak najszybciej się rozwieść.

Lossow pokiwał głową i powiedział, nieco zmieszany:

– Gratuluję... Oczywiście, oczywiście, złożę papiery, wezmę winę na siebie i podpiszę ci, co zechcesz.

– Kamień spadł mi z serca – złośliwie wycodziła Lilly i dodała: – Chciałam poprosić cię o nocleg, ale chyba jednak poszukam hotelu. Mieszkam teraz w okolicach Monachium, to kawał drogi, a jakoś niezręcznie byłoby, gdybym takie informacje przekazywała ci telefonicznie.

– Lilly... Posłuchaj, wiem, że to wszystko moja wina. Jest mi przykro. I cieszę się, iż znalazłaś sobie nową miłość. Nie chciałem cię skrzywdzić, nie chciałem... – bełkotał Walter, bo w istocie czuł się bardzo winny z powodu Lilly Berg.

– Walterze, wybaczyłam ci to, bo wciąż myślę, że jesteś dobrym człowiekiem. Ale gonisz wiatr, szukasz czegoś, co nie istnieje. Idealnej partnerki, doskonałego uczucia, które będzie każdego dnia budziło twoje serce do życia. Ale czegoś takiego nie ma. To są tylko twoje marzenia i tęsknoty, których nie podaruje ci żadna kobieta. Kiedyś obwinałam siebie. Że jestem zbyt mało seksowna, zbyt cicha i zbyt głupia. Jednak bez względu na to, jak bym wyglądała i jaką mądrość posiadała, w końcu znalazłbyś jakąś rysę w moim charakterze albo wyglądzie. Bo żadna kobieta nie będzie kalką ciebie i twoich marzeń – ciepło powiedziała Lilly i dodała: – Spotkamy się w sądzie, Walterze. Mam nadzieję, że chociaż w swoim zawodzie osiągniesz doskonałość, o jakiej marzysz.

Lilly wstała z krzesła, pokręciła głową, jakby wciąż nie dowierzając, że jej mąż zrobił z ich gniazdka takie pobojuwisko, po czym podeszła do niego, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Po kilku minutach w mieszkaniu Waltera pozostał po niej jedynie zapach jej perfum. Walterowi zrobiło się smutno, bo Lilly uświadomiła mu bardzo prostą prawdę: jego problem nie tkwił w kobietach, które spotykał, ale w nim samym.

Hanka Lewin jechała do sądu i starając się odegnąć myśli od tego, co niebawem nastąpi, przyglądała się londyńskim ulicom. Żyjąc w swoim bezpiecznym kokonie, a potem podróżując po Stanach Zjednoczonych, zapomniała, jak trudno egzystuje się zwykłym ludziom. Wciąż były problemy z aprowizacją, przed sklepami ustawiały się długie kolejki, a w bramach kamienic można było dostrzec wynędzniałych starców lub młodszych ludzi, wyniszczonych trudami życia, wyciągających dłonie po datki. Mimo to można było także zobaczyć nowe inwestycje, coraz więcej samochodów na ulicach i przybywało elegancko ubranych ludzi.

Patrząc na te obrazki, pomyślała, że gdyby dano jej wybór i kazano zamienić swoje dostatnie życie na takie zwyczajne, proste i będące udziałem większości londyńczyków, ale z gwarancją, że nie straci Nadii, nie wahałaby się ani przez chwilę. Być może istniały na świecie matki doskonalsze od niej, ale starała się być dla swoich dzieci czułą opiekunką i kilkumiesięczny okres jej emocjonalnego oddalenia od nich minął bezpowrotnie. Na pewno była bardziej właściwą osobą do opieki nad córką niż Tomasz. Przecież on jej prawie nie znał. Nie widział, jak stawiała pierwsze kroki, nie był przy niej, gdy chorowała na szkarlatynę, i nie przytulał jej, gdy płakała. Nie potrafiła zrozumieć, jak mógł jej coś takiego zrobić i wystąpić do sądu o wyłączną opiekę nad dzieckiem. W swojej szczodrości zaproponował jej wizyty w Guildford raz w miesiącu i spędzanie kilku godzin z Nadią, oczywiście w jego towarzystwie lub babci dziewczynki, Stefanii Niechowskiej. Przecież rychło jej córka zapomniaby o tym, co je łączyło, poza tym byłaby przekonana, że to Hanka ją opuściła, ponieważ dziewczynka nie rozumiałaby tej całej sytuacji.

Lewinówna wolno weszła po schodach sądu i ledwie łapiąc oddech ze zdenerwowania, stanęła w drzwiach monumentalnego gmachu. Na szczęście Niechowscy zachowali dyskrecję i wokół budynku nie kręcili się reporterzy z plotkarskich gazet, by poczekać na wyrok sądu i uwiecznić na kliszy moment jej upokorzenia i osobistej tragedii. Od chwili, gdy dowiedziała się, że jej jedyny świadek, panna Bellow, została zwerbowana przez stronę przeciwną, prawie się załamała. Nie miała nikogo, kto potwierdziłby jej ogromną miłość do Nadii i przekonał sąd, że dziewczynka powinna zostać przy matce.

Przed salą rozpraw czekał na Lewinównę Barry Collier. Przywitał się z nią ciepło i powiedział ze spokojem w głosie:

– Niech pani nie traci nadziei. Pani wojenna przeszłość powinna zmiękczyć sąd, w końcu nie każdy przechodził taką gehennę. Na tym opieram całą argumentację i oczywiście na fakcie, że w tym czasie ojciec małej żył w Guildford jak król.

– Nie mogę pojąć, dlaczego to robi... – jęknęła Hanka, powtarzając kolejny raz to samo zdanie.

– Lady Lewin, gdybym się zastanawiał nad motywami, a nie linią obrony, zapewne porzuciłbym ten fach i został filozofem – westchnął Collier i nie powiedział już nic więcej, bo w holu pojawili się Niechowscy i ich nobliwy, ale bardzo zawzięty adwokat, sir Gordon.

Hanka odwróciła głowę. Nie chciała nawet patrzeć na Tomasza. Kiedy była z Piotrem, wydawał się przyjacielski i pogodzony z faktem, że Nadię wychowuje jego brat i Hanka, a okazał się zwykłym draniem, który próbuje odebrać jej najważniejszą istotę w życiu – córkę.

Po kilku minutach w drzwiach sali sądowej pojawił się referent i oznajmił, że oto nadszedł czas na rozstrzygnięcie ich sprawy. Lewinówna zadrżała i miała wrażenie, że zaraz zemdleje, ale Collier podtrzymał ją pod ramię i delikatnie popchnął w kierunku drzwi.

Po wysłuchaniu formułki pierwszy mowę rozpoczął adwokat Niechowskich. Mówił długo, robiąc z Hanki niemal wyrodną matkę, po czym zakończył swój wywód słowami:

– Wysoki Sądzie, Hanna Lewin-Niechowska nie jest w stanie należycie wychować swojej córki. Prowadzi rozwiązły tryb życia, będący bardzo złym przykładem dla Nadii Niechowskiej. Wystarczy wspomnieć chociażby o wielomiesięcznym tournée po Ameryce, gdzie Hanna Lewin-Niechowska spotykała się ze swoim kochankiem, jak i fakt, iż z powodu tak długiego wyjazdu dziewczyna poszła do szkoły miesiąc później, aniżeli powinna. Natomiast mój klient i jego szanowana matka, lady Stefania Niechowska, są ludźmi, dla których tradycyjne wychowanie oraz zapewnienie dziecku właściwego wykształcenia są priorytetem.

Lewinówna zacisnęła powieki. Miała ochotę krzyknąć, wyrzucić z siebie całą prawdę o Tomaszu Niechowskim i jego próżniaczym życiu, wypełnionym alkoholem, dziwkami i hazardem. Wiedziała jednak, że nie może. A nawet jeśli mogłaby to uczynić, nie miała nikogo, kto poświadczyłby, że mówi prawdę.

Po chwili ciszy, jaka nastąpiła po przemówieniu Gordona, głos zabrał Barry Collier:

– Moja klientka nie prowadzi rozwiązłego trybu życia, co można błędnie wnioskować z zawodu, jaki wykonuje. Czyż jednak prawo zakazuje pieśniarkom wychowywania dzieci? Hanna Lewin to nazwisko znane w całej Wielkiej Brytanii, a ostatnio nawet za oceanem. To powoduje, że jej gaże są na tyle duże, by mogła zapewnić swoim dzieciom wysoki standard życia, najlepsze brytyjskie szkoły i znakomite guwernantki. A mimo to lady Lewin zabrała swoje dzieci w trasę koncertową, ponieważ tak bardzo je kocha, iż nie wyobrażała sobie kilkumiesięcznej rozłąki z nimi. Zaś obecny tu na sali ojciec dziewczynki nie zadał sobie trudu, by odnaleźć swoje dziecko i pomóc mu, gdy się urodziło i potem musiało żyć w okupowanej Polsce. A to, co się tam działo, pan Niechowski zna jedynie z przekazów prasowych i radiowych. Prawdziwą walkę o życie dziecka musiała stoczyć lady Lewin, nierzadko głodując, siedząc w nazistowskim więzieniu i uciekając przed gestapo. A gdzie był wówczas kochający ojciec i co zrobił, by ratować swoją córkę? No ja się pytam, gdzie on był?

Przemówienie Colliera było bardzo emocjonalne i chyba jedynie Niechowskich nie chwyciło za serce. To była przemyślana strategia Barry'ego, ponieważ nie mieli ani świadków, ani innych dowodów świadczących o tym, że Hanka Lewin jest godna sprawowania opieki nad córką. Kiedy adwokat zakończył, na sali sądowej nastąpiła taka cisza, że słychać było dźwięk kroków przechodzących po korytarzu sądu ludzi.

Sędzia Roth miał około sześćdziesięciu lat i rzadko kiedy się wzruszał. Owszem, sprawiał wrażenie człowieka, na którym opowieść Colliera zrobiła wrażenie,



jednak miał świadomość, iż niekiedy owe popisy krasomówcze adwokatów mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Z reguły podejmował swoje decyzje w oparciu o inne dowody, w tym zeznania świadków, którzy mieli być wezwani na następną rozprawę. Liczył jednak, że na tej pierwszej rodzice małej Nadii, dziecka, które przeżyło okupację, dogadają się i nie będzie konieczności, by wyznaczać termin kolejnego posiedzenia. Jednak po tym, co usłyszał z ust adwokata Gordona, było to mało prawdopodobne.

Kolejne dwie godziny były szermierką słowną pomiędzy adwokatami, aż w końcu sąd postanowił posłuchać, co ma do powiedzenia w tej sprawie Hanka Lewin.

– Ma pani dwoje dzieci. Ojcem jednego z nich nie jest Tomasz Niechowski. Czy to prawda? – zapytał sędzia.

– Tak. Mam jeszcze syna. Grzegorza – wydukała Hanka.

– I to nie jest syn pana Niechowskiego, ale został poczęty w czasie, gdy pani była jego żoną? – sędzia drażył temat.

Lewinówna zerknęła w stronę Colliera. Zamrugał powiekami na znak, że musi mówić to, co ustalili. Hanka miała świadomość, że powinna powiedzieć prawdę, bo złożyła przysięgę, jednak dla swojej córki była gotowa skłamać.

– Mój syn został poczęty z gwałtu dokonanego przez radzieckiego żołnierza – powiedziała cicho.

Rozległy się szepty w ławce zajmowanej przez Niechowskich. Mieli świadomość, że z takim argumentem nie będą mogli dyskutować. Zwłaszcza że trwała wówczas wojna i domaganie się sprawiedliwości oraz ukaranie winnego było nonsensem. Nobliwy sędzia oszczędził Hankę i nie wypytywał o szczegóły tego zajścia, ale pytał o inne kwestie związane z życiem w Polsce. Podziękowała mu w duchu, bo już nie musiała kłamać, gdy opowiadała o zbombardowaniu Warszawy, ucieczce na wieś i o koszmarnych warunkach bytowych. Nie ominęła także powodów, dla których pozostała w Polsce, zamiast dołączyć do małżonka.

– Wysoki Sądzie... – Głos Hanki zadrżał, gdy wypowiadała ostatnie zdanie. – ...ja kocham swoje dziecko i nie wyobrażam sobie, że mogłabym je stracić.

Później miejsce Hanki zajął Tomasz Niechowski. Mówił głównie o tym, że nie zamierza izolować córki, bowiem zaproponował Lewinównie spotkania z nią, jednak z uwagi na złe traktowanie przez nią Nadii musi podjąć walkę o jej los. Ma również świadków, którzy potwierdzą, że Hanna Lewin, mimo bolesnej przeszłości, jest osobą wyrachowaną, nikczemną i nie nauczyła córki nawet korzystania z toalety, bowiem tę umiejętność wpoili jej dopiero opiekunki, które zatrudnił jego brat. W egzaltowany sposób opowiedział o tym, jak spał spokojnie, kiedy Piotr Niechowski czuwał nad jego córką i przeraził się, co może się z nią stać, gdy go zabrakło.

Lewinówna miała ochotę napluć mu w twarz. Gdyby Piotr żył, uczyniłby to samo, ale nie było już nikogo, kto stanąłby w jej obronie. W Polsce może Emil albo Alicja, ale tutaj była kompletnie sama, bo w istocie Henrietta Cavendish nie byłaby zbyt wiarygodnym świadkiem. A takich miał Tomasz. Panna Elizabeth Bellow, starsza panna Cavendish, służba z jej domu i opiekunka z Guildford, a nawet dwie osoby, o których Hanka nigdy w życiu nie słyszała. Cała plejada ludzi. Nie miała pojęcia, co zeznają, ale była przekonana, że gdyby mieli pozytywnie się o niej wyrażać, zapewne Gordon nie powołałby ich na świadków.

Nie doszło do żadnego pojednania na tej rozprawie, nawet wówczas, gdy Gordon zaproponował częstsze wizyty Hanki w Guildford. Nie mogła się na to zgodzić i zarządzono kolejny termin rozprawy.

Wyszła z sali i usiadła na ławce. Nie miała siły zrobić ani kroku, bo była zdruzgotana tym, co działo się na sali sądowej. Collier przycupnął obok niej i nic nie mówił, dopóki hol nie opustoszał.

– Lady Lewin, szkoda że nie zgodziła się pani na te częstsze wizyty. Ci świadkowie mogą nas pogrążyć, a wtedy znajdziemy się w punkcie wyjścia – delikatnie zaczął adwokat.

Hanka milczała. Dobrze wiedziała, że znajduje się na straconej pozycji i nawet jej traumatyczne przeżycia nie będą żadnym argumentem dla sądu. Świetlana przyszłość dla Nadii, jaką odmalował Tomasz, była bardziej przekonująca w aspekcie wychowania jej córki niż przeszłość Hanki. Po kilku minutach odwróciła pobladłą twarz w kierunku Colliera.

– Nie oddam Nadii i gównu mnie obchodzą wyroki sądu – wysyczała i wstała gwałtownie.

Collier nie odniósł się do jej słów. Wiedział, że jest teraz załamana i zdesperowana, ale pewnego dnia zrozumie, iż musi się poddać.

Pomruk silnika i kołysanie ciężarówki na nierównej drodze sprawiły, że Natalia po kilku minutach zasnęła przytulona do matczynej piersi. Alicja liczyła na to, bała się jednak odłożyć dziecko na derkę, by nie zaczęło płakać. Przed Olgą było bardzo ważne zadanie, potem ona musiała wkroczyć do akcji i jakiegokolwiek komplikacje nie były wskazane. Musiały jednak spróbować, bo stawka była bardzo wysoka. A stanowiła ją wolność dla nich trzech.

Samochód w pewnej chwili gwałtownie zahamował, ale na szczęście Natalia wciąż spała, wzdychając przez sen, jakby czuła ulgę, że jest już ze swoją mamą. Alicja nie mogła sobie w tym momencie pozwolić na żadną tkliwość, ale była gotowa zamordować każdego, kto w tej chwili chciałby jej zabrać córkę. Odłożyła ją delikatnie na derkę i wzięła do ręki leżącą pod drewnianą ławką siekierkę. Usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi i głos Olgi:

– Zaraz wrócę.

Alicja podniosła plandekę w samochodzie i zobaczyła swoją koleżankę idącą w kierunku leśnej gęstwiny. Niemal wstrzymała oddech, czekając na to, co za chwilę nastąpi. W pewnym momencie rozległ się krzyk Olgi, tak przeraźliwy, że Alicja nerwowo zerknęła na leżące dziecko, jednak to, czy płakało, już nie miało znaczenia, bo kolejny raz usłyszała, że drzwi się otwierają i wkrótce ujrzała wybiegającego z szoferki Michaiła. Wyskoczyła z samochodu, weszła do lasu i zaczęła przedzierać się przez gąszcz. Przez jedną, krótką chwilę powróciły wspomnienia, gdy podobną wędrówkę odbywała z Hanką, by odnaleźć Irenę „Wariatkę” i małą Nadię. Nie rozumiała wówczas hysterii i lęku swojej przyjaciółki, ale w tym momencie pojęła, jakie to uczucie – walczyć do upadłego o swoje dziecko.

Chwilę potem ujrzała leżącą na ściółce Olgę i pochylającego się nad nią nieco spanikowanego Michaiła.

– To pewnie myśliwi, tutejsi bandyci, co oni jej zrobili?! – wykrzykiwał drżącym głosem kierowca.

Alicja podeszła bliżej, wyjęła zza pleców siekierkę i z całej siły uderzyła obuchem Michaiła. Jęknął, złapał się za głowę i Alicja zadała kolejny cios, po którym kierowca osunął się nieprzytomny na ziemię.

Olga otworzyła oczy i krzyknęła:

– Przestań, zabijesz go!

Alicja nie uderzyła kolejny raz, chociaż było jej wszystko jedno, czy ten człowiek przeżyje jej ciosy. Jednak nie taki był plan i słowa Olgi podziałały na nią otępienie. Odłożyła siekierkę, jej koleżanka podniosła się z ziemi i obie przesuwały bezwładne ciało Michaiła do najbliższego drzewa. Iwanowna wyciągnęła z kieszeni kłębek grubego sznura, który sukcesywnie wykradała ze starych pryczy w *aktirowce*, i rozpoczęły żmudne przywiązywanie Michaiła, zwracając uwagę, by zbyt szybko nie wyplątał się z więzów, gdy już odzyska przytomność.

– Może nie umrze... – mruknęła Alicja.

– A niech zdycha, *jebanyj sobaka!* Cały czas łapał mnie za pierś swoimi brud-

nymi łapskami – warknęła Olga.

Alicja popatrzyła na Iwanownę ze zdziwieniem, ale po chwili doszła do wniosku, że widocznie i w Oldze obudziła się chęć zemsty na obleśnym kierowcy.

Upewniwszy się, że Michaił został skutecznie unieruchomiony, przynajmniej na kilka godzin, powróciły do ciężarówki. Olga wyciągnęła z tylnej części samochodu Natalkę i usadowiła się na miejscu pasażera w szoferce, a Alicja usiadła za kierownicą. Przekręciła kluczyk w stacyjce i z impetem ruszyła przed siebie. Ciężarówką szarpnęło tak mocno, że Iwanowna uderzyła głową w boczną szybę i zapytała z trwogą:

– Na pewno umiesz prowadzić?

– Umiem, tylko tutaj jakoś tak to wszystko inaczej chodzi. Muszę się przyzwyczaić i za kilka kilometrów nawet nie poczujesz różnicy między mną a Michaiłem – uspokoiła ją Alicja.

– Boże, uchowaj! Mam nadzieję, że nie masz zamiaru łapać mnie za cycki – powiedziała nieco złośliwie.

– Postaram się opanować... – burknęła Alicja i niemalże zajęczymi skokami ruszyła przed siebie.

Jechały wolno, z trudem poruszając się po wyschniętej drodze, i wypatrywały mostu na rzece, który miał być jednym z najtrudniejszych testów w ich drodze ku wolności. Musiały także za kilka godzin zrobić postój, bo resztki mleka, którym poiła odwożone do sierocińca dzieci, nie mogły wystarczyć na cały dzień dla Natalii. Alicja nie miała wyrzutów sumienia, że pozostałe sieroty wypłyły go mniej, niż miały zagwarantowane, dla niej najważniejsza była córka i jej dobro.

Prowadząc samochód, zerkała od czasu do czasu na Natalkę. Jej córeczka zmierniała, a że nieco podrosła, sprawiała wrażenie bardzo wychudzonej. Jeszcze raz przeklęła w duchu Stiepana Kaganowskiego i szczerze żałowała, że to nie on oberwał tego dnia siekierą po głowie. Nie stać jej było na wyrozumiałość, ponieważ nie znalazła żadnego, choćby najmniejszego argumentu, który mógłby usprawiedliwić jego czyn. Pragnął mieć zabawkę, tak jak dzieci nakręcany samochodzik. Nie zważał na jej uczucia, ani do Sergiusza, ani do córki. Było jej niewymownie smutno, bo była chwila, że nawet go polubiła. Myślała wówczas, iż nie jest złym człowiekiem, a jedynie uwikłanym w historię, której wcale nie chciał przeżyć. Miał o niebo lepsze życie niż więźniowie, a jednak w jakiś przedziwny sposób potrafiła mu współczuć. Może dlatego, że i jej egzystencja w obozie nie była najgorsza. To dzięki niemu nie zatraciła się w beznadziei i zwierzęcej wręcz walce o byt. Dał jej szansę pozostać człowiekiem, mimo okrutnego gwałtu, jaki przeżyła, i morderstwa, które popełniła. A jednak przekroczył granicę, za którą nie istniało już wybaczenie. Życzyła mu wszystkiego najgorszego i była nim zawiedziona. Nie było w niej zgody na opatrywanie ran cudzym nieszczęściem ani wykorzystywanie swojej władzy, by zabierać komuś ostatnią nadzieję. Mogła nawet zginąć podczas tej niepewnej podróży, ale z mściwą satysfakcją myślała, że bez względu na to, co się wydarzy, on już jej mieć nie będzie. Oczywiście, pragnęła żyć. Cała jej dusza krzyczała, że musi jeszcze zobaczyć najbliższych, a to dodawało jej sił. Nie zastanawiała się, jakie przeszkody może napotkać i z czym przyjdzie się jej jeszcze borykać, wierzyła jednak, że da radę. I co najważniejsze, nie była sama. Miała jeszcze Olę, równie nieszczęśliwą i zdeterminowaną. Rosjanek, która zaznała krzywdy we własnym kraju, tak jak ona.

Alicja nie miała pojęcia, jak długo jechały, ale w pewnym momencie ujrzały w oddali rzekę Ałdan i zdezelowany most cieszący się złą sławą. Zwolniła nieco i przelknęła ślinę. Ta przeprawa w istocie wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozlecieć. Nie tylko pod ciężarem samochodu, ale nawet człowieka. Brzegi rzeki porośnięte były niewysokimi iglakami, w oddali majaczyły się góry, a przez lustro wody przebijało kamieniste dno. Było lato, rzeka nie sprawiała wrażenia głębokiej i gdzieśgdzie można było dostrzec wystające łachy pokryte kamieniami. Zaczęła zastanawiać się, czy dałaby radę przejechać ciężarówką po wodzie, nie topiąc jej przy okazji, ale zaraz porzuciła ten pomysł, ponieważ brzeg po drugiej stronie, choć niski, był bardzo stromy i nie miałyby żadnych szans, by bezpiecznie się przeprowadzić. Gdyby była taka możliwość, zapewne spostrzegłaby gdzieś ślady kół, świadczące o tym, że jacyś śmiałkowie porwali się na podobny wyczyn i nawet im się to udało.

Wysiadła z auta i weszła na most. Nie wyglądał na spróchniały i to dawało im szansę przejazdu. Sprawiał jednak wrażenie prowizorki, ale, do licha, była to jedyna przeprawa przez Ałdan w promieniu stu kilometrów, każdego dnia musiały tędy przejeżdżać jakieś samochody, chociażby do Uolby czy Dakky.

– Olgo, weź Natalię i przejdźcie na drugą stronę. Przejadę sama – powiedziała spokojnie.

– Jesteś pewna?

– Będę lżejsza. – Alicja wyszczerzyła zęby, co miało imitować uśmiech, jednak powodowało nią coś innego. Jeśli most się zawali, ona miała większe szanse, by wyjść z tego bez szwanku.

Iwanowna wysiadła z samochodu i powoli ruszyła przed siebie, przytulając mocno Natalię i od czasu do czasu oglądając się na siedzącą w samochodzie Alicję. Po kilku minutach Olga była już na drugim brzegu i pomachała ręką do swojej koleżanki. Alicja ruszyła i bardzo powoli wjechała na most. Mimo dźwięku silnika słyszała, jak cherlawy most skrzypi pod ciężarem zisa. Zastanawiała się, czy nie docisnąć gazu i przejechać przez most z większą prędkością, ale wołała nie ryzykować. „Kary” zawsze wjeżdżał na drewniane kładki powoli i delikatnie, widziała to wielokrotnie, a on był najlepszym kierowcą, jakiego знаła. Wypowiadała po cichu jego imię, jakby nagle miał myślami przekazać jej swoje umiejętności, i pokonywała kolejne metry. Krople potu zrosiły jej czoło, czuła, że całe jej ciało jest mokre z emocji, gdy w pewnej chwili usłyszała trzask pękniętej deski. Nie wytrzymała napięcia i dodała gazu. Z rykiem silnika na wysokich obrotach dotarła do końca mostu i wkrótce zatrzymała się na piaszczystej drodze. Wysiadła z samochodu, pochyliła się i wyrzuciła z siebie stek przekleństw, a potem położyła się wśród wysokich, suchych traw i przez kilka minut wpatrywała się w błękit nieba.

– Udało się! – ekscytowała się Olga. – Jesteś lepsza od Michaiła.

– Nie sądzisz chyba, że uraduje mnie podobny komplement – mruknęła Alicja i zapytała: – Dlaczego mała płacze? Głodna jest?

– Zaczęła ryczeć, jak tylko wysiadłyśmy. Chyba dlatego, że straciła cię z oczu. Nawet takie maleństwa potrafią wyczuć nieobecność matki – powiedział Olga i posadziła Natalię na brzuchu Alicji.

Dziewczynka uspokoiła się i wpatrywała się ogromnymi, jasnymi oczami w swoją matkę.

– Moja Natalka mogłaby być córką Sergiusza. Podobna jest do niego. –

Uśmiechnęła się.

– Alicja, a jeśli dotrzemy do celu i odnajdziecie się, co mu powiesz? Przecież to będzie dla niego okropne przeżycie... – zatroskała się Olga.

Alicja kolejny raz się uśmiechnęła. Nie musiała się o to martwić.

– Prawdę... Powiem mu prawdę.

Pogrzeb Adrianny był smutną uroczystością, na której zjawiała się zaledwie garstka ludzi. Jej mąż, Kamil Grotowski, Szymek, panna Walewska i morderca panny Daleszyńskiej – Emil Lewin. Ten ostatni był wciąż zdruzgotany tym, co uczynił, jednak bardziej obawiał się dociekliwych pytań Kamila o ten wieczór, gdy Adrianna rzekomo postanowiła ze sobą skończyć. Grotowski nie odpuszczał. Zadawał mnóstwo pytań, zarówno jemu, jak i Szymkowi. Na szczęście podczas uroczystości pogrzebowej zajęty był swoją rozpaczą i Emil wiedział, że chociaż na kilka dni będzie miał spokój.

Złożył wiązankę kwiatów na grobie i zapytał cicho Magdalenę:

– Pójdziemy na herbatę po ceremonii?

Pokręciła przecząco głową.

– Muszę być teraz przy Kamilu. Jest przybity i potrzebuje mojego wsparcia, bo tylko ja mu pozostałam – odpowiedziała równie cicho.

Lewin od razu poczuł się zazdrosny, mimo że nie miał żadnych podstaw, by sądzić, iż między jego ukochaną a Grotowskim jest coś więcej niż tylko przyjaźń. Jednak wyobraźnia podsuwała mu koszarne obrazki – dwoje ludzi, którzy stracili najbliższe sercu osoby, wspólne rozmowy, pocieszający dotyk dłoni, a wreszcie ucieczka w gorące pocałunki i nowe uczucie. On także był związany z Adrianną, miał z nią syna, a jednak Magdalena nie zaproponowała mu spędzenia razem popołudnia, by mogła go pocieszać. Miał nadzieję, że tego dnia chociaż Szymek dotrzyma mu towarzystwa, ale ten burknął jedynie, iż najpierw zjedzą obiad wraz z panną Walewską i panem Grotowskim, a potem skupi się na nauce. Była to idiotyczna wymówka, wręcz obraźliwa dla Emila, bowiem trwały wakacje i nikt nie uwierzyłby, że młody chłopak pragnie spędzić słoneczne popołudnie, by czytać książki, z których będzie czerpał wiedzę w kolejnym roku szkolnym.

Magdalena wzięła pod rękę Kamila, tak jak niedawno jego, i wraz z Szymkiem cała trójka opuściła teren cmentarza. Lewin pozostał sam przy świeżym kopcu ziemi, pod którym spoczywała jego ofiara. Żałował swojego czynu, ale nie mógł cofnąć czasu i musiał jakoś żyć z ciężarem tej zbrodni. Tak, niekiedy wpadał w szal, ale niewiele osób wiedziało, że wówczas należy mu zejść z drogi. Adrianna chciała zabrać mu syna, ułożyć sobie życie, a on poczuł, że traci kontrolę. Nie tyle nad sobą, co nad panną Daleszyńską. I cóż mu z tego przyszło, jeśli teraz został zupełnie sam? Miał jedynie Karolka, ale to był oserek i minie wiele czasu, zanim będą mogli normalnie porozmawiać.

Powrócił do swojego mieszkania i zwolnił do domu opiekunkę do dziecka.

– No co, mały szkrabie, sami się zostaliśmy – powiedział do Karolka, który jedynie uśmiechnął się, słysząc słowa swojego ojca. – Chyba wódki się napiję. Ale sam, boś ty jeszcze za młody.

Podszedł do kredensu i wyciągnął z niego karafkę wypełnioną alkoholem. Od razu powróciło wspomnienie Adrianny, która upierała się, by za każdym razem przelewać wódkę do karafek. Śmiał się z niej i mówił, że w ten sposób moc ulatnia

się z alkoholu, ale w końcu przywykł do tego i gdy już Adrianny zabrakło, sam zwykł to czynić. W kuchni przygotował zagryzkę i ze smutkiem postawił na stole jeden kieliszek i jeden talerz. Posadził na swoich kolanach synka i nalał sobie pierwszy kieliszek.

– Damy sobie radę, Karolek. Zrobię z ciebie zamożnego człowieka, przy mnie biedy nie zaznasz. A i ojcem będę innym niż ten cały Ignacy i Antoni. Wiesz, ja miałem dwóch ojców. Co jeden to gorszy. Ale ja taki nie będę. Wiesz, Karolek, że ja to do ciebie listy piszę? Tak, to głupie, a przecie ty jeszcze niegramotny jesteś, ale nie mam pojęcia, jak długo pożyję. Czasami to tak miarkuję, żeby w łeb sobie palnąć i po krzyku. Ale potem myślę, jak oni wszyscy by się ucieszyli z mojej śmierci. Młody Chełmicki by na moim grobie tango zatańczył, a i słyszę chichot starego z zaświatów, zem człowiek słaby i przegrany. A ciebie do pryjuta by wzięli... I tak wciąż mam nadzieję, że panna Walewska pokocha mnie, no i ciebie. Miałbyś matkę. Piękną i mądrą. – Emil przemawiał do swojego syna, chociaż ten jeszcze niewiele rozumiał, ale kiwał głową albo odpowiadał mu po swojemu.

Pod wieczór Emil Lewin był już całkiem pijany, ale na szczęście mały Karolek zasnął, zmęczony zabawą, i nie musiał już słuchać bełkotu swojego ojca. A tego natchodziły coraz czarniejsze myśli, gdy w pewnym momencie coś w nim drgnęło i powiedział do siebie:

– Ja wam jeszcze pokażę. Jeszcze zobaczycie. Będę walczyć o swój los, o syna, Szymka i piękną pannę Magdalenę.

Włączył gramofon, niezbyt głośno, by nie obudzić Karolka, i zamiast snuć rozważania na temat swojego podłego życia, zaczął marzyć o tym, jak to będzie pięknie, gdy wszystko poukłada się po jego myśli.

Już prawie odpływał w sen, gdy usłyszał pukanie do drzwi. W pijackim widzie pomyślał, że to może jego ukochana Magdalena przyszła do niego, by zrealizować na jawie to, co kołowało mu się w głowie, i doznał szoku, gdy ujrzał w drzwiach Kamila Grotowskiego. Ten, nie czekając na zaproszenie, wszedł do mieszkania i usiadł na krześle.

– Co, Lewin, zapijasz sumienie? – zapytał ostro.

Emil usiadł na kanapie i jakby od razu wytrzeźwiał.

– Sumienie? Nie... Żegnam moją Adriannę. – Czknął.

– Wiesz, Lewin, mnie ta sprawa nie dawała spokoju. Trochę popytałem o ciebie, a po wojnie to jeden wielki bałagan, więc zeszło mi trochę, zanim dotarłem do kogoś, kto wie coś o tobie. I w końcu znalazłem. Pewnego majora z Armii Krajowej, co to z twoim bratem, Julianem, w jednym oddziale był. Jakaż to była niespodzianka, gdy mi powiedział, żeś ty zwykły śmieć. Konfident, zdrajca i z wyrokiem śmierci na karku. Ale w sumie mało mnie to obchodzi, bo że jesteś szubrawcem, wiem od dawna. Jeśli jednak tak dobrze ze szwabami żyłeś, to czegoś się bał, jak sobie moja żona w głowę strzeliła? Kogo się bałeś? Swoich nowych panów czy tej dziwki z Pawiaka, co Polkom paznokcie obcęgami wrywała? Więc myślę, gnoju, żeś ty krzywdę mojej żonie zrobił, i nie popuszczę ci. Na milicję pójdę i do UB. Ale najpierw do gazet z tym pójdę. Zgnijesz w więzieniu albo cię powieszą. A Magdalenę ostrzegę, coś ty za gagatek. Ale zanim to zrobię, złożę zawiadomienie. Szkoda mi Szymka, bo to dobry chłopak, ale lepiej niech się dowie, co z ciebie za potwór – spokojnie powiedział Grotowski, po czym wstał z krzesła i wyszedł z mieszkania Lewina.



W tym momencie Emil otrzeźwiał zupełnie. Wszystko, co roił sobie w głowie o pięknym życiu, nagle legło w gruzach. Straci piękną Magdalenę i Szymka, on sam zawisnie na stryczku, a Karolek pójdzie do sierocińca. Jeśli Grotowski rozpęta piekło, to nawet Julia Dregerowa mu nie pomoże. Nie będzie chciała mieszać się do takich spraw jak ochrona niemieckiego konfidenta. Gazety wciąż pisały o kolejnych wyrokach na takich ludziach, wszyscy się tym ekscytowali, więc Dregerowa palcem nie kiwnie, by nie narażać się opinii publicznej. Nawet władza odcinała się od takich spraw.

„Myśl, człowieku, bo po tobie” – mówił do siebie Lewin i popatrzył na śpiącego syna. Wiedział, że musi coś zrobić, chociażby ze względu na niego. Podszedł do telefonu i wykręcił numer do Julii Dregerowej. Kiedy po drugiej stronie usłyszał jej uwodzicielski głos, powiedział:

– Mam dla ciebie ptaszka. Knuje przeciwko nowej władzy i brata się z czarnymi. A to zdaje się teraz twoja działka – powiedział Lewin.

– Widzę, że poszedłeś po rozum do głowy – mruknęła Dregerowa. – Gdzie go znajdem?

– Przychodzi do jadłodajni na Mokotowie, nazywa się Kamil Grotowski. Tylko pośpiesz się, bo ma zamiar nawiać przez zieloną granicę – wysyczał Emil.

– Dajże spokój, Emilu. Znam się na swojej robocie, jutro go zgarniemy. – Roześmiała się do słuchawki, po czym zapytała: – Jutro wieczorem u mnie?

– Oczywiście, moja droga – słodko odpowiedział Emil i rozłączył się.

Miał nadzieję, że Julia i jej psy zdążą zatrzymać Grotowskiego, zanim ten rozpęta piekło. Co prawda to były jedynie słowa, w które nie wszyscy muszą uwierzyć, i to w dodatku jakiegoś majora z Armii Krajowej, ale kto wie, co ten człowiek miał w zanadrzu, jeśli był tak bardzo pewny siebie. Emil zdecydowanie nie miał ochoty się o tym przekonać. Miał także nadzieję, że ten gnojek nie zdąży wyjawic swoich informacji Magdalenie. To byłaby katastrofa, bo zapewne panna Walewska uwierzyła by mu. A Szymek? Ostatnio oddalili się od siebie, więc Grotowski trafiłby na podatny grunt. Jeśli jednak UB zgarnie tego człowieka nazajutrz, a Julia zajmie się nim, wtedy szanowny pan Kamil zabierze swoje rewelacje do więziennej celi.

Budzik ustawiony był na drugą w nocy i Igor miał nadzieję, że Judith nie obudzi się, gdy zadzwoni. Miała twardy sen, ale Łyszkina uznał, iż zbyt mocno ryzykuje, dlatego przez cały czas czuwał. Około pierwszej wyłączył budzik, poleżał pół godziny, wsłuchując się w tykanie zegara, po czym wstał z łóżka i ubrał się. Otworzył cicho drzwi na zewnątrz i przez chwilę wsłuchiwał się w dźwięki otoczenia, ale wokół panowała cisza. Szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął między domkami podobnymi do tego, w którym mieszkał z Judith. Wszędzie było ciemno, dlatego od czasu do czasu Igor przyświecał sobie latarką.

Po kilku minutach wyszedł po drugiej stronie osiedla i znalazł się na ulicy, przy której stały nieco elegantsze budynki, należące do naukowców z Los Alamos. Dostrzegł, że w niektórych paliło się światło, dlatego zrobił się czujny. W pewnej chwili usłyszał szczeknięcie psa, ale najwyraźniej stróż domu nie był zbyt zajadły, bo sytuacja nie powtórzyła się i Igor bez przeszkód mógł maszerować dalej, by w końcu znaleźć się na posesji niemieckiego profesora – Reinharda Foksa.

Na szczęście dom Foksa pogrążony był w ciemności, ale Łyszkina czekała nieco trudniejsza część zadania. Musiał odszukać kabel telefoniczny i przeciąć go. Było to o tyle trudne, że ściany budynku porastała gęsta winorośl. Poświecił latarką ku górze i zobaczył przewód ciągnący się od słupa aż do ściany znajdującej się z tyłu domu. Przeszedł po cichu na drugą stronę i zaczął odgarniać winorośl, by w końcu ujrzeć kabel telefoniczny. Założył rękawiczki, przesunął dłonią po przewodzie, wyjął z kieszeni szczypce i przeciął go tuż przy ziemi. Poszarpał nieco końcówki, aby wyglądało to na robotę jakiegoś gryzonia i przemknął z powrotem do swojego domu.

Otworzył drzwi i wtedy zapaliło się światło, a przy włączniku stała Judith w obszernej koszuli nocnej i z nieco rozczochraną fryzurą. Ale nawet w tak mało seksownym odzieniu i z potarganymi włosami wyglądała prześlicznie.

– A gdzie ty łazisz po nocy? – warknęła.

– Nie mogłem zasnąć i wyszedłem się przejść – mruknął.

– Jakbyś częściej figlował ze swoją żoną, nie miałbyś problemów ze snem – powiedziała z sarkazmem.

Igor nie chciał żadnych kłótni ani dociekliwych pytań. Popatrzył na nią i uśmiechnął się szelmowsko.

– Masz rację, moja droga.

Podszedł do niej, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. O poranku Judith już ani słowem nie wspomniała o nocnym spacerze Igora.

Wbrew obawom jego świeżo poślubiona małżonka szybko zaaklimatyzowała się w nowym otoczeniu. Zajęła się urządzaniem domu, gotowała smaczne obiady, a popołudniami spotykała się na kawie z innymi mieszkankami Los Alamos, które były równie znudzone, co ona. Niekiedy Igor całował Judith w czoło, jak czuły ojciec swoją córkę, i mówił, jak bardzo się cieszy, że przywykła do nowej rzeczywistości. Mruczała wtedy:

– Wiesz, w jakich warunkach mieszkałam. A teraz mam własny dom, ty do-

brze zarabiasz... No i kocham cię.

– Bardzo bałem się, że będziesz tęskniła za Los Angeles – mawiał wówczas, ale ona jedynie mrużyła oczy i uśmiechała się szeroko.

Wszystko mogłoby być takie proste. Domek na przedmieściach, młoda i oddana żona, a z czasem i jakieś słodkie szkraby biegające po domu. Był tylko mały szkopol i nie dotyczył nawet zajęcia, jakim się parał – Igor Łyszkin po prostu nie potrafił pokochać Judith, bo gdzieś tam daleko była Hanka i czekała na niego.

Po śniadaniu pożegnał żonę muśnięciem w policzek i poszedł do pracy. Zaraz po przyjściu otrzymał zgłoszenie do niedziałającego telefonu, w domu Reinharda Foksa. Profesor miał wrócić do domu około siedemnastej i to na tę godzinę zażyczył sobie wizytę montera.

\*\*\*

Igor Łyszkin sprawdził najpierw aparat telefoniczny i gniazdko w domu Foksa, a potem mruknął:

– Sprawdzę jeszcze na zewnątrz, tutaj wszystko wydaje się w porządku.

Wyszedł na posesję i pokręcił się dookoła domu, markując pracę, po czym powrócił i oznajmił profesorowi:

– Znalazłem przyczynę milczącego telefonu. Przewód na zewnątrz jest uszkodzony. Najpewniej jakiś gryzoń postanowił posmakować trochę sztucznego tworzywa. Chce pan zobaczyć?

Foks pokręcił przecząco głową i powiedział:

– A co tu oglądać?

– Jutro rano wymienimy panu te przewody, bo dzisiaj już się ściemnia, ale musi pan podpisać zlecenie. – Igor jakby od niechcienia wyciągnął z torby złożony wójt druczek i położył go na stole.

– Oczywiście, oczywiście – bąknął profesor, podszedł do stołu i dodał: – W którym miejscu...?

Foks nie dokończył zdania. Zrobiło się kompletnie cicho, bo profesor nawet nie poruszył się, tylko zastygł w bezruchu jak posąg. Igor wiedział już, że Foks zobaczył zdjęcia włożone pomiędzy druki zlecenia. Popatrzył na pobladłą twarz profesora. Był to człowiek dość młody, jak na liczbę posiadanych tytułów naukowych, o ciemnych, kręconych włosach i z niewielkim wąsikiem. Normalnie wyglądał na czterdziestkę, ale w ciągu kilku dosłownie sekund postarzał się o jakieś dziesięć lat.

– Kim pan jest? – wymamrotał.

– A pan, profesorze? – zapytał spokojnie Igor.

– Rząd Stanów Zjednoczonych wie, kim jestem. – Głos profesora wydawał się coraz cichszy.

– Tak, oni wiedzą. W końcu to amerykański wywiad przywlokł pana tutaj i zamknął jak w więzieniu. Za to opinia publiczna nie ma pojęcia, komu zawdzięcza te spektakularne sukcesy związane z posiadaniem najgroźniejszej broni na świecie. Jeśli Hiroszimę i Nagasaki można w ogóle rozpatrywać w kategorii sukcesu. Niektórzy mówią wręcz o ludobójstwie, i to nawet tutaj, w Ameryce. A co byłoby, gdyby dowiedzieli się, że ten praworządny, demokratyczny kraj przyjął do siebie nazistowskiego naukowca, podjął jak króla, suto go opłaca, by szerzyć śmierć? To mogłoby źle wyglądać, prawda?

– Pan nie wie, co pan mówi! Jestem tutaj jak w więzieniu. Może trochę bardziej luksusowym, ale jednak to więzienie. A to, czy i kiedy stąd wyjdę, zależy jedynie od efektów mojej pracy. Nieciekawa perspektywa w świetle tego, że ja zrobiłem swoje, ale oni uważają, iż wciąż jestem im coś winien. I teraz taki ktoś jak pan chce mnie zrujnować i po tym wszystkim, co zrobiłem dla Stanów Zjednoczonych, wtrącić do prawdziwego więzienia... Podłe. Czy pan wie, że moja żona i córka pozostały w Niemczech i nawet nie wiem, co się z nimi dzieje? Liczyłem na to, że pewnego dnia wrócę tam, jako wolny człowiek, i odnajdę je. Tymczasem zwodzicie mnie jedynie obietnicami. – Profesor był wyraźnie przybity.

Nie miał złudzeń, te zdjęcia mówiły same za siebie. Foks wśród elity hitlerowskich zbrodniarzy, pozdrawiający ich gestem *heil Hitler* i w końcu dzierzący jakąś państwową nagrodę na tle powiewających sztandarów ze swastykami.

– A jeśli powiem, że pana rodzina żyje? – ze spokojem zapytał Igor.

– Jak mogę wierzyć człowiekowi, który dopuszcza się szantażu? – niemal krzyknął profesor.

Igor nie odpowiedział, tylko wyjął kolejne zdjęcie i położył przed Foksem. Fotografia przedstawiała wysoką kobietę w towarzystwie około dwunastoletniej dziewczynki o jasnych, długich włosach, zaplecionych w dwa cienkie warkocze.

– Pana żona i Heidi, bo chyba tak ma na imię pana córka, żyją. Mieszkają teraz w podobnym miejscu jak pan. Mają normalny dom, dziewczynka chodzi do szkoły, jednak nie mogą podróżować, pisać listów... Zupełnie jak pan... Ale zapewne byłyby szczęśliwsze, wiedząc, że pan żyje i być może kiedyś się zobaczycie ponownie. Jednak aby tak się stało, musi pan posiadać dwie rzeczy: wolność i pieniądze. To drugie jestem panu w stanie zagwarantować, o to pierwsze musi postarać się pan sam. Pana rodzina przebywa teraz w Niemczech, w radzieckiej strefie okupacyjnej. – Łyszkin dawał dość jasno do zrozumienia, czego oczekuje od Foksa.

– Rozumiem, że jeśli nie zgodzę się, wtedy pan mnie zrujnuje, trafię być może do więzienia, a jeżeli nawet tak się nie stanie, nigdy nie zobaczę swoich bliskich – warknął profesor, bo dobrze wiedział, że w opowieści Igora musi istnieć jakiś haczyk.

– Och... Zbyt czarno pan to widzi, profesorze. – Łyszkin uśmiechnął się złośliwie, po czym zabrał ze stołu zdjęcia, schował na powrót do torby i dodał: – Ma pan czas do jutra. Może pan zawiadomić władze i wpakować mnie w kłopoty, ale wtedy pańskie mogą być jeszcze większe.

Wyszedł z domu profesora i wsiadł do furgonetki. Nie wiedzieć czemu mimo ogromnej nienawiści, jaką żywił do nazistów, żał mu się zrobiło tego człowieka. Był jednak przekonany, że ten wybierze słuszną drogę i będzie robił to, czego Igor od niego zażąda. A gdy już Łyszkin zdobędzie, co powinien, zakończy tę maskaradę i postara się, by odejść ze służby. I wtedy on odnajdzie swoją rodzinę, by trwać przy niej na dobre i na złe. A Judith? Lubiła pieniądze, więc łudził się, że odpowiednia gratyfikacja finansowa otrze jej łzy po stracie męża. Bardziej martwił się o rodziców. Czy zdołają mu wybaczyć i wciąż będzie dla nich małym, kochanym Igorkiem? Miał nadzieję, że tak. W końcu robił te wszystkie świństwa, by skończyć ze swoją robotą, która nie wydawała się mu już służbą dla kraju, ale kulą u nogi, nakazującą robić rzeczy, na które cholernie nie miał ochoty. Wypalił się w środku, przestał wierzyć w swoją doniosłą misję, bo rozumiał, że dla władzy on i jemu podobni są jedynie

panionkami. Tak jak wszyscy dookoła. Wzniosłe ideały runęły. Może nie z hukiem, ale ten mur zbudowany z pięknych haseł i wiary w równość kruszył się powoli, odsłaniając to, co najpodlejsze, co fałszywe i będące jedynie złudzeniem. Władza była najważniejsza i nic więcej się nie liczyło. Ludzie byli jedynie bydłem, które należy mamić propagandą, nadzieją i wizją dobrostanu. Wtedy łatwiej było nimi kierować. Ale tak było wszędzie, czy to w Związku Radzieckim, czy w Stanach Zjednoczonych. I wiedział, że gdziekolwiek zamieszka, będzie musiał dostosować się do tego systemu. Mógł należeć do tego stada bydła, ale nie chciał być już tym, który owe bydła prowadzi na rzeź. Musiał tylko wybrać, czy woli obłudę amerykańską, czy radziecką.

Następnego ranka otrzymał pierwsze informacje od profesora, a on wręczył mu obiecaną nagrodę. Zanosilo się więc na to, że współpraca radzieckiego wywiadu z Foksem będzie odbywała się bez zakłóceń.

Awantura, jaka wybuchła pomiędzy matką Alicji a „Karym”, sprawiła, że rodzina Rosińskich przestała z nim rozmawiać.

Po powrocie Rosińskich do Chełmic Michalina postanowiła wyprawić córce prawie że pogrzeb i postawić jej symboliczny pomnik. Rzecz dość oczywista i zrozumiała, ale Sergiusz dostał szału i nawet nie chciał o tym słyszeć. Sam zdziwił się własną reakcją, w końcu rodzina Alicji nie chciała go urazić, a jedynie godnie pożegnać córkę. Jednak „Kary” wciąż krzyczał, że tam, gdzie chcą postawić pomnik, Alicji nie ma i ta cała ceremonia jest fałszem. Różne głupoty mówił, po czym wziął za rękę Mateuszka i trzaskając drzwiami, opuścił mieszkanie w Chełmicach. Szedł w kierunku stacji kolejowej tak szybko, że chłopiec musiał biec i od czasu do czasu zwracał uwagę Sergiuszowi, iż uścisk jego dłoni jest stanowczo za mocny. Ale „Kary” nie zważał na to. Pragnął jak najszybciej opuścić rodzinne miasteczko Alicji i uciec jak najdalej od tego miejsca.

Gdy usiedli w przedziale, a pociąg ruszył, Sergiusz Dargiewicz nieco ochłonął. Zdał sobie sprawę, że ucieka przed prawdą, mimo że upłynęły cztery miesiące od dnia, gdy dotarli do niego te straszne wieści. W końcu druk z obozu, podpisany przez komendanta, nie pozostawiał złudzeń. Jednak fakt, że „Kary” nie widział ciała Alicji, sprawił, iż wciąż pragnął karmić się irracjonalną nadzieją. Uczestnictwo we mszy za duszę zmarłej czy wreszcie namalowane na tabliczce imię i nazwisko Alicji były zatem przyznaniem, iż w istocie śmierć jego ukochanej stała się faktem. Zapewne dla wszystkich to było lepsze i należało w końcu przeżyć żałobę, ale dla Sergiusza było to ponad jego siły. Wolał żyć w świecie złudzeń, a w nim Alicja wciąż istniała.

Podczas podróży niewiele rozmawiał z synem, bo nie bardzo wiedział, jak miałby wytłumaczyć mu swój stan. Mateuszek był jeszcze za mały, by pojąć, że niektórzy ludzie, nawet po śmierci, nie mogą odejść z serca i umysłu. Patrzył na przesuwaną się za oknem krajobrazy i miał ochotę rozplakać się jak dziecko. Alicja... jego Alicja była niezniszczalna, niezłomna i kochała ich tak bardzo, że walczyłaby o życie do końca. A jednak im bliżej byli Warszawy, tym bardziej docierało do niego, że są takie sytuacje, które przerastają każdego człowieka. Nawet tego najsilniejszego. Niekiedy Alicja mu się śniła, wciąż piękna, żywa i roześmiana. Żyła w jego sercu i myślach, i nie chciał, by zostało to zatarte wspomnieniem symbolicznego nagrobka i mszy za jej duszę. Jednak zdawał sobie sprawę, że wrócić z Mateuszkiem do pralni, następnego dnia chłopiec pójdzie normalnie do szkoły, on zajmie się brudnymi ubraniami, a Alicji wciąż nie będzie. Dotarło do niego, że musi coś postanowić, zaplanować jakoś życie sobie i synowi, bo nie może wiecznie tkwić w suterenie i czekać na niemożliwe. Nawet jeśli pozostaną w Polsce, może i w Warszawie, powinien pomyśleć o lepszym lokum dla nich. Przydałaby się też jakaś kobieca ręka, czuła matka dla Mateuszka i antidotum na jego złamane serce. Na to ostatnie było jednak za wcześnie. Nawet panna Maliszewska, nauczycielka Mateuszka i osóбка o nieprzeciętnej urodzie, wydawała się Sergiuszowi niemal odpychająca.

Następnego dnia dość długo czekał przed szkołą na syna, ale ten wciąż nie

nadchodził, zjrzał więc do jego klasy. Mateuszek siedział sam w sali, a nad nim stała panna Maliszewska i coś zawzięcie mu tłumaczyła. Popatrzyła surowo na stojącego w drzwiach Sergiusza i oznajmiła:

– Mateusza znowu nie było w szkole. Musimy nadrobić zaległości.

– Przepraszam panią, ale niekiedy sytuacja wymaga, bym opuścił Warszawę, a nie mam z kim zostawić syna – bąknął niepewnie.

Chłodny ton Izabeli Maliszewskiej pozbawił go nieco pewności siebie, zwłaszcza że nauczycielka miała rację. To ciągle krążenie pomiędzy Chełmicami czy leśniczówką wuja Makarego sprawiło, iż jego syn opuszczał lekcje, a był dopiero początek roku szkolnego.

Surowa mina panny Izabeli zmieniła się i kobieta dodała, już nieco cieplejszym głosem:

– Rozumiem pana, ale dzieci zaczynają się śmiać z Mateuszka, że ciągle każę mu zostawać po lekcjach. Jeśli jednak nie będę tego robiła, wówczas pana syn nie nadrobi zaległości.

Sergiusz spuścił głowę i milczał. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić i jak się zachować. Z jednej strony to było bardzo uprzejme, że nauczycielka poświęca swój prywatny czas, by wykaraskać chłopca z zaległości, z drugiej nie chciał, by jego syn stał się obiektem kpin.

– Mógłbym popołudniami przywozić Mateuszka do pani, do domu. Czy zgodziłaby się pani na takie rozwiązanie? Oczywiście zapłaciłbym za dodatkową pracę z moim synem – wydukał.

– Nie chodzi o pieniądze... Ja po prostu nie mam warunków. Mieszkam w jednym pokoju z rodzicami i młodszą siostrą. Jest tam taki rozgardiasz, że gdy mam ochotę poczytać książkę, to idę nad Wisłę. Pan wie, jakie są teraz problemy z lokalami, nawet na wynajęcie stancji nie mam szans – odpowiedziała ze smutkiem na propozycję Sergiusza.

– My mamy u siebie sporo miejsca, chociaż przy okazji prowadzę pralnię, a i mieszkanie w suterenie nie jest szczytem marzeń, ale to niedaleko szkoły, a i pranie odzieży miałaby pani gratis. – „Kary” uśmiechnął się szelmowsko.

– Hm... To dobry pomysł. I tak stołuję się w szkole. Zatem od jutra zaczynamy.

Zapewne gdyby nie fakt, że Sergiusz Dargiewicz interesował ją zdecydowanie bardziej niż korepetycje dla jego syna, nie zgodziłaby się tak chętnie. Jednak ten mężczyzna spodobał jej się, był intrygujący, a przy tym wydawał się pannie Izabeli łatwą zdobyczą. Pograżony w żałobie, potrzebował pocieszenia i damskiego towarzystwa, a ona mogła mu to wszystko zaoferować.

Następnego dnia ubrała się wyjątkowo starannie, przetrząsając swoją skromną garderobę. W końcu poprosiła o pomoc sąsiadkę i pożyczyła od niej szykowny kostium i jedwabną bluzkę. Włosy rozpuściła i pozwoliła, by swobodnie opadały na jej ramiona. Musnęła nawet twarz pudrem, a usta szminką, czego zazwyczaj nie robiła.

Sergiusz Dargiewicz nie miał problemów ze wzrokiem i w mig zauważył elegancki strój panny Maliszewskiej, jak i rubinową szminkę na ustach. Kobieta wyglądała naprawdę ponętnie i w innych okolicznościach być może byłaby w stanie zawrócić mu w głowie, jednak rana po stracie Alicji była zbyt świeża, by mógł oddać swoje serce innej. Był jednak wobec niej szarmancki i uprzejmy, bo nie musiał się już mar-

twić o poziom wiedzy Mateuszka. Miał świadomość, że panna Izabela tak bardzo się stara przez wzgląd na niego, dlatego nie chciał dawać jej zbyt jasno do zrozumienia, że nie ma szans w konkurencji z Alicją, nawet jeśli ta już nie żyje.

Jedno z pomieszczeń pralni „Kary” zaadaptował na ich kuchnię, jadalnię, salon i miejsce do nauki dla Mateuszka. Drugie, bardzo małe, będące niegdyś prasownią, zamienił na ich sypialnię. Już od jakiegoś czasu planował urządzić w niej samodzielny pokój dla syna, ale miał wrażenie, że nie jest zdolny do jakichkolwiek działań, i odkładał to z dnia na dzień.

– Ładnie pan to urządził, panie Sergiuszu. Tak tutaj przytulnie, chociaż sutere-  
na i przechodzi się przez pralnię – powiedziała panna Izabela po skończonych kore-  
petycjach.

Mateuszek poszedł na podwórko, pohasać z kolegami, a Maliszewska i Ser-  
giusz raczyli się herbatą.

– W moim mieszkaniu, które znajduje się na pierwszym piętrze, musielibyśmy  
mieszkać z kilkoma rodzinami. Nie bardzo mi to odpowiadało, dlatego zmniejszyłem  
pralnię i urządziłem się w suterenie. Co prawda teraz w moim miejscu pracy zrobiło  
się ciasno jak diabli, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić życia w takim kołchozie –  
z westchnieniem powiedział Sergiusz.

– Też bym tak zrobiła, gdybym miała podobną możliwość. Niech mi pan wie-  
rzy, życie w takim – jak to pan nazwał – kołchozie jest niezwykle uciążliwe. Marzę  
o tak prozaicznych sprawach, jak własna kuchnia czy łazienka. Ale cóż zrobić, jeśli  
nasza kamienica została zrównana z ziemią, więc cieszymy się, że w ogóle mamy  
gdzie mieszkać. Myślałam, że jedynym sposobem na zdobycie własnego lokum jest  
wyjazd na Ziemię Odzyskane, ale Warszawa to moje miasto i nie wyobrażam sobie,  
że mogłabym mieszkać gdzieś indziej – powiedziała panna Izabela i posłała Sergiu-  
szowi spojrzenie pełne zachwytu.

– Może pani wyjść za mąż za kogoś, kto posiada samodzielne mieszkanie  
i wówczas pani problem sam się rozwiąże – wypalił „Kary”, nie zastanawiając się ani  
przez chwilę, w jaki sposób może to być odebrane przez pannę Maliszewską.

Spuściła wzrok i zarumieniała się. I wtedy Sergiusz pomyślał, że było to niepo-  
trzebne i głupie stwierdzenie, bo nauczycielka gotowa była odebrać jego słowa jako  
sygnał zainteresowania jej osobą. Przez kilka minut panowała między tą parą nie-  
zręczna cisza, aż w końcu Sergiusz zapytał:

– Może zostanie pani na kolacji? Nic wyszukanego, ot kilka kanapek.

Miał nadzieję, że odmówi i opuści ich, by nie przeszkadzać im w spożywaniu  
posiłku, ale panna Maliszewska zgodziła się niemal natychmiast i równie szybko za-  
proponowała „Karemu”, że wyręczy go w przygotowywaniu posiłku. „Znowu palną-  
łem głupstwo” – pomyślał Sergiusz, ale z ulgą powierzył pannie Izabeli zrobienie ko-  
lacji.

– Kiedyś pracowała u mnie taka jedna, sprytna dziewczyna. Miała na imię Zo-  
sia i oprócz tego, że pomagała mi w pralni, gotowała wyśmienite zupy. Wyjechała  
tuż przed powstaniem do krewnych na prowincję i już nie wróciła. Od tej pory muszę  
sam sobie radzić – powiedział „Kary”, byle przerwać milczenie.

– A pańska narzeczona? – zapytała Maliszewska – Nie umiała gotować?

– Moja narzeczona potrafiła wszystko – wysyczał. – Ale zajmowała się daleko  
bardziej ważnymi kwestiami niż stanie przy garnkach czy w pralni.



Izabela zmieszała się, ale nie mogła podarować sobie małej złośliwości.

– Chodzący ideał...

– Tak, Alicja była ideałem. Pod każdym względem i nie ma takiej kobiety, która byłaby w stanie jej dorównać – powiedział stanowczo Sergiusz, by nieco schłodzić zapędy nauczycielki.

Miał świadomość, że sam wszedł na grząski grunt i trochę się zagalopował, dlatego postanowił dość obcesowo się z tego wycofać.

– Ale ona nie żyje... – powiedziała cicho. – A pan tak...

– Przepraszam, panno Izabelo. Po prostu nie jestem gotowy, by móc chociażby rozmawiać o innych kobietach. Za wcześnie... Ja jeszcze nie pogodziłem się z jej odejściem...

Sergiusz spuścił głowę i było mu naprawdę przykro. Kolejny raz zachował się niewłaściwie w stosunku do tej uroczej kobiety, jakby złościł go fakt, że ona żyje, a jego Alicja gryzie skutą lodem ziemię. Tak, był wściekły na cały świat, gdy patrzył na młode, roześmiane dziewczyny o pięknych twarzach, bo żadna z nich nie była Alicją. I chociaż niektóre z nich mogłyby uznać za ładniejsze, ponętniejsze czy nawet bardziej dystyngowane, jednak jego Alicja była po prostu wyjątkowa. Idealnie dopasowana do jego wyobrażeń. Kochał ją za upór, cięty język i odwagę. Bo przy tym wszystkim nigdy nie przestawała być kobietą. Z wielkim, gorącym sercem.

Maliszewska postawiła na stole starannie przygotowane kanapki, a potem popatrzyła na Sergiusza i powiedziała:

– To nie jest moja wina, że pana narzeczona nie żyje. Ani to, iż nie jestem równie doskonała. Pan wybaczy, ale nie zostanę na kolacji. Życzę smacznego.

Po chwili nachyliła się nad „Karym” i delikatnie musnęła go w policzek. Włożyła zakiet od pożyczonego kostiumu i nie mówiąc już nic więcej, opuściła pralnię Sergiusza.

30. Berlin, 1947

Renate Zoll nie miała zamiaru czekać, aż jej pracodawca przeczyta artykuł w gazecie i pokaże siłę swojego gniewu. Po prostu spakowała swoją walizkę i nie żegnając się z nikim, opuściła posiadłość Ludwiga Libera. Pozostawiła jedynie na stole w kuchni kartkę z lakoniczną informacją, że postanowiła zrezygnować z intratnej posady u niego, ponieważ wychodzi za mąż. Wiedziała, że nie tak powinna rozstać się z Liberem, bo okazał jej wiele zaufania i sympatii, a przede wszystkim pomógł w trudnej życiowej sytuacji, jednak niewiele ją to obchodziło. W Berlinie czekał na nią Walter, nowa posada, którą przyrzekł jej załatwić, a także możliwość robienia czegoś więcej niż tkwienie w stosach papierów swojego pracodawcy.

Poza tym po wyjściu z monachijskiej kliniki zgłosiła zaginięcie dokumentów i teraz miała nowe. Tak jak twarz. Czuła się, jakby urodziła się ponownie. Jedynie jej uczucie do Waltera von Lossowa pozostało takie samo. To jej nie przeszkadzało. Przeciwnie. Była zadowolona, że zyskała drugą szansę, by go zdobyć, i tym razem nie zamierzała popełniać starych błędów. Postanowiła, że odkryje wszystkie karty dopiero wówczas, gdy Walter kompletnie oszaleje na jej punkcie. Był typem zdobywcy, dlatego zdecydowała, że tym razem zajmie mu to dużo czasu.

Widok Berlina przeraził ją, chociaż nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak to wszystko wyglądało, gdy Niemcy ogłosiły kapitulację. Ale w dwa lata od zakończenia wojny wciąż pozostały po niej ślady zniszczenia. To nie było to samo miasto, jakie zapamiętała, gdy przyjechała tutaj podczas wojny, by wziąć udział w szkoleniu, które miało stanowić pewnego rodzaju nagrodę za jej pracę w więzieniu przy Pawiej. Otrzymała wówczas wyróżnienie i medal za zasługi, jednak obecnie nie było to coś, czym należało się chwalić. Wszystko, co kojarzyło się z wielką Rzeszą, było *passé*. Niekiedy złośliwie myślała o swoich rodakach, że po wojnie nagle wszyscy okazali się albo wrogami poprzedniego reżimu, albo jedynie biernymi obserwatorami ówczesnej rzeczywistości. Jakby zapomnieli, że korzystali z dobrodziejstw, jakie wniósł w ich życie Hitler.

Tak, ten kraj opanowała zbiorowa amnezja, nakazująca wyszydząć i potępiać minione rządy. Ona także zamierzała to uczynić i ani jednym słowem nie wspominać, jak wiele zawdzięczała poprzedniej władzy i wojnie, którą ta rozpętała, zamieniając Europę w gruzowisko. Oczywiście, Niemcy zostały zniszczone przez Rosjan i aliantów, ale gdyby nie chęć dominacji Rzeszy nad całym światem, zapewne nie doszłoby do bombardowań czy podpaień. Nie chciała również wypowiadać się na temat obozów koncentracyjnych, pracowników przymusowych i tego, w jaki sposób traktowano w więzieniach wrogów Rzeszy. Po co? Lepiej było udawać, że o niczym nie wiedziała, niczego nie słyszała, a na pewne zdjęcia, które pokazywano w gazetach, patrzy po raz pierwszy w życiu.

Dotarła do mieszkania Lossowa, mieszczącego się w oficynie jednej z kamienic. Zastanawiała się, jak się urządził człowiek, który przed wojną mieszkał w pałacach i dworkach. Zapukała do drzwi, ale odpowiedziała jej cisza. Nie była zdziwiona, w końcu nie uprzedziła go o swoim przyjeździe, a fakt, że zbliżał się wieczór, o ni-

czym nie świadczył. Lossow pracował jak chciał i kiedy chciał, a że robił to niemal bez przerwy, w swoim domu bywał jedynie po to, by się przespać.

Postawiła walizkę na chodniku przed wejściem, usiadła na niej i zapaliła papierosa. Na szczęście było pogodnie, więc nie martwiła się ani chłodem, ani ewentualnym deszczem. Zaciągając się dymem, jak zahipnotyzowana patrzyła w światło bramy kamienicy, wypatrując ukochanego.

Walter zjawił się po dwóch godzinach, gdy było już ciemno. Nie dostrzegła go w ciemnym przejściu, ale dopiero wówczas, gdy zbliżał się do klatki i w świetle latarni usiłował odnaleźć w swojej przepastnej torbie klucz.

– Dobry wieczór, Walterze – powiedziała swoim chrapliwym, nienaturalnym głosem.

Lossow poznał ten głos od razu, a potem ujrzał postać Marie Rauch, która po raz kolejny skojarzyła mu się z jego dawną narzeczoną.

– Marie? – zdziwił się. – Co tutaj robisz? Przecież artykuł pojawi się w gazetach dopiero jutro.

– Miałam czekać, aż Liber go przeczyta, a potem obedrze mnie ze skóry? – warknęła.

– Nie, oczywiście... Masz rację. Proszę, wejdź. Mam już co prawda przygotowaną dla ciebie posadę, ale nie wiem, od kiedy mogłabyś zacząć. Mieszkania jeszcze nie organizowałem, sama rozumiesz, to dość skomplikowana sprawa, znaleźć lokum w Berlinie...

Walter płątał się, bo był nieco przerażony wizją goszczenia Marie w swojej garsonierze. Gdyby jeszcze trochę posprzątał, nie czułby się tak zażenowany, ale jak zwykle jego mieszkanko przypominało pobożowisko.

– Rozumiem, Walterze, mam jednak nadzieję, że będę mogła przenocować. Chociaż dzisiaj. A jutro sama się za czymś rozejrzę – powiedziała z uśmiechem.

– Oczywiście, możesz u mnie zostać, jak długo zechcesz. Muszę jednak cię uprzedzić, że mieszkam po spartańsku. I mam kompletny bajzel – tłumaczył się bezradnie.

– Nie, Walterze, jutro postaram się poszukać czegoś, a bałaganem się nie przejmuję – powiedziała stanowczo.

Lossow wciąż był skrępowany i albo jąkał się, albo jedynie potakiwał głową. Kiedy weszli do mieszkania, zaczął naprędce sprzątać stopy brudnych ubrań, porzucane papiery i puste szklanki z resztkami kawy albo herbaty.

– Daj spokój, Walterze. – Renate w pewnej chwili złapała go za rękę. – Ten rozgardiasz ma swój specyficzny urok. Od razu widać, że zajmujesz się ważniejszymi sprawami niż pucowanie czterech kątów.

Przestał się krzątać, a właściwie miotać i nieśmiało zaproponował Renate herbatę. A potem wydukał:

– Nawet nie mogę zaoferować ci nic do zjedzenia, bo stołuję się na mieście. Ale tutaj niedaleko jest taka przyjemna knajpka. Nic wykwintnego ani specjalnie wyszukanego, ale jedzenie zupełnie znośne. Wiesz, teraz to nikogo nie stać na wizyty w eleganckich lokalach, więc nikt ich nie otwiera...

Renate roześmiała się.

– Walterze, tobie się wydaje, że ja nie wiem, co się teraz dzieje, że spadłam z nieba?

Lossow podszedł do Renate, delikatnie musnął ustami jej wargi i szepnął:

– Czasami wydaje mi się, że tak właśnie jest. Że nagle spadłaś z nieba.

– Wprost w twoje ramiona? – zapytała równie cicho.

– W mój umysł, w moje serce i w moje objęcia. Nie mogę przestać o tobie myśleć i wciąż się boję, że jestem dla ciebie nie dość... Nie wiem, może niewystarczająco doskonały. – Walter wciąż mówił ściszym głosem.

Renate, chociaż miała ochotę powiedzieć mu, jak bardzo za nim szaleje, pozostała czujna i zdecydowana, by tak łatwo nie dać się zdobyć. Obawiała się, że w przeciwnym razie jego uczucie zgaśnie równie szybko, co niegdyś. Odepchnęła go delikatnie, spuściła wzrok i zaczęła bawić się guzikiem przy jego koszuli.

– Walterze, to piękne, co mówisz, ale my prawie się nie znamy. Poza tym nie jestem jeszcze gotowa, by zaufać mężczyźnie.

– Dlatego niczego mi o sobie nie mówisz? Ale to nieważne. Jeśli jednak ktoś cię skrzywdził, chcę o tym wiedzieć, ponieważ pragnę dać ci szczęście, a nie ból. A mogę to zrobić nieopatrnie... Tyle kobiet skrzywdziłem swoim zachowaniem, byłbym zdruzgotany, gdybym zranił ciebie.

– Kiedyś postawiłam na szali swoją wolność, karierę, by pomóc ukochanemu. Zrobiłam to, bo myślałam, że mnie kocha. A okazało się, że chciał mnie jedynie wykorzystać. Ale ty jesteś inny, prawda? Ty nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego kobiecie? – Renate popatrzyła w oczy Walterowi.

Ten przełknął ślinę i znowu powróciło do niego jak bumerang dziwne uczucie. Tak jakby patrzyła na niego z wyrzutem Renate Zoll. Jak gdyby Marie i jej łudzące podobieństwo do Renate stanowiło karę za to, co zrobił tej kobiecie. Tylko w tym momencie zależało mu na Marie. I to bardzo.

– Nie zrobię ci tego. Nie wykorzystam cię – bąknął.

– Właściwie już to zrobiłeś. – Zachichotała. – Podałam ci na tacy Libera i straciłam intratną posadę, a może i szansę wyjścia za mąż, za jednego z najbogatszych ludzi w Niemczech.

– Nie mów tak... – jęknął Walter. – Wystarczyłoby jedno twoje słowo i podarłbym ten artykuł. Ale teraz jest już za późno.

– Tak... – westchnęła. – Za późno. Aczkolwiek fakt, że pozwoliłbyś mi wyjść za Ludwiga, nie sprawia mi przyjemności.

– Marie... Nie o Libera chodzi. Ale o ciebie – szepnął.

– Wobec tego zaprowadź mnie do tej knajpy, bo za chwilę zemdleję z głodu. – Uśmiechnęła się.

W domu Hanki Lewin panowała cisza. Było bardzo wcześnie, dzieci jeszcze spały, a służba i guwernantki odeszły. Miały świadomość, że jeśli same nie złożą wymówienia, uczyni to Hanka. Było to zupełnie zrozumiałe w świetle zaistniałych okoliczności, kiedy to zarówno jedna ze służących, jak i stała opiekunka dzieci, panna Bellow, postanowiły zeznawać przeciwko Lewinównie. Rozprawa z ich udziałem jeszcze się nie odbyła, ale było pewne, że owe kobiety nie zamierzają wychwalać jej pod niebiosa czy śpiewać peanów na jej cześć.

Lewinówna postanowiła, że na razie nie będzie zatrudniać nikogo nowego i sama zajmie się domem i dziećmi. Obawiała się, iż każda osoba starająca się o posadę u niej będzie nasłana przez Niechowskich, do jej szpiegowania. Zaczęła wręcz cierpieć na manię prześladowczą, bo nie zaufała nawet kobietom poleconym jej przez Henriettę Cavendish. Zrezygnowała na ten czas z występów, zawiesiła próby i nie udzielała się w prasie czy w radiu. Ten świat na pewien czas musiał przestać istnieć. Liczyły się tylko dzieci, a właściwie Nadia, którą Hanka miała niebawem utracić. Przywykła do nocnego życia i późnych śniadań Hanka od pewnego czasu budziła się bardzo wcześnie. Niewiele spała, miała podkrążone oczy i wciąż zagryzała się od środka. Winiła siebie za taki stan rzeczy, za niefrasobliwość i wreszcie za to, że jej miłość do Igora kolejny raz ściągnęła na nią problemy.

Lewinówna ubrała się w swobodną sukienkę, wzięła do ręki ściereczkę i zaczęła wycierać stojące na komodzie bibeloty. Wiedziała bowiem, że gdy tylko dzieci się obudzą, nie będzie miała szans, by zrobić w domu porządku. Brzęczyk dzwonka do drzwi wystraszył ją tak bardzo, że upuściła porcelanową paterę na owoce. Na szczęście miękkie dywany zniwelowały upadek i tym razem obyło się bez szkód.

Podeszła powoli do drzwi i zerknęła przez kryształowy świetlik w bogato rzeźbionych dębowych drzwiach. Przed wejściem ujrzała Henriettę Cavendish i jej partnerkę, Beatrice. Obie ubrane były w awangardowe stroje, na które składały się eleganckie spodnie i krzykliwe marynarki. Przypomniała sobie czas, gdy Alicja wyciągnęła z szafy spodnie dla kobiet, zaprojektowane przez jej babkę, i tarzały się ze śmiechu, widząc podobny twór. Uznały wtedy, że mężczyźni wyglądaliby w tym komicznie, a kobiety musiałyby być kompletnie szalone, by nosić coś takiego. Od tej jednak chwili minęło wiele lat, a spodniom u kobiet nie budziło już takiej zgrozy jak niegdyś. Oczywiście, na oficjalnych uroczystościach wciąż królowała tradycja, ale Hanka miała wrażenie, że tam po prostu nienawidzono nowego. Nawet mebli.

Otworzyła drzwi i zaprosiła kobiety do środka. Była zdziwiona tak wczesną porą odwiedzin swoich znajomych, ale Beatrice od razu wyjaśniła jej powód.

– Chciałyśmy zdążyć, zanim te twoje dwa potworki wstaną – mruknęła.

Lewinówna milczała. Jej dzieci w istocie były absorbujące, ale to oznaczało, że są zdrowe i pełne energii. Cóż jednak mogła na ten temat wiedzieć Beatrice.

– Musimy porozmawiać – złowóżbnie powiedziała Henrietta.

Usiadły w saloniku. Kobiety odmówiły napicia się kawy, nie chcąc tracić cennego czasu.

– Hanno, posłuchaj, rozmawialiśmy z Barrym. Nie wypytywałyśmy o szczegóły, rzecz jasna, bo i tak by nam ich nie zdradził, ale z tego, co mógł nam powiedzieć, wywnioskowałyśmy, że sytuacja jest dramatyczna – z westchnieniem powiedziała Henrietta.

– Bo jest... – cicho odpowiedziała Hanka i zakryła twarz rękoma. Po chwili, jakby otrząsnęła się i zaczęła mówić: – Za trzy tygodnie jest rozprawa. Kolejna. Tym razem pojawią się świadkowie. Oczywiście Niechowskich, bo ja nie mam żadnego. Przecież te harpie powiedzą wszystko, co zechce Stefania. Byle mnie pogrążyć. Nawet twoja siostra ma być świadkiem, ale nie mam pojęcia, co mogłaby o mnie wiedzieć.

– Moja siostra... – prychnęła Henrietta. – Ona mogłaby być synową Stefanii. Pokochałyby się od razu. Obie są wyrachowane, podłe i szukają kozła ofiarnego, jeśli coś nie idzie po ich myśli. Najpewniej ubzdurała sobie, że gdyby nie ty, wyszłabym za Piotra, zmieniła swoje uczucia do Beatrice i tak dalej. Oczywiście, to bzdura. Być może doszłoby do ślubu, ale nie pokochałabym Piotra Niechowskiego. To tak nie działa, ale moja siostra to idiotka.

– Niebezpieczna idiotka, niestety – mruknęła Beatrice.

– To i tak nie ma znaczenia, kto, co i dlaczego. Wiem tylko, że chcą mi zabrać moje dziecko, a ja nie mogę do tego dopuścić. Tylko, prawdę powiedziawszy, jedyny pomysł, jaki przychodzi mi do głowy, to ucieczka. Ukrywałam się niemal całą okupację, mam wprawę, jednak teraz to zupełnie coś innego. Będę przestępcą. A moja córka musi chodzić do szkoły, ja jestem rozpoznawalna już niemal wszędzie, dopadną mnie. Wcześniej czy później dopadną mnie... – Hanka była na progu załamania nerwowego.

– Tak, my także uważamy, że powinnaś uciec... – stanowczo przyznała Beatrice.

– Ale dokąd? Na Boga... Dokąd? – jęknęła Lewinówna.

– Tam, gdzie nie przyjedzie Tomasz Niechowski... – szepnęła Henrietta.

Przez chwilę między kobietami zapanowała cisza i wreszcie do Hanki Lewin dotarło, że owszem, jest takie miejsce, gdzie Niechowscy na pewno za nią nie pojadą. Komunistyczna Polska, o której krążyły wśród polskiej emigracji legendy. Ona jednak wiedziała od Igora, że tam można żyć normalnie, jeśli nie będzie angażowała się w żadne antyrządowe akcje. Nie miała takiego zamiaru. Mogłaby także śpiewać, Nadia chodzić normalnie do szkoły, a syn tak zasłużonego żołnierza, jakim był Igor Łyszkin, byłby nietykalny. A luksus? W tej sytuacji nie znaczył kompletnie nic.

– Do Polski... – powiedziała cicho Hanka. – Zostawię to wszystko w cholerę i ucieknę do Polski.

Beatrice popatrzyła najpierw na Henriettę, a potem przeniosła wzrok na Lewinównę.

– Kiedy twoja Nadia osiągnie pełnoletność, ta stara megiera i jej zapijaczony synalek nie będą mogli nic zrobić. Ale twoja córka i syn będą potrzebowali pieniędzy. Nadii zresztą się one należą. Posłuchaj, Hanka. Zrobimy tak. Wystawimy dom na sprzedaż. Nie na brytyjskim rynku nieruchomości, ale za granicą. Jest wielu chętnych, by zamieszkać w snobistycznym Londynie. A gdy dzieci wstaną, pójdziesz do banku i zgłosisz chęć wypłaty całej gotówki. Fundusz dla Nadii niech zostanie. I tak będzie mogła z niego korzystać, gdy będzie dorosła. Kiedy już wypłacisz pieniądze,

pojedziemy razem do Szwajcarii i tam ulokujemy twoje środki w jakimś spokojnym banku, byś nie musiała nigdy zaglądać do Londynu. Beatrice zajmie się w tym czasie dziećmi. – Rozemocjonowana Henrietta przedstawiła plan.

Lewinówna popatrzyła na Beatrice, ale ta tylko uśmiechnęła się szelmowsko i dodała:

– Nie martw się, nie potopię w wannie twoich potworków.

– Myślicie, że to się uda? – zapytała Hanka.

– Musi. A teraz zbieraj się, musisz jeszcze odwiedzić polską ambasadę i pozłatwiać mnóstwo spraw. A co do dzieci, Beatrice zaraz zadzwoni po zawodową opiekunkę. Ja również miałabym obawy, żeby zostawić jej pod opieką dzieci – roześmiała się Henrietta.

– A kiedy powinnam wyjechać, twoim zdaniem? – zapytała Lewinówna.

– A ile zostało spraw do rozstrzygnięcia? – odpowiedziała pytaniem Beatrice.

– Przynajmniej dwie... Ale nie chciałabym czekać do ostatniej chwili – bąknęła Hanka.

– W ciągu trzech tygodni powinnyśmy uporać się ze wszystkim. Poczekaj do pierwszych zeznań świadków. Jeśli Barry uzna, że ich opowieści pogrążą cię i szanse okażą się minimalne, wówczas wsiądziesz na prom i popłyniesz do Bretanii, a stamtąd powrócisz do Polski. Mnóstwo twoich rodaków zostało na wyspach, ale wielu powróciło do ojczyzny, będziesz jedną z tłumu... Jeśli jednak Barry zobaczy światełko w tunelu i oceni, że masz szansę na wygraną, postanowimy, co dalej. Ale musisz być przygotowana na natychmiastowe opuszczenie kraju. Jeśli nie sprzedasz domu w tym czasie, zostawisz pełnomocnictwo Barry'emu... Co jeszcze? Twoja kariera... – Henrietta właściwie zdecydowała za Hankę, ale Lewinówna była z tego zadowolona.

Do czasu wytoczenia jej procesu przez Niechowskich nie była sobie w stanie wyobrazić powrotu do Polski. Nawet Igor jej nie przekonał, a ona wciąż łudziła się, że znajdą jakieś inne rozwiązanie. Ale nadszedł moment w jej życiu, iż swoje obawy i dylematy rzuciła w ką. Dla Nadii była gotowa na wszystko.

– Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła, Olgo. Wydawało mi się, że już znam dobrze rosyjski, ale tych ludzi tutaj nie rozumiem... – szepnęła ze zgrozą Alicja, tuląc małą Natalkę do piersi.

– Tak to jest. Język niby jeden, a w każdej części Związku Radzieckiego gadają innym dialektem. Na szczęście wiele słów brzmi podobnie, ale jeśli dla kogoś rosyjski nie jest rodzimym językiem, to w istocie może niewiele zrozumieć. Ale najważniejsze, że pieniądze przyjęli i dali nam miejsce do spania. No i w końcu zjadłam coś pożywne. – Uśmiechnęła się.

– To mięso jakoś dziwnie wyglądało... – mruknęła Alicja.

– Widać od razu, żeś prawdziwego głodu nie zaznała – westchnęła Olga i dodała: – Ja właściwie też miałam szczęście, bo w ambulatorium praca nie była taka wyczerpująca, a racje dostawaliśmy jak ci z kopalni. Chociaż i tak ciągle chciało mi się jeść...

– Słuchaj, a ci ludzie, nie doniosą na nas? – zapytała zatrwożona Alicja.

Wydawało jej się, że są wciąż zbyt blisko obozu. Udało im się przejechać prawie dwieście kilometrów, co i tak można było uznać za wielki sukces, potem skończyło się paliwo, więc uznały, że jest to właściwy moment, by poszukać noclegu, a ciężarówkę porzucić na drodze. Ruszyły w stronę najbliższej osady – Churapchy. Według mapy, bardzo zgrubnej zresztą, dzieliło je od tej miejscowości maksymalnie kilkanaście kilometrów. Po drodze trafiły na ubogą chatę i postanowiły przenocować, przekonując gospodarzy, że zostały zwolnione z obozu i muszą dotrzeć do Jakucka, by tam wsiąść w kolej i udać się do swoich domów.

– Będziemy czuwać. Żeby na nas donieść, musieliby pójść albo pojechać do Churapchy, by zawiadomić milicję albo inne służby. Póki nigdzie się nie ruszają, możemy być spokojne. Zresztą masz dokumenty tak mocne, że raczej nikt nie ośmieli cię szykanować, nawet jeśli przyjadą nas sprawdzić. A ja? No cóż... najwyżej ucieknę w las – z westchnieniem powiedziała Olga.

– Lepiej jednak, żeby nie przyjeżdżali – burknęła Alicja i przyłożyła głowę do poduszki wypchanej sianem, która szeleściła, gdy tylko kobieta próbowała zmienić pozycję.

Izba, którą odstąpili im gospodarze, była wielkości pomieszczenia na szczotki. Wąska, niska i nieodparcie przywoływała u Alicji wspomnienia psiej budy, w której spędzała wiele godzin, siedząc w więzieniu przy Strzeleckiej. Nie mogła jednak wybrzydząć.

Zagroda była tak uboga, że gdyby nie Olga, Alicja zapewne ominęłaby ją, sądząc, że to jakieś opuszczone domostwo. Zbudowana z niedbale ociosanych drewnianych belek, sztukowana gdzieniegdzie wybrakowanymi deskami w innym kolorze, z niewielkim chlewem i kozą przywiązaną do grubej sosny. Mieszkańcami domu było stare małżeństwo, a może jedynie sterane trudami życia. Z konwersacji, jaką nawiązała z nimi Olga, wynikało, iż w istocie mają swoje lata, pozostali sami na gospodarce, a ich dzieci, trzech synów, wyjechały do Jakucka, szukać lepszego życia. Pa-



trząc na bielone ściany, gliniany, rozpadający się piec i posłania przypominające pry-  
cze w *zonie* trudno było się dziwić, że podjęli podobną decyzję.

Świat się zmieniał, po drogach jeździły samochody, radio nie było już luksu-  
sem, a tymczasem w tym miejscu czas się zatrzymał. Gospodarze okrywali się skóra-  
mi, chodzili na polowania, a gdy chcieli gdziekolwiek dotrzeć, mogli to zrobić jedy-  
nie piechotą. Tak też czynili, gdy musieli dokupić mąkę albo inne dobra niezbędne do  
życia. Jednak ich potrzeby były tak ograniczone, że niekiedy miesiącami nie ruszali  
się do Churapchy. Na niewielkim spłachetku lichej ziemi gospodarzyli jak feudalni  
chłopi przed wiekami, jednak na ich twarzach malował się spokój. Nie tęsknili za in-  
nym życiem i światem pełnym blichtru i nowoczesności, bo po prostu go nie znali.  
Ich egzystencję wyznaczały długie, mroźne zimy i krótkie, upalne lata. Zahartowani  
trudami życia, uśmiechali się często i nie narzekali ani na miejsce do życia, ani na po-  
godę, zaś o panującej sytuacji politycznej nie mieli pojęcia. Wiedzieli jedynie, że  
w okolicach istnieje coś takiego, jak obozy pracy, bo niekiedy jakiś zdesperowany  
uciekiniętra trafił do ich chaty. Zdarzyło się to gospodarzom zaledwie dwa razy w ich  
życiu, ale było tak nietypowym zjawiskiem, mącącym ich spokojne życie, że zapa-  
miętali ten fakt. Jak również to, iż po kilku dniach od ich wizyty przyjeżdżała władza  
i zagładała im w każdy kąt domostwa.

Alicja patrzyła na tych ludzi i myślała o nich, że właściwie są szczęściami.  
Pozbawieni życiowych wstrząsów, a może po prostu pogodzeni z nimi, żyjący z dala  
od cywilizacji i z potrzebami tak niewielkimi, że nawet surowy klimat nie był im  
straszny.

\*\*\*

Następnego ranka wyruszyły przed siebie, by dotrzeć do Churapchy. Miały na-  
dzieję, że tam zorganizują jakiś transport do Jakucka, bo wędrówka z małym dziec-  
kiem przez kolejne dwieście kilometrów była po prostu nierealna. Postanowiły pójść  
drogą, chociaż gospodarz wskazał im szlak przez górskie łąki, obawiały się jednak,  
że zabłądzą, a na takich bezkresnych przestrzeniach zapewne nie spotkałyby nikogo,  
kto wskazałby im właściwy kierunek.

– Nie mam już siły – powiedziała Olga, siadając na dużym, omszałym kamie-  
niu.

Odkręciła skórzany bukłak, kupiony od gospodarzy za równowartość dwóch  
worków mąki, i pociągnęła mały łyk.

– Ja też nie. – Alicja przycupnęła obok niej i sadzając Natalię na trawie, wes-  
tchnęła: – Ale musimy iść. Nie wiadomo, kiedy znajdą porzuconą ciężarówkę i jak  
szybko Stiepan wyśle za nami swoje psy gończe.

– Myślisz, że będzie próbował cię zatrzymać na własną rękę? A może odpu-  
ści – bez specjalnej nadziei w głosie powiedziała Olga.

– Nie wiem. – Alicja wzruszyła ramionami. – Naprawdę ten człowiek jest dla  
mnie zagadką. Podłość obok szlachetności. Czyste zło pomieszane z brudnym do-  
brem.

– A może strzeli sobie w głowę, gdy dotrze do niego, że uciekłaś, a on nie ma  
prawa cię zatrzymać? – zapytała Olga.

– Nie płakałabym – burknęła.

– Ja też nie. Już bardziej żal by mi było Ernsta, bo on pewnie zostanie tam

jeszcze bardzo długo, albo tych bezimiennych sierot żyjących bez odrobiny miłości...

– Olga machnęła ręką i zapytała: – Zazdroszczę ci, że ktoś na ciebie czeka.

– To piękne uczucie i przybijające. Z jednej strony dokonujesz heroicznego wysiłku, by znaleźć się blisko nich, z drugiej... zamartwiasz się, rwiesz włosy z głowy i myślisz... Tak, cały czas myślisz. Czy on mnie jeszcze kocha? Czy może ma inną? Czy mój synek płacze za mną, a może już zapomniał o matce? To niekiedy bywa przekleństwem, uwierz. – Alicja naprawdę czasami zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby dla niej, gdyby była sama na świecie.

– Ale wiesz... – Uśmiechnęła się. – ...może pewnego dnia będzie ktoś na mnie czekał. O to warto zawalczyć. Idziemy, bo jeszcze nawet nie widać zabudowań tej choleralnej wioski.

Podniosły się z kamienia, gdy z oddali dobiegł do ich uszu warkot samochodu.

– Weź małą i ukryj się za tamtym kamieniem – nakazała Alicja i wskazała ręką omszały głaz. – Ja zobaczę, co to za auto i może uda mi się je zatrzymać.

– Nie dogadasz się z nimi – jęknęła Olga.

– Dajże spokój, dwa zdania jakoś skleczę, a potaknięcie głową musi tutaj oznaczać dokładnie to samo, co wszędzie. Zmykaj – powiedziała stanowczo Alicja, w podobnym tonie, w jakim niegdyś przemawiała do swoich żołnierzy, i ruszyła na drogę, wypatrywać jadącego samochodu.

Olga już nie dyskutowała, tylko wzięła Natalię i pobiegła w stronę kamienia. Furgonetka, którą wkrótce ujrzała Alicja, nie wyglądała, jakby należała do jakichś służb, ponieważ sprawiała wrażenie, jak gdyby za chwilę miała się rozlecieć. Alicja pomachała ręką i samochód ze zgrzytem zahamował na kamienistej drodze. Z okna wyjrzała rumiana twarz młodego chłopaka o skośnych oczach i szerokim uśmiechem.

– Churapcha? – zapytała Alicja.

– *Da* – powiedział chłopak. – *Sadis*.

Alicja miała nadzieję, że chłopak nie zmieni zdania, gdy zobaczy dwie dodatkowe pasażerki, dlatego krzyknęła na Olgę i chwilę potem wszystkie wsiadły do samochodu. Alicja z córką usiadły na pace, obok jakichś beczek i skrzynek, a Olgę usadowiła w szoferce, by ta zasięgnęła języka o miejscu, do którego zmierzały.

Furgonetka wydawała z siebie jęczące dźwięki, jakby w istocie za chwilę miała odmówić posłuszeństwa i trzęsła się na nierównej drodze, doprowadzając Alicję do mdłości, chociaż nie pokonywali żadnych zakrętów.

Churapcha, z którą kobiety wiązały tak wielkie nadzieje, okazała się zatęchłą wioską, która według kierowcy liczyła całe dwa tysiące mieszkańców. Była co prawda szkoła, zajmująca budynek przypominający kurnik, i posterunek milicji, jednak ten ostatni przybytek Alicja i Olga postanowiły omijać szerokim łukiem.

Chłopak znalazł im nocleg w jednej z chałup, należącej do jego wuja, i zażądał za to niemal astronomicznej kwoty, sądząc, że kobiety są uciekinierkami z obozu. Trochę się potargowały i udały się na spoczynek do rubasznego wuja, który niemal upił je nalewkami własnej roboty. Podczas libacji towarzyszył im Grisza, młody kierowca, który co i rusz łupał wzrokiem w kierunku Olgi. Zapewne wpadła mu w oko, bowiem Iwanowna wciąż była urodziwa, a jej twarz zdawała się dla Griszy niemal egzotyczna. Alicja zapewne wykorzystałaby taki fakt, ale nie mogła namawiać do tego Olgi. Ta jednak, jakby zreflektowała się, że chłopak się do niej umizguje, i postanowiła nie tracić czasu. Posłała mu powłóczyście spojrzenie, jakie Alicja widziała

u niej po raz pierwszy, i nawet pozwoliła, by delikatnie muskał jej dłoń. Nie oponowała, gdy zaprosił ją na spacer nad brzeg jeziora, które malowniczo rozciągało się za wsią.

Olga wróciła do chaty po dwóch godzinach i oznajmiła:

– Odwiezie nas do Nuoragany, a to już połowa drogi do Jakucka. Nie martw się, nie musiałam robić żadnych paskudnych rzeczy, to był niezwykle romantyczny spacer – wybełkotała, kompletnie pijana, i tak jak stała, dosłownie padła na posłanie.

Chwilę potem rozległo się donośne chrapanie Olgi Iwanowny. Alicja uśmiechnęła się. Przypomniała sobie Hankę. Takich trzech jak one dwie nie było ani jednej.

W mieszkaniu Magdaleny Walewskiej panowała niemal grobowa atmosfera. Szymek siedział na wersalce w jej części pokoju i głaskał po kudłatym łbie Ziutka, a panna Magdalena chodziła od ściany do ściany i wyłamywała sobie palce. Trzeba przyznać, że właściwie kręciła się w kółko, bowiem niewielka powierzchnia pokoju uniemożliwiała jej dłuższe spacerowanie. Szymkowi też było przykro z powodu pana Kamila, bowiem polubił go, chociaż ten z reguły miał ponurą minę. Był jednak mu życzliwy i nawet pochwalił chłopca za to, że ten z taką determinacją szukał swojego psa. W tym momencie jednak pan Grotowski siedział w więzieniu i nikt nie potrafił powiedzieć, z jakiego powodu tam trafił.

Ojciec panny Walewskiej, który niezwłocznie po zatrzymaniu Kamila Grotowskiego przyjechał do Warszawy, orzekł, że zapewne dokopano się do informacji, z których wynikało, iż ów człowiek należał do Armii Krajowej i ta czerwona swołocz na pewno z tego powodu go aresztowała. Szymek uważał jednak, że pan Walewski jak zwykle przesadzał, bo jakoś nie mieściło mu się w głowie, że można zamknąć człowieka za to, iż walczył niegdyś z Niemcami. Być może to była jakaś pomyłka, bo takich w powojennym bałaganie zdarzało się mnóstwo. Chłopak nie sądził także, aby pan Grotowski był wrogiem władzy ludowej, ponieważ zdawał się tak otępiałym i przygnębionym człowiekiem, że raczej nie bawiłby się w podobne sprawy.

Jak na razie Szymek był bardzo pozytywnie nastawiony do nowego ustroju i nie potrafił zrozumieć tych, którzy na niego narzekali. Warszawa robiła się piękniejsza z dnia na dzień, otwierano kolejne szkoły i wydawnictwa, a w szkole opowiadano, jak pięknym i bogatym krajem będzie Polska za kilka lat, gdy dźwignie się po wojennej pożodze. I te wszystkie dobrodziejstwa, które spłyną na jego ojczyznę, będą wspólne, a on nie będzie musiał kraść i pokątnie handlować, by się wykształcić i zostać „papugą”, jak to sobie niegdyś wymarzył.

Dwuskrzydłowe drzwi pokoju zaskrzypiały i chwilę potem ukazała się postać zatroskanego Emila Lewina. Panna Magdalena od razu podeszła do niego, wtuliła się w jego ramiona i zaczęła mówić spanikowanym głosem:

– Emil, błagam, pomóż mi. Zamknęli Kamila. Proszę, zrób coś. Należysz do partii, jesteś poważanym urzędnikiem państwowym...

Lewin odsunął ją delikatnie od siebie i powiedział:

– Tak, jestem. Twój ojciec przypomina mi o tym za każdym razem, gdy się spotkamy. – Zrozpaczona mina Magdaleny jednak sprawiła, że nagle zmienił ton, pogłaskał ją po policzku i niemal szepnął: – Obawiam się, moja piękna, że przeceniasz moje możliwości.

– Ale ty możesz więcej niż ja. Byłam tam, u nich, na Strzeleckiej. Nic nie chcą mi powiedzieć. To straszne, przecież on nic nie zrobił. – Panna Walewska rozplakała się.

Emil Lewin przytulił swoją ukochaną, chociaż Szymek spostrzegł, że przez jego twarz przebiegł jakiś dziwny cień, a jego mina nieco się zmieniła. Być może był zazdrosny o to, że panna Magdalena płacze z powodu Grotowskiego.

Szymek Wielopolski, gdy po raz pierwszy zauważył zainteresowanie swojego patrona panną Magdaleną, nie był zbytnio z tego faktu zadowolony. Wciąż kołatała mu w głowie myśl, że zapewne jego nowa opiekunka i przyjaciółka nie ma pojęcia o tym, iż niegdyś pan Lewin współpracował z gestapo i donosił. A może powiedział jej o tym i ona polubiła go nawet z tą jego mroczną przeszłością? Uważał, że raczej jest to mało prawdopodobne, zwłaszcza że nawet jemu nie wyjawiał nigdy prawdy. A co stałoby się, gdyby ujawnił ją przed panną Walewską? Być może nigdy więcej nie chciałaby widzieć pana Lewina. Jej narzeczony zginął w powstaniu, ona była łączniczką, a jej ojciec nienawidził Sowietów, dla których Emil poniekąd pracował. Jednak Emil Lewin, odkąd zaczął spotykać się z panną Magdaleną, promieniał szczęściem. Ani na Adriannę Daleszyńską, ani też na Renate Zoll nie patrzył z takim zachwytem, jak na nią. Właśnie, a czy ona wiedziała o panie Zoll i o tym, czym ta kobieta się zajmowała? Teraz, gdy wojna się skończyła, Szymek dowiedział się, czym było więzienie przy Pawiej. I wcale to nie był taki sobie zwykły areszt, ale katowano tam i mordowano Polaków. Może Renate Zoll również to robiła? Emil Lewin musiał o tym coś wiedzieć.

Tak więc Szymek bił się z myślami, bo mimo wszystko czuł ogromną wdzięczność i życzył Lewinowi szczęścia. W końcu uratował mu życie, a przedtem wydobył z nędzy. To były dylematy, z którymi chłopak nie umiał sobie poradzić ani poukładać w sercu swoich uczuć do pana Lewina. Pewnie byłoby mu łatwiej, gdyby Emil zainteresował się obcą kobietą, która niewiele znaczyłaby dla Szymka, ale panna Magdalena była nie tylko piękna, ale miała także anielski charakter. Postanowił, że pomyśli o swoich rozterkach nieco później, bowiem teraz najważniejsze było uwolnienie pana Grotowskiego.

– Moja droga, nie powinnaś tak się zamartwiać. To nie wojna i nie gestapo, ale Urząd Bezpieczeństwa. A tam go przesłuchają i jeśli nie ma nic na sumieniu, wypuszczą wolno. Natomiast jeżeli coś nawywijał, odbędzie się rozprawa i otrzyma sprawiedliwy wyrok. Czasy się zmieniły – pocieszająco powiedział Lewin.

Magdalena Walewska przestała łkać, odepchnęła Emila i usiadła na krześle.

– Nic się nie zmieniło – wysyczała. – Wtrącają do więzień bohaterów, żołnierzy, którzy narażali życie, by walczyć ze szwabami, a potem ich skazują na śmierć. To tylko ułuda, taki teatrzyk, że niby sądy, adwokaci, jakieś dowody. Ale to bzdura. Robią, co chcą, i to w majestacie prawa. Ich prawa. Więc nie mów mi nawet takich rzeczy. Zapisaleś się do partii, wierzysz w ten system i ja to akceptuję, ale Urząd Bezpieczeństwa to państwo w państwie. Tam nic nie jest sprawiedliwe.

Lewin zmieszał się. Magdalena nie powiedziała niczego, czego by nie wiedział każdy zdrowo myślący człowiek.

– Nie rozumiem, dlaczego widzisz to w takich czarnych barwach. Ale zrobię wszystko, by pomóc twojemu... przyjacielowi – burknął.

– I swojemu dawnemu rywalowi? – zapytała nieco złośliwie Magdalena.

– To stare dzieje. Nie czuję do niego ani niechęci, ani złości. Wręcz przeciwnie, mam ogromne wyrzuty sumienia z powodu Adrianny, więc tym bardziej spróbuję mu pomóc. Ale wiesz, jak to jest... – odpowiedział ugodowo, chociaż zdawał się nieco urażony podobnymi insynuacjami.

– Przepraszam, Emilu. Po stokroć. Po prostu... jestem zdruzgotana. Ten człowiek tyle przeszedł, tak wiele na niego spadło, a teraz jeszcze i to... – jęknęła panna

Magdalena.

Szymek przyglądał się tej scenie, gdy para gruchających gołąbków godziła się po bezsensownej kłótni. I to najdobitniej świadczyło, że Lewin musi być bardzo zakochany w pannie Walewskiej, w przeciwnym razie nie odpuściłby tak szybko. Szymek widywał wcześniej w takich sytuacjach pana Emila. Ten robił się wówczas niemal purpurowy na twarzy, a jego oczy ciskały gromy. I wówczas chłopak wiedział, że awantura nie ucichnie, dopóki adwersarz Lewina nie złoży broni i nie ukorzy się. Widywał takie sceny. I wtedy, gdy mieszkały z nimi panna Adrianna czy panna Zoll albo gdy dochodziło do kłótni Lewina z Frankiem „Diamentową Rączką”. Tymczasem teraz to Emil usiłował załagodzić sytuację. Tak, pan Emil Lewin naprawdę był zakochany w pannie Magdalenie.

## 34. Los Alamos, 1947

Niebo nad Los Alamos przybrało granatowy kolor, a gwiazdy zdawały się być na wyciągnięcie ręki. Igor Łyszkin zażywał dla zdrowia wieczornego spaceru, tym razem jednak nie towarzyszyła mu żona. Ponieważ przechadzał się z nią niemal codziennie, nie miała pretensji, gdy pewnego dnia oznajmił jej, że ma ochotę pospacerować sam.

Judith była idealną żoną. Każdy inny mężczyzna ozłociłby taką kobietę. Niemal potulna, bez zwyczajowych babskich grymasów, zwłaszcza gdy nadchodziły tak zwane trudne dni, i za każdym razem, gdy się kochali, była równie słodka i chętna, jak podczas narzeczeństwa. Poza tym Igor nie musiał się martwić żadnymi prozaicznymi sprawami domowymi, ponieważ Judith świetnie radziła sobie zarówno w kuchni, jak i na posesji. Z równą doskonałością przyrządzała obiady i wbijała gwoździe, by powiesić na nich ramki, w które oprawiała ich wspólne zdjęcia.

Łyszkin minął skrzyżowanie, jedno z największych w tym miejscu, i ruszył w stronę niewielkiego skweru. Usiadł na ławce znajdującej się na skraju i zapalił papierosa. Przejechał dłonią pod siedziskiem ławki i wyczuł pod palcami przyklejoną kopertę. Oderwał ją szybkim ruchem i schował pod kurtkę. Wypalił kolejnego papierosa, by ruszyć w drogę powrotną.

W domu stwierdził, że Judith już śpi, dlatego poszedł do łazienki i zrobił to, co zwykle – zdjęcia otrzymanych dokumentów. Oryginały zaś wrzucił do kominka i podpalił. Następnego dnia miał spotkać się ze swoim łącznikiem poza Los Alamos i przekazać mu materiał.

Łyszkin nie znał się ani na fizyce, ani na chemii i nie miał pojęcia, czy informacje przekazane przez Foksa mają w istocie jakąś wartość, czy są jedynie mało przydatnymi bazgrołami. Miał nadzieję, że profesor nie chciał go wykiwać, bo to oznaczałoby kolejne miesiące pracy przy werbowaniu innego człowieka z zakładów z Los Alamos.

Następnego dnia ubrał się tak jak codziennie i wsiadł do wysłużonego forda. Judith sądziła, że tak jak każdego dnia Igor udaje się do swojego miejsca pracy, dlatego wręczyła mu pakiet kanapek i termos z kawą. Nie miała pojęcia, że tego dnia Łyszkin nie zamierzał pracować. Wziął wolne i nawet zdobył przepustkę na opuszczenie terenu Los Alamos.

Tuż za zakrętem zatrzymał samochód i ściągnął z siebie kombinezon, po czym ruszył w stronę bramy wyjazdowej. Jak zwykle, gdy ktoś opuszczał, nawet na krótko, bazę, strażnicy starannie sprawdzali i pojazd, i jego właściciela. Musieli upewnić się, czy żaden z nich nie wywozi z Los Alamos tajnych informacji. Oczywiście, było to rutynowe działanie i tak pobieżne, że niekiedy wydawało się aż zabawne, bowiem jeśli naprawdę ktoś chciał coś wywieźć z terenu laboratorium i nie był to słoń, miał dziesiątki możliwości, by ukryć materiały. Igor uczynił to samo i jego mikrofilmy znajdowały się w kole zapasowym, wetknięte pod oponę. Miał nadzieję, że nie złapie gumy, bowiem uszkodzona opona, jakkolwiek stanowiła bezpieczną kryjówkę, tak do jazdy nie nadawała się już wcale.

Przejechał bramę ośrodka i udał się w kierunku innej miejsciny, White Rock, oddalonej od Los Alamos jakieś dziesięć mil. Miejsce to, podobnie jak całe Los Alamos, służyć miało ośrodkowi. Osiedle mieszkaniowe, jakie tutaj powstało, zajmowali pracownicy zatrudnieni przy budowie kolejnych obiektów. Jednak na tym ich rola się kończyła i po fajrancie powracali do White Rock, które nie było tak pilnie strzeżone, jak miejsca zamieszkiwane przez naukowców i ich rodziny czy też innych pracowników ośrodka. Firma telefoniczna, w której zatrudniony był Igor, była nielicznym wyjątkiem, bo znajdowała się w sercu Los Alamos. Chodziło o lęk przed podsłuchami, dlatego jego firma musiała być pod stałym nadzorem. Łyszkin dobrze wiedział, że istniała tam również zasada ograniczonego zaufania i po każdym zleceniu, które wykonywał on lub ktokolwiek z jego współpracowników, przyjeżdżała kontrola i wnikliwie badała, czy aparaty telefoniczne nie zostały zaopatrzone w pluskwy. Łyszkin niekiedy śmiał się w duchu z tych wszystkich zabiegów, bo jeśli ktoś chciał z tego miejsca coś wynieść, nie musiał zakładać podsłuchów, ale spełnić jedynie dwa warunki – mieć swojego człowieka w laboratorium, który dopuszczony jest do tajemnic najwyższej wagi, i odrobinę sprytu. Igor miał jedno i drugie.

Mała kafejka w White Rock wyglądała jak wszystkie budynki w tym miejscu. Prosta konstrukcja, niewielki metraż i wokół roślinność, która jeszcze nie zdążyła dobrze się rozrosnąć. Jedyne, co wyróżniało kafeterię od innych budowli, to duża witryna okienna i szyld z nazwą lokalu. Wewnątrz było dość przytulnie, bo ktoś wpadł na pomysł, by pokryć ściany boazerią, a kominek kamieniem polnym. Na ścianach gdzieś tam wisiały trofea myśliwskie, a ławki przy stolikach wyściełane były baranią skórą.

Igor usiadł przy stoliku w kącie sali i zamówił kawę. Miał dobry widok zarówno na lokal, jak i na witrynę. Mógł obserwować podjeżdżające samochody i w końcu ujrzał ten, na który czekał. Zdezelowana, nieco zardzewiała furgonetka z impetem wyhamowała na piaszczystym parkingu, wzniesając tumany kurzu. Na pace pojazdu stały kubły z farbą, leżała złożona drabina i ogromna skrzynia z narzędziami. Zza kierownicy wysiadł około trzydziestoletni mężczyzna, ubrany w brudne dżinsy i równie nieświeżą podkoszulkę. Na głowę nasunął sfatygowany kowbojski kapelusz. Rozejrzał się dookoła i po chwili stał już w drzwiach baru. Złożył zamówienie, po czym przecisnął się między stolikami i dosiadł się do Igora. W lokalu było sporo ludzi, zbliżała się pora lunchu, dlatego nikogo nie zdziwiło, że mężczyzna wybrał to niezbyt przytulne miejsce i w dodatku zajęte już przez kogoś innego.

– Nie męczą pana te upały? Dzisiaj było dziewięćdziesiąt siedem stopni Fahrenheita, a wczoraj zaledwie dwa stopnie mniej – z westchnieniem powiedział mężczyzna.

– U nas temperatura nigdy nie przekracza dziewięćdziesięciu, a bryza znad oceanu daje ukojenie. Mieszkam w Petrolli – odpowiedział Łyszkin.

Po chwili mężczyzna zdjął kapelusz i położył na stoliku. Igor niepostrzeżenie wsunął pod rondo mikrofilmy, po czym zajął się kontemplowaniem myśliwskich ozdób.

– Kiedy teraz? – zapytał człowiek w roboczym ubraniu.

– To ty mi powiedz – burknął Igor. – Skąd mogę wiedzieć, co tam jest?

– Spotkajmy się za miesiąc, ale uważam, że przez cały czas powinienes brać materiały od naszego przyjaciela.



– Znam się na swojej robocie, ale wkurza mnie ciągle czekanie na efekty. – Igor powoli tracił cierpliwość.

Miesiąc... Tyle czasu miał czekać na informacje, czy zdobyty od Foksa materiał ma jakąś wartość i profesor zostanie ich stałym współpracownikiem. Rozumiał, że dokumentację musieli przejrzeć radzieccy fachowcy, ale on wciąż był myślami przy swojej zasłużonej emeryturze. Obawiał się, że jeśli tak bardzo skoncentruje się na swoich marzeniach o spokojnym życiu u boku Hanki i dzieci, popełni jakiś błąd. Był jednak zmęczony. Bardziej niż wówczas, gdy jego życie było dalece bardziej niebezpieczne od tego obecnie. Ale wtedy cały czas coś się działo, zmiany następowały w tempie błyskawicznym, a atmosfera ciągłego zagrożenia podnosiła wciąż poziom adrenaliny. Tymczasem teraz zmuszony był do leniwego życia u boku kobiety, której nie kochał.

Pożegnał się z łącznikiem i powrócił do bazy. Kilka przecznic przed domem ponownie włożył roboczy kombinezon i pojechał dalej.

– Nie zjadłeś kanapek? Nie wypiliśmy ani łyka kawy? – zdziwiła się Judith, gdy zajrzała do torby Igora.

Przeklął w duchu. Zapomniał o takiej oczywistej sprawie, jak wyrzucenie przygotowanego przez żonę jedzenia, a chociażby o wylaniu kawy.

– Przez cały dzień bolał mnie żołądek, zresztą boli mnie do tej pory – mruknął i niemal od razu poszedł do sypialni.

– Zaparzę ci ziół i lepiej, żebyś dzisiaj się trochę przegłodził – powiedziała z troską Judith.

„Nie dość, że popełniłem szkolny błąd, to jeszcze będę głodny” – pomyślał Łyszkin, nieco zły na siebie. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że miało to swoje dobre strony, bo wiedział, że do końca dnia jego troskliwa małżonka zostawi go w spokoju.

Za każdym razem, gdy dzwonił adwokat Juliana Chełmickiego z informacją, że ma dla niego list z Polski, Weronika truchlała. Oznaczało to zazwyczaj otrzymanie niepomysłnych wiadomości z ojczyzny i kolejne tygodnie w życiu jej rodziny naznaczone goryczą i minorową miną małżonka. Zastanawiała się niekiedy, dlaczego Julian nie poda po prostu ich adresu domowego, tylko wciąż prowadzi z Sergiuszem Dargiewiczem korespondencję za pośrednictwem kancelarii adwokackiej, ale najwyraźniej jej mąż wciąż tkwił w konspiracji. Zupełnie niepotrzebnie snuł wizje jakichś spisków i problemów, jakie mogą wyniknąć z prowadzenia podobnej korespondencji. Według Weroniki jeśli ktokolwiek miałby mieć z tego tytułu problemy, to jedynie Sergiusz. To w końcu „Kary” żył w kraju, gdzie ponoć tego typu kontakty nie były mile widziane. Tutaj, w Szwajcarii, ani jej, ani Julianowi nie groziły z tego tytułu żadne szykany i nie rozumiała rozterek małżonka.

– Czy możesz zajść do kancelarii przed wyjazdem do domu? – zapytał nieco znękanym głosem Chełmicki. – Podobno „Kary” napisał.

– Dobrze, zajdę. A ty źle się czujesz?

– Nie, po prostu nie chce mi się jechać do Lozanny tylko po odbiór koperty, a jeśli ty już tam będziesz...

To nie wróżyło nic dobrego. Dotychczas informacja o przesyłce z Polski sprawiała, że budził się w Chełmickim nowy duch. Zapewne łudził się, że Alicja powróciła, co okropnie denerwowało Weronikę, a jednak tym razem Julian nie zmienił wyrazu twarzy, nie widziała u niego takiego podekscytowania jak zwykle, więc wzruszyła jedynie ramionami i wyszła z domu.

Tym razem oprócz normalnych spraw, jakie Weronika miała do załatwienia, planowała spotkanie z Gustavem. W kawiarni, przy lampce wina. Lubiła te krótkie, niewinne wypadki do znajdującego się niemal nad brzegiem jeziora zacisznego lokalu. Nie dlatego, że zachwycił ją Gustav, ale z uwagi na fakt, że on był nią oczarowany. Z każdym spotkaniem coraz bardziej.

Tego dnia było podobnie. Najpierw powiedział jej, że pięknie wygląda, potem wyraził pogląd dotyczący koloru jej szminki, by w końcu uznać, iż jest najbardziej pociągającą kobietą w całej Lozannie. Weronika wręcz spijała te słowa z ust swojego towarzysza, żeby ich wspomnienie wystarczyło na kolejne dni wypełnione pustką, jaka zagościła w jej małżeństwie.

Po dwóch godzinach jak zwykle Gustav chciał odprowadzić ją na autobus, ale musiała jeszcze zajść do nobliwego adwokata, więc pożegnała się z przyjacielem w centrum.

Kancelaria mieściła się na pierwszym piętrze jednej z eleganckich kamienic usytuowanych w sercu Lozanny. Przywitała ją asystentka, kobieta w średnim wieku, o nieco znudzonym wyrazie twarzy. Weronika zapytała o pana mecenasa i kilka minut później, gdy pożegnał swojego klienta, siedziała w jego ciemnym gabinecie. Zapewne tekowe, ciężkie meble zabierały światło, poza tym sprawiały wrażenie zbyt okazałych jak na takie wnętrza.

– Mam dwie przesyłki z Polski. Jedna to metryka urodzenia pana Juliana Chełmickiego, a druga to list od pana Dargiewicza. – Adwokat ziewnął jak krokodyl, po czym podał Weronice koperty.

Wcale nie była zdziwiona ospałością staruszka, takie wewnątrz nieodparcie nasuwało myśl o tym, by wsunąć się pod kołdrę i trochę podrzemać. Dodał, jak zwykle, że zapewne niedługo przestanie praktykować z uwagi na zaawansowany wiek, a kancelarię i klientów najpewniej przejmie jego syn.

Weronika uśmiechnęła się, pożegnała adwokata i wyszła z kancelarii. Koperta z listem od Dargiewicza niemal wypalała jej dłoń. Nie schowała jej do torebki, tylko trzymała, wciąż walcząc ze sobą. Korciło ją, by tam zajrzeć. Nie była z natury wścibską osobą, ale obawiała się złych wieści. A te kolejny raz pogrążą w smutku i nostalgii jej małżonka. Prawdę powiedziawszy, zaczynało ją to bardziej męczyć i złościć, niż trwożyć, ale starała się tego nie okazywać. Pragnęła spędzić trochę czasu w miłej, rodzinnej atmosferze i w poczuciu, że wszyscy w jej domu są szczęśliwi. Amelia była radosnym dzieckiem, Pawełek, gdy przyjeżdżał w weekendy, zachwycał się szkołą, kolegami i wszystkim, co go otaczało, ona także czuła się dobrze. Jedynie Julian sprawiał wrażenie, jakby przygniatał go jakiś ogromny ciężar.

Usiadła na jednej z ławek, przy niewielkiej fontannie, i przez kilka chwil obracała w dłoni kopertę od Sergiusza. W końcu delikatnie ją otworzyła i wyjęła z niej krótki liścik. Nie zastanawiała się ani przez moment, jak wytłumaczy Julianowi przeczytanie korespondencji nie do niej adresowanej, tylko chłonęła zdania napisane zamasztysem, nieco kanciastym pismem.

Informacje zawarte w tym krótkim liście były dość skąpe, ale ich kaliber niemal pozbawił Weronikę oddechu. Alicja Rosińska, jej wybawicielka i rywalka, nie żyła. Zginęła w radzieckim obozie pracy, gdzieś na dalekiej Syberii. Popatrzyła na tryskające strumienie wody i pomyślała z żalem o Alicji. Nie udało się jej, chociaż zawsze była niesamowitą szczęściarą. Odważna i bezczelna. Pewna siebie i oddana swoim przyjaciołom, bardziej niż jakimkolwiek ideałom. Uratowała jej życie, chociaż prościej byłoby jej uciec i zapomnieć o zdychającej na jakimś zrujnowanym podwórzu rywalce. Sarnowska miała świadomość, że zrobiła Alicji ogromne świństwo i nie bacząc na okoliczności, czyniła wszystko, by Julian Chełmicki wybrał ją.

A teraz nie żyła. Coś się skończyło. Epoka, w której niemal każdego dnia zastanawiała się, czy jej małżonek nie wzdycha do innej kobiety. Teraz nie było jej już wśród żywych i Weronika nie musiałaby nigdy więcej mieć podobnych rozterek. Jednak miała je. Obawiała się, że ta informacja dobije Juliana i zamiast polepszyć ich wzajemne relacje, jeszcze bardziej je pogorszy. Jej mąż przejmował się daleko mniej ważnymi sprawami, a ta, zawarta w krótkim liście od „Karego”, była najgorszą, jaką mógł otrzymać, odkąd skończyła się wojna. Pojechał do Warszawy, by szukać ratunku dla Alicji. Ryzykował wiele, bo mógł pozostać w Polsce już na zawsze i skończyć swój żywot w więzieniu albo zostać rozstrzelanym, bo tak robiono z żołnierzami Armii Krajowej. A jednak pojechał tam, by spotkać się ze swoim radzieckim kumplem i podjąć próbę uwolnienia Alicji. Jak miała mu teraz powiedzieć, że się nie udało? W jaki sposób mogłaby go pocieszyć, gdy przeczyta tę straszną wiadomość? Weronika była zdruzgotana i roztrzęsiona. Nie dlatego, że Alicja Rosińska była jej aż tak bliska, ale z uwagi na lęk o Juliana.

Rozejrzała się po małym placyku i jeszcze przez kilka minut bezwiednie wo-

działa wzrokiem po siedzących na ławkach ludziach. A potem zgmiotła w dłoni kopertę i wyrzuciła do stojącego nieopodal kosza na śmieci.

Kiedy wróciła do domu, starała się zachowywać, jakby nic kompletnie nie zaszło. Ucałowała w policzek męża i podała mu kopertę z metryką.

– Mówił, że to list od Dargiewicza – burknął.

– Ach, Julianie, pomyliło się coś naszymu staruszkowi. To tylko metryka.

Weronika machnęła ręką i podeszła do kuchennego blatu, by przygotować sobie herbatę. Wcale nie miała na nią ochoty, po prostu nie chciała patrzeć na Juliana po tym, gdy beztrąsko oznajmiła mu, że u adwokata nie było niczego więcej oprócz metryki z Chełmic. Ręce jej drżały, gdy nalewała esencji z czajniczka i wysypała na blat cukier. Jednak wciąż uważała, że postąpiła słusznie. Ta wiadomość bowiem mogła załamać jej męża.

– Paweł dzwonił – powiedział nagle Julian, przerywając niezręczną ciszę. – Ma dziewczynę.

– Mój mały synek ma dziewczynę. – Uśmiechnęła się, tym razem zupełnie szczerze.

Wszystko mogło być takie piękne i proste. I nie rozumiała, dlaczego jej Julian nie chce tego, co było w zasięgu ich możliwości. Szczęścia.

Od dnia, w którym ukazał się artykuł Waltera von Lossowa na temat współpracy amerykańskich koncernów z reżimem Hitlera, w mediach wrzało od komentarzy, opinii, a inni dziennikarze starali się dorzucić swoje trzy grosze, z różnym skutkiem. Jednak gwiazdą dziennikarstwa stał się Lossow, a co większe gazety zabiegały o to, by zaczął dla nich pracować. Walter chodził jak paw, rozpierała go duma, a jego ojciec osobiście mu pogratulował, pojawiając się pewnego słonecznego dnia w Berlinie. Aprobata ojca była dla niego bardzo ważna, zwłaszcza że po rozwodzie z Lilly Berg jego relacje z rodziną uległy ochłodzeniu. Walter wiedział, iż kiedyś mu wybaczą i zapomną, a wizyta ojca jedynie utwierdziła go w tym przekonaniu.

Niezmiernie szczęśliwy umówił się na randkę z Marie Rauch do jednej z najlepszych restauracji, jakie otwarto po wojnie w Berlinie. Wyglądała jak zwykle elegancko i była czulsza niż zazwyczaj. Podarowała mu nawet sygnowane pióro w prezencie.

– Właściwie to ty powinnaś dostać ode mnie jakieś piękne cacko – zmieształ się Walter. – Przecież gdyby nie ty, ten artykuł nigdy by nie ujrzał światła dziennego.

Machnęła od niechcienia ręką.

– Daj spokój, Walterze. Ja nie potrafiłabym zrobić z tych materiałów żadnego użytku. Nie potrafię pisać tak frapująco, jak ty, chociaż jestem asystentką w wydawnictwie.

– Naczelnny podobno bardzo cię chwali. Stary mi mówił. – Uśmiechnął się i puścił do kobiety oko.

Dobrze wiedział, że Marie w wydawnictwie odbiera telefony, porządkuje dokumenty i przepisuje na maszynie umowy z autorami, a do tych czynności niekoniecznie istotne było posiadanie lekkiego pióra.

– Jestem obowiązkowa i punktualna, to wszystko. Nauczył mnie tego Liber. Pracowałam w jego domu, a on miał kompletnego świra na tym punkcie. Fakt, że nie muszę już się męczyć z tym tyranem, jest mi bardzo na rękę. Z wydawnictwa wychodzę około osiemnastej i mam święty spokój. U Libera... Nieważne. Tutaj jest mi lepiej i tyle, chociaż zarobki są niższe o połowę – powiedziała Marie.

– Posłuchaj, Marie, teraz, gdy dostałem podwyżkę i w końcu jestem kimś w tym zawodzie, mogę spokojnie pomyśleć o wynajęciu większego i nieco bardziej sympatycznego mieszkania... Mogłabyś się wprowadzić. Przecież zależy ci na mnie, a praktyczną stroną byłaby znaczna oszczędność. – Walter mówił szybko, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy usłyszy z ust swojej towarzyszki odpowiedź: „tak”.

– Oszczędność... jakież to romantyczne – mruknęła Marie z nutką złośliwości.

– Ależ, moja droga, przecież wiesz, że za tobą szaleję. Jednak nie mam już argumentów, by cię przekonać do wspólnego zamieszkania. – Roześmiał się.

– Walterze, pozwól, że jeszcze to przemyślę. Cenię sobie swoją wolność. – W głosie kobiety miała brzmieć stanowczość, ale ten nieco drżał, bo nie była pewna, kiedy powinna już odpuścić udawanie trudnej do zdobycia.

– Mieszkałaś z tym starym, ponurym tyranem, a teraz wzbranasz się, by prze-

prowadzić się do mnie – z wyrzutem odparł Lossow.

– Powiedziała, że przemyśle sprawę – burknęła i nie dodała nic więcej, skupiając się na konsumowaniu wytwornej kolacji.

Wieczór zakończyli w łóżku Waltera, który postarał się, by tego dnia jego mieszkanie nie było odstręczającą norą, pełną brudnych naczyń i porzrzuconych byle gdzie ubrań. Jednak gdy tylko ich akt miłosny dobiegł końca, jego partnerka od razu wstała z łóżka, ubrała się i poprosiła, by odprowadził ją do domu. Nalegał, żeby została, ale wciąż była uparta. Nie do końca rozumiał jej zachowanie i zaczynał się zastanawiać, czy Marie Rauch darzy go równie szalonym uczuciem, co on ją. Najgorsze było to, że im bardziej go odpychała, tym on częściej o niej myślał i zdawało mu się, iż spotkał kobietę swojego życia. Być może instynktownie wyczuwała, jakim jest mężczyzną i że najbardziej pragnie tego, czego mieć nie może. On wciąż był zachwycony Marie, z każdym dniem coraz bardziej, i nie chciał już żadnych gier i forteli. Pragnął jedynie tego, by z nim była. Owo odurzenie, które czuł, gdy się poznali, wciąż trwało i nawet Waltera zaskakiwało swoją intensywnością. Każda rozmowa, spojrzenia były przesycone nieustającą erotyką, zmysłowością i tym czymś, czego nie dało się nazwać, ale tkwiło w człowieku i nie chciało odejść.

Powrócił do swojej kwatery nieco przygnębiony, ale od razu pomyślał o kolejnym intensywnym dniu pracy, która ugruntuje jego pozycję jako dziennikarza. Wpadł w wir zajęć i tworzył kolejne artykuły dające gwarancję, że nakład gazety sprzedaje się w ciągu kilku godzin.

\*\*\*

Pewnego dnia, gdy było już późne popołudnie, a redakcja powoli pustoszała, do jego biurka podszedł Bruno Lothar. Nie lubili się zbyt z Walterem, zapewne dlatego, że obaj byli bystrzy i wręcz chorobliwie ambitni, co sprawiało, iż mogli być jedynie rywalami, a nie kumplami.

– Widziałeś dzisiejszy „Der Spiegel”? – zapytał niemal retorycznie Bruno.

– Dopiero co wróciłem z Hanoweru, sprawdzałem, jak Brytolom idzie denazyfikacja – mruknął Walter.

– To zanim puścisz kolejny artykuł z tej serii, lepiej przeczytaj „Spiegla”. – Lothar uśmiechnął się złośliwie i wyszedł z redakcji.

Gdyby ktoś inny przekazał mu podobną wiadomość, Walter pomyślałby, że chodzi o kolejny pean na jego cześć, ale Bruno nie był mu przychylny, zatem jeśli przyszedł do niego z tego typu informacją, zapewne wieści nie były zbyt pomyślne dla niego.

Wstał z biurka i udał się do salonu prasowego, gdzie znajdowały się gazety należące do konkurencyjnych wydawców. Odszukał „Der Spiegel” i wrócił do biurka. Zaczął przerzucać kolejne strony, wypatrując czegoś, co mogło dotyczyć jego osoby. Nie musiał długo szukać. Już na trzeciej stronie ogromny nagłówek wręcz krzyczał – „Kogo kryje znany dziennikarz?”. Autor artykułu zaczął od tezy, jakoby w zamian za interesujące informacje Lossow krył zbrodniarzy wojennych.

Walter prychnął pod nosem, uznając, że kolejny raz ktoś próbuje go zdyskredytować i dlatego wypisuje bzdury. Ale następny akapit zaniepokoił go: „Kim jest informatorka Waltera von Lossowa i życiowa partnerka dziennikarza specjalizującego się w opisywaniu sensacji dotyczących nazistów?”. Lossow poczuł, że robi mu się

gorąco. Szkalowanie swojej osoby zapewne zniósłby, ale nade wszystko pragnął ochronić Marie. Z każdym przeczytanym zdaniem serce waliło mu coraz mocniej. Jakiś pismak postanowił sprawdzić, kim jest Marie Rauch, była asystentka Ludwiga Libera, która wykradła z jego biura kompromitujące materiały dotyczące współpracy amerykańskich koncernów z nazistami. Dziennikarz dotarł do jej pracodawcy. Ludwig Liber, chociaż dotychczas nieprzychylny prasie, tym razem postanowił się wypowiedzieć na temat byłej współpracownicy. Przyznał, że kobietę polecił mu znajomy lekarz, który operował jego twarz po wybuchu bomby. Dociekliwy pismak podążył tym tropem i trafił do Monachium, do kliniki, w której rezydował znajomy chirurg. Doktor Gottman, przyjaciel Ludwiga Libera, był zdruzgotany wiadomościami, że osoba, którą polecił, okazała się taka niewdzięczna i nielojalna. Przy okazji wybuchła prawdziwa bomba, bowiem w klinice okazało się, iż panna Marie Rauch wcale się tak nie nazywa. Z akt medycznych wynikało, że prawdziwe dane sekretarki Ludwiga Libera brzmią: Renate Zoll. Dziennikarz nie odpuszczał, bowiem był ciekawy, dlaczego panna Zoll zmieniła swoje personalia. Wyszło na jaw, że piękna asystentka Libera była prawdziwym potworem, gdy pełniła służbę jako strażniczka warszawskiego więzienia i jest poszukiwana przez polski wymiar sprawiedliwości za stosowanie na osadzonych tortur oraz za morderstwa dokonane na co najmniej kilkudziesięciu osobach. Autor artykułu wysunął także wniosek, że niegdyśiejsza przynależność Waltera von Lossowa do zbrodniczej formacji SS zapewne sprawiła, że postanowił nie tylko zrobić z Renate Zoll swoją informatorkę, ale także ukryć ją przed wymiarem sprawiedliwości. Dodał także, że dezercja Lossowa zapewne będzie mu poczytywana za plus, dzięki czemu uniknie odpowiedzialności karnej, ale ukrywanie zbrodniarki nie świadczy najlepiej o wiarygodności i moralności asa niemieckiego dziennikarstwa.

– Renate Zoll... – powiedział do siebie. – A jednak to ona, kurwa mać.

Przez kilka minut siedział niemal nieruchomo, wpatrzony w klawisze maszyny do pisania, i nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Nie tylko jako prawy obywatel, ale jako zakochany idiota. I to w dodatku w kobiecie, przed którą uciekł na front wschodni. Jej pomoc w uwolnieniu Juliana Chełmickiego zapewne będzie stanowiła ważny punkt jej obrony, ale, do licha, co miał począć ze swoimi uczuciami?

Renate pogrywała z nim, jak wytrawny szachista. Omotała, pokazała mu siebie taką, jaką chciał ją widzieć, by... No właśnie, na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. Nie wiedział, dlaczego Renate go oszukała. Pragnęła zemsty czy tego, by naprawdę ją pokochał? Znajac pannę Zoll, raczej chodziło jej po głowie to pierwsze. Była zimna, bezwzględna i nigdy nie wybaczała doznanych od kogoś krzywd. Już w Warszawie zmuszała go szantażem, by z nią był, więc nie miał pojęcia, do czego posunęłaby się teraz. Na szczęście, gdy jego nazwisko stało się popularne, poddał się weryfikacji, by wytrącić ewentualny oręż konkurencji, ale przecież Renate mogła wymyślić wszystko. Mogła nawet pewnego dnia strzelić mu w łeb, a potem niczym kameleon kolejny raz przeistoczyć się w kogoś innego. Nawet nie zdziwiły go rewelacje, że będąc strażniczką na Pawiaku, mordowała i torturowała więźniów. To idealnie pasowało do portretu Renate Zoll. Jednak za cholerę nie pasowało do Marie Rauch...

Tym razem Hanka Lewinówna nie była tak przerażona, jak za pierwszym razem, gdy wchodziła do gmachu sądu. Miała bowiem plan awaryjny i przyjaciół. Henrietta, Beatrice i adwokat Barry Collier okazali się plastrem na jej życiową tragedię. Jej obrońca co prawda udawał, że nie wie o niecznych projektach Hanki i jego niesfornych przyjaciółek, a one udawały, iż nic złego się nie dzieje. Chęć sprzedaży domu i innych nieruchomości wytłumaczyły złymi wspomnieniami, jakie miała Hanka w tychże miejscach. Zważywszy na fakt, że od śmierci jej małżonka minął ponad rok, było to wytłumaczenie mało wiarygodne, ale Collier nie wnikał i nie zadawał zbędnych pytań, zwłaszcza że na razie domu Niechowskich nie udało się sprzedać. Lewinównie było jednak wszystko jedno. Miała dość pieniędzy. I w gotówce, którą zamierzała przemycić do Polski, i na kontach w szwajcarskich bankach.

Tak, Hanka Lewin była spokojniejsza i w razie problemów gotowa do drogi. Najpierw miała obawy, że powrót do Polski może wiązać się z kłopotami podobnymi do tych, jakie miała Alicja, ale potem doszła do wniosku, iż myśli kompletnie nieracjonalnie. Nie działała w podziemiu i w żaden sposób nie naraziła się nowemu rządowi. Poza tym miała największy atut w ręku – dziecko Igora Łyszkina, zasłużonego oficera wywiadu radzieckiego. Jeśli służby bezpieczeństwa były tak dobre, jak mówiono, powinni o tym wiedzieć. W ambasadzie także nie robiono problemów i jako repatriantka mogła powrócić do domu. „Do domu” – jak to dziwnie brzmiało. Nie miała miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać. Zapewne dworek w Niechowie znacjonalizowano, podobnie jak willę w Konstancinie, a po mieszkaniach Niechowskich pozostały jedynie gruzy. Ale w końcu miała pieniądze, była znana niemal na całym świecie, mogła sobie dom zbudować od zera. Nie tylko mury i płot, ale taki wewnętrzny, gdzie będzie mogła czuć się bezpiecznie, podobnie jak jej dzieci. I będzie w nim czekała na Igora...

Jako pierwsza zeznania składała osoba, która najbardziej mogła jej pomóc albo ją pograżyć. Panna Bellow. Hanka przez całą drogę do sądu zastanawiała się, co wybierze opiekunka jej dzieci. Spokojną pracę u Hanki, z sowitym wynagrodzeniem, czy uznanie Niechowskich. Lewinówna doszła jednak do wniosku, że gdyby panna Bellow ceniła sobie pracę u niej, nie zgodziłaby się zostać świadkiem tamtej strony. Zatem musiała się wraz z Collierem przygotować na najgorsze.

Elizabeth Bellow ubrana była w klasyczny ciemny kostium, który dodawał powagi tej młodej dziewczynie, czyniąc z niej niemal nobliwą matronę. Z reguły nosiła zwiewne sukienki i fikuśne kapelusiki i śledziła wszelkie modowe trendy, które u starszej, pocziwej arystokracji nie zyskiwały szczególnego poklasku. Jednak tego dnia, zapewne za namową adwokata Niechowskich, wyglądała poważnie i wiarygodnie.

– Czy może pani opowiedzieć o incydencie, do jakiego doszło przed występowaniem pani Lewin w Palladium? – zapytał adwokat Niechowskich, sir Gordon.

– Nadia ubrudziła sukienkę pani Lewin... – niepewnie zaczęła guwernantka.

– I jak zareagowała pani Lewin? – Gordon próbował pomóc zdenerwowanemu świadkowi.

– Popchnęła ją... – wydukała panna Bellow.

Po sali rozszedł się szmer. Hanka spuściła głowę. Słowo „popchnęła” było



zbyt ostrym stwierdzeniem, chociaż żałowała, że wówczas tak ostro potraktowała Nadię. Jednak odsunęła ją od siebie, a nie popchnęła.

– Czy mocno? – ciągnął Gordon.

– Na tyle mocno, że Nadia zaczęła głośno płakać i musiał interweniować pan Piotr. Wziął dziewczynkę na ręce, by ją uspokoić, a pani Lewin nakazał opuścić pokój dzieci. Zapewne dlatego, by pani Lewin nie posunęła się do drastyczniejszych czynów... – Dziewczyna robiła się coraz bardziej harda.

– Sprzeciw. To są jedynie spekulacje świadka – przerwał Collier. – Panna Bellow nie mogła znać intencji pana Niechowskiego.

– Podtrzymuję – powiedział sędzia. – Proszę kontynuować i skupić się na faktach, a nie na domysłach.

Panna Bellow pokiwała głową, po czym spojrzała na Hanke i natknęła się na jej pogardliwy wzrok. Zarumieniła się, ale nie zmieniła zdania i powtórzyła raz jeszcze, że Hanka mocno popchnęła córkę.

Potem było jeszcze gorzej, bo Gordon zaczął wypytywać o podróż po Stanach Zjednoczonych. Otrzymywane po występach kwiaty zapewne nie budziły niesmaku, w końcu była wziętą artystką, ale wizyta Łyszkina wywołała kolejny pomruk na sali rozpraw.

– Zatem pani Lewin odprawiła panią na pięć dni, ponieważ przyjechał do niej kochanek? – zapytał Gordon.

– Tak. Rozmawiali po polsku, ale słyszałam, jak o Grzesiu mówił „syn”. A to brzmi podobnie jak w angielskim „son”. – Elizabeth Bellow była wyraźnie dumna z siebie i ze swojej błyskotliwości.

– Sprzeciw – kolejny raz odezwał się Collier. – Świadek nie zna polskiego, ten człowiek równie dobrze mógł mówić o synu pani Hanny Lewin-Niechowskiej.

– Podtrzymuję – mruknął sędzia i począł wypytywać o wszystkie okoliczności spotkania Hanki z Igozem.

Panna Bellow już niezbyt wiele miała do powiedzenia w tej sprawie, ponieważ, jak to oznajmiła na początku, została odesłana na krótki urlop w okolice Santa Monica.

Po zakończonym przesłuchaniu panny Bellow na miejscu dla świadków stanęła Madelaine Cavendish. Hanka była niezmiernie ciekawa, co też wymyśli ta czarownica, by ją pogrzyźć. W końcu co ona mogła wiedzieć o jej dzieciach, jeśli widziała je tylko przez kilka dni w Suffolk.

Madelaine w granatowej sukience z dużym kołnierzem wykończonym białą lamówką i przekrzywionym kapelusiku wyglądała jak wredna nauczycielka z lat dwudziestych, która była jędzowata z uwagi na swoje staropanieństwo. Hanka odnosiła wrażenie, że panna Cavendish jest jeszcze szczuplejsza niż wówczas, gdy Lewinówna gościła w Suffolk, przez co wydawała się jeszcze bardziej przypominać bociana.

Kobieta stanęła wyprostowana, powiodła pogardliwym wzrokiem po osobie Barry’ego Colliera, nie racząc zatrzymać swojego arystokratycznego spojrzenia na Hance. Swoim piskliwym głosem oraz nienaganną angielszczyzną opowiedziała o tym, jakie to okropne maniery miała Nadia, gdy gościła w ich domu i że nawet gehenna wojenna nie powinna zwalniać matki z nauczania swoich dzieci podstawowych zasad. Niemal ze zgrozą w głosie perorowała o załatwianiu przez Nadię potrzeb pod krzaczkiem, jedzeniu rękami bez użycia sztućców oraz niszczeniu zabawek in-

nym, goszczącym w Suffolk dzieciom. Nie omieszkała zdradzić szczegółów niszczycielskiej działalności Nadii, z niesmakiem opowiadając o obciętych włosach lalek, tudzież wydłubanych oczach. Jej tembr głosu był tak przerażający, że można było odnieść wrażenie, iż owych czynności dziewczynka dokonywała bez mała na żywych organizmach. Panna Cavendish była cwana, bo między jednym a drugim wypowiedzianym zdaniem podkreślała, jak bardzo współczuje Hance i dzieciom z powodu tego, czego zaznały podczas wojny, jednak za chwilę pojawiała się słowo „ale”, mające niejako zbagatelizować wpływ tychże wydarzeń na sposób, w jaki Hanka wychowała swoje dzieci. Lewinówna pomyślała, że w zasadzie Madelaine powiedziała prawdę, i gdyby była sędzią, uwierzyłaby, iż nawet w spartańskich warunkach można wychować nieco lepiej swoje potomstwo, a przynajmniej nauczyć je korzystania z toalety. Hanka była przekonana, że angielskie dzieci wychowywane na wsi również załatwiają swoje potrzeby gdzie popadnie, ale nie miała pojęcia, jaki stosunek do tego faktu będzie miał nobliwy sędzia.

Po przesłuchaniu panny Cavendish sędzia ogłosił termin ostatniej rozprawy. Mieli na niej zeznawać kolejni świadkowie, w tym Stefania Niechowska. Sąd stwierdził, że wyda wyrok po tej części, czyli dokładnie za trzy tygodnie.

– I co sądzisz, Barry? – zapytała spokojnie Hanka, gdy opuścili gmach sądu.

– Myślę, że nie jest dobrze, lady Lewin – westchnął adwokat.

– Tak? A ja myślę, że jest bardzo źle, Barry – odpowiedziała Lewinówna i pożegnała się szybko z adwokatem.

Wiedziała, co musi zrobić i że kolejna rozprawa już się nie odbędzie. W każdym razie ona nie będzie w niej uczestniczyć, ponieważ znajdzie się niebawem bardzo daleko Londynu. I nikt jej nie odbierze ukochanych dzieci. Nawet brytyjski sąd.

Drzwi biura Stiepana Kaganowskiego otworzyły się nagle i stanął w nich zdyszany strażnik.

– Znaleźliśmy samochód, ale w środku nikogo nie było. Ani żywego, ani martwego – wysapał.

Kaganowski podniósł głowę znad papierów i zapytał nieco drżącym głosem:

– Gdzie?

– W okolicach Dakky.

– To droga na Jakuck... – mruknął jakby do siebie komendant i dodał: – Przeprowadziliście ją?

Strażnik nieco zmieszał się i wydukał:

– Nie było paliwa...

Twarz Kaganowskiego poczerwieniała. Ostatnio coraz mniej panował nad sobą. Nie inaczej było i tym razem.

– *Duraki*, a co wy nie wozicie zapasowych zbiorników? To trzeba było zabrać ze sobą i zatankować – warknął.

– Wozimy, towarzyszu komendancie, i zrobiliśmy tak, jak towarzyszu komendant mówi, ale ktoś rozkradł samochód do cna. Nawet plandekę ktoś pociął i wziął – niepewnie odmeldował strażnik i żałował, że od razu tego nie powiedział, zamiast narażać się na gniew komendanta.

– *Swłocz* – mruknął Stiepan i zapytał nieco spokojniej: – A Michaił? Jak się czuje?

– Coraz lepiej, towarzyszu komendancie. Ale nie powiedział niczego nowego – odparł strażnik i chcąc przypodobać się komendantowi, wykazując inicjatywę, zapytał: – I co, towarzyszu komendancie? Powiadomić wszystkie jednostki? Im dłużej zwlekamy, tym gorzej...

– Najpierw przyprowadźcie mi Michaiła. Chcę z nim porozmawiać osobiście – odparł Kaganowski i dał znak ręką, żeby przybyły strażnik zrobił to bezzwłocznie.

Kiedy drzwi gabinetu zamknęły się, Stiepan Kaganowski otworzył szafkę znajdującą się po prawej stronie biurka i wyciągnął z niej butelkę wódki oraz stojącą obok szklankę. Nalał sobie prawie całą i wychylił duszkiem.

Po kilku minutach do biura wszedł Michaił z zabandażowaną głową i zameldował się.

– Siadajcie... I po kolei. Raz jeszcze opowiedzcie wszystko, co pamiętacie z tamtego dnia – wycodził Stiepan.

– Towarzyszu komendancie... – zaczął niepewnie Michaił. – Wszystko odbyło się jak zwykle. Dotarliśmy do Udarnika, zostawiliśmy dzieci i ruszyliśmy z powrotem do „Raju”. Kilkanaście kilometrów za wsią Olga Iwanowna poczuła się źle i poprosiła, żebym się zatrzymał. No, wiecie, towarzyszu komendancie, rzygać jej się chciało. Zrobiła się blada, prawie bełkotała, to się zatrzymałem. Pobiegnęła do lasu i zaraz usłyszałem, jak się drze wniebogłosy. Wyleciałem jak oparzony, bo to wiadomo... To wielka kraina, ale bandziorów w lasach nie brakuje. I kłusowników, co za-

stawiają wnyki... Biegnę i patrzę, a tam Olga Iwanowna leży pod drzewem, całkiem bez życia. Nachyliłem się, żeby sprawdzić, czy zupełnie martwa, i wtedy ktoś walnął mnie w łeb.

– Potrafilibyście wskazać to miejsce? – przerwał mu Kaganowski.

– A gdzie tam, towarzyszu komendancie. Ten las ciągnie się przez sześćdziesiąt kilometrów. Wszystko jednakowe... Tak mniej więcej to tak, ale dokładnie to ni-jak... Jakem się ocknął i wyplątał ze sznurka, co to mnie nim ci bandyci przywiązali do drzewa, to wybiegłem na drogę i jak pijany poszedłem do Udarnika, bo wiedziałem, że to nie tak daleko. Bałem się, że albo ducha wyzionę, albo mnie znowu ta *swoloc* dopadnie, i jakoś tak dobrze nie zapamiętałem miejsca... Krew na łbie zaschnięta, na całej koszuli ją miałem, a głowę mi rozsadzało... – tłumaczył się Michaił.

– A ta cała... Rosińska? Może to ona napadła na Iwanowną? – podejrzliwie indagował Stiepan.

– Ona w samochodzie siedziała. Towarzyszu komendancie, nie ma mowy. – Michaił pokręcił głową.

– Ale ciebie mogła trzasnąć... – Kaganowski jakby myślał na głos.

– Towarzyszu komendancie, żeby tak przydzwonić, to trzeba mieć parę w łapach...

Stiepan nie był wcale tego taki pewien. Wiedział też, że jego podwładny mógł zrzucić winę na wymaginowanych bandziorów, by nie odpowiadać za niedopilnowanie więźniów.

– Możecie odejść – warknął Stiepan, uznając, że w istocie już niczego nowego się od niego nie dowie.

Jednak to wszystko nie trzymało się kupy. Nie wierzył w podobne przypadki na takim terenie, jakim była rozciągająca się na tysiące kilometrów Kołyma. Kobieta wysiada z samochodu i kilka chwil później natyka się na bandziorów. Nawet jeśli tak było i w istocie Olga Iwanowna gdzieś tam leży martwa, co, u licha, mogło stać się z Alicją? Też ją zamordowano i porzucono gdzieś w bezkresnych lasach Kołymy? Mógłby uwierzyć w bandycki napad, bo takie rzeczy się zdarzały, a amatorzy cudzego mienia czatowali właśnie przy drogach i latem, ale wówczas napadnięto by ich na drodze. A tu akurat czekali w miejscu, gdzie Olga postanowiła zwymiotować. Mógłby pomyśleć, że kobiety były w zмовie z bandziorami, ale gdzie niby ich poznały, jeśli prawie nie opuszczały obozu, a wyjazdy Olgi odbywały się zawsze w towarzystwie Michaiła i stanowiły jedynie wizyty w sierocińcu. To, że ktoś ogołocił ze wszystkiego porzuconą na drodze ciężarówkę, nie dziwiło. Ale jeśli złodzieje polowali na samochód, dlaczego go porzucili?

Tyle pytań kołatało mu w głowie i z każdym dniem coraz więcej. Do posterunków milicji i straży sąsiednich obozów wysłał informację o skradzionej ciężarówce, ale nie miał pojęcia, co powinien zrobić w kwestii Olgi i Alicji, jeśli Michaił utrzymywał, że Iwanowna była martwa. Mógłby zgłosić ich ucieczkę... No właśnie... I tutaj pojawił się problem, bowiem Alicja Rosińska zniknęła z ewidencji obozu, a on osobiście podpisał akt jej zgonu. Nie był pewien, czy będą sprawdzać podobne informacje.

Potem przyszła kolejna refleksja, która sprawiła, że serce zaczęło mu walić jak oszalałe. A jeśli Alicja naprawdę zginęła? Leżała gdzieś martwa, zakrwawiona, a może kolejny raz była brutalnie gwałcona? Odepchnął tę myśl, ale za chwilę przy-

szła następna. Gdzie w takim razie się podziała? Uciekła? Przecież to było jak samobójstwo. Poza tym tak bardzo się kochali, planowali wspólną przyszłość, było im tak cudownie... Otworzył szufladę i kolejny raz, jakby chcąc się dobić, zaczął czytać listy od Sergiusza Dargiewicza. Pełne miłości, tęsknoty i rozpacz. Listy, których nigdy jej nie pokazał. Tak jak wyroku sądu. Miała takiego poplecznika, jak generał Sudopłatow, a jednak zaryzykował dla niej. Ukrył to przed nią i wystawił akt zgonu. Byle tylko została. A ona zdawała się przywyknąć do obozowego życia i chciała poczekać, aż będą mogli razem opuścić to miejsce i osiedlić się w jakimś miłym zakątku Związku Radzieckiego, by wieść spokojny i pełny miłości żywot. Przypominał sobie jej oczy pełne zachwytu, głośny śmiech i te wszystkie czułe słowa, które wypowiadała, siedząc mu na kolanach i głaskając po szyi. Jego Alicja, jego ukochana...

Nalał kolejną porcję wódki i wypił, czując, że robi się coraz bardziej pijany. Odkąd zniknęła, pił niemal bez przerwy. Z tęsknoty, z bólu i z żalu, że coś, co było najpiękniejsze w jego życiu, nagle się skończyło. I kiedy alkohol uderzał mu coraz bardziej do głowy, a wspomnienia sprawiały mu wręcz fizyczny ból, wychodził z biura i szedł na teren obozu, by wyżywać się na więźniach. Na tych bydlętach bez charakteru, ludzkich wrakach bez moralności i uczuć wyższych, wyrzutkach. Nawet nie potrafił policzyć, ilu skazał na śmierć, urządzając niemal codziennie egzekucje, a ile osób pozbawił życia, tłukąc swoim „termometrem”, który z każdym dniem robił się coraz bardziej purpurowy od krwi. Zwierzęta, bydłeta – tak mówił do siebie o więźniach. Gnili za życia, umierało w nich wszystko, co ludzkie. Jedynie on i Alicja w tym bagnie potrafili zachowywać się normalnie. Kochać się, dyskutować, mieć ideały... W swoich pijackich zwidach, tak właśnie postrzegał świat, który go otaczał. On był kimś lepszym, bo kochał i był kochany.

Kiedy wracał po kamienistej ścieżce ze swojego obchodu, nagle przyszła mu do głowy taka myśl: „A jeśli i Alicja uległa temu zezwierzęceniu? Może zaraziła się tą pustką, która ją zewsząd otaczała?”

Wszedł do biura i podszedł do szafy. Z trudem wcelował kluczem do zamka, a gdy w końcu mu się to udało i skrzypiące skrzydło drzwi otworzyło się, sięgnął po segregator z literą R. Przerzucał kolejne strony wpięte w teczkę, by dotrzeć do dokumentów Alicji. Przekładał je nerwowo, a potem znowu i znowu, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widział. Zniknęło postanowienie sądu. Nie było go. Przetrzęsnał cały segregator w nadziei, że wpiął ten dokument gdzieś dalej, ale nie znalazł tego, czego szukał. Powtórzył tę czynność kilkanaście razy, jak gdyby chciał zakłąć rzeczywistość. Nie chciał uwierzyć, że ona, Alicja, tak bardzo go oszukała. Nie myślał o tym, co jej uczynił i że to także było oszustwo, nie chciał o tym myśleć, bo przecież on był usprawiedliwiony, zrobił to w imię ich wielkiej, wspaniałej miłości.

– Ty niewdzięczna suko – wysyczał pod nosem.

Potem sięgnął po pudełko, gdzie leżały druki ścisłego zarachowania dotyczące zwolnień z obozu. Patrzył na ich numery, z trudem odczytując ostatnie cyfry. Sto dziewięćdziesiąt sześć, sto dziewięćdziesiąt dziewięć... I jeszcze raz, bo był pijany i miał wrażenie, że owe małe cyferki tańczą mu przed oczami. Jednak bez względu na to, ile razy przekładał kolejne druki, wciąż brakowało tych dwóch. Poczował, że dopada go wściekłość. Nieporównywalna z żadną inną. Zaczął wyrzucać z szafy kolejne tečky i segregatory, wrywać następne kartki, by potem ciskać nimi o podłogę. Pot rosił jego czoło, ale nie przestawał, nie zważając na to, że cała podłoga w biurze usła-

na była papierami. W furii deptał po nich, dopóki nie ogołocił całej szafy.

Kiedy nagle zrobiło mu się duszno, jak w amoku wybiegł z domu. Popatrzył na bezkresne wzgórza Kołymy i zaczął iść przed siebie. Minał strażników, którzy, wystraszeni, bez słowa otworzyli mu bramę, i szedł nie wiadomo dokąd. W głowie kołatało mu, że może gdzieś natknie się na Alicję, przytuli ją i razem powrócą do jego domu, by rozkoszować się swoją obecnością. I znowu znajdą się w świecie, który zbudowali sobie w tym surowym, okrutnym miejscu. Ten świat to był on, ona i ich gorąca miłość.

W pewnym momencie przystanął zdyszany i popatrzył na miejsce, które zawsze go fascynowało, gdy był dzieckiem. To było tam, gdzie ziemia stykała się z niebem. Teraz nie mógł dostrzec tej linii, bo przeszkadzały mu w tym góry Kołymy. Bezkresne, złowrogie, jakby szydzące z niego, że w tym miejscu jeszcze nikt z nimi nie wygrał. Czuł, jak gdyby patrzyły na niego i krzyczały, że tutaj rządzi natura. Posępna, okrutna, pozbawiająca człowieka wszystkiego, co w nim dobre i piękne, a to, co wydawało mu się coś warte, jest jedynie złudzeniem. Taką samą iluzją jak wówczas, gdy patrząc dziecięcymi oczami na horyzont, myślał, że właśnie tam kończy się świat. Jego skończył się w tym miejscu. Wyjął z kabury pistolet, przystawił sobie do skroni i wystrzelił.

Korytarz więzienia przy Strzeleckiej budził w Lewinie jak najgorsze skojarzenia, chociaż nigdy nie dane mu było przebywać w takim miejscu. Miał wiele szczęścia, bo zapewne podobnie wyglądało to, gdy terror siało gestapo. Emil jednak czuł, jakby szedł bez mała po piekło. Ściany były zawilgocone, pełne ciemnych plam, z metalowych drzwi odłaziła farba, a zewsząd było słychać jęki więźniów, którzy mieli okazję zmierzyć się z przesłuchującymi ich śledczymi. Mdłe światło sączące się z żarówek jeszcze potęgowało wrażenie grozy i lęku.

Julia Dregerowa szła przed Lewinem i kołysała biodrami, jakby co najmniej wracała z randki i zamierzała skusić swojego towarzysza, by ta zakończyła się upojną nocą. Kolejny raz pomyślał nieźyczliwie o Dregerowej, nazywając ją w myślach „chorą suką”. Dla niego uwięzienie Grotowskiego było życiową koniecznością, wciąż nękały go z tego powodu wyrzuty sumienia i zastanawiał się niemal bez przerwy, czy miał inne wyjście. Oczywiście, ono było, ale zaprowadziłoby go na samo dno. Straciłby nie tylko ukochaną i Szymka, ale wciąż w Warszawie istniały wątle struktury podziemne i jakiś niedobitek mógłby pewnego pięknego dnia sprzedać mu kulkę. Nie mówiąc już o tym, że jego kariera partyjna i dość luksusowe życie mogły legnąć w gruzach, gdyby współpraca Lewina z gestapo stała się powszechnie znana. Teraz chodził na smyczy u Dregerowej i kilku innych aparatczyków, ale zapewne nikt nie wstawiłby się za nim, gdyby nagle ktoś upublicznił informacje na temat jego przeszłości. Dlatego Grotowski musiał zniknąć.

Julia zaś czerpała z takich momentów jakąś chorą rozkosz. To była jej podniecia. Nieraz opowiadała mu w łóżku rzeczy, od których go mdliło, ale w takich chwilach starał się wyłączać wszelkie zmysły. Wystarczającą katorgą i poniekąd karą za złe uczynki było sypianie z nią. Nawet nie chodziło konkretnie o Dregerową, ale o każdą inną kobietę, która nie była Magdaleną. Ich związek, choć kwitł, wciąż nie został skonsumowany i Emil doszedł do wniosku, że będzie musiał ożenić się najpierw z panną Walewską, zanim do tego dojdzie. Wbrew pozorom ta myśl wydawała mu się słodka i był gotów czekać bardzo długo, byle Magdalena zechciała dzielić z nim życie. Franek, z którym niekiedy się widywał, podśmiewywał się z niego, nazywając „szelkami” albo „maślanymi ślepiami”. Miał to gdzieś i przestało mu zależeć na tym, by zgrywać twardziela, co to potrafi baby trzymać na krótkiej smyczy, i to nie jedną, a kilka naraz.

Nie był już zazdrosny o Kamila Grotowskiego. Z tego mężczyzny pozostał wrak człowieka. Nie tylko jego wygląd świadczył o dramatycznych przeżyciach, ale ten facet wciąż był przygnębiony i pogrążony w głębokim żalu do świata i ludzi. Prędzej podejrzewałby Magdalenę o przyjaźń z nim po prostu z litości niż o jakąś fascynację. Lewin uznał w pewnym momencie, że Kamil Grotowski w żadnym razie nie jest jego konkurentem do serca panny Walewskiej. Zapewne dlatego, że po śmierci Adrianny po prostu nie był w stanie się podźwignąć ze swojego dramatycznego stanu. Mordując Adriannę, wyeliminował poniekąd z gry Grotowskiego.

Dregerowa zatrzymała się przy jednej z cel i otworzyła małe okienko

w drzwiach, przez które strażnicy niekiedy obserwowali więźniów. Zaskrzypiało jak wrota do bram piekielnych i Lewin poczuł się jeszcze gorzej, niż gdy szedł obskurnym korytarzem. Julia pokiwała palcem na Emila. Podszedł powoli do stalowych drzwi i gdyby nie przenikliwe spojrzenie Dregerowej, zapewne zamknąłby oczy, by nie widzieć, co znajduje się za drzwiami. Wziął głęboki oddech, przełknął ślinę i zajrzał do środka.

Na betonowej posadzce leżał skulony Kamil Grotowski. Nie poruszał się, nie jęczał, po prostu leżał nieruchomo. Przez zakratowane okno celi sączyło się do wnętrza światło dnia, oświetlając sylwetkę więźnia. Widoczny fragment twarzy pokryty był krwią, podobnie jak dłonie. Reszty nie dostrzegł, bo Kamil ubrany był w brudny więzienny uniform.

– Co z nim? – zapytał drżącym głosem.

– Nie dożyje jutra – odpowiedziała ściszym głosem Dregerowa.

Lewin milczał. Z jednej strony poczuł ulgę, bo Grotowski już nic nikomu nie powie, z drugiej – targały nim wyrzuty sumienia. A najgorsze było to, że po tym, co zobaczył, będzie musiał pójść do Magdaleny i opowiedzieć jej jakąś idiotyczną historijkę o tym, że Grotowski jest w stanie agonalnym z powodu... No właśnie, z jakiego powodu? Zawał serca, próba samobójcza, choroba?

– Zadowolony? – zapytała słodko Dregerowa.

Popatrzył na nią z przerażeniem i wybełkotał:

– Musieliście go tak skatować? Nie można było podać mu czegoś?

– Chcieliśmy się dowiedzieć kilku ważnych rzeczy. – Julia przeciągała sylaby.

– I co? Dowiedzieliście się? – warknął.

– No właśnie nie, dlatego ten człowiek wygląda tak, jak wygląda – mruknęła.

– Co powiecie rodzinie? – zapytał ponownie.

Co prawda Grotowski nie posiadał już żadnej rodziny, ale zapewne Magdalena i jej rodzice zechcą wyprawić mu pogrzeb i pożegnać go godnie. Po chwili pomyślał o czymś jeszcze. A gdyby tak doprowadził do uwolnienia Grotowskiego? Gdyby umarł na wolności, Lewin zaskarbiłby sobie dozgonną wdzięczność Magdaleny, a jeśli stanie się cud i Kamil przeżyje – ich obojgu. Może wówczas ten człowiek zostawi go w spokoju i będzie milczał? Tak, to był dobry plan, chociaż Lewin uznał, że lepiej będzie dla wszystkich, gdy Grotowskiemu jednak nie uda się przeżyć.

– Julio... – powiedział cicho. – Mogę go stąd zabrać?

– A po co? Co ty grabarz jesteś? – zapytała zdziwiona.

– Przecież on i tak umrze – mruknął Emil.

– Słuchajcie no, Lewin! – rozżłościła się Dregerowa. W takich chwilach zwracała się do Emila służbowym tonem. – Najpierw zawracacie mi głowę, a teraz chcecie, żebym go wypuściła?

– Julio, kochanie... – Lewin próbował załagodzić sytuację. – Jeśli jego koledzy z podziemia dowiedzą się, że dogorywa, zapewne wyjdą z ukrycia, by mu pomóc...

To był, oczywiście, blef, ale musiał jakoś uzasadnić Dregerowej swoją prośbę.

– A nas wezmą na języki, że zachowujemy się jak gestapo. On musi zniknąć – burknęła, wciąż niezadowolona.

Nie miała zamiaru dopuścić, by po Warszawie krążyły plotki, że znęca się nad więźniami. W końcu to był demokratyczny kraj, gdzie o życiu i śmierci decydował



sąd, a nie śledczy.

– Dajże spokój. Powiem, że załatwili go współwięźniowie, a on sam już nic nie powie – uspokajająco dodał Lewin.

– A jeśli ta wesz się wyliże? – zapytała.

– Moja w tym głowa, żeby tak się nie stało. – Puścił do niej oko i dodał: – Odwdzięczę się...

– Dlaczego tak ci zależy na tym straceńcu? – mruknęła.

– Powiedziałem już – liczę na to, że lisy wyjdą z nory. Nie wiem, czy to się uda, ale przecież można spróbować...

Wieczorem nieprzytomny Kamil Grotowski już leżał w jego łóżku. Magdalena wycierała mu twarz wilgotną ściereczką i miała zatrwożoną minę. Kolejny raz skojarzyła się Lewinowi z wizerunkiem anioła albo świętej. Przy stole zaś siedział siwy doktor, który co chwilę poprawiał na nosie okulary.

– Musimy natychmiast przewieźć go do szpitala, ale i tak nie rokuje dobrze. Ma poważne obrażenia wewnętrzne. Niestety, trudno mi dokładnie stwierdzić jakie – powiedział znękany głosem.

– To niech pan dzwoni po karetkę! – ryknął na niego Lewin.

Doktor wystraszył się ostrego tonu Emila, podniósł się z krzesła i wyszedł do korytarza, gdzie na komodzie stał telefon.

Po półgodzinie przyjechał ambulans, ale i tym razem Lewinowi dopisało szczęście. Zanim sanitariusze weszli na piętro, Kamil Grotowski już nie żył.

Igor Łyszkin nie miał żadnych złych przeczuc, gdy kolejny raz wracał z samotnego spaceru i niósł pod letnią kurtką zwitek papierów otrzymanych od Foksa. Cieszył się na myśl, że niebawem dowie się, ile są warte informacje od profesora i czy zbliżył się do upragnionej emerytury, czy też się od niej oddalił.

Otworzył drzwi domku i jak zwykle pierwsze kroki skierował do łazienki, by zrobić zdjęcia otrzymanych dokumentów. Dotknął włącznika światła znajdującego się przy drzwiach łazienki, gdy nagle rozbłysła lampa w salonie. Judith siedziała w fotelu i patrzyła zimnym wzrokiem na Igora. Postanowił, że porozmawia z nią, gdy zrobi swoje albo chociaż wyjmie spod kurtki papiery. Bez słowa wszedł do łazienki i sięgnął do rezerwuaru. Niestety, wciśnięty za niego futerał z aparatem zniknął. Nieco spanikowany odsunął szafkę i odgiął tylną ściankę. Mebel był tak sprytnie skonstruowany, że posiadał dwie ścianki, pomiędzy którymi Igor chował niektóre dokumenty, w tym swój radziecki paszport. Od razu spostrzegł, że ktoś przy niej gmerał. Wskoczył z łazienki jak oparzony i stanął naprzeciwko swojej żony.

– Tego szukasz? – zapytała słodko Judith, trzymając w ręku jeden z najmniejszych aparatów, jakie wyprodukowano na świecie.

– Tak – warknął i wyciągnął dłoń w jej kierunku.

Uśmiechnęła się smutno, położyła na stoliku kawowym aparat, po czym wyciągnęła zza pleców niewielki pistolet i wycelowała drżącą dłonią w kierunku Łyszkin.

– Mała, głupia Judith... Tępa idiotka, która potrafi jedynie gotować i dziergać serwetki... – powiedziała z goryczą.

– Judith, odłóż ten pistolet, bo jeszcze wystrzeli – szeptał, powoli zbliżając się do niej.

– Bo ma wystrzelić, jeśli podejdziesz za blisko. Za chwilę powiadomię kogo trzeba i wtedy oni się tobą zajmą. Zdobyłam odpowiednią ilość dowodów, panie Łyszkin, że jesteś po prostu radzieckim szpiegiem. Oni tylko czekają na mój telefon... – równie spokojnie odpowiedziała Judith.

– Kiedy się domyśliłaś? – Igor usiłował zyskać na czasie.

– Gdy zaproponowałeś mi wyjazd do Los Alamos... Wcześniej zastanawiałam się jedynie, dlaczego w ogóle się ze mną ożeniłeś. Nigdy nie byłeś zbyt czuły dla mnie, a potem spędziłeś kilka upojnych dni z taką jedną, sławną dziwką, Polką. Więc gdy tutaj przyjechaliśmy, bacznie ci się przyglądałam. Powiem szczerze, że jak na asa wywiadu nie byłeś zbyt dyskretny i zdarzało ci się zachowywać bardzo niefrasobliwie. Gdy znalazłam aparat, skontaktowałam się z pewnym człowiekiem i porozmawiałam o swoich podejrzeniach. Wiesz, to miejsce, ten nagły wyjazd w kilka miesięcy po ślubie, gdy już dostałeś obywatelstwo, to wszystko nagle zaczęło się układać w całość. Ale zlekceważyłaś głupią, zakochaną Judith. I wtedy podjęłam decyzję, że zrobię coś ważnego dla swojego kraju, jeśli nie mogę być szczęśliwą żoną i matką.

Judith musiała być bardzo rozgoryczona, jeśli postanowiła w taki sposób się na nim zemścić.

– To nie jest tak, jak myślisz... – zaczął Igor, chociaż wiedział, jak mało wiarygodnie zabrzmiało to zdanie.

– A jak, mój drogi mężu? – zapytała z sarkazmem.

– Naprawdę zakochałem się w tobie – skłamał, by kolejny raz zyskać na czasie i spróbować coś wymyślić, by unieszkodliwić kobietę.

Jego broń była schowana w pawlaczu, nie miał żadnych szans, by w tym momencie po nią sięgnąć. Popełnił kolejny błąd. Judith miała rację. Uważał ją za głupią dziewczynę, którą będzie mógł manipulować w dowolny sposób. A przecież powinien coś przeczuwać, bo jego żona stała się w pewnym momencie zbyt uległa i wszystko, co robił, brała za dobrą monetę. Ale kobiety z reguły takie nie były, chyba że przyświecał im jakiś cel. Tak jak Judith.

– Mogłabym w to uwierzyć, gdyby nie to, że pewnego dnia postanowiłam sprawdzić, dlaczego nie masz dla mnie czasu. I wtedy zobaczyłam ciebie i ją. Słynną Hannę Lewin, wielką pieśniarkę – powiedziała gorzko.

– Daj spokój, Judith. To moja stara znajoma z Polski. – Igor był coraz bardziej zdenerwowany.

– To ty daj spokój... Igor, ty nigdy nie patrzyłeś na mnie tak, jak na nią – powiedziała cicho i głos zaczął jej się łamać. – Ani razu nie zobaczyłam w twoich oczach tego błysku, takiego uwielbienia i Bóg raczy wiedzieć, czego jeszcze...

– To dlaczego za mnie wyszłaś, jeśli uznałaś, że Kocham inną kobietę? – rozłościł się Igor.

– Bo miałam nadzieję, że gdy ona zniknie, pewnego dnia popatrzysz na mnie w taki sposób. A potem... A potem chciałam, żebyś zgnił w więzieniu za to, że mnie tak strasznie oszukałeś i wykorzystałeś. Może to okrutne, ale mogę zostać bohaterką, a przy okazji zniszczyć kogoś, kto zmarnował mi życie. Tak, całe życie, bo nawet jeśli ciebie już nie będzie, ja nie będę w stanie nigdy zaufać żadnemu mężczyźnie. Czasami myślę, że jestem przeklęta. Przecież jestem ładna, mam zgrabne nogi i apetyczne piersi. Potrafię gotować i dbać o bliskich, a jednak każdy mężczyzna w moim życiu okazywał się łajdakiem. A kiedy zarysowała się przede mną wizja zamążpójścia, okazało się, że moim mężem został największy łajdak ze wszystkich, których spotkałam – powiedziała Judith.

– Judith... Przepraszam. Po stokroć. Przysięgam, że wynagrodzę ci to, tylko błagam, nie rób głupstw – jęknął Igor.

Kobieta podniosła się z fotela i podeszła do telefonu. Wzięła w jedną rękę słuchawkę, położyła ją na ramieniu i zaczęła wykręcać numer, trzymając w drugiej pistolet. Tę chwilę, gdy Judith spojrzała na cyferblat, wykorzystał Łyszkin. Podbiegł do niej, wytrącił jej z ręki słuchawkę i popchnął ją w kierunku kanapy. Usłyszał głuchy strzał i poczuł piekący ból w udzie. Nie miał pojęcia, czy Judith trafiła go, czy jedynie drasnęła, ale zabolowało go to tak bardzo, że zachwiał się, o mały włos nie przewracając się na podłogę. Ostatkiem sił dopadł spanikowanej wystrzałem Judith i wyrwał jej z dłoni pistolet.

– No, zabij mnie, zabij! – zaczęła histeryzować.

Igor, mimo grożącego mu niebezpieczeństwa, nie miał zamiaru tego robić. Chwycił Judith za rękę i zaprowadził do łazienki. Posadził ją na klozecie, a potem wyciągnął z szafki sznur, którym obwiązał żonę i przytwierdził końcówki do rury kanalizacyjnej. Plastrem zakleił jej usta, po czym pocałował ją w oba policzki i mimo

że ból w nodze był nieznośny, powiedział ciepło:

– Judith, będziesz jeszcze szczęśliwa. Tylko beze mnie. I jeszcze raz przepraszam, że cię skrzywdziłem.

Oczy kobiety wypełniły się łzami, a potem zaczęła łkać.

Łyskin wziął apteczkę i pokuśtykał do pokoju. Zanim jednak opatrzył sobie ranę, wykręcił numer w telefonie i powiedział jedno, z pozoru niewiele znaczące zdanie. Wiedział jednak, że człowiek po drugiej stronie zrozumiał przekaz, który oznaczał ewakuację agenta. Po odłożeniu słuchawki wyrwał z aparatu kabel, wziął wszystkie swoje rzeczy świadczące o jego szpiegowskiej działalności, pogasił światła i wyszedł na zewnątrz. Musiał uciekać. Miał także nadzieję, że Judith wypłacze się z więzów, ale potrwa to na tyle długo, by on zdążył uciec. Nie miał pojęcia, z kim spotkała się Judith przed wyjazdem do Los Alamos, ale był niemal pewny, że nie była jedyną osobą śledzącą jego poczynania w tym miejscu.

– Zostań jeszcze trochę – zamruczała Izabela, gdy zobaczyła ubierającego się Sergiusza. – Moja przyjaciółka ma nocną zmianę, więc wróci dopiero rano.

– Nie mogę – odpowiedział „Kary”. – Mateuszek został w domu sam. Znowu nie umyje zębów przed pójściem do łóżka albo nie spakuje się porządnie do szkoły. I dostanie kolejną uwagę...

– Obiecuję, że jutro mu jej nie wstawię, nawet jeśli nie spakuje ani jednego właściwego zeszytu. – Zachichotała.

– Ot władza... – Dargiewicz uśmiechnął się, ale nie przestał się ubierać.

– A kiedy następnym razem się spotkamy? – zapytała Izabela Maliszewska.

– Przecież w niedzielę idziemy we troje do kina – zdziwił się Sergiusz. Oczywiście było to udawane zaskoczenie, doskonale wiedział, o jaki rodzaj spotkania chodziło Izabeli. – Nie wiem, jakoś się umówimy.

Poklepał ją po ramieniu i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, on już stał w drzwiach i posłał jej w powietrze całusa. A chwilę potem usłyszała dźwięk zamkniętych drzwi.

Sergiusz Dargiewicz kolejny raz wykpił się synem. Chciał jak najszybciej opuścić łóżko, w którym zabawiał się z Maliszewską. Póki się kochali, potrafił się odizolować od swoich rozterek, tęsknot i pragnień, ale gdy tylko kończyli akt miłosny, za każdym razem przyświecała mu myśl, by błyskawicznie zwać. Wiedział, że owe pragnienia już nigdy się nie ziszczą, tak samo, jak myślami nie przywoła na powrót Alicji, swojej ukochanej. Starał się żyć normalnie, szukając ukojenia w ramionach słodkiej nauczycielki, ale to wciąż nie było szczęście jak wówczas, gdy był z Alicją. Wtedy cały świat zniknął, a każda minuta z nią spędzona sprawiała, że czuł się doskonale i myślał, iż właśnie w tych momentach wszystko jest takie, że mogłoby trwać wiecznie. Spędzając czas z Izabelą, bez względu na to, czy było to łóżko, czy spacer, wydawało mu się, że czegoś mu brakuje. Bardzo istotnego. Nie potrafił tego określić ani nazwać, w końcu młoda nauczycielka była urodziwa i miała miłe usposobienie, a jednak nie czuł takiego rauszu, jak w chwilach, gdy obok była Alicja. I mimo że zdarzały się momenty, gdy bardzo go złościła i miał niekiedy nieprzewartą chęć, by ją udusić, czuł się szczęśliwym człowiekiem. Bo istniała. Daleko czy blisko, ale była, a to dawało mu nadzieję, że pewnego dnia będzie należała tylko do niego. A gdy to już nastąpiło, los czy Bóg mu ją zabrał. Niekiedy patrzył w niebo i pytał tego najwyższego, po co kazał mu się tak starać o miłość tej kobiety, po co dał mu ją, a potem brutalnie wyrwał z jego ramion.

Chwilami zastanawiał się, jak na wiadomość o śmierci Alicji zareaguje Julian. Czy poczuje pewien rodzaj ulgi, podobny do tego, jaki się czuje, widząc umierającego człowieka, który męczy siebie i wszystkich dookoła oczekiwaniem na nieuniknione? A może pograżył się w rozpacz, bo wciąż łudził się, że pewnego dnia Alicja powróci do niego i rzuci mu się w ramiona? Przesłał mu wiadomość już jakiś czas temu, ale Chełmicki nie odezwał się. „Kary” zastanawiał się, czy w ogóle dotarła do niego, czasy to były przedziwne i równie dobrze ktoś mógł uznać, że nie należy prze-

kazywać podobnych wieści za granicę.

Powrócił do domu, pomógł synkowi w pakowaniu zeszytów i książek na następny dzień, a potem ułożył go do snu.

– Tato, ty lubisz tę panią Izę? – zapytał chłopiec.

– Lubię – odparł bez specjalnego przekonania Sergiusz.

– Ja też. Jest miła i robi dobre placki. Prawie tak dobre, jak babcia. Ale ja nie chcę, żeby była moją mamą... – powiedział Mateuszek, nieco kapryśnie.

– I nie będzie, synku. Twoją mamą zawsze pozostanie Alicja Rosińska. – „Kary” zmierzwił czuprynę chłopca.

– Miałem jeszcze jedną mamę, ale ona też umarła. Wszystkie moje mamy umierają, nie chcę, żeby pani Iza też... Bo kto mnie będzie uczył? – zatroskał się Mateuszek.

– Dlatego będziemy sobie sami radzili. Jakoś... – westchnął Sergiusz i ucałował syna.

Wrócił do pomieszczenia, gdzie toczyło się ich rodzinne życie i wyciągnął z kredensu butelkę wódki. Nalał sobie kieliszek, a potem następny. Powiedział swojemu synowi, że jakoś sobie poradzą, ale nie miał wciąż pojęcia jak. Zaczął od tego, że następnego ranka zerwał z Izabelą Maliszewską.

Sądził, że zrozumie i zostawi ich w spokoju, ale panna Izabela nawet nie miała takiego zamiaru. Po prostu nie przyjęła do wiadomości tego faktu i wciąż ich odwiedzała, by ugotować obiad albo pouczyć się z Mateuszkiem. Sergiusz był coraz bardziej zły na tę sytuację, ale nie mógł wszczynać awantur przy synu. Któregoś jednak dnia nie wytrzymał i zaproponował, że sam ją odprowadzi na przystanek tramwajowy. Kiedy tylko drzwi pralni zamknęły się za nimi, chwycił Izabelę za łokieć i mocno ścisnął. Być może nawet zbyt mocno.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? – wysyczał.

– Odwiedzam was. – Wzruszyła ramionami.

– Iza, przecież prosiłem, żebyś nie przychodziła już do nas, że to skończone. – Sergiusz puścił jej rękę.

– Niczego złego nie zrobiłam – jęknęła rozpaczliwie.

– Nie zrobiłaś. To moja wina. Po prostu dla mnie jest jeszcze za wcześnie. Wydawało mi się, że pogodziłem się z utratą Alicji, ale tak nie jest. Sądziłem, iż przy tobie szybciej zapomnę, poczuję się znowu szczęśliwy, ale pomyliłem się. Więc proszę, zostaw nas w spokoju i pozwól nam przeżyć to po swojemu, dobrze? Jesteś cudowną kobietą, pełną wdzięku, i masz w sobie niezmiernie wręcz pokłady cierpliwości. Mężczyzna, który cię pokocha i będzie przez ciebie kochany, stanie się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, ale to nie będę ja. – Sergiusz mówił cicho, ale stanowczo.

– Nie odejdę – upierała się równie stanowczo Izabela.

– Dlaczego? Przecież cię odpycham i mówię ci, że nigdy cię nie pokocham, więc czego oczekujesz? – zniecierpliwił się „Kary”.

– Poczekam – mruknęła.

– Na co, do cholery? – jęknął.

– Aż zapomnisz o niej – odparła Maliszewska. – I jeśli pójdziesz do kolejnej kobiety, wciąż będę czekała.

– Nie zapomnę, rozumiesz?! Nigdy nie zapomnę o niej! – ryknął Sergiusz.

– Kiedyś będziesz musiał – nie dawała za wygraną Izabela.

– Wiesz co, jedyne szczęście, jakie mi pozostało oprócz syna to fakt, że ja już nic nie muszę. A teraz idź już i nigdy więcej nie wracaj – warknął, po czym odwrócił się na pięcie i powrócił do siebie.

Izabela Maliszewska miała rację. Musiał pewnego dnia zapomnieć. Tak będzie lepiej dla niego i dla Mateuszka. Próbował, starał się ze wszystkich sił patrzeć na inne kobiety, jakby Alicja Rosińska nigdy nie istniała i nie była obecna w jego życiu, a jednak nie udało się. Ani razu.

Duszna cela przypominała Renate Zoll czasy, gdy pracowała na Pawiej w Warszawie i każdego dnia otwierała podobne przybytki, z których wydobywał się fetor fekaliiów, potu, a niekiedy krwi. A przede wszystkim czuć było zapach strachu. Niby nieuchwytny i nieokreślony, jednak dla tak wprawnego nosa, jaki miała Renate, jak najbardziej wyczuwalny.

Spoglądała w zakratowane okno i jedyne, co kołatało jej w głowie, to fakt, że przegrała. Postawiła wszystko na jedną kartę i kolejny raz musiała przyznać przed sobą, że poniosła porażkę. I najsmutniejsze było to, iż ta osławiona miłość, o której kręcono filmy i pisano poematy, znowu wywiodła ją na manowce.

Nie powinna mieć pretensji do Waltera, w końcu to nie on węszył i nie on grzebał w jej życiorysie, by dokopać się do bardzo niewygodnych faktów, jakie miały miejsce w jej życiu. Nie czuła się winna z powodu zarzutów, które były prawdziwe i dotyczyły traktowania przez nią więźniów Pawiaka, a zwłaszcza więźniarek. Ona wykonywała jedynie swoje obowiązki – tak myślała, chociaż w głębi duszy musiała przyznać sama przed sobą, że wielokrotnie przekroczyła swoje uprawnienia. Oczywiście, wówczas uznawano to za coś pozytywnego i chwalebne, ale czasy się zmieniły. Natomiast nie zmieniła się jej postawa. Wielkie mi co, ci ludzie byli wrogami Rzeszy, jej ojczyzny, a ona musiała sprawić, by zostali unieszkodliwieni. A teraz będzie musiała ponieść za to karę. Tak, mogła żyć spokojnie w skórze Marie Rauch, ale wybrała miłość i to był jej koniec. To nie za przyczyną działań Lossowa skończyła w więzieniu, a za chwilę stanie zapewne przed plutonem egzekucyjnym albo ją powieszą, jednak miała jakiś nieuzasadniony żal do Waltera.

Kiedy amerykańscy żołnierze przyjechali po nią, nie stawiała oporu. Nie skorzastała z możliwości wykonania telefonu ani z propozycji przysłania jej adwokata. Poddała się. Tak bardzo przestało ją cokolwiek interesować, że ze stoickim wręcz spokojem przyjęła informację, że zostanie wydana Polakom. Jedyne, co mogło ją w tej chwili ucieszyć, to jakiś znak od Waltera. Musiał wiedzieć, gdzie jest, zapewne doniesiono mu o tym albo po prostu przeczytał w gazecie, co się wydarzyło, jednak on milczał. Nie wysłał jej listu, nie próbował się z nią spotkać, zupełna cisza. Miała świadomość, że gdy odeślą ją do Warszawy, pewne rzeczy już nie będą możliwe, ale póki była w rękach Amerykanów, mógł się z nią skontaktować.

Nie oczekiwała, by ją ratował wszelkimi możliwymi sposobami, nie wymagała, aby bronił jej w jakikolwiek sposób. Pragnęła jedynie usłyszeć, że nadal ją kocha i nie ma dla niego znaczenia, jak naprawdę się nazywa i kim jest. W końcu przeżyli wiele wspaniałych chwil tutaj, w Berlinie. Ich romans wybuchł niczym gejzer i każdego kolejnego dnia temperatura ich uczuć wciąż wzrastała. Prosił, by z nim zamieszkała, mówił, jak bardzo jest bliska jego sercu i że jest w niej zakochany jak nastolatek. A teraz? Cisza...

Gdyby przyszedł na widzenie, napisał do niej, walczyłaby. Zwłaszcza że miała bardzo ważny argument, ale nie pojawił się, więc skapitulowała. Już na niczym jej nie zależało, może jedynie na tym, by ukarać Lossowa. Za to, że jej nie kochał.



A może kochał, tylko walczył ze sobą i nie potrafił jej wybaczyć? To nie było ważne, ale fakt, że go nie było przez ten cały czas, gdy istniał cień szansy dla nich. Teraz już wszystko przepadło.

\*\*\*

Polacy, obecnie sympatycy Sowietów, traktowali ją jak psa. Poszturchiwali, wyzywali i podawali jedzenie jak ostatniemu śmieciowi. Tak, zachowywali się prawie tak samo, jak ona niegdyś, gdy była strażniczką w więzieniu. Trzeba jednak przyznać, że choć Rosjanie mieli opinię barbarzyńców, nie bili jej i nie torturowali. Zapewne dlatego, że szubienica już na nią czekała. Była przekonana, że inny wyrok nie zapadnie. Zbyt wiele tego ścierwa przeżyło, by móc teraz składać zeznania i przykładać rękę do jej skazania. Niekiedy żałowała, że nie wytlukła ich wszystkich. Nie mogliby teraz nic powiedzieć, bo pozostałyby po nich jedynie prochy w jakiejś zbiorowej mogile.

Zastanawiała się, gdzie teraz może być Emil Lewin i czy dotarła do niego wiadomość, że Renate jest w Warszawie. Zapewne i tutaj pochwalono się zatrzymaniem kolejnego niemieckiego zbrodniarza. Była jednak przekonana, że Emil Lewin będzie udawał, iż nigdy nie znał tej kobiety, nie mieszkał z nią i nie chodził z nią do łóżka. Bydlak. Taki sam jak wszyscy. Nie było sensu rozwodzić się nad nimi, każdy z nich myślał jedynie o sobie.

Podeszła do metalowych drzwi i walnęła w nie pięścią. Po kilku chwilach w drzwiach celi stanęła otyła strażniczka z rumianą twarzą i nogami przypominającymi kształtem butelkę od szampana.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Potrzebuję lekarza – powiedziała spokojnie Renate.

– A co księżniczce dolega? – złośliwie zapytała strażniczka.

– Jeszcze nie wiem. Jak się z nim spotkam, to może się dowiem.

– To nie pałace, a my nie jesteśmy twoimi sługami, księżniczko. Jak wstajesz z wyra o własnych siłach, to znaczy, że ci lekarz żaden niepotrzebny. I nie wal w te drzwi bez potrzeby, bo żreć nie dostaniesz – ostrym tonem zagroziła strażniczka i zamknęła ciężkie drzwi celi.

Renate kolejny raz podeszła do zakratowanego okna, popatrzyła na zachmurzony kawałek nieba i powiedziała do siebie:

– Widocznie los tak chciał, Walterze.

Powróciła na pryczę i skuliła się w pozycji embrionalnej. Nie poleżała zbyt długo, bo drzwi kolejny raz otworzyły się i stanęła w nich ta sama strażniczka, co poprzednio.

– Rusz dupę, idziesz do kierownika zmiany – burknęła.

– A po co?

Strażniczka wzruszyła jedynie ramionami i tupiąc nogą, czekała, aż Renate wstanie z posłania, a potem zaprowadziła ją do paskudnego, ciemnego pokoju. Urządzone było niemal po spartańsku, stało tam jedynie biurko i metalowa szafa. Na blacie, oprócz lampki i czarnego telefonu, nie leżało kompletnie nic. Tak jakby nikt w tym miejscu nie urzędował. Jednak za biurkiem ktoś siedział. Była to kobieta w średnim wieku, o drobnej posturze i lekko posiwiałych włosach, spiętych w wysoki kok. Jednak w przeciwieństwie do otyłej strażniczki miała spokojny i dość przyjazny

wyraz twarzy. Wskazała Renate krzesło po drugiej stronie biurka i powiedziała ciepło:

– Dostaliście list. Przeczytacie go tutaj i oddacie z powrotem.

Serce Renate zaczęło bić jak oszalałe. Była pewna, że napisał do niej Walter. Nie miała pojęcia, jak to załatwił, iż w ogóle go otrzymała, ale w końcu zawsze znajdował się ktoś, kogo można było przekupić. Wzięła do ręki niebieską kopertę, ale pismo nie należało do Lossowa. Wyciągnęła nieco zatłuszczoną kartkę i wtedy rozpoznała, kto skreślił te litery. Jej ojciec.

Przez chwilę trzymała w dłoni papier, jakby zastanawiając się, co mógłby napisać do niej ojciec po tylu latach. Była przekonana, że nie było w nim słów troski, ale wyrzuty, iż przyniosła im wstyd. Rozłożyła papier i zaczęła czytać. Nie pomyliła się. Ojciec nie napisał jej nic miłego ani dobrego, a jedynym pozytywnym zdaniem była informacja, że będzie się za nią modlił, cokolwiek się stanie. Stwierdziła, iż nic ją to nie obchodzi, oprócz tego, że nie na te wiadomości czekała. I ponownie poczuła złość na Waltera. Za to, że list nie był od niego.

Usłyszała głos siwej kobiety:

– Czy nadal chcecie spotkać się z lekarzem? Strażniczka mi przekazała – zapytała, wciąż z życzliwością w głosie.

Renate Zoll jakby przez chwilę zastanawiała się, wodząc oczami po pustym biurku, by w końcu przenieść wzrok na małe, zakratowane okno, podobne do tego, jakie znajdowało się w jej celi.

– Nie. Już nie chcę. Wszystko w porządku – odpowiedziała i zgmiotła w dłoni list od ojca.

– Wyprowadzić! – krzyknęła kobieta i do pokoju weszła strażniczka.

Renate podeszła do drzwi, lecz zanim opuściła biuro kierowniczkę, wrzuciła pognieciony list do kosza stojącego w narożniku pomieszczenia. Wyrzuciła swoją rodzinę z serca, tak jak tę kartkę papieru. Potraktowała ich tak, jak oni ją.

Spoglądając z okien hotelu Polonia na ulice Warszawy, Hanka Lewinówna nie czuła ani lęku, ani też tęsknoty za Londynem. W Warszawie, jej ukochanym mieście, wiele się zmieniło, tak jak w całym kraju, ale w istocie została przywitana zarówno przez urzędników administracji, jak i oficera Urzędu Bezpieczeństwa dość życzliwie. Świadoma była, że łążą za nią krok w krok, ale miała to w nosie. Nie przyjechała do Polski, by walczyć z nowym reżimem, ale żeby tutaj żyć. Szukano dla niej jakiegoś miejsca do zamieszkania, a tymczasem musiała przebywać w hotelu.

Warszawa była zupełnie innym miastem niż to, w którym zaczynała swoją karierę, i różnym od tego, które opuszczała przed powstaniem. Z jednej strony straszące pustką ruiny, z drugiej jeden wielki plac budowy. Ona także czuła się tak, jakby budowała wszystko od początku. W nowej rzeczywistości i w nowym ustroju. Wbrew temu, co można było sądzić po wzmiankach prasowych, że Polska jest kompletnie odizolowanym krajem, wiedziano, kim jest i traktowano ją jak gwiazdę, chociaż owo traktowanie wyglądało zupełnie inaczej niż w Anglii czy Stanach Zjednoczonych. Zwłaszcza w Ameryce, która nie musiała podnosić się po wojennych zniszczeniach. Jednak nie targała nią tęsknota za tamtym światem. Zapewne dlatego, że była bardzo blisko utraty córki, a kiedy widmo takiej sytuacji wisi tuż nad człowiekiem, postrzeganie świata zmienia się diametralnie i wówczas coś, co dotychczas wydawało się bardzo ważne, nagle przestaje być istotne. I to w jednej chwili. Teraz miała ją przy sobie i wierzyła, iż tak już pozostanie. Była przekonana, podobnie jak Henrietta, że Niechowsy nie odważą się na przyjazd do kraju, by walczyć o dziecko. Ryzyko, iż mogliby napotkać w tym kraju problemy, zapewne wydało im się zbyt duże. Plotki, jakie krążyły wśród emigrantów, którzy zastanawiali się nad powrotem, mroziły krew w żyłach, a niektóre brzmiały wręcz nieprawdopodobnie. Atmosfera politycznego napięcia pomiędzy światem Wschodu i Zachodu potęgowała niepewność, lęki i obawy. A Tomasz Niechowski należał do wybitnych tchórzy, co już nie raz udowodnił.

Wyszła z hotelu i ruszyła na spotkanie z człowiekiem, który postanowił zorganizować jej pierwszy koncert. I to z rozmachem, ponieważ z uwagi na braki lokalowe miał odbyć się na wolnym powietrzu i zgromadzić wręcz nieograniczoną liczbę widzów. Scena, jaką przygotowano, była zbita z surowych desek na jednym z placów Warszawy, a osłonę od ewentualnego deszczu stanowiła płachta brezentu. Tuż pod sceną nie ustawiono żadnych krzeseł i ławek, ale przygotowano miejsce do tańca. Nie było żadnej garderoby, a do toalety mogła udać się do pobliskiego sklepu z artykułami żelaznymi. Jeszcze nie tak dawno prychnęłaby z pogardą, gdyby ktoś zaproponował jej podobne warunki, ale nie teraz. Cieszyła się, że w ogóle będzie mogła śpiewać i nikt jej nie kazał, aby to były pieśni rewolucyjne.

Zresztą Warszawę zupełnie swobodnie odwiedzali artyści z Francji czy Wielkiej Brytanii. I spokojnie, bez przeszkód z niej wyjeżdżali. Polska chciała jawić się jako kraj przyjazny i otwarty dla wszystkich, jednak Hanka miała świadomość, że nie do końca tak było. Ale nie martwiła się, nie oglądała za siebie, a jedynie próbowała odnaleźć się w nowej rzeczywistości, która wydawała jej się nieco egzotyczna w po-

równaniu z tą brytyjską. Może tak jej się wydawało z uwagi na fakt, że żyła nieco inaczej niż większość ludzi, najpierw pod parasolem Piotra Niechowskiego, a potem funkcjonując jako wielka diwa.

Największym strapieniem był dla niej Emil. Minęło już trochę czasu, odkąd postawiła nogę na polskiej ziemi, a jednak wciąż odwlekała moment, by odszukać brata. A może po prostu złożyć mu wizytę, bowiem знаła jego adres i było wysoce prawdopodobne, że nadal tam mieszkał. Zdawała sobie także sprawę, że ich spotkanie jest nieuniknione i pewnego dnia Emil pojawi się u niej. Gazety rozpisywały się o jej powrocie, karierze i wreszcie o planowanych koncertach, nie kryły również faktu, że obecnie mieszka w hotelu Polonia. Pojawienie się brata było więc jedynie kwestią czasu.

Kiedy wróciła ze spotkania z człowiekiem, który organizował jej ów dziwaczny koncert na świeżym powietrzu, mężczyzna w recepcji pochylił się nad nią i oznajmił, nie wiedząc czemu konspiracyjnym szeptem:

– Ktoś na panią czeka, pani Lewin.

Sposób, w jaki to powiedział, od razu skojarzyło się Hance z czasami, o których nie chciała pamiętać, i poczuła lekką obawę. Odwróciła się i zobaczyła siedzącego na kanapie w holu Emila. Czytał gazetę i nerwowo zerkał na zegarek. W porównaniu z innymi mieszkańcami Warszawy, jakich Lewinówna mijała na ulicach, wyglądał niezwykle elegancko. Ona także spojrzała na zegarek i doszła do wniosku, że ma jeszcze trochę czasu, by wymienić młodą dziewczynę, która opiekowała się dziećmi, gdy ona załatwiała swoje sprawy. Chciała, aby powitanie z Emilem odbyło się bez udziału Nadii i Grzesia. Obawiała się, że może wybuchnąć i powiedzieć bratu kilka ostrych słów. Na synku zapewne nie zrobiłoby to żadnego wrażenia, ale Nadia chłonęła każde słowo jak gąbka i mówiła wszystko, co tylko usłyszała albo jej wpadło do głowy. Chodziła teraz do nowej szkoły i miała nieco problemów z pisaniem po polsku, ale z mówieniem w tym języku żadnych. Gdyby coś chlapnęła... W tych czasach w Polsce należało zważać na każde słowo.

Podeszła powoli do brata. Wciąż był zajęty czytaniem, więc zbliżywszy się do niego, jedynie chrząknęła, by dać mu znać o swojej obecności. Wbrew pozorom ucieszyła się na jego widok. W końcu był jej jedyną rodziną, nawet jeśli jego uczynki nie należały do chwalebnych.

Emil odłożył gazetę i rozpromienił się.

– Siostrzyczko... Jak cudownie cię widzieć.

Wstał z fotela i rozpostarł ramiona. Lewinówna dostrzegła w jego oczach łzy.

– Witaj, Emilu – powiedziała dość chłodno, ale przytuliła się do brata.

– Cóż za zimne powitanie, Hanka? Przecież to ja, Emil, a nie oficer Urzędu Bezpieczeństwa. – Puścił do niej oko.

– Chodźmy do kawiarni – powiedziała cicho.

– A kiedy zobaczę siostrzeńców? Mam dla nich prezenty. – Wskazał dłonią pudełko owinięte szarym papierem.

– Później... Najpierw chciałabym z tobą porozmawiać – burknęła.

Zobaczyła w jego oczach panikę, ale nie współczuła mu. Zachował się jak drań, a ona chciała wiedzieć dlaczego.

Weszli do kawiarni i zajęli stolik w najdalszym kącie sali. Gdy już usiedli i złożyli zamówienie, Lewinówna nachyliła się w stronę brata i wyszczała:

– Emil, ja wiem... Spotkałam się z Igorem Łyszkinem i wiem...

Emil patrzył na siostrę z przerażeniem i chyba doszedł do wniosku, że nie ma sensu opowiadać bajek. Milczał przez chwilę, by w końcu powiedzieć drżącym głosem:

– Przepraszam, Hanka. Po stokroć. Ciebie i Łyszkiną. Haniu, wiem, że zrobiłem coś strasznego, zwykły bydlak jestem, ale teraz... jestem zupełnie innym człowiekiem. Wierzę, że kiedyś mi wybaczysz. Zakochałem się w cudownej, prawej kobiecie i zapragnąłem stać się lepszy. Ale moja przeszłość... Ona powraca do mnie jak bumerang. Tak jak teraz. Tak bardzo za tobą tęskniłem, tak bardzo żałuję tego, co zrobiłem, ale jak mam się zmienić, jeśli mi nie wybaczysz? Co mam zrobić, żebyś mi darowała?

Lewin mówił z przejęciem i niemal ze łzami w oczach. W istocie zależało mu na tym, by Hanka mu wybaczyła. Nie tylko z uwagi na to, że była mu bliska, ale miał nadzieję, że tym samym zdejmie sobie z pleców Łyszkiną.

– Nie wiem, Emil... To jest dla mnie takie trudne. Ufałam ci. Jak to bratu – powiedziała gorzko.

Nie wiedzieć czemu Emil rozkleił się zupełnie. Nie powiedział swojej siostrze o wszystkich swoich uczynkach, ale to, co w tym momencie czuł, było szczere.

– Hanka, najgorsze jest to, że jeden uczynek pociąga za sobą następne. Wdepniesz raz w gówno i nie jesteś w stanie pozbyć się tego smrodu przez całe życie. Dałbym wiele, by cofnąć czas albo wymazać swoją przeszłość. Ale nie mogę. Moje czyny ciągną się za mną i co mam teraz zrobić? Tak, naraziłem cię, bo chciałem pozbyć się z twojego życia Igora Łyszkiną. Naprawdę sądzisz, że gdybym wiedział, jak to się skończy, postąpiłbym w ten sposób? Jak tu siedzę, przysięgam ci, że nigdy. Kiedy cię zamknęli, poszedłem na gestapo, byłem u tego całego Grossa, z którym sypiała Alicja, nawet przelazłem za bramę getta, żeby poszukać Jakuba Mosela. Chciałem, żeby ci pomógł, żeby coś zrobił. Kazał mi się wynosić do diabła i... – Emil nagle zamilkł, jakby nie chciał dokończyć tej historii. Mógł uchodzić w oczach siostry za bydlaka, ale nie za mordercę.

– Naprawdę poszedłeś go Grossa i do getta? – zapytała ściszym głosem Hanka.

– Tak, zrobiłem mu awanturę, ale on zamiast mi pomóc, wyjął pistolet. Uciekłem. I wtedy spotkałem Alicję. Miałem nadzieję, że ona przekona Grossa. Hanka, na Boga, nie miałem pojęcia, że Łyszkin pociągnie cię za sobą. – Tym razem nie kłamał.

– Ale już po wojnie chciałeś ze mnie zrobić wtyczkę w Londynie – prychnęła Hanka.

– Siostra, ty nie wiesz, jak tutaj jest i dziwię się, że wróciłaś. Chociaż może ty się ustawisz, bo ten twój absztyfikant to teraz jest chyba niezła szyszka. Posłuchaj, oni wiedzą, że donosiłem na gestapo. I żeby nie zgnić w więzieniu albo nie skończyć pod ścianą, musiałem zgodzić się na współpracę. Co miałem robić? I jak mógłbym się z tego wyplątać, żeby przeżyć? Mogę jedynie wyjechać z kraju i pewnego dnia to zrobić.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś? Pomogłabym ci.

– A teraz mi pomożesz? – zapytał, łkając.

– Pomogę, ale myślę, że teraz to już nie będzie takie proste. Nie wiem, dlaczego zwlekasz... – zdziwiła się.

- Muszę do tego przekonać swoją narzeczoną – powiedział.
- Zaręczyłeś się? Znowu? – Hanka mimowolnie się uśmiechnęła.
- Tak, ale kocham tę kobietę nieprzytomnie. Bez niej... nie ma dla mnie życia.

Jeśli jednak dowie się, kim byłem, opuści mnie. Chciałbym, żebyś ją poznała. Sama przekonasz się, że to prawdziwy anioł. A ja? Czuję się, jak zwykły śmieć. – Lewin szukał ratunku u siostry.

Patrzyła na niego, na jego twarz z wyrytym nań piętnem, i pomyślała, że jeśli ona go nie rozgrzeszy, nie zrobi tego nikt inny. Kochała brata mimo jego podłości. Dotknęła jego dłoni i powiedziała cicho:

- Chodź na górę, zobaczysz dzieci.

Olga Iwanowna miała najzwyczajniejszego w świecie kaca. Leżała na pace furgonetki Griszy, na skórce, którą dla niej rozesłał, i wydawała z siebie jęki, gdy tylko furgonetka podskakiwała na jakiejś nierówności. Alicja patrzyła na jej pobladłą twarz i uśmiechała się pod nosem, bo ona kompletnie nie czuła w głowie wypitych poprzedniego dnia nalewek, serwowanych przez wuja Griszy. Zapewne wynikało to z faktu, że ostatnimi czasy wlała w siebie morze wódki. Piła wraz z Kaganowskim. On zapijał wyrzuty sumienia, ona zalewała w sobie przemożną chęć rozwalenia mu głowy.

W pewnej chwili auto zatrzymało się i z szoferki wysiadł Grisza. Przeszedł na tyły pojazdu i oznajmił:

– Koło Nuaragany są częste kontrole. Wsiądźcie, pójdźcie do tego zagajnika przy drodze i poczekajcie na mnie. Sprawdzę co i jak. Jak wrócę szybko, znaczy droga wolna, jeśli stoją, zajmie mi to kilka godzin.

Olga z trudem zwlekła się z posłania, bez słowa zeskoczyła z furgonetki i udała się w stronę lasu. Być może nawet poczuła ulgę, że będzie mogła trochę posiedzieć w spokoju, bez tego koszmarnego telepania. Alicja podążyła za nią i trochę z przerażeniem patrzyła na odjeżdżającego Griszę.

– A ten twój absztyfikant to nie wykołował nas przypadkiem? Mleko dla Natalki mi się kończy – powiedziała trochę spanikowanym głosem Alicja.

– A po co miałyby to robić? – Olga wzruszyła ramionami. – Przecież mamy mu zapłacić, jak dojedziemy do Nuaragany.

– Może na nas donieść? – Alicja wciąż się denerwowała. A najbardziej tym, że Olga zdawała się kompletnie spokojna.

– Jakby miał donieść, zrobiłby to, gdy spałyśmy, zmorzone alkoholem, u jego wuja. Nie panikuj, on mnie naprawdę polubił – uspokajała Iwanowna.

– Może tak bardzo, że zechce cię zatrzymać przy sobie? – jakby do siebie powiedziała Alicja.

– Kochana, jedynie ty masz szczęście do takich szaleńców, mnie się tacy nie mają. – Uśmiechnęła się.

Alicja przez chwilę zastanawiała się, co by było, gdyby Grisza spodobał się Oldze. Jakie mieli szanse na wspólną przyszłość? Po chwili pomyślała, że zerowe. Grisza więc powróci do swojej zapyziałej wioski i pewnego dnia ożeni się z jakąś miejscową panną, być może nawet swoją kuzynką, co w tak małej społeczności było wysoce prawdopodobne. A Olga Iwanowna? Jeśli uda jej się uciec do innego kraju, stał przed nią cały wielki i piękny świat nieograniczonych możliwości.

– Słuchaj, a jakeś ty tego generała sobie przygruchała? No, wiesz, tego, co się wstawił do sądu za ciebie? – Do Alicji dotarł głos Olgi.

– Nie znam go. Myślę, że moja przyjaciółka zadziałała. Ma narzeczonego Rosjanina, który jest wojskowym i chyba zasłużonym dla Związku Radzieckiego. Zapewne to on załatwił, podobnie jak możliwość otrzymywania paczek i listów. I gdyby nie ten potwór, nie siedziałabym teraz jak cyganka z taboru na tym pustkowiu, tylko

na kolanach u mojego Sergiusza. – Alicja zakołysała dziecko, bo odkąd Natałka opuściła trzęsącą się furgonetkę, zrobiła się marudna.

– A widzisz, Rosjanin i porządny chłop – uśmiechnęła się Olga. – A wiesz, mnie kiedyś pomógł Niemiec. Jak mieszkałam pod Leningradem i używali sobie na mnie żołnierze SS. Był miłym człowiekiem i wykształconym. Życie nie jest takie proste, jakby się mogło wydawać. Wróg może okazać się najlepszym przyjacielem i na odwrót...

– Może kiedyś jeszcze go spotkasz?

– Waltera? Nie sądzę. Myślę, że nie żyje. Bo tacy jak on kończą najgorzej – mruknęła Olga i popatrzyła w niebo, jakby chciała odgadnąć, ile czasu siedzą i czekają na Griszę.

W pewnym momencie usłyszały klekot samochodu. Wyjrzały dyskretnie na drogę i zobaczyły wehikuł Griszy. Chłopak uśmiechnął się szeroko, posłał Oldze czułe spojrzenie i oznajmił:

– Już pojechali. Rutynowa kontrola. Wsiadajcie.

Olga nawet nie chciała słyszeć o zajęciu miejsca w szoferce. Na samą propozycję Griszy jej twarz ponownie przybrała zielonkawy odcień.

\*\*\*

Nuaragana była jeszcze mniejszą osadą niż poprzednia, w której się zatrzymały. Leżała nieco na uboczu szlaku i sprawiała wrażenie równie ospałej, co Churapcha. Ubogie domostwa także niczym się nie różniły. Były małe, zaniedbane, a ludzie spokojni. Oczywiście przyjazd Griszy wzbudził sensację i od razu za furgonetką zaczęły biec jakieś umorusane dzieciaki, krzycząc coś niezrozumiale.

Grisza zatrzymał auto na jednej z posesji, gdzie obok domu stał równie stary i sfatygowany samochód. Była to furgonetka przykryta plandeką, gdzieś po dziurawioną i postrzępioną. Gospodarzami byli dość młodzi ludzie, którzy w trzech małych izbach wychowywali piątkę dzieci. Każde z nich wyglądało niemal tak samo i Alicja odniosła wrażenie, że różnią się jedynie wzrostem.

– Zostaniemy tutaj do rana, a potem Witalij odwiezie was do samego Jakucka. Nie za darmo, oczywiście. Tam pomoże wam znaleźć transport dalej, na zachód – powiedział Grisza.

– Dziękuję, Grisza. – Olga uśmiechnęła się promiennie. – Naprawdę nie musisz się z nami gnieździć w śmierdzącej komórce, możesz wracać do domu.

– Mogę, Olgo, ale mój kumpel to ma lepkie łapy i trzeba go trochę przypilnować. Jak zaśniecie, to nie wiadomo, co mu do łba strzeli. Zwłaszcza po spirytusie – odparł Grisza.

– A jak nam co po drodze zrobi? – zatrwożyła się Olga.

– E tam, wam dwóm nie da rady, a ja już przypilnuję, żeby nie brał ze sobą dubeltówki. Nie ma w okolicy nikogo innego z samochodem, a do Jakucka jeszcze kawał drogi, ale jeśli nie chcecie... – Wzruszył ramionami i dodał: – Ja się boję jechać tak daleko tym gruchotem.

– Damy sobie radę, Grisza – powiedziała stanowczo Alicja.

W istocie nie mogły wybrzydząć, a jedynie być czujne, by Witalijowi nic głupiego nie wpadło do głowy. Widziała na pace samochodu Griszy ciężką, metalową rurkę, której przeznaczenia nie potrafiła odgadnąć. Postanowiła, że poprosi, by dał im



ją. Musiały mieć coś, czym mogłyby się obronić w razie ataku Witalija. Wiadomo było, że jeśli wybierały się do Jakucka i szukały transportu w głąb Związku Radzieckiego, to musiały mieć jakieś pieniądze. A mając piątkę dzieci, taka okazja, by w łatwy sposób zdobyć trochę grosza, mogła się okazać dla Witalija bardzo kusząca.

\*\*\*

O świcie, gdy wyruszały do Jakucka, Grisza czule żegnał się z Olgą.

– A może zostaniesz ze mną? Pobierzemy się, a ojciec i wuj obiecali, że gdy się ożenię, postawią mi dom. Mam odłożone trochę rubli, więc może za kilka lat będę mógł kupić lepszą ciężarówkę. W mojej wsi jest szkoła, mogłabyś tam uczyć... – roztaczał piękną wizję.

Być może gdyby nie fakt, że Olga mogła być poszukiwana przez władze, jako uciekinierka z obozu, dłużej zastanawiałaby się nad propozycją Griszy. Ale wiedziała, że w tym kraju, gdziekolwiek postanowiłaby osiąść, nigdy nie będzie bezpieczna. Alicja pomyślała, że i tak nie udałby się ten związek, bo Olga stworzona była do innego życia. Mimo że przez ostatnie lata jedynym jej marzeniem była upragniona wolność, Alicja była przekonana, iż gdzieś na dnie duszy Iwanowna pragnęła czegoś więcej. Była ciekawa świata, mądra i miała jeszcze szansę, by zajmować się tym, co kochała – literaturą. Może gdzieś tam, w wielkim świecie, ktoś da jej szansę powrotu na uniwersytet, by mogła dalej się kształcić, a potem dzielić się swoją wiedzą nie tylko z uczniami szkoły powszechnej, ale może ze studentami. Zresztą z jej inteligencją mogła zdobyć każdy zawód, jaki jej się zamarzy.

Tak, taką przyszłość widziała oczami wyobraźni Alicja. Dla Olgi. Swojej nie widziała wcale, bo dla niej najważniejsze było tylko to, by znaleźć się blisko swojej rodziny. O reszcie zaś postanowiła pomyśleć później.

Koleżanka Szymka Wielopolskiego, która ostatnio pomagała mu w nauce, była coraz bardziej zniecierpliwiona.

– Szymek, skup się, bo rozwiązujemy to zadanie już trzeci raz, a ty ciągle robisz ten sam błąd – powiedziała z wyrzutem.

– Przepraszam, Kasiu. Jestem dzisiaj rozkojarzony. To chyba przez tę pogodę. Od rana pada – odparł przeproszająco.

W istocie nie mógł się tego dnia skupić. I wcale nie dlatego, że Kasia była najładniejszą dziewczynką w jego klasie, a za oknem lał deszcz, ale przeczytał w „Expressie Wieczornym”, który zawsze kupowała panna Magdalena, że Amerykanie przekazali Polsce poszukiwaną za zbrodnie wojenne Renate Zoll. Strażniczkę z Pawiaka, która przez cały czas swojej służby słynęła z barbarzyńskich praktyk. Wieszczono także, że proces, który miał się odbyć już niebawem, zakończy się wyrokiem skazującym pannę Zoll na karę śmierci. Podobno dowody i zeznania świadków nie budziły żadnych wątpliwości, że owa kobieta należała do najbardziej sadystycznych pracowników więzienia. Było nawet zdjęcie panny Renate, ale Szymek stwierdził, że jest na nim kompletnie do siebie niepodobna. Autor artykułu sugerował, iż panna Zoll zmieniła swoją twarz i tożsamość, by uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny, i nie dał wiary jej oświadczeniu, że poddała się operacji z powodu ran odniesionych podczas szamotaniny z psem. Szymek wiedział, iż powiedziała prawdę, ale jakie miało to znaczenie w obliczu innych oskarżeń? Chłopak zastanawiał się, czy pan Lewin wiedział o jej pobycie w warszawskim areszcie, a wreszcie czy miał świadomość, że panna Zoll, choć piękna, była po prostu potworem.

Ostatnio w ogóle Szymek miał wiele na głowie. Pan Kamil Grotowski umarł z powodu ran, jakie zadali mu w więzieniu inni osadzeni, chociaż nie było wiadomo, dlaczego go tak potraktowali. Człowiek ten bowiem był jednym z najspokojniejszych ludzi, jakich znał. Szymek nie wierzył, że mógłby wdać się w jakąś awanturę.

Po tym smutnym wydarzeniu panna Magdalena popadła w straszne przygnębienie, a nawet przestała pomagać mu w nauce i musiał poprosić o korepetycje swoją koleżankę. Panna Walewska rozpromieniała się jedynie wówczas, gdy przychodził do nich pan Emil. Była mu także wdzięczna za to, że wyciągnął pana Grotowskiego z więzienia, mimo że ten i tak zmarł. Liczyły się jednak starania pana Lewina i panna Magdalena to doceniała. I kiedy Szymek widział radosną twarz swojej opiekunki i mentorki, nie mógł tak po prostu pójść do niej i powiedzieć, że pan Lewin nie do końca jest uczciwym człowiekiem... A teraz doszło jeszcze i to – panna Zoll siedziała w więzieniu i – jak wynikało z artykułów prasowych – okazała się istnym diabłem wcielonym.

W gazecie pojawiła się także inna wiadomość, tym razem dobra. Do Polski powróciła siostra pana Emila, wielka gwiazda, Hanka Lewinówna. Szymek był ciekawy, czy kiedykolwiek ta kobieta dowie się prawdy o swoim bracie. Ten Rosjanin, który odwiedził pana Lewina w ich pokoju na Pradze, wciąż powtarzał: „Gdyby Hanka wiedziała, gdyby poznała twoją przeszłość, szubrawcu”. Tak właśnie mówił ten

człowiek do pana Emila. Więc co zrobiłaby pani Lewin, gdyby poznała prawdę? W końcu siedziała na Pawiaku, ukrywała się przed gestapo i w ogóle miała ciężkie życie za Niemca. Co by było, gdyby wiedziała, że jej brat donosił na swoich rodaków, a jego narzeczona pracowała na Pawiej? Kto wie, może nawet spotkały się i panna Zoll wyrzuciła pani Hance jakąś krzywdę?

– Dobrze, zrobię za ciebie to zadanie i dajmy sobie spokój na dzisiaj. Pogadajmy po prostu o czymś innym – zagadnęła Kasia. – Wiesz, ostatnio rodzice zabrali mnie na potańcówkę. Było bardzo przyjemnie, bo ładnie śpiewali i dorośli tak pięknie tańczyli. Byłeś kiedy?

– A gdzie ja mam tam głowę do potańcówek. – Szymek machnął ręką. – Muszę nadrobić dwa lata w rok, a jak tylko mam chwilę wolnego, latam do jadłodajni i pomagam pannie Magdalenie przy garach.

– A może wybierzemy się kiedy? – zapytała dziewczynka.

Szymek nie zdążył ani zastanowić się nad propozycją koleżanki, ani nic powiedzieć, bo usłyszał skrzypienie podłogi w korytarzu, a Ziutek podniósł się gwałtownie, najeżył sierść i wydał z siebie złowrogi pomruk. Chwilę potem jednak zaczął machać swoim ogromnym ogonem, strącając z niskiej komody metalowy świecznik. Panna Walewska postawiła go na wypadek, gdyby były przerwy w dostawie prądu, ale ogromny pies notorycznie go zrzucał.

Drzwi pokoju otworzyły się i ukazały się w nich postaci ojca panny Magdaleny i Zosi. Jak zwykle pan Walewski przywiózł ze wsi cały koszt wiktuałów i zaraz udał się wraz z córką do kuchni, by wypakować owe dobra, które spożywał głównie Szymek, bo panna Magdalena jadała niewiele. On zaś głodny był właściwie bez przerwy i zastanawiał się, dlaczego wciąż jest taki szczupły.

Przybyła wraz panem Walewskim Zosia uśmiechnęła się na widok psa i przywitała się z nim radośnie. Kiedy jednak spojrzała na siedzącą przy biurku Kasię, posmutniała, a potem przykryła dłonią oszpecony policzek.

– Zosiu... – powiedział szybko Szymek, widząc przygaszoną twarz swojej przyjaciółki. – To moja koleżanka z klasy, Kasia. Pomaga mi w arytmetyce.

Kasia uśmiechnęła się promiennie, ale Zosia kiwnęła jedynie głową i usiadła onieśmielona na tapczanie Szymka. Chłopak wyczuł, że Zosia jest po prostu zazdrośna i przypomniał sobie wszystkie dowcipy, jakie o zachowaniu kobiet opowiadał pan Franek. Z Zosią było jednak trochę inaczej. Jej blizna na policzku wciąż wpędzała ją w kompleksy i marzyła, że kiedyś lekarze „naprawią” jej twarz, a ona znowu będzie ładna. Pomyślał o pannie Zoll. Jej twarz wyglądała świetnie, chociaż podobno wcześniej była bardzo oszpecona, więc może i dla Zosi była jakaś nadzieja. Postanowił, że kiedyś zarobi tyle pieniędzy, by jego przyjaciółka już nigdy nie musiała zasłaniać sobie policzka ze wstydu. On już nie zważał na tę bliznę, przyzwyczyił się, ale dla Zosi widocznie była to krępująca sprawa.

– No i jak, Szymek? – ponowiła pytanie Kasia.

– Taki kołowaty jestem, że zapomniałem o coś pytała... – Uśmiechnął się kwaśno.

– No jak o co? – Kasia nieco się naburmuszyła. – Czy na potańcówkę pójdziemy!

Zosia spanikowanym wzrokiem spojrzała na Szymka, słysząc te słowa. Nie mogłaby się na niego gniewać, gdyby skorzystał z propozycji swojej klasowej kole-

żanki, w końcu byli jedynie przyjaciółmi, a na dodatek jej buzia nie mogła się równać z urodą tej dziewczynki. Przede wszystkim dlatego, że Kasia nie miała na twarzy paskudnej szramy.

– Pójść to pójde – powiedział z westchnieniem Szymek i zerknął ukradkiem na Zosię, która miała minę, jakby chciała się rozplakać. – Ale obiecałem Zosi, że razem się wybierzemy. Zaprosiłbym i ciebie, ale nie potrafię z dwoma kobitami naraz tańcować.

– Ach, nie wiedziałam – powiedziała Kasia i też nieco posmutniała.

„Skaranie boskie z tymi babami – pomyślał Szymek. – Teraz obie będą mi tu siedzieć z nosami na kwintę”.

Nie musiał jednak zbyt długo się z tym borykać, bo jego koleżanka z klasy wstała zza biurka i oznajmiła, że musi już iść. Pożegnała się chłodno z Zosią i Szymkiem, i ten pomyślał, że jeśli panna Magdalena nie powróci do równowagi, to będzie miał dwóję na semestr, bo na Kasię z pewnością nie będzie mógł już liczyć.

– Nie pamiętam, żebyś mnie na potańcówkę zaprosił – powiedziała Zosia, nieco jeszcze naburmuszona.

– A wolałabyś, żebym z Kasią poszedł? – mruknął Szymek.

– Ona ładniejsza jak ja – zaczęła się z nim droczyć Zosia.

– A mnie ty się bardziej podobasz.

– Gadasz...

– Zośka, no ty całkiem jak baba. Jak nie mówię, że mi się podobasz – to źle, jak gadam, żeś ładna – to nie wierzysz.

W końcu zaczął się śmiać sam z siebie. Zosia, chociaż była jego najlepszą przyjaciółką, także była dziewczyną i czasem trudno ją było zrozumieć, podobnie jak inne. Niekiedy przysłuchiwał się rozmowom pana Lewina i pana Franka i oni często mówili, że za kobietami to ciężko nadążyć, bo one zawsze myślą po swojemu. Dotychczas jedyną jego przyjaciółką i dziewczynką, która mu się podobała, była Noemi. Ale wówczas byli jeszcze dziećmi i obcy był im świat damsko-męskich potyczek.

Kolejny raz rozległo się pukanie do drzwi.

– Dzisiaj to jak na dworcu – mruknął Szymek i wyjrzał zza szafy, by zobaczyć, kto tym razem ich odwiedził.

A był to jak zwykle elegancki pan Emil Lewin. Zobaczywszy jednak pana Walewskiego, który niezbyt go lubił, postanowił, że posiedzi trochę z Zosią i Szymkiem. Nie chciał narażać się na kolejne przytyki ze strony ojca Magdaleny. Ten jednak wychylił się z części pokoju swojej córki i powiedział ze wzruszeniem:

– Panie Emilu, chyba źle pana oceniłem. Po tym, co zrobił pan dla mojego przyjaciela, Kamila, zmieniłem o panu zdanie. Porządny z pana chłop.

Do uszu Igora dobiegał jednostajny pomruk silnika. Zanim dotarło do niego, że taki dźwięk wydają z siebie silniki samolotów, znowu odpłynął w nicość. Te krótkie przebudzenia były tylko rejestrowaniem rzeczywistości, nie czuł nic. Co najważniejsze jednak – przestał odnosić wrażenie, że ktoś ucina mu nogę tępym narzędziem.

Po godzinie kolejny raz się przebudził i z trudem otworzył oczy.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał cicho siedzącego obok niego łącznika z Los Alamos.

– Zbliżamy się do Cancun – powiedział mężczyzna. – W Meksyku.

– Co z moją nogą? – padło kolejne pytanie.

– Wciąż ją masz. – Łącznik uśmiechnął się i dodał: – Stary, do tej pory nie wiem, jak ty dotarłeś o własnych siłach do White Rock.

– A potem? – To akurat Igor pamiętał, ale później już prawie nic.

– A potem zobaczyłem cię w świetle reflektorów i nagle zniknąłeś. Wysiadłem i wówczas ujrzałem, że leżysz na drodze, a jedna z nogawek twoich spodni jest prześnięta krwią. Ledwo cię dotaszczyłem do samochodu. Jak już to zrobiłem, pognąłem leśnymi duktami w kierunku Santa Fe. Chłopie, cały czas słyszałem wycie syren i aż mi się ciepło w gaciach zrobiło – relacjonował mężczyzna.

– To dobrze, to znaczy, że znaleźli szybko Judith i nic jej nie będzie – jęknął i od razu przypomniał sobie rodziców.

Jego żonie nie groziły żadne sankcje prawne, wręcz przeciwnie, zapewne dostanie medal za obywatelską postawę i odwagę, ale co będzie z ojcem i matką? Jego zapewne skazą zaocznie za szpiegostwo, ale miał to gdzieś, bo nie planował już wracać do Stanów Zjednoczonych. Nie miał jednak pojęcia, jakie konsekwencje grożą jego bliskim. Mieli amerykańskie obywatelstwo, więc nie deportują ich, ale czy śledczy dadzą im wiarę, że nie mieli pojęcia o działalności syna? Miał nadzieję, że tak właśnie będzie. I może kiedyś rodzice mu wybaczą. Kolejny raz.

– Te dane od tego szkopskiego profesorka są bardzo ważne i przydatne. Może dzięki nim nasi w końcu nauczą się rozszczepiać uran i będziemy mogli wkrótce pochwalić się bombą atomową. Poza tym przekazał dużo informacji o pracach nad syntezą termojądrową, skurczybyki chcą mieć coś jeszcze bardziej zabójczego... Dobra robota, Łyszkina. Szkoda tylko, że przyplącałeś to taką paskudną raną. – Mężczyzna poklepał Igora po ramieniu.

– A jak dolecimy do Cancun, to co dalej? – wymamrotał.

– Tam czeka na ciebie statek. Niestety, nie jest to jeden z tych luksusowych liniowców, którymi podróżują burżuazyści. Ty wsiądziesz na handlowy pod szwedzką banderą i do domu... Może nie całkiem, bo najpierw zajmą się tobą lekarze w Polsce. Doktor powiedział, że i tak ta podróż nie jest dla ciebie wskazana, a raczej dla twojej nogi, więc na razie pozostawią cię w naszej najbliższej placówce.

Mężczyzna cierpliwie odpowiadał na pytania kolegi po fachu. Było mu go szkoda, bo miał świadomość, że taka rana to koniec kariery Łyszki. Sprawność fizyczna w tym zawodzie to była sprawa pierwszorzędna. Chociażby na wypadek ta-

kich sytuacji, z jakimi zetknęli się w Los Alamos. Gdyby nie żelazna kondycja jego partnera, zapewne nie uszedłby z życiem. Teraz jednak jego noga była w fatalnym stanie i ich zaufany lekarz z Santa Fe stwierdził niemal od razu, że Łyszkin nie odzyska pełnej sprawności. Zatem wypadał z gry.

Kompan Igora nie miał pojęcia, że dla Łyszkina była to sytuacja wręcz idealna. Oczywiście, sam fakt, iż prawdopodobnie do końca życia będzie utykał albo czuł ból w nodze, nie był czymś pozytywnym, ale na pewno stanowił solidny pretekst, by wykluczyć go z dalszej działalności wywiadowczej. A gdy zajmie się papierkową robotą i nie będzie musiał plątać się po świecie, pomyśli, w jaki sposób ściągnąć do siebie Hankę i dzieci. W końcu nie był szeregowym żołnierzem, ale zasłużonym oficerem i żywił przekonanie, że da radę utrzymać swoją rodzinę, choćby Hanka miała już nie występować.

Uśmiechnął się do siebie i pomyślał, że dobrze wykonał swoje zadanie, nawet jeśli przyplaci to kalectwem. Może pewnego dnia zatęskni za swoją robotą, ale było to raczej mało prawdopodobne. Naprawdę miał dosyć, a żyjąc przez rok u boku rodziców, uświadomił sobie, że normalna egzystencja bez strachu i wysokiego poziomu adrenaliny mu odpowiada. Poza tym przez pięć krótkich dni posmakował życia z Hanką i dziećmi i podobało mu się to bardziej niż próżnowanie na koszt ojca. Jego szefowie dostali od niego, czego chcieli i teraz marzył jedynie o świętym spokoju. Nie zastanawiał się także, co stanie się po tym fakcie z Foksem czy z Judith. Jeszcze nie teraz...

W istocie statek, którym wyruszyli z Cancun na bezkresne wody Oceanu Atlantyckiego, nie był szczególnie luksusowy i przypominał Igorowi ten, którym przyplłynął do Nowego Jorku. Z tą różnicą, że tamten wypełniony był ludźmi stłoczonymi niczym śledzie, ten natomiast kontenerami, skrzyniami i pakami.

Po kilku dniach, mimo niemal sztormowej pogody, z pomocą jednego z marynarzy udał się na pokład, by spróbować postawić swoje pierwsze kroki od czasu, gdy stracił przytomność i został przetransportowany do Santa Fe. Odłożył kule i postawił zoperowaną nogę na mokrym od deszczu pokładzie. Najpierw poczuł ból, a potem upadł na śliską powierzchnię.

– To był zły pomysł, panie ładny – burknął marynarz. – Ślisko tutaj jak na zamrzniętej sadzawce, a ty zgrywasz chojraka.

Podszedł do Igora i wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać.

– Odejdź, dam sobie radę – warknął Igor i spróbował sam się podnieść, opierając się łokciami o drewnianą ławę.

– Nie wydurniaj się, człowieku! – Głos marynarza zrobił się ostrzejszy. – Jeszcze drugą nogę złamiesz i kto cię tu będzie niańczył. Wsiądziesz w Gdyni i będziesz mógł cwaniakować, ale na razie bądź grzeczny.

Łyszkin wiedział, że marynarz ma rację, a on jest zdany przez cały rejs na łaskę obsługi statku, bo jego kompan z Los Alamos pozostał w Meksyku.

Podał rękę marynarzowi, posyłając mu spojrzenie godne ciskającego pioruna mi Zeusa i spróbował wstać. Był twardym facetem i oberwał już kiedyś w ramię, gdy próbował zabić jednego takiego szwaba. Jednak tym razem ból okazał się silniejszy od niego i Igor ryknął jak zranione zwierzę. Na szczęście krzyk został zagłuszony przez wysokie fale stukające o burty statku, więc usłyszał go jedynie towarzyszący mu marynarz.

– No i na co ci to było? – fuknął marynarz, podając kule Łyszkinowi.

– Stary, przestań strofować mnie jak uczniaka – mruknął Igor.

Asekurowany przez swojego towarzysza powrócił o kulach do kajuty. Przebywał w niej sam, co było ogromnym wyróżnieniem, jednak jej powierzchnia przypominała wielkością sławojkę. Nie mógł więc ćwiczyć u siebie i z dala od zarozumiałego kompana.

Położył się na pryczy i wsunął dłonie pod głowę. Pomyślał, że jeszcze wróci do formy na tyle, by Hanka nie musiała go niańczyć, jeśli w ogóle zechce z nim być. Pragnął jej imponować swoją siłą fizyczną i sprawnością, bo prawdę powiedziawszy nie widział w sobie innych atutów. Nieważne, że nie będzie już zwinny jak niegdyś, do normalnego życia wystarczy mu jedynie fakt, że nie będzie zbyt utykał.

Kolejna fala, która uderzyła w statek, zakołysała nim tak mocno, że Igor spadł z pryczy i nabił sobie guza. Nie to go jednak zdenerwowało, ale fakt, że kolejny raz będzie musiał podnosić się z podłogi i tym razem nie było przy nim uczynnego, choć wrednego marynarza.

Podobnie jak to miało miejsce poprzednim razem, poczuł niewyobrażalny ból i zastanawiał się, jak długo będzie goiła się ta paskudna rana. Łudził się, że wówczas, gdy już to nastąpi, nie będzie widział przed oczami gwiazd, gdy poruszy nogą. Pomyślał także, że kara od Judith jest bardzo dotkliwa. Doszedł jednak do wniosku, iż w pełni na nią zasłużył. Być może wystrzeżiła niechęć i chciała go wystraszyć, a potem oddać w ręce władz, jednak stało się inaczej. Był wolny, ale z nogą pogruchochaną przez pocisk i chyba siłę gniewu Judith. Musiał jednak przyznać, że niezły byłby z niej szpieg. Wykonała swoje zadanie po mistrzowsku, chociaż była jedynie amatorką i zawiedzioną kobietą. Wywiodła jednak w pole takiego asa jak on. Ani razu nie przyszło mu do głowy, że Judith coś kombinuje i domyśliła się, czym zajmuje się Igor oraz po co przybył wraz z nią do Los Alamos. A może źle myślał? Może był już wypalony, stary i popełniał błędy, a jego intencje widoczne były jak na dłoni?

Wolał jednak oszukiwać się, że to nie on był tak kiepski, ale ona sprytna, bo mimo wszystko trudno mu było przyznać się do porażki, nawet przed samym sobą.

– No to pokaż mi to swoje cacko – powiedział „Kary”, wyciągając dłoń w kierunku swojego znajomego. Poznał go w czasie wojny, gdy obaj parali się niezbyt mile widzianymi przez okupanta interesami.

Mężczyzna, w przeciwieństwie do Sergiusza Dargiewicza, był niski, krępy i miał ciemne, kręcone włosy. Uśmiechnął się szelmowsko do „Karego”, wskazując blaszaną wiatę, pod którą stała furgonetka przykryta brezentem. Ściągnęli grubą płachtę, zwinęli w rulon i Sergiusz zaczął przyglądać się autu. Był to wysłużony ford, gdzieś tam wychodziła już rdza i sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego.

Na twarzy „Karego” odmalowało się rozczarowanie.

– Co ty mi tu proponujesz, Darek? – zapytał niemal retorycznie. – Przecież ten ford wygląda, jakby miał problem z przejechaniem pięćdziesięciu kilometrów, a mnie jest potrzebne auto na daleką podróż. Mówiłem ci przecież.

– Złość piękności szkodzi, „Kary” – zarechotał mężczyzna. – Nie wiesz, jakie mamy czasy? Jakby zwąchali, że przytuliłem ponemieckie auto, zaraz ostrzyliby sobie pazury. Od razu przylecieliby oglądać i sprawdzać. Mało to życzliwych? Zresztą i tak trzeba do urzędu zgłosić i papiery na niego wyrobić. A ten wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy, więc nikt się nim nie interesuje. Ale za to środeczek to ma prawie jak bebechy mercedesa wujka Adolfa. Pruje jak szatan, silniczek wyremontowany i odnowiony do ostatniej śrubeczki. Zawiezie cię, stary, nawet do Lizbony.

Sergiusz podszedł do furgonetki, oglądał z każdej strony i zaproponował przejażdżkę tym wehikułem. Nie zależało mu na wyglądzie samochodu, tylko na sprawności, więc usiadł za kierownicą, jego kompan obok i powoli ruszyli spod wiaty. Dźwięk silnika poprawił humor „Karemu”, nic nie klekotało, nie rzęziło. W końcu wyjechali na ulicę, by wypróbować pojazd na drodze. Pojechali kawałek za miasto, niezbyt daleko, bo paliwo było na wagę złota, i Sergiusz podjął decyzję. Nie targował się, wręczył dolary swojemu kompanowi, a ten dorzucił mu jeszcze urzędowe zezwolenie na transport usługowy.

„Karemu” właściwie nie był potrzebny w Warszawie samochód, który stanowił dość duży wydatek i znacznie uszczuplił jego oszczędności. Postanowił jednak zmienić swoje życie i otrząsnąć się w końcu po śmierci Alicji. Chciał wyjechać za granicę, do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkała już jego siostra, i tam rozpocząć nowe życie wraz z Mateuszką. Od dawna planował opuszczenie Polski, a nabrał przekonania, gdy stało się jasne, że w kraju zawita nowy okupant – tym razem radziecki. Cekał jedynie na Alicję, ale pewnego dnia musiał przyznać, że niepotrzebnie zwlekał, bo jego ukochana już nie powróci. Zdobył stosowne kontakty i miał nawet plan, w jaki sposób ucieknie z kraju.

W tym czasie ludzie wciąż krążyli, chociażby folksdojcze, których pozbawiano polskiego obywatelstwa. Nie pozostawało im nic innego, jak wyjechać do tej ojczyzny, do której tak chętnie przyznawali się w czasie wojny. Emigrowali więc za zachodnią granicę i często wynajmowali furgonetki, by przewieźć swój nędzny dobytek. Sergiusz doszedł do wniosku, że wykona kilka takich kursów, a z jednego z nich



już nie wróci, tylko pojedzie dalej, do miejsca, gdzie czekała na niego siostra. W Polsce już nic go nie trzymało, a nowy ustrój zupełnie mu nie odpowiadał. Wiedział, że rodzina Alicji będzie miała żal do niego, że wywozi Mateuszka, ale w dniu, w którym przejął nad nim formalną opiekę, wziął także odpowiedzialność za dzieciaka. Uważał, że za granicą będzie im lepiej.

Zaparkował swój nowy nabytek na podwórzu i spostrzegł dwie kobiety przechadzające się po posesji. Jedną z nich była nieugięta w staraniach o niego Izabela Maliszewska, a drugą jakąś dystygowana, elegancko ubrana kobieta w wytwornym kapeluszu. Pomyślał, że może chce oddać rzeczy do prania, ale nie zauważył, aby miała ze sobą jakiś pakunek. A może w ogóle nie czekała na niego, tylko na inną osobę mieszkającą w jego kamienicy?

Wysiadł z samochodu, obie kobiety spojrzały w jego stronę i elegantka w kapeluszu krzyknęła:

– Sergiusz, jak dobrze, że w końcu jesteś. Już myślałam, że się wyprowadziłeś. Nie czytałeś gazet, że wróciłam?

I wtedy rozpoznał w kobiecie Hankę Lewinównę. Wyglądała zupełnie inaczej, niż gdy zemdlała w jego pralni po ucieczce ze wsi. Teraz Hanka Lewin błyszczała jak wielka gwiazda.

Podszedł do niej i ucałował ją w oba policzki. Uśmiechała się szeroko i Sergiusz pomyślał, że Hanka chyba jeszcze nie wie o śmierci Alicji.

– Wejdz, Hanka. Cieszę się, że cię widzę, a szmatławców nie czytam. – Wskazał jej drzwi pralni.

W tym momencie podeszła do nich Izabela i zapytała bez ogródek:

– Kim jest ta kobieta?

Sergiusz nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, bo również Hanka przybrała pytający wyraz twarzy. Niezręcznie ciszę przerwał „Kary”, uznając, że wizyta Hanki jest mu w tej chwili bardzo na rękę, i pozwolił sobie na małe kłamstwo.

– Moja nowa narzeczona, Hanna Lewin – odparł spokojnie.

Hanka otworzyła usta, nie mając pojęcia, co Sergiuszowi nagle strzeliło do głowy, gdy usłyszała głos Maliszewskiej.

– On i tak panią zostawi. Tak jak mnie. Zabawi się, naobiecuje różnych rzeczy, a potem zostawi, żeby wzdychać do swojej nieżyjącej narzeczonej.

Gdy Izabela powiedziała swoje, odwróciła się na pięcie i z płaczem pobiegła w stronę bramy prowadzącej na ulicę. Sergiusz nie podążył za nią, nie tylko dlatego, że chciał, by w końcu zostawiła go w spokoju, ale również dlatego, że obok stała skonsternowana Lewinówna, i wiedział, że za chwilę zacznie zadawać pytania. Uprzedził ją i powiedział cicho:

– Alicja nie żyje. Zmarła w gułagu kilka miesięcy temu. Sąd zwolnił ją z odbywania kary, ale nie zdążyła wrócić. Rodzina Alicji dostała jedynie odpis jej aktu zgonu. Właściwie to nawet nie był akt zgonu, tylko jakiś świstek z ewidencji obozu, podpisany przez komendanta.

Hanka Lewin w jednej chwili zrobiła się kredowobiała. Przysiadła na murku, przy schodkach prowadzących do pralni, i zakryła twarz rękoma.

– Alicja? Moja Alicja? Ona była... Sergiusz, ja nawet nie umiem określić, kim dla mnie była Alicja. Na pewno jedną z najważniejszych osób w moim życiu – wychlipała Hanka.

– Dla mnie była najważniejszą osobą w życiu – powiedział z westchnieniem Sergiusz i włożył klucz do drzwi pralni.

Mieli jeszcze chwilę, by porozmawiać o Alicji, zanim Mateuszek wróci ze szkoły. „Kary” nie chciał mówić przy synu o tym, jak bardzo cierpi z powodu jej śmierci, starał się być dzielny przy Mateuszką i udawał twardziela, ale Hance mógł powiedzieć, jak bardzo jego świat się zmienił, gdy jej zabrakło.

Lewinówna piła gorącą herbatę małymi łydkami, co i rusz wycierała chustką oczy, by chwilę potem znowu zalać się łzami.

– A co ty robisz w Polsce? – zapytał w końcu.

– Wróciłam, Sergiusz. Na stałe – odparła cicho.

„Kary” popatrzył na nią zdziwiony. Było to dla niego kompletnie niezrozumiałe. W Londynie zrobiła karierę, zarabiała krocie, występowała w najlepszych salach koncertowych i mieszkała bez mała w pałacu. I gdy była u szczytu sławy, wróciła do siermiężnej komunistycznej Polski.

– Nie wierzę... – jęknął.

– Tak, wiem, myślisz, że postradałam zmysły, ale pewnego dnia ty też zostałeś w Warszawie, bo tutaj była twoja ukochana. Z miłości niekiedy robi się szalone rzeczy – powiedziała z westchnieniem Hanka.

– Łyszkin jest w Polsce? – Jeszcze bardziej zdziwił się Sergiusz.

Ostatnio Igor wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych, a on miał kartkę z informacjami o Alicji wysłać do jego rodziców. Nigdy tego nie zrobił, bo gdy jego ukochana zginęła, nie miało to już najmniejszego sensu. Wcześniej zaś nie było o czym pisać, bo sam nie posiadał żadnych informacji.

– Nie, Igora nie ma w Polsce. Ale wiesz, mój były mąż – tak, ten sam, który zostawił mnie samą, gdy byłem w ciąży, a wojna stała się faktem – chciał odebrać mi Nadię. Wiem, to niewiarygodne, ale okazało się, że to jest możliwe. I był tego bardzo blisko. Sergiusz, ja przegrałabym tę sprawę, a wtedy pozostawałoby mi widywanie Nadii dwa razy w miesiącu, w dodatku pod kuratelą jej ojca albo babki. Wiesz, co by to oznaczało? Może nie, ale ja też nie miałam zamiaru się o tym przekonywać. Dlatego wróciłam, bo wiem, że mój były mąż nie odważy się przyjechać do Polski i walczyć w tutejszych sądach o Nadię. A nawet gdyby, takich paniczyków jak on nikt w tym kraju nie będzie słuchał. Dlatego jestem. Nie wiem, co będzie, nie wiem, jak będzie, ale przynajmniej Tomasz nie odbierze mi dziecka. Żałuję tylko, że moja przyjaciółka nie doczekała tej chwili, byśmy mogły znowu się spotkać w naszej ukochanej Warszawie – powiedziała spokojnie Lewinówna, chociaż głos jej drżał.

Sergiusz położył jej dłoń na ramieniu i rzekł:

– Rozumiem cię bardziej niż ktokolwiek inny. Masz rację, ja podjąłem kiedyś podobną decyzję. Tak to już jest poukładany ten parszywy świat. Ty wracasz, ja uciekam... Widocznie tak musi być.

Hanka podniosła głowę.

– Szkoda, znowu zostanę kompletnie sama.

Aura była dokładnie taka jak nastrój Waltera von Lossowa. Przygnębiająca, ponura i momentami przywołująca myśli samobójcze. Niebo spowiło się ciężkimi, ciemnymi chmurami, po szybach okiennych ściekał deszcz, a wiatr hulał złowroźnie, unosząc liście, które powoli zaczynały opadać z drzew.

Kariera dziennikarska Waltera, wbrew pozorom, nie legła w gruzach, ale jego notowania znacznie spadły. Zarówno gazeta, jak i Lossow odcięli się od Renate Zoll, informując opinię publiczną, że nie posiadali wiedzy na temat ciemnej przeszłości swojego informatora, co nie zmieniało faktu, że wiadomości, które im dostarczyła Renate, były prawdziwe i rzetelne. W istocie czyny Renate z przeszłości nie wpływały na treści zawarte w artykule i Waltera pozostawiono w spokoju, zwłaszcza że panna Zoll została zatrzymana i oddana w ręce Polaków, ścigających ją za zbrodnie popełnione w warszawskim więzieniu.

Jednak dla Lossowa kariera miała w tym momencie drugorzędne znaczenie. W jego myślach i sercu działały się rzeczy, o których nie wiedzieli ani współpracownicy, ani opinia publiczna. Od chwili, gdy przeczytał, że jego nowa miłość to nikt inny, tylko Renate Zoll, nie był w stanie wyrobić sobie zdania na ten temat i nie miał pojęcia ani co powinien zrobić, ani co tak naprawdę czuje. Miał świadomość, że Renate rychło pożegna się z tym światem, bo wymiar sprawiedliwości był bezlitosny dla zbrodniarzy wojennych. Jeśli ją ścigano, oznaczało to, że mają dowody, iż dopuszczała się morderstw i torturowała podległych jej więźniów.

Próbował sobie wyobrazić, co poczuje, gdy Renate odejdzie z tego świata. Miotał się pomiędzy wspomnieniami uroczej panny Rauch i tymi drugimi, mniej przyjemnymi, których dostarczyła mu niegdyś Renate Zoll. Tęsknił za rozmowami z nią, tym ciągłym droczeniem, gdy udawała trudną do zdobycia, i sytuacjami, w których szalały mu zmysły, bo zdawało się, że ma tę kobietę na wyciągnięcie dłoni, a ona kolejny raz mu się wymykała.

Jednak gdy uświadamiał sobie, że była to ułuda, mistrzowska gra aktorska, czuł się jak ostatni głupiec i frajer. Jak naiwny chłopak, który idzie pierwszy raz na dziwki i, zauroczony smakiem kobiety, pragnie znaleźć w jej ramionach miłość, chociaż dobrze wie, że to niemożliwe.

A może Renate się zmieniła? Może chciała naprawić to, co udało jej się zepsuć, gdy spotykali się w Warszawie? Czy ta odmieniona twarz, którą oglądał przez ostatnie miesiące, była symbolem również wewnętrznej przemiany? Nie wiedział tego. Ale jedno było pewne: panna Zoll potrafiła być naprawdę potworna, a bezwzględność nie tak łatwo wykorzenić. Miał się już nigdy nie przekonać, co stałoby się, gdyby pewnego dnia chciał ją opuścić. Przecież w jego przypadku taki scenariusz był możliwy. Z jednej strony pragnął stabilizacji, roilo mu się nawet, że chciałby mieć już potomstwo, z drugiej zaś dudniły mu w głowie słowa Lilly: „Gonisz wiatr, Walterze”. Znała go lepiej niż Renate i być może miała rację. Był gotów, by zostać ojcem, ta myśl wydawała mu się przyjemna, ale czy był gotów, żeby związać się z jedną kobietą na całe życie? Tak mu się zdawało, kiedy się zakochiwał. Że to ta je-

dyna i na wieki, ale potem, gdy mijała euforia, miał ochotę uciec.

Odwrócił wzrok od okna i doszedł do wniosku, że tego dnia już nic nie napisze. Wstał i poszedł do pokoju naczelnego.

Grünberg siedział za biurkiem, opierał dłonie na swoim okazałym brzuchu i wpatrywał się badawczo w Waltera. W tej całej nagonce na Lossowa przez cały czas trzymał stronę swojego pracownika i za to Walter był mu niezmiernie wdzięczny.

– Co cię do mnie sprowadza, Lossow? – zapytał naczelny.

– Mam pewien pomysł. Chciałbym przeprowadzić wywiad z Renate Zoll, zanim... – Nie dokończył, bo słowa „zanim umrze” nie chciały mu przejść przez gardło.

– Ona jest w Polsce – mruknął Grünberg.

– Tak, wiem, ale przecież niemieccy dziennikarze jeżdżą do Polski – powiedział Lossow.

– I są obrzucani błotem, pilnowani przez tamtejszy Urząd Bezpieczeństwa i wpuszczani jedynie w te miejsca, które wyznaczy tamtejsza władza. Polska to już nie taki sam kraj, jak przed wojną. Tam już nikt nie robi, co chce, tylko co mu każą.

– A jeśli dostanę zgodę od dyrekcji więzienia albo poproszę o prywatne spotkanie? – Na głos myślał Walter.

Jego przełożony wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, czy uda ci się coś wskórać. Z jednej strony ucieszą się, że Niemcy chcą pisać o potwornościach, jakie miały miejsce w Polsce, i publicznie potępiać własnych obywateli, ale z drugiej – być może będą bali się manipulacji, jakoby kierowała nimi żądza zemsty, a panna Zoll wcale nie była takim oprawcą, jak twierdzą polskie władze. – Naczelny wciąż nie był przekonany.

– Moim zdaniem to będzie naturalne. Dziennikarze wciąż uczestniczą w procesach nazistów i zdają z nich relacje. Dostanę akredytację na udział w procesie, a potem postaram się o widzenie. Jeśli Renate zgodzi się na wywiad, zrobię go. Jeśli nie, powrócę z relacją z przebiegu procesu – mruknął nieco urażony Lossow.

– Pomyślą, że węszysz, czy w Polsce odbywają się uczciwe procesy. – Grünberg nie dawał za wygraną.

– Niech myślą, co chcą. – Lossow wzruszył ramionami.

Naczelny popatrzył za okno, skrzywił się, przez chwilę milczał. W końcu westchnął i powiedział:

– Tak, Lossow, to, co mówisz, ma swoją logikę. W procesach, czy to w Warszawie, czy w Pradze, często uczestniczą zagraniczni dziennikarze. Wywiady ze skazanymi też nie są jakimś nowym pomysłem, ale czy zastanowiłeś się, co chcesz sobie zrobić? Ta kobieta... Wszyscy wiedzą, że była dla ciebie kimś więcej niż tylko informatorką. Nawet podśmiewano się z ciebie, że niedawno się rozwiodłeś, a znowu dopadła cię strzała Kupidyna. Może oszukiwała cię i w istocie ma brzydkie uczynki na sumieniu, ale chcesz pojechać do Warszawy, pójść na salę sądową i słuchać tego wszystkiego? Najpierw opowiedzi, czego się dopuściła, jakie metody stosowała, a potem wyrok? Naprawdę chcesz wiedzieć, jak i czym była więźniów, ilu ich zakatowała na śmierć i jak wielu po prostu zabiła strzałem w głowę? Sypiałeś z nią, może nawet byłeś w niej szaleńczo zakochany, a teraz dowiesz się o niej rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć! – Grünberg w końcu wybuchnął.

Dyplomatyczna droga nic nie dawała i Lossow wciąż upierał się przy swoim, nie rozumiejąc, że jego naczelny po prostu próbuje odwieść go od tego pomysłu. Jak zawsze niezwykle taktowny, nie chciał wchodzić na tak grząski grunt, jak rozterki uczuciowe swojego podwładnego.

Walter spuścił głowę. Nigdy nie rozmawiał ze swoim przełożonym na tematy prywatne. Ważna była jedynie jego praca, jednak naczelny doskonale orientował się, jak wygląda życie osobiste jego ludzi. Plotki fruwały po redakcji podczas przerw śniadaniowych czy w czasie wspólnych wypadów do miasta. On jednak taktownie nie zabierał głosu, nie komentował i sprawiał wrażenie, że nie jest w podobnych tematach zorientowany. Tym razem jednak postanowił ujawnić swoją wiedzę z przyczyn po prostu ludzkich. Współczuł Walterowi. Nie dość, że ta nagonka dziennikarzy ze „Spiegla” zachwiała jego świetlaną karierą, to życie prywatne w ciągu kilku minut legło w gruzach. Uważał, że Lossow bez trudu odbuduje swoją pozycję w dziennikarstwie, bo był zdolny, dociekliwy i niewiarygodnie wręcz pracowity, ale w sprawie tej kobiety już niczego nie można było odwrócić ani zmienić.

– Muszę się z nią zobaczyć. Chcę ją zapytać o kilka spraw, póki nie jest za późno – niemal wyszeptał Lossow.

– Posłuchaj, chłopcze... – ojcowskim tonem zwrócił się do niego naczelny. – Na pytania, które zapewne chcesz jej zadać, ja mogę ci odpowiedzieć. Pragniesz wiedzieć, dlaczego cię okłamywała, ale na logikę biorąc, czy ty przyznałbyś się przed osobą, na której ci zależy, do jakichś swoich paskudnych wyczynów? Ta wojna niktogo nie pozostawiła czystym. Większość Niemców, i nie dotyczy to tylko naszego narodu, czymś się splamiła. Teraz wszyscy udają, że pewne sprawy ich nie dotyczą, i zapewne modlą się w domowym zaciszu, by ich grzeszki nie wyszły na jaw. Ale wówczas byliśmy innymi ludźmi, myśleliśmy inaczej i każdy z nas w mniejszym lub większym stopniu ubrudził czymś haniebnym swoje sumienie. Zatem odpowiedź jest prosta. Nie powiedziała ci prawdy, bo nie chciała cię stracić. Bała się, że zobaczysz w niej inną kobietę. Oprawczynię, sadystkę i potwora bez duszy. To bolesne, ale prawdziwe. Człowiek jest najgorszym stworzeniem, jakie stąpa po ziemi, i paradoksalnie najlepszym, zależy to jedynie od tego, po której stronie.

Grünberg nie miał pojęcia, że Walter już kiedyś spotkał na swojej drodze Renate. Zrobiła wówczas coś niezwykle szlachetnego, co mogło kosztować ją życie – pomogła mu wydostać z więzienia Juliana Chełmickiego. Czy jednak ujawnienie tej historii w jakikolwiek sposób wpłynie na osąd Renate, jeśli dopuściła się także innych czynów? Tych mniej godnych uznania.

– Długo o tym myślałem, szefie, i ma pan wiele racji w tym, co mówi, ale nie zaznam spokoju, jeśli nie spotkam się z nią, zanim... Myślę, że wyrok będzie najsurorowszy z możliwych. Takie dostawali strażnicy z obozów, oficerowie gestapo i wielu innych, którzy uczestniczyli w tej machinie śmierci. Nie mam złudzeń... Jednak Renate była mi przez ostatni czas bardzo bliska, nawet planowałem założyć z nią rodzinę, i nie potrafię tak po prostu zostawić jej samej, bez jednego słowa. Ona nie ma nikogo i jestem przekonany, że nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Niech wie chociaż, że ja o niej nie zapomniałem. Przecież gdyby nie ten cholerny artykuł, nikt nie zainteresowałby się skromną asystentką Libera. Czuję się tak, jakbym to ja wydał na nią wyrok. Myślałem, żeby napisać do niej list, ale jak tylko biorę kartkę i pióro, czuję jakąś wewnętrzną blokadę i po jednym zdaniu zgniatam w dłoni papier, wyrzucam do ko-

sza, a potem biorę następny i znowu mam pustkę w głowie. Ja, który mogę pisać godzinami na dowolnie zadany temat, nagle nie potrafię sklecić ani jednego zdania...

Pomiędzy mężczyznami ponownie zapadła cisza. Jedyne ten potworny deszcz stukał bezlitośnie i rytmicznie.

– Dobrze, jedź. Załatwię ci akredytację – powiedział w końcu naczelny.

Walter i tak nie był przekonany, czy postępuje słusznie. Wyszedł na ulicę, postawił kołnierz płaszcza i ruszył przed siebie. Wiatr przeszywał go na wskroś, palto nasiąkało wodą, ale on jakby tego nie zauważał. Kolejny raz w swoim życiu widział dwie drogi do wyboru i nie miał pojęcia, którą powinien podążać, tak samo, jak nie poukładał w swoim sercu uczuć do pewnej kobiety. Kochał Marie Rauch i nienawidził Renate Zoll. Jedna była ideałem podobnym do Holly Evans, druga bezwzględnym potworem, który ma gdzieś uczucia innych. Jedna była iluzją, druga prawdą. Największym jednak problemem było odgadnięcie, który obraz Renate jest prawdziwy.

– Przepraszam cię, warunki nie są zbyt komfortowe – powiedział Sergiusz, otwierając przed Hanką drzwi furgonetki. – Mateuszek będzie siedział pośrodku.

– Dajże spokój, Sergiusz. Spod Studzianek wracałam do Warszawy furmanką, i to pod ostrzałem – powiedziała Hanka.

– No, ale teraz jesteś wielką gwiazdą i nawet nowy prezydent, Bierut, zaszczycił swoją obecnością twój koncert. Taki trochę fałszywy ten nasz prezydent, bo ja w te wybory ani na jotę nie wierzę, ale to teraz jest najwyższa władza. W Anglii pewnie podróżowałaś wypolerowanymi limuzynami, a ja ci tutaj proponuję rozklekotaną furgonetkę. – Puścił do niej oko.

– Cóż, jak przywykłam w Londynie do luksusu, tak teraz muszę na powrót przyzwyczać się do skromnej egzystencji. Zaznałam w swoim życiu i biedy, i bogactwa, taki widać jest mój los. Wspięłam się na szczyty, a jak upadałam, to już na samo dno. Więc uwierz, nic mnie już w życiu nie zdziwi. – Uśmiechnęła się smutno.

Jechali we troje do Chełmic. „Kary” chciał przekazać decyzję dotyczącą jego wyjazdu i pożegnać się z rodziną Alicji. Utwierdził się w swoim postanowieniu po rozmowie z Hanką, która zdecydowała odstąpić mu swój ogromny dom, dopóki nie urządzi się w Londynie albo w innym rejonie Anglii. Zatem jeden problem miał z głowy. Na początku się krygował, ale Hanka wyjaśniła mu, że wie o tym, iż pieniądze otrzymane od Alicji tak naprawdę należały do niego, zatem chociaż w taki sposób chciała spłacić swój dług. Pomyślała też, że nawet jeśli Niechowscy będą go nachodzić, to Sergiusz wraz z Barrym już zrobią z nimi porządek.

Lewinówna zaś chciała pojechać do Chełmic, by zobaczyć się z Rosińskimi i na grób Alicji, nawet jeśli był jedynie symboliczny. Pragnęła pożegnać się z przyjaciółką i jednocześnie z miejscem, gdzie się urodziła i w którym się poznały. Tak wiele razem przeszły, a potem, gdy ich drogi się rozeszły, Alicja wspierała ją jak tylko mogła. Nigdy o niej nie zapomniała i nie pozostawiła w potrzebie. Były sprawy, które na zawsze zapisywały się w sercu, i czyny, o których nie można było zapomnieć. Hanka wiedziała, że nigdy nie wymaże z pamięci tego, iż jej ukochana przyjaciółka powróciła do Grossa, by ją ratować, a potem oddała jej dokumenty i pieniądze, żeby mogła wyjechać za granicę. Za pierwszym razem ryzykowała, że straci Juliana, swą największą miłość, za drugim ryzykowała życiem. Tak, takich czynów nie sposób zapomnieć.

– Łyszkin naprawdę się starał, by uratować Alicję. Powiem więcej, pomógł mi przejść przez ten trudny czas, gdy dowiedziałem się, że została skazana na wieloletni pobyt w łagrach. Gdyby ktoś mi powiedział, że pewnego dnia zaprzyjaźnię się z enkawudziwą, dostałby po mordzie, ale to dzięki Igorowi mogłem od czasu do czasu wysyłać paczkę albo list. Polubiłem tego Rosjanina – powiedział Sergiusz.

– Ja też... nawet bardzo – westchnęła Hanka. – Mój Grześ jest taki do niego podobny. Wiesz, że Igor jest teraz w Ameryce, ale nie ma zamiaru pozostać tam na zawsze, dlatego łudzę się, że pewnego dnia powróci i będziemy w końcu normalną rodziną.

– A to *durak*, kto by nie chciał zostać w Ameryce? No chyba że powróci z miłości do was, wtedy zrozumie – powiedział „Kary” i uśmiechnął się, co zdarzało mu się ostatnio niezwykle rzadko.

– No widzisz, są tacy, którzy nie lubią Ameryki. Igor ma swoje ideały i poglądy. Nie rozumiem ich kompletnie, ale akceptuję, bo go kocham. Nigdy tak naprawdę nie kochałam żadnego mężczyzny, chociaż wielu ich było w moim życiu. Żadnego oprócz Igora. I że też musiałam pokochać właśnie cholernego bolszewika – mruknęła Lewinówna.

– Hanka... – zagadnął Sergiusz. – Rodzina Alicji ostatnio niezbyt mnie lubi. Obawiam się, że jeśli powiem im o wyjeździe do Anglii, wręcz mnie znienawidzą. Ty stamtąd wróciłaś, spróbuj mi pomóc i przekonać ich, że tam czeka Mateuszka lepsza przeszłość niż w Polsce.

– Oczywiście, Sergiusz, chociaż obawiam się, że to nie zmieni ich nastawienia. Stracili Alicję, a teraz zabierzesz im małego. To będzie dla nich bardzo trudne...

– Wiem. Dla mnie też jest. Ale jeśli zostanę w Polsce, nigdy nie zapomnę o Alicji. Każda ulica, nawet Chełmice, będą mi o niej przypominać, a ja muszę iść dalej. Nie dla siebie, bo ja już na nic nie czekam, ale dla swojego syna – z żalem przekonywał Sergiusz.

– A w tej Anglii to ja będę chodził do szkoły? – zapytał nagle Mateuszek.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedział Sergiusz. – I będziesz miał nowych kolegów. A jeśli dom pani Hanki jest tak duży, jak mówi, to nawet kupimy ci psa.

– To może ja chcę wyjechać do tej Anglii – z westchnieniem powiedział Mateuszek, który nie miał pojęcia, że jego rozłąka z babcią i dziadkiem tym razem może być bardzo długa.

Kiedy dojechali do Chełmic, Hanka przestała się odzywać, tylko patrzyła na dobrze jej znaną okolicę, która tylko trochę się zmieniła od czasu, gdy stąd wyjechała. Rozpoznała wierzbową drogę, teraz już wybrukowaną, na której pewnego dnia spotkała Antoniego Chełmickiego. Miała wtedy w ręku pakunek, a w nim nową sukienkę. I pamiętała, że była z tego powodu bardzo szczęśliwa.

– Możesz zatrzymać się na chwilę? – zapytała.

Sergiusz zjechał na pobocze drogi. Po prawej stronie rozciągał się kawałek pola, o tej porze roku pokryty jedynie bruzdami ziemi, a w oddali majaczyło małe domostwo. Drewniany dom z dachem pokrytym strzechą, niewielkie i ledwie trzymające się kupy budynki gospodarcze.

– Urodziłam się w tym domu – powiedziała Hanka ze łzami w oczach.

Wysiadła z samochodu i zaczęła iść powoli po błotnistej ścieżce. Jej dom rodzinny chylił się ku upadkowi, zapewne dlatego, że Stefan Koniuszko najprawdopodobniej wciąż nadużywał alkoholu i zamiast zająć się gospodarstwem, upijał się niemal każdego dnia.

Podeszła do chaty i zapukała, patrząc z przerażeniem na ujadającego psa, uwiązanego do zmurszałej budy. Hanka Lewinówna nie rozpoznała w kobiecie, która otworzyła jej drzwi, swojej znajomej z młodości. Kobieta była zaniedbana, miała siwe, upięte byle jak włosy i szerniałe zęby. Wyglądała staro i nieszczęśliwie. Jednak Zośka Kawecka od razu poznała Hankę, która była sławna, często pisano o niej w gazetach i plotkowano o niej w Chełmicach, bo rzadko komu z tamtych stron udało się zrobić równie świetną karierę.



– Lewinówna! – Kobieta przeżegnała się. – A wchodź do środka, tylko ja to ubogo żyję, zresztą co ci będę gadać, samaś się tutaj chowała, to wiesz.

– Wejść tylko na chwilę, ktoś na mnie czeka. Przyjechałam na groby i odwiedzić rodzinę Alicji – powiedziała Hanka i ostrożnie przekroczyła próg domostwa.

Wnętrze było nieco odmienione, Koniuszkowie wstawili inne meble, ale od razu rozpoznała bielony piec, przy którym jej ojciec, Ignacy, wyplatał kosze. W drugiej izbie wciąż stała stara toaletka. Lustro już było zaśniedziałe i mało co było w nim widać, ale drewniana oprawa mebla nadal sprawiała wrażenie solidnej. To tutaj Hanka upinała włosy i malowała się przed występem u Chełmickich, marząc o wielkiej karierze. Coś ścisnęło jej serce, bo teraz w jej rodzinnym domu nie było ani rodziców, ani brata. Pozostały wspomnienia dzieciństwa i młodości, nieco smutne, ale zbyt odległe, by wciąż wywoływały dławienie w gardle.

Gdyby nie ta cholerna wojna, mogłaby powiedzieć, że jej marzenia spełniły się w stu procentach, ale gdzieś po drodze przeżywała bolesne upadki. I ten największy – utratę Alicji. Bez niej czuła się samotna i bezradna, bo przyjaciółka była dla niej kompasem, ramieniem do wypłakania i powodem do radości. A teraz coś się skończyło.

Porozglądała się jeszcze kilka minut po domu i wyszła, zegnając się z Zośką, która patrzyła na nią z zazdrością. Ruszyła w stronę stojącego przy drodze samochodu, ale wciąż oglądała się za siebie, by zerkać na swój rodzinny dom, który mimo ciężkich warunków życia zawsze pozostanie w jej sercu, podobnie jak całe Chełmice.

Zgodnie z przewidywaniami w domu Rosińskich nie obeszło się bez krzyków i łez. Nawet obecność Hanki Lewinówny nie powstrzymała Michaliny, by powiedzieć Sergiuszowi kilku przykrych słów. On sam niewiele mówił, pozwalając, by wlewano na niego żale i pretensje. Dopiero słowa babki Alutki zakończyły scysję.

– Zostawcie tego chłopca w spokoju. A na co on ma czekać w tej Polsce? Aż Stalin i jego świta się wyniosą? To może się nie doczekać. Jeśli ma okazję, by wyjechać z tego kraju, niech wyjeżdża. Nie on pierwszy i nie ostatni.

– Ale Mateuszek... – zaczęła Michalina kolejny raz.

– Jest jego synem. To raz. I jeśli kochasz swojego wnuka, pomyśl o jego przyszłości, a nie o własnych uczuciach. To dwa – powiedziała stanowczo i zwróciła się w stronę Lewinówny: – Zjecie obiad, a potem pójdziecie na cmentarz. Masz tam jeszcze rodziców, więc trochę wam się zejdzie.

Hanka zgodziła się, ale Sergiusz odmówił. Nie dlatego, że czuł się urażony, ale musiał załatwić pewną sprawę, zanim stanie po raz pierwszy nad grobem Alicji, nawet jeśli był tylko symboliczny.

Pociąg wiozący bydło rzeźne coraz częściej zwalniał, a niekiedy stał kilka godzin w szczerym polu, by potem ruszać ze zgrzytem i wlec się ślamazarnie przez kolejne kilometry. To był następny etap wielotygodniowej podróży Alicji i Olgi, która zdawała się nie mieć końca. Tak wielkie nadzieje wiązały z Jakuckiem, planowały, że tam wsiądą w pociąg, który zawiezie je wprost do Moskwy albo innego dużego miasta, ale okazało się, że linia kolejowa mająca połączyć Jakuck z innymi miejscami po prostu nie istniała. Owszem, rozpoczęto jej budowę i wszyscy o niej słyszeli, ale działania wojenne zamroziły budowę i pociągi z Jakucka nie jeździły. Uświadomił im to Witalij, który śmiał się co sił w płucach w sytuacji, gdy one miały ochotę rozpląkać się.

– To jak, u licha, dociera cokolwiek do tego miasta? – zapytała poirytowana Alicja.

– Woda, *krasawica*. Leną dopłyniecie wszędzie. Miałem załatwić wam transport i załatwię, do samego Krasnojarska, a stamtąd już będziecie mogły pojechać pociągiem. Tylko jak będziecie kupowały bilet kolejowy, musicie okazać paszport i przepustkę, że możecie podróżować po kraju – znowu zaśmiał się Witalij.

– Że co? – zapytała zdziwiona Alicja.

– Po prostu musimy mieć dowody tożsamości i zgodę na opuszczanie poszczególnych okręgów – spokojnie odpowiedziała Olga.

– Chryste Panie! – jęknęła Alicja.

– Lepiej znajdź sobie innego patrona, na przykład Iljicza Lenina. W tym kraju religijność jest źle widziana – szepnęła Iwanowna.

Potem rozpoczęła rozmowę z Witalijem, z której Alicja niewiele rozumiała. Po kilku minutach odwróciła się w stronę Alicji.

– Podobno kapitan tej łajby, którą popłyniemy, pomoże nam. Witalij mówi, że za odpowiednią sumę pieniędzy jest w stanie załatwić nam zgodę nawet na podróż do Iranu.

– Oby – mruknęła Alicja, przerażona wizją długiej podróży rzecznej.

Już kiedyś podróżowała w ten sposób i niestety, nie skończyło się to dobrze, bo musiała zabić człowieka. Miała nadzieję, że tym razem obędzie się bez ofiar.

Statek, na który wsiadły, w żadnym razie nie należał do transportu pasażerskiego. Wypełniony był drewnem, którego zapach, chociaż całkiem przyjemny, aż świdrował im w nosach. Popłynęły do Olokmińska, a tam nastąpiła kolejna przesiadka, tym razem na kuter rybacki. Potem znowu trafiły na barkę i w końcu, po kilku tygodniach, dotarły do Krasnojarska i człowieka o imieniu Borys. Nastąpiła kolejna zapłata, ale paszportów wciąż nie posiadały, a jedynie adres człowieka w Moskwie. To uniemożliwiało im normalne podróżowanie i musiały zadowolić się tym, że otrzymały pracę przy bydło, które przewożono koleją do ubojni w Moskwie.

Właściwie powinny się załamać, narzekać na trudy podróży i w końcu poddać się, jednak siła, jaka pchała Alicję do przodu, to myśl, że kiedyś dotrze do domu i będzie żyła normalnie. Nieważne gdzie, ale ze swoimi bliskimi, i tylko to się liczyło.

Każdego poranka odmierzała czas do zakończenia dnia, by następnego kolejny raz liczyć godziny i karmić się nadzieją, że ta piekielna wędrówka w końcu dobiegnie końca. Z każdym dniem robiło się coraz chłodniej, ale istniała szansa, że opuszczą zimną Syberię, zanim nadejdą najgorsze mrozy.

Alicja najbardziej martwiła się o córkę, która była jeszcze malutka i narażona na wszelkie zarazy, jakie mogła złapać na brudnych statkach. Jedzenie też nie zawsze było odpowiednie dla niespełna półtorarocznego dziecka, ale przecież Natalia musiała coś jeść i niekiedy należało zadowolić się suszoną rybą, która była niemal główną potrawą pracowników na statkach i łodziach, oprócz kaszy i ryżu. Niekiedy po takim posiłku dziewczynka zaczynała łapać się za brzusek, głośno płakała albo nie spała w nocy, a Alicja była bezradna i nie wiedziała, czy karmić córkę byle czym, czy nie dać jej wcale jeść. Mając taki wybór, postanowiła, że musi karmić dziewczynkę wszystkim, co tylko zdoła zdobyć.

Czasami częstowano je mięsem o dziwnym smaku i Alicja obawiała się, że należy ono do psa, kota albo szczura. Nie pytała jednak, bo gdyby w istocie odkryła pochodzenie tego mięsa, mogłaby zwymiotować. Woląла więc żyć w błogiej nieświadomości i przełykała kęsy, byle nasycić żołądek, a nie delektować się smakiem.

– Tak strasznie boję się o Natalkę. Jemy takie dziwne rzeczy... – powiedziała Alicja z trwogą.

– Wiesz, co jest gorsze od tego jedzenia? Jego brak. W Leningradzie jadano rzeczy, których normalnie się nie spożywa. I tym też karmiono dzieci. Jeśli miały szczęście dostać strawę, a chociażby i z ludzkiego mięsa, udawało im się przeżyć. Umierały te, które nic nie jadły.

W istocie Olga widywała w Leningradzie tak straszny głód, że to, co jadały teraz, jawiło się jako królewska uczta. Zresztą w *zonie* było podobnie. Wszystko, co żyło, było zjadane. Alicja nie doświadczyła głodu, bo pracując w kuchni, zawsze można było zorganizować sobie coś do jedzenia, dlatego teraz panikowała. A Olga była spokojna, bo jeśli dostawały cokolwiek do jedzenia, oznaczało to, że głód im nie grozi.

\*\*\*

– Czuć bliskość Moskwy – powiedziała Olga, wychylając się przez otwarte drzwi i zdejmując z siebie grubą chustę.

– No, wreszcie, już mam dość tej podróży – prychnęła Alicja i przewinęła Natalkę.

– Ciesz się, że ten człowiek załatwił nam transport – mruknęła Olga.

– Za takie pieniądze mogłabym dotrzeć do Moskwy pierwszą klasą. A my nie dość, że zapłaciłyśmy, to jeszcze musiałyśmy tyrać. – Alicja coraz częściej bywała rozdrażniona.

Z uwagi na fakt, że kobiety nie posiadały radzieckich paszportów ani żadnych innych dokumentów tożsamości, nie mogły podróżować w normalny sposób. Papiery z sądu czy druki zwolnienia z obozu były przydatne w sytuacji bardziej szczegółowej kontroli, w dzikich rejonach Syberii także nikt o nic nie pytał, ale w Krasnojarsku było już inaczej. Dlatego Borys zorganizował im transport wraz z bydłem, a one zostały pracownicami kolei, których zadaniem było doglądanie zwierząt w czasie podróży do Moskwy. W zamian dostawały liche jedzenie, mleko dla Natalki i otrzyma-

ły wagon z małą kozą, która nie tylko dawała ciepło, ale miała też ruszt, na którym mogły podgrzać jedzenie w metalowym saganku. Musiały jednak na każdym postoju przynosić zwierzętom wodę, sprzątać odchody i wreszcie targać siano ze specjalnych wagonów.

Inne osoby doglądające zwierząt były nawet miłe dla kobiet, a zwłaszcza rozczulała ich mała Natalia, której zorganizowali flanelę na pieluchy, czysty koc i pożyczali kobietom metalową balię, w której mogły wykąpać małą, a przy okazji umyć także i siebie. Nie zmieniło to faktu, że już po tygodniu były przesiąknięte zapachem gnoju, siana i stęchlizny. Alicja każdego dnia pytała, czy daleko jeszcze do Moskwy, jednak im bliżej byli tego miasta, tym pociąg bardziej zwalniał albo miał wielogodzinne postoje.

Był jeszcze inny powód jej zniecierpliwienia. Alicja w końcu poczuła, że jest coraz bliżej Polski, jednak ją i Olgę czekała jeszcze masa kwestii do załatwienia. To nie były dzikie ostępy Syberii, gdzie spotkanie człowieka czy domostwa graniczyło z cudem. A jeśli już na kogoś się natknęły, tak jak na przykład na sympatycznego Griszę, jedynymi dokumentami, które musiały pokazywać, były *dziengi*.

Po przybyciu do Moskwy musiały jak najszybciej opuścić pociąg i wmieszać się w tłum ludzi, a potem odnaleźć człowieka, który załatwi im paszporty. Pieniądze powoli się kończyły, ale Alicja wiedziała, że muszą dotrzeć do granicy, tłumaczyć się z celu swoich podróży i pokazywać specjalne przepustki, pozwalające na przemieszczanie się. A to wszystko kosztowało. Machnęły ręką na własne potrzeby, bacząc jedynie na małą Natalkę.

Tylko co dalej? Przecież nikt tak po prostu nie przepuści je przez granicę. Ona mogłaby udawać repatriantkę ze Wschodu, która powraca do Polski, ale co z Olgą? A co się wydarzy, gdy już dotrą do kraju, kiedy nie miały polskich dokumentów? Dziesiątki pytań i problemów, z którymi w czasie okupacji świetnie sobie radziła. Wówczas jednak miała znajomych, całą sieć ludzi, którzy mogli jej pomóc, a tutaj musiała za wszystko płacić dolarami otrzymanymi od Sergiusza, nie mając nawet pojęcia, czy żądania tych ludzi nie są zbyt wygórowane. Adres człowieka z Moskwy miała przy sobie Olga. Była przecież w swojej ojczyźnie i w stolicy Związku Radzieckiego musiała być dla Alicji przewodnikiem.

Kiedy w końcu nadszedł dzień, na który tak obie czekały, i nakazano im opuścić skład, okazało się, że do najbliższej stacji metra muszą iść jakieś pięć kilometrów. Nie mogły maszerować wzdłuż torów, by nie budzić podejrzeń, dlatego szły po drodze. Ruch gęstniał coraz bardziej. Mijały je furmanki, coraz więcej samochodów, ale nie odważyły się, by zatrzymać kogoś i poprosić o podwiezienie. Różnie mogły trafić i obawiały się komplikacji, zanim kupią stosowne dokumenty. Wkrótce zobaczyły pierwsze zabudowania, a w końcu poczuły miejski zgiełk. Iwanowna uśmiechała się do siebie, widząc sklepy i jadące samochody i wsłuchując się w stukot tramwajów. Alicja także nie czułaby onieśmienia, Warszawa również była dużym miastem, ale była przerażona faktem, że wszędzie słyszy rosyjski. Wszystko wydawało się jej złowrogie i obce, a patrząc na mijanych ludzi, wciąż czuła lęk. Przytulała wówczas mocniej córkę do siebie, by odegnać strach i czarne scenariusze, które podsuwała jej wyobraźnia. Olga uspokajała ją i była pełna optymizmu. Jedyne, co im obu doskwierało, to fakt, że nie miały wózka dla Natalii i musiały na zmianę nosić ją na rękach. Dziewczynka bywała także marudna, w końcu nie posiadała żadnych zaba-

wiek i jedyną jej rozrywką była lalka wykonana z flanelowej pieluchy. Oczywiście nie było mowy o zszyciu fragmentów materiału, więc Alicja wiązała supły, które miały imitować głowę, ręce czy nogi.

Dotarli w końcu do stacji metra Zamoskworieckaja i Olga zaczęła studiować mapę Moskwy. Tymczasem Alicja rozglądała się po holu, schodach i sufitach stacji. Wszystko wykończono było z przepychem, bogatą sztukaterią, ogromnymi, kutymi żyrandolami, a płytki, którymi wyłożono ściany i podłogę tworzyły artystyczną mozaikę. Mogłoby się здаwać, że znajdują się w carskich pałacach, a zamiast wagonów metra podjadą złote karoce.

Wysiadły na stacji Nowokuźnieckiej i Alicja poczuła się jeszcze bardziej przerażona. Zrobiło się tłoczno, pojawiło się więcej sklepów, pojazdów i zakładów usługowych. Ludzie co prawda nie byli ubrani zbyt elegancko, ale rzadko można było zobaczyć kogoś w takich łachmanach, jakie one miały na sobie, nie wspominając o odorze, który roztaczały wokół.

– Mamy niedaleko do tego miejsca. Musimy dotrzeć na Tatarskij pereulok. To kilka ulic stąd – powiedziała jakby do siebie Olga i wzięła Natalię na ręce.

Dziewczynka już chodziła, ale jak wiadomo, zbyt wolno, a one musiały się śpieszyć. Po Moskwie kręciło się mnóstwo milicjantów, nie mówiąc już o tajniakach, i mogły w każdej chwili natknąć się na któregoś z nich.

– Cokolwiek to znaczy – burknęła Alicja, która zaczynała odczuwać zmęczenie wędrówkami. Najpierw z bocznic, a później po moskiewskich ulicach.

– To zaułek, cicha uliczka – powiedziała zdyszana Olga.

– Dobrze, że nie główna arteria miasta – odpowiedziała jej Alicja i powłócząc nogami, ruszyła za Olgą, która zdawała się mieć doskonale rozeznanie w terenie. Wystarczyło, że raz zapytała, by iść przed siebie, jakby mieszkała w Moskwie od zawsze. Widać było, że wychowywała się w dużym mieście i radziła sobie doskonale.

Uliczka w istocie przypominała zaułek. Było tu cicho i trochę mrocznie. Stały tutaj niskie budynki, zaledwie dwupiętrowe, niektóre szare, inne ceglane, brudne, odstręczające, a na chodniku i jezdni wałały się śmieci i psie odchody.

Weszły pod wskazany adres i cicho zapukały do pomalowanych olejną farbą drzwi. Chwilę potem usłyszały skrzypnięcie i stanęła w nich młoda, ładna kobieta. Olga i Alicja spojrzały na siebie, bo według listu polecającego miały spotkać się z mężczyzną. Iwanowna powiedziała hardo:

– Szukamy Aleksandra Mikołajewicza.

– Nie ma ojca – burknęła dziewczyna.

– A kiedy będzie? – jęknęła Olga.

– A kto go tam wie? A o co chodzi?

Olga podała jej list. Dziewczyna zaczęła czytać i od czasu do czasu zerkała na kobiety z dzieckiem. Po chwili cofnęła się nieco w głąb korytarza, zapewne pod wpływem odoru, jakie wszystkie trzy wydzielaly, a zwłaszcza mała Natalia, której pielucha była już kompletnie przemoczona.

– Mam na imię Tatiana. Wejdźcie. To mnie szukacie – powiedziała dziewczyna i otworzyła szerzej drzwi.

– Ciebie? – zdziwiła się Olga.

Tatiana uśmiechnęła się.

– Mój ojciec dużo pije, przekroczył sześćdziesiątkę i nie ma tak wprawnej ręki,

jak ja. Poza tym jest niesłowny, bo zdarza mu się przekraczać terminy nawet o kilka dni. No, wiecie, jak pójdzie w cug, to znika na bardzo długo – powiedziała bez ogródek i dodała, marszcząc nos: – O ludzie, ależ wy cuchniecie.

Umieściła całą trójkę w małym pokoiku, przyniosła naręczę jakichś ubrań i poprosiła, by doprowadziły się do porządku. Wskazała także łazienkę i dała im jakiś proszek do mycia, który śmierdział chemikaliami. Alicja zerknęła na tapczan i pomyślała, że w końcu prześpi się w normalnym łóżku, o ile dziewczyna po załatwieniu sprawy nie odprawi ich.

Po trzech godzinach były jak nowo narodzone. Miały na sobie czyste ubranie, umyte włosy i obcięte paznokcie, które podczas wielotygodniowej podróży zamieniły się w odrażające szpony. Jak to powiedziała Olga – w końcu zaczynały przypominać wyglądem jednostki ludzkie.

Tatiana odgrzała im zupę z kartofli, a potem posadziła je na taborecie, na tle jasnej ściany, i wykonała zdjęcia prawie nowym aparatem Moskwa.

– Do jutra będą gotowe, tylko muszę mieć łazienkę jedynie do swojej dyspozycji. W paszportach mają być wasze prawdziwe personalia? – nieco zdziwiła się Tatiana, gdy kobiety podały jej druki zwolnień z „Raju”, w których widniały wszystkie niezbędne dane.

– To prawdziwe druki i nakaz moskiewskiego sądu też – powiedziała Alicja, łamanym rosyjskim.

– Ale dokumentów wam nie wydali – bystrze zauważyła Tatiana.

– Tak wyszło. – Alicja wzruszyła ramionami.

– No, jak chcecie. Ty musisz mieć także polski dokument. Najlepiej dowód osobisty, a ty? – zwróciła się do Olgi. – Chcesz zostać w Związku Radzieckim?

Iwanowna przełknęła ślinę i zrobiła minę, jakby za chwilę miała się rozplakać. Związek Radziecki to była jej ojczyzna, tutaj się urodziła i zdobyła wykształcenie. Kochała ten kraj, jego kulturę i historię, jednak zaznała w nim tak wielu krzywd, że nie mogła w nim dłużej żyć. Podobnie jak jej rodzice, mądrzy i wykształceni ludzie, skończyła w kołymskim łagrze, jednak ona miała szczęście uciec z niego. Nie miała pojęcia, co się stało z rodzicami, ale nie miała złudzeń. Z odsiadki na Kołymie mało kto wychodził żywy.

– Nie, chcę wyjechać za granicę. Może do Francji, jak niegdyś wrogowie rewolucji – powiedziała, niemal łkając.

Tatiana uśmiechnęła się.

– Robiłam mnóstwo francuskich paszportów, więc może tobie również taki przygotuję. Cena jest taka sama.

– Jesteś prawdziwym aniołem – wychlipała Olga i zwróciła się do Alicji: – A może ty też chcesz mieć francuskie dokumenty? Razem byśmy wyjechały.

Alicja pokręciła przecząco głową.

– Muszę mieć polskie. Tam jest mój dom i moja rodzina.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i powiedziała, żeby kobiety położyły dziecko i same odpoczęły, bo ją czeka pracowita noc. Zerknęła na wiszący w kuchni zegar ścienny i oznajmiła, że ojciec już na pewno nie wróci na noc. Powiedziała to ze spokojem, ale również z rezygnacją. Każdej nocy preparowała w swoim małym pokoiku dokumenty z niemal wszystkich stron świata, dysponowała sporymi pieniędzmi, a sama tkwiła w Moskwie, by opiekować się swoim ojcem pijakiem. Za każdym ra-

zem, gdy oddawała w czyjeś ręce dokumenty francuskie, brytyjskie, a nawet amerykańskie, zazdrościła tym ludziom. Ona także kochała swój kraj, ale nie czuła się w nim dobrze. Obiecała sobie jednak, że pewnego dnia spreparuje dla siebie paszport, a potem opuści to miejsce i dopóki będzie żył Józef Stalin, nie powróci do niego.

Szymek Wielopolski wszedł niepewnie do mieszkania Emila Lewina. Nie był w nim od dawna i zauważył, że trochę się w tym miejscu zmieniło. Przybyło nowych sprzętów, łóżeczko Karolka zostało zamienione na normalne łóżko, a w kuchni pojawiła się chłodziarka. Lewin nabył też nowy kredens do pokoju i nieco zmienił ustawienie pozostałych mebli, by wyeksponować nowy nabytek. Jedynie biurko Szymka, w tej chwili zupełnie puste, wciąż stało w tym samym miejscu, w wykuszu okna. Podobnie jak tapczanik i biblioteczka, która odgradzała kącik chłopca od reszty pokoju i miała mu zapewnić odrobinę intymności.

Szymek popatrzył ze smutkiem na to miejsce, które mógłby polubić, gdyby nie fakty na temat pana Lewina, które stopniowo wychodziły na jaw, a z którymi nie mógł się pogodzić. Tym razem jego wizyta także nie miała charakteru towarzyskiego czy sentymentalnego, ale w mieszkaniu na Mokotowie nie było warunków, by porozmawiać. A Szymek Wielopolski chciał pokazać Emilowi artykuł o panie Zoll. Okazało się jednak, że Lewin wiedział już o jej zatrzymaniu i przekazaniu polskim władzom. Miał nadzieję, że chłopak tego nie odkryje i nie zacznie zadawać pytań, ale, niestety, pomylił się.

– No, co ja ci mam, Szymcio, powiedzieć? – westchnął. – Przecież ja z nią o robocie nie gadałem, skąd mogłem wiedzieć, że taka ładna kobitka jest taką francą?

– Ale co teraz? – jęknął Szymek.

Co do działalności panny Zoll w czasie, gdy pracowała na Pawiej, sam był nieco zszokowany i wierzył panu Lewinowi, iż on także nie miał o tym pojęcia. Ale jednak Renate była kiedyś narzeczoną pana Emila, oficjalnie nawet ze sobą nie zerwali, i chłopak chciał wiedzieć, co jego mentor zamierza zrobić z tymi faktami. Najbardziej martwił się o pannę Magdalenę. Jeśli pan Lewin donosił na gestapo, to kto wie, jakim naprawdę był człowiekiem. Szymek pogubił się już w jego ocenie. Z jednej strony, podarował mu tak wiele czułości, opiekował się nim jak własnym synem, i przyjaźnił się z panem Frankiem, z drugiej – istniało jeszcze inne oblicze pana Emila. Twarz tak różna od tej, którą on miał okazję poznać.

– Jak to, co teraz, Szymcio? Jeśli naprawdę robiła te wszystkie okropne rzeczy, to ją powieszają i nic nie będę mógł zrobić. Nie zamierzam także załatwiać sobie widzenia z nią, to już dla mnie sprawa zamknięta. I tobie nie radzę się tym chwalić, a wiadomo, co to sobie ludzie zaraz pomyślą? – prychnął.

Emil Lewin był jednak zdenerwowany. Chłopak ciągle wypytywał go o czasy i historie, o których najchętniej by zapomniał. Nie lubił także okłamywać Szymka, bo kochał tego dzieciaka jak własnego i pragnął, by relacje między nimi były równie dobre, co przedtem. Co prawda nie naciskał go i nie namawiał na powrót do domu, ale miał w tym swój cel. Otóż zamierzał oświadczyć się panie Walewskiej, postarać się o większe lokum i miarkował, że wtedy wszyscy zamieszkają razem i będą jedną, kochającą się rodziną. Zapewne ten stan nie potrwałby zbyt długo, bo chłopak już zmierzał ku dorosłości i niebawem zechce się samodzielnie, ale pragnął, by między nimi były dobre relacje. Dlatego, podobnie jak to było z Magdaleną, kłamał, klu-



czył i starał się udowodnić im, że jest człowiekiem prawym, dobrym i zasługującym na szacunek. Nawet ostatnie wydarzenia i sprawa z Grotowskim uwierały go jak za ciasna koszula. Tak, miał wyrzuty sumienia. Cholernie duże, prawie tak ogromne, jak w stosunku do Adrianny, ale w takich momentach zadawał sobie pytanie, czy miał jakieś inne wyjście. I wtedy dochodził do wniosku, że ani Adrianna, ani jej mąż nie pozostawili mu wyboru. Gdyby nie musiał, nie doprowadziłby do śmierci żadnego z nich.

– Ale myśli pan, panie Emilu, że to wszystko prawda, co w gazetach piszą? – ciągnął temat Szymek.

– Dzisiaj prawda to towar deficytowy, więc nie wiem, ale pewnie jakieś tam grzeszki miała na sumieniu. Zresztą... – Emil machnął ręką. – ...wystarczyło, że była tam strażniczką, a już był powód, by ją zamknąć.

– Panie Lewin, ale oni piszą, że potrafiła kopać człowieka tak długo, aż go do świętego Piotra posłała. I podobnież ludziom w głowę strzelała za byle co... – Głos chłopca robił się coraz bardziej drżący.

– Szymek, jak było, tego nigdy się nie dowiemy. Panna Renate poniesie karę, jeśli udowodnią jej winę, ale dla mnie to już jest obca kobieta. Niekiedy potrafiła być dla mnie bardzo niemiła, a i ciebie traktowała jak przybłędę – powiedział ze spokojem Emil.

– To prawda, ona nie była taka dla mnie, jak panna Adrianna – westchnął Szymek i wstał z kanapy, by opuścić mieszkanie pana Lewina.

Miał świadomość, że nawet jeśli Emil wiedział o tym, co robiła panna Zoll i tak się do tego nie przyzna, ale jego argumenty brzmiały przekonująco.

– Idziesz już? – Lewin nieco posmutniał, bo miał nadzieję, że Szymek trochę posiedzi u niego i ich relacje nieco się ocieplą.

– Umówiłem się z Zosią. Idziemy na *Zakazane piosenki*. Już drugi raz, ale to ładny film – powiedział Szymek przeprasząc.

– Słuchaj, Szymcio, a może ty byś chciał po kinie zaprosić Zosię na jakie lody czy ciastko? Przecież ja cały czas trzymam twoje pieniądze, co za Niemca zarobiłeś. Na tej wymianie pieniędzy wyszliśmy jak Zabłocki na mydle, ale przecież trochę zostało. Wąs ci się już sypie pod nosem i rozsądny z ciebie chłopak, więc oddam ci je teraz. Co ty na to? – Lewin desperacko próbował zjednać sobie ponownie Szymka.

– Chyba nie chcę tych pieniędzy, bo je na cudzej krzywdzie zarobiłem.

Chłopak wzruszył ramionami, chociaż pozostałe z czasów okupacji pieniądze były nader kuszące. Mógłby kupić sobie kilka książek, które widział w jednej księgarni, albo zabrać Zosię na wycieczkę. Może tylko za miasto, a może nawet do Krakowa. Nigdy nie był dalej, jak w Nadarzynie czy Grójcu, bo wycieczek zafundowanych mu przez szkopów i pobytu w sierocińcu nie liczył. Pomyślał także o kolegach, którzy pozostali w pryjucie, gdy on pod brezentem ciężarówki uciekł do Warszawy. Może odwiedziłby Tadka i Antka i kupił im jaką czekoladę albo kilogram kielbasy na bazarze?

– Szymek, a ty nie ryzykowałeś, że cię szwabcy pod ścianę postawią? Codziennie się narażałeś, żeby inni z głodu nie pozdychali, więc skąd te opory? Nie robiłeś niczego złego – ugodowo dodał Lewin i wyciągnął z kredensu metalową skrzyneczkę, a z niej plik banknotów ściśniętych gumką.

Podał zwitek Szymkowi i pogłaskał go po czuprynie. Chłopak zmieszał się

z powodu tego gestu, ale wziął pieniądze i schował do kieszeni kurtki.

Kiedy Lewin został sam, pomyślał o tym, że tego popołudnia i wieczoru panna Walewska będzie sama w domu. Jej ojciec wyjechał, Szymek zabrał dziewczynę do kina, zatem była to idealna okazja, by się oświadczyć. Pierścionek już od dawna miał przygotowany. Nie kupił go, pochodził on z sejfu starego Chełmickiego. Emil nie wiedział, do kogo z rodziny należał ów klejnot, ale on, jako jej członek, miał prawo obdarować nim miłość swojego życia i swoją przyszłą żonę. To cacko było naprawdę piękne, a kamień tkwiący w złotej oprawie był najprawdziwszym trzykaratowym diamentem. Istne dzieło sztuki, które Antoni Chełmicki nabył najpewniej w Londynie albo Paryżu. Wart był fortunę, ale jego Magdalena była godna takiego pierścionka. Ona warta była wszystkiego.

Przebrał się w swój najlepszy garnitur, założył krawat, skropił się wodą kolońską, a nawet przygładził włosy francuską brylantyną. Zapewne jego kompan, Franek, powiedziałby, że wygląda jak galant, ale właśnie w taki sposób pragnął zaprezentować się Magdalenie, gdy będzie prosił ją o rękę. Wiedział, że czeka go również rozmowa z jej ojcem, ale odkąd wyciągnął Grotowskiego z więzienia, zyskał jego aprobatę, więc miał nadzieję, że zapomni mu przynależność partyjną i stanowisko w aparacie władzy. W końcu dzięki takiej synekurze jego córka nie zazna biedy.

A potem miał nadzieję przekonać Magdalenę, by wyjechali do Anglii. Przecież miał sławną na całym świecie siostrę, która co prawda postanowiła powrócić do biednej Polski, ale posiadała w Londynie dom, znajomości, kontakty i zapewne jakieś środki ulokowane w którymś ze starych, poczciwych banków. On także zgromadził sporo pieniędzy, które powinny na jakiś czas wystarczyć, dopóki nie nauczy się języka i nie zwącha, jak się dorobić na Brytyjczykach. Miał nadzieję, że przyszły teść również zaaprobuje ten pomysł, zwłaszcza gdy zaproponuje wyjazd także jemu i jego małżonce. Tak bardzo chciał uszczęśliwić Magdalenę, pragnął podarować jej wszystko, co tylko mógł, nawet to, by mogła za granicą cieszyć się obecnością swoich rodziców.

Żał mu było wyjeżdżać z Polski, miał się tutaj dobrze, nie licząc pewnych kłopotów, jakie napotykał, ale tam, za granicą, naprawdę miałby szansę na zupełnie nowe życie. Bez Julii Dregerowej, bez lęku, że ktoś wyjawia jego przeszłość. Tam będzie jednym z wielu i nikt nie będzie się nim interesował, chyba że jego brat, ale Europa była duża i istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że gdzieś natknie się na niego. Tak, to była wielka szansa dla niego.

W drodze do Magdaleny nabył w kwaciarni bukiet najpiękniejszych róż, jakie tylko były i nie zważając na wygórowaną cenę, pobiegł jak na skrzydłach do jej domu.

Otworzyła mu ubrana w swoją codzienną sukienkę, miała włosy w nieładzie i trochę nieładnie pachniała garkuchnią. Jednak dla Emila również w takim wydaniu była najpiękniejszą kobietą na świecie.

– Emilu, a coś ty taki elegancki? – Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła w drzwiach Lewina.

– Jest okazja, to i strój musi być odpowiedni – stwierdził nieco drżącym głosem, bo jednak czekała go doniosła chwila i trochę się denerwował. A najbardziej tym, że dostanie kosza.

– To opowiadaj, co to za okazja.

Wciąż nie przestawała się uśmiechać. Lewin tak dawno nie widział jej w podobnym nastroju i to dawało mu nadzieję, że nie zostanie odprawiony. Nie zdjął płaszcza, nie usiadł najpierw przy stole, tylko zniecierpliwiony wyjął zza pleców bukiet, wygmerał z kieszeni puzderko z pierścionkiem i przyklęknął.

– Wyjdź za mnie, Magdaleno. Przysięgam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by cię uszczęśliwić – powiedział niemal ze łzami w oczach.

Walewska była kompletnie zaskoczona. Popatrzyła najpierw na ogromny bukiet, jakiego nigdy w życiu od nikogo jeszcze nie dostała, potem przeniosła wzrok na puzderko, w którym tkwił równie piękny pierścionek, a potem popatrzyła w oczy Lewina. Nawet Włodek nie spoglądał na nią z taką miłością.

– Boże, Emil... – szepnęła. – Oczywiście, że wyjdę za ciebie.

– Jak się czujecie, towarzyszu? – Młodziutka pielęgniarka weszła z tacą, na której stały fiolki z lekami.

– Chyba nie najlepiej, jeśli te wszystkie lekarstwa są dla mnie – zażartował Igor.

– Ach nie, dla was mam tylko dwie pigułki. – Puściła do niego oko, zostawiła pigułki na stoliku przy łóżku i wyszła z sali.

Łyszkin sam zastanawiał się, jak się czuje. Był w szpitalu na Koszykowej dopiero drugą dobę i właściwie cały czas spał. Teraz już był wypoczęty, noga jakby nieco mniej bolała, ale żeby odpowiedzieć na pytanie o swoją kondycję, chciał najpierw sprawdzić, czy da radę chodzić o własnych siłach.

Zaraz po wizycie pielęgniarki, odbył się obchód. Ordynator oddziału przywitał się z nim życzliwie, po czym oznajmił:

– Sama rana nie jest może taka paskudna, ale obawiamy się, że wdało się zakażenie, ponieważ według mojego rozeznania rana powinna się już zagoić, a wy zacząć rehabilitację, jednak wciąż musicie mieć założony sączek i brać antybiotyki. Ranę oczyściliśmy, teraz musimy poczekać i zobaczyć, czy pozbyliśmy się martwych tkanek.

– Kiedy będę mógł wstać i trochę poćwiczyć? – zapytał rzeczowo Igor.

– Dopiero jak pozbędziemy się stanu zapalnego – odpowiedział doktor.

– A jeśli nie pozbędziemy się stanu zapalnego? – nieco zirytowany zapytał Łyszkin.

Ordynator uciekł wzrokiem na stolik przy łóżku, chrząknął i przeniósł wzrok, tym razem na okno.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby uratować waszą nogę – mruknął pod nosem.

– Co to oznacza, doktorze? Proszę być ze mną szczerym, jestem twardy facet, zniosę najgorszą prawdę. Grozi mi gangrena? – dopytywał Igor, bo w istocie chciał poznać prawdę.

Lekarz skinął głową i bez słowa przeszedł do kolejnego łóżka, gdzie leżał pacjent z obandażowaną głową. Nie musiał nic więcej mówić. Gangrena oznaczała amputację nogi. Najgorszy scenariusz, jaki mógł się ziścić. Wyrzucał też sobie próby nadwyżęzania nogi, zanim rana się zagoiła. W końcu trudno było mówić o sterylności na statku handlowym, którym płynął przeszło dwa tygodnie.

Od razu pomyślał o Hance. Co będzie, jeśli naprawdę straci nogę? Jak zaopiekuje się nią i dziećmi? Ona była sławna, bogata i piękna. On będzie kaleką z jakąś marną rentą, którą na otarcie łez wypłaci mu radzieckie wojsko. Nie chciał jej litości, a tym bardziej zostać jej utrzymankiem, jeśli zdecydowałyby się na powrót do kraju. W tej sytuacji nawet nie ośmieliłby się jej zaproponować wspólnego życia. Miał jednak nadzieję, że lekarze w Warszawie zrobią wszystko, by nie stracił nogi. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie skontaktować się z generałem Sudopłatowem, by ten załatwił mu klinikę dla zasłużonych ludzi, tę samą, w której leczono jego ramię.

Być może tam postarano by się bardziej? Potem zarzucił ten pomysł, ponieważ wiązałoby się to z kolejną podróżą. Może jednak generał mógłby przysłać kogoś z podmoskiewskiej kliniki?

Nacisnął brzęczyk przy łóżku, by wezwać pielęgniarkę. Zjawiała się niemal natychmiast.

– Czy będę mógł od was zadzwonić? Potrzebuję skontaktować się z generałem Sudopłatowem z Moskwy – stanowczo powiedział Igor.

– Zaraz zapiszę numer, a gdy się połączę, zawiozę was wózkiem do gabinetu ordynatora i będziecie mogli porozmawiać – odpowiedziała.

Igor pomyślał, że traktują go jak kogoś ważnego. Po kilku godzinach ta sama sympatyczna pielęgniarka pomogła mu wsiąść na wózek i zawiozła do gabinetu lekarza. Łyszkin poczuł się fatalnie, gdy pomyślał, że taki scenariusz może się ziścić i tak będzie wyglądała jego codzienność – wózek, kule, proteza. Nie potrafił się z tym pogodzić i postanowił, że tak łatwo się nie podda.

– Gratuluję, kapitanie, i jest mi niezmiernie przykro z powodu problemów, jakie napotkaliście – powiedział uradowany Sudopłatow, gdy usłyszał głos Igora.

– Jak by to powiedzieć... ryzyko zawodowe, generale. Jednak wolałbym odzyskać sprawność w nodze, a przynajmniej jej nie stracić. Nie mam pojęcia, kto mnie tutaj leczy, a wy macie u siebie najlepszych specjalistów...

– Czy podejrzewacie jakiś sabotaż w tym polskim szpitalu? – zasepił się generał.

– Skądże znowu, starają się jak mogą, ale być może nie mają takich możliwości, jak w tej waszej klinice – powiedział Igor i miał nadzieję, że nie naślą na szpital jakichś aparatczyków na kontrolę.

– Dobrze, więc poproszę Olega Litwinienkę, żeby zadzwonił na Koszykową. Jeśli będzie taka konieczność, wyślę po was samolot – odparł Sudopłatow i dodał: – Naprawdę wykonaliście kawał dobrej roboty.

– To nie ja, tylko Foks. Ja jedynie przekazywałem dalej – skromnie zauważył Łyszkin.

– I omal nie przyplącaliście tego życiem. Dostałem szyfrogram od naszego łącznika.

Generał wciąż chwalił Igora, chociaż, prawdę powiedziawszy, Łyszkin popełnił kilka niewybaczalnych błędów. Przynajmniej jemu się tak wydawało. Dał się przechytrzyć Judith i nie mógł sobie tego darować.

Powrócił do łóżka i starał się nie myśleć o odniesionej ranie i ewentualnych konsekwencjach. Doszedł do wniosku, że nic mu to nie da. Po kilku minutach kolejny raz do sali zajrzała uczynna pielęgniarka i zatroskana spojrzała na Igora, który leżał wpatrzony w sufit.

– Przyniosłam wam gazetę. Niestety, mam tylko polskie, ale tak dobrze mówicie po naszemu, że pomyślałam, iż dacie sobie radę i trochę rozproszycie nudę – powiedziała słodko.

– Dziękuję, połóżcie je na stoliku. Później je przejrzę – odpowiedział niemrawo Łyszkin.

Kobieta spełniła prośbę i wyszła z sali.

Po obiedzie zabrano z jego pokoju pacjenta z zabandażowaną głową i Igor nie miał nawet do kogo gęby otworzyć, a nie chciał przeszkadzać w pracy pielęgniarki.

Kompletnie znudzony, wziął do ręki gazety i zaczął przeglądać. Już miał przewrócić kolejną stronę w jednej z nich, gdy rzucił mu się w oczy tytuł – *Bolesław Bierut na koncercie Hanki Lewinówny*.

„Co jest, do cholery?” – pomyślał Łyszkin i zaczął czytać notkę. Przez chwilę sądził, że Hanka zawitała do Warszawy jedynie na koncert i zdziwił się, że nowo wybrany prezydent zdecydował się na uczestnictwo w nim, ale później przeczytał, że „wielka gwiazda przedwojennej estrady” powróciła na stałe do Polski.

Aż usiadł na łóżku, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Jeśli Lewinówna wróciła to kraju, to zapewne zrobiła to z jednego powodu. Dla niego... Postanowiła poczekać, aż wróci ze swojej misji, nie mając pojęcia, że nastąpiło to szybciej, niż oboje sądzili. I gdyby nie fatalny stan jego nogi i niepewność, czy kiedyś jej nie straci, pewnie od razu poprosiłby jakiegoś rzutkiego oficera NKWD, by ją odnalazł i przywiózł do szpitala MON, ale w tej sytuacji nie wiedział, co zrobić. Usiłował postawić się w sytuacji Lewinówny. Gdyby jej się stała jakaś krzywda, chciałby natychmiast o tym wiedzieć. Obojętnie, czy miałyby zostać inwalidką czy nie. Może więc ona także powinna poznać jego problemy zdrowotne i sama zdecydować?

Do końca dnia przeczytał wzmiankę o niej chyba ze dwadzieścia razy i bił się z myślami. Pragnął ją od razu zobaczyć, najszybciej jak to możliwe, a jednocześnie wiedział, że lepiej będzie, jeśli poczeka na jakieś wiążące informacje od lekarzy. W końcu postanowił, że podejmie decyzję po konsultacjach Olega Litwinienki z polskimi lekarzami. A potem? Kto wie, co mu strzeli do głowy...

Jesień nadchodziła wielkimi krokami. Coraz częściej padał deszcz i to w znacznym stopniu odstraszało uczniów od lekcji jazdy konnej. A im więcej Julian Chełmicki miał wolnego czasu, tym gorsze myśli przychodziły mu do głowy. Nie miał wieści o Alicji, w Polsce najpewniej sfalszowano wybory i rządy już oficjalnie przejęli komuniści, a rozsiani po Europie żołnierze nie zamierzali wracać do kraju i wszczynać rewolucji, by ich ojczyzna stała się w pełni suwerenna. Wiedział, że jego postawa, smutek wyrysowany na twarzy oraz ciągle niezadowolone bardzo martwiły Weronikę, ale nie potrafił, tak jak ona, brać wszystkiego za dobrą monetę. Może miała rację, mówiąc, że Julian tęskni za niemożliwym, zamiast pogodzić się z faktami. Z niektórymi być może i mógłby, w końcu życie, jakie wiódł przed wojną, całkiem mu odpowiadało, ale czuł się ogromnie samotny. Nie było Łyszkin ani Lossowa, brakowało mu obecności ojca, a przede wszystkim Alicji. To on zmarnował tę miłość, bo pragnął zrobić z niej osobę, którą nie była, a potem na pewne sprawy było już za późno. Weronika zaszła z nim w ciążę, a przy jego ukochanej zaczął się kręcić męski i zdecydowany Dargiewicz. Czekał na informacje od niego, aby dowiedzieć się, czy wróciła albo kiedy zaistnieje taka możliwość. Być może to czekanie i niepewność najbardziej go dobijały. A co zrobi, jeśli Łyszkin uruchomił swoje znajomości i Alicję lada chwila wypuszczą? Jak się zachowa, gdy dowie się, że wystarczy kilka dni, by mógł się z nią zobaczyć? Był pewien, że bez względu na wszystko pojedzie do Polski, by się z nią spotkać. Chociaż przez chwilę. A potem niech się dzieje, co chce.

Powrócił z długiego spaceru i zastał Weronikę w salonie. Popatrzyła na niego znad książki, a w jej oczach krył się smutek. A może był to jedynie zawód, że nie był takim mężem, jakby sobie życzyła? Ostatnio flirtowała z Gustavem, ojcem jednej z jego uczennic. Wiedział, że niekiedy spotykają się na kawie, czasami podwoził ją z Lozanny, a gdy przyjeżdżał z córką na lekcje jazdy konnej, wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Julian powinien być zazdrosny i tupnąć nogą, aby przestali się widywać, ale nie był. Wręcz przeciwnie, cieszył się, że jego żona ma jakąś rozrywkę i wielbiciela, który obdarzał ją komplementami, bo on już tego od dawna nie robił.

– Julianie, musimy porozmawiać – powiedziała cicho Weronika.

Przysiadł na oparciu fotela i zwrócił się do niej:

– Masz romans z Gustavem?

– Dlaczego mnie obrażasz? Gustav jest cudownym człowiekiem, a ja jestem mężatką. Dla mnie to jest przeszkoda, ale widzę nie dla ciebie – warknęła Weronika.

– Posłuchaj, przepraszam, nie chciałem cię urazić. Wiem jednak, że ostatnio jestem nieznośny i wcale nie zdziwiłbym się, gdybyś zainteresowała się kimś, kto potrafi docenić twoje zalety – odpowiedział ze smutkiem.

– Nie martwi mnie to, że nie mogę sobie uciąć romansu, bo moje zasady mi na to nie pozwalają, ale martwisz mnie ty. Naprawdę, Julianie, chciałabym ci pomóc i sprawić, żebyś był szczęśliwy, ale jeśli nie będę wiedziała, co cię trapi, nic nie będę mogła zrobić.

Weronika mówiła spokojnie. Naprawdę miała wrażenie, że jej małżeństwo wisiało na włosku. Stali się dla siebie niemal obcy.

– Nawet jeśli się dowiesz, nie będziesz mogła mi pomóc, Weroniko – westchnął Chełmicki.

– Spróbuj...

– Nie chcę próbować, bo nie chcę cię ranić – bąknął.

– Nie chcesz mi powiedzieć, że tęsknisz za Alicją?! – nie wytrzymała. – Ciągłe ją kochasz...

Julian Chełmicki nie odpowiedział. To było jak wyznanie. Zatem chodziło o Alicję i to jej osoba sprawiła, że ich małżeństwo się rozpadało. Weronika doszła do wniosku, że nadszedł czas, by wyjawiała mu prawdę. Wtedy dopiero będą mogli zacząć wszystko od nowa, bo póki Alicja była między nimi, nic nie pomagało.

– Julianie, pamiętasz, jak odbierałam metrykę od adwokata? Dostałeś wtedy jeszcze jeden list... Od Sergiusza Dargiewicza. Nie wiem dlaczego, chyba ze strachu o twój stan ducha, otworzyłam ten list. Nie jestem z siebie dumna, ale pograżałeś się w jakichś odmętach rozpacz, więc chciałam sprawdzić, czy otrzymane wiadomości nie dobiją cię. – Weronika spuściła głowę, bo w istocie było jej nieco wstyd, że przeczytała korespondencję do Juliana.

Teraz dla odmiany to on się ożywił.

– Pokaż mi go! – powiedział ostro, a potem dodał z sarkazmem: – Co, napisał, że Alicja wróciła i zdecydowali się rozstać, a ty w szale zazdrości postanowiłaś to ukryć? Bałaś się, że zostawię swoją rodzinę i pojedę do Polski, żeby ponownie z nią być?

Weronika zakryła twarz rękoma.

– Wyrzuciłam ten list... Wyrzuciłam, ponieważ...

Nie dokończyła, bo Julian znowu zaczął szydzić:

– Alicja była dobra, gdy targała cię na plecach, i wtedy, gdy opiekowała się tobą, jak oberwałaś, ale teraz przestała się liczyć? Nie pozwolę się ograniczać przez twoją ciągłą zazdrość i niepewność. Raz, jedyny raz poprosiłem cię, żebyś odebrała list z Lozanny, a ty od razu postanowiłaś ingerować. Już teraz chyba przestałaś się dziwić, że nie podałem Dargiewiczowi naszego adresu. Tak, bałem się, iż będziesz chciała wszystko czytać. A potem dałem ci szansę, sądziłem, że mogę ci ufać. A ty...? Od razu otworzyłaś kopertę i zdecydowałaś, co powinienem wiedzieć, a czego nie. Więc co tam takiego było, że ukryłaś to przede mną?

Weronika nie była w stanie już tego słuchać. Słowa męża smagały ją jak bat, były niesprawiedliwe i okrutne. A ona naprawdę chciała go chronić...

– Alicja nie żyje! – wrzasnęła.

Nagle zrobiło się przeraźliwie cicho. Słyszeć było jedynie trzask palących się polan w kominku. Chełmicki wstał z oparcia fotela i syknął:

– Kłamiesz... Kłamiesz!

Pokręciła przecząco głową. Żałowała teraz, że porwała list i wyrzuciła, bo nie mogła rzucić nim w twarz Julianowi i udowodnić mu, że to prawda, a jej intencje były zupełnie inne, niż myślał. Chciała go chronić, a on powiedział jej tyle strasznych rzeczy. Była zazdrosna, przez cały czas, jednak nigdy tego nie okazywała, uważając, że musi sobie sama z tym poradzić.

– Julianie, to prawda. Alicja zmarła w obozie. Sergiusz nie podał żadnych



szczegółów, ten list był bardzo krótki. Zapewne był zbyt przybity, by się rozpisywać. Nie powiedziałam ci o tym, bo nie chciałam, żebyś cierpiał, a ostatnio byłeś taki przygnębiony, taki daleki... Otworzyłam ten list, bo zawsze, gdy przychodziły wiadomości z Polski, cierpiałeś – zaczęła się tłumaczyć.

– Nie wierzę ci, nie wierzę! Gdyby to była prawda, od razu przybiegłabyś z tą wiadomością, w końcu twoja rywalka zesłaby ci z drogi na zawsze. – Wciąż był zły na żonę.

– Jesteś okrutny, Julianie – powiedziała cicho.

– Ja? Może i jestem, ale tobie nawet do pięt nie dorastam. Nigdy nie wymyśliłbym czegoś takiego...

Chełmicki ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Nie chciał już rozmawiać ze swoją żoną, nawet nie mógł na nią patrzeć. Nie wierzył jej. Gdyby naprawdę Alicja zginęła, Weronika powiedziałaby mu o tym od razu, a nie w chwili, gdy oddalił się od niej, a ich wzajemne relacje uległy znacznemu ochłodzeniu. Poza tym bez względu na wszystko nawet nie dopuszczał myśli, że jego Alicja mogła zginąć.

Wyszedł na zewnątrz i ruszył do stajni. Osiodłał konia i mimo zacinającego deszczu ruszył przed siebie. Jechał szybko, wciąż poganiając wierzchowca i nie zważał ani na aurę, ani na śliski szlak. Chciał być szczęśliwy i zapomnieć o przeszłości, ale nie potrafił. Tak samo, jak nie potrafił pokochać Weroniki. Miał jednak więcej żalu do niej niż do siebie, bo chciała za wszelką cenę wymazać Alicję z jego umysłu i serca. Tak jakby ta kobieta nigdy nie istniała w jego życiu.

Najwyższy Trybunał Narodowy, w którym odbywały się procesy nazistów, w różnych miastach Polski nie był może tak spektakularnym przedsięwzięciem jak procesy w Norymberdze, ale również budził żywe zainteresowanie. Zwłaszcza te rozprawy, w czasie których sądzono załogi obozów koncentracyjnych. Opinia publiczna ze zgrozą śledziła ich przebiegi, bowiem wychodziły na jaw nowe szczegóły i okrucieństwo, jakie miało tam miejsce.

Lossow, z racji zawodu, jaki wykonywał, znał dobrze temat, jednak każde zeznanie świadka było odrębną historią i tragedią osobistą, i to najbardziej działało na wyobraźnię sędziów i zgromadzonej publiczności. Po tym, co widział w dylagach na terenie Związku Radzieckiego, jego już niewiele było w stanie zadziwić. Jednak idąc na proces Renate Zoll, był bardzo zdenerwowany. Bał się. Tego, co usłyszy na jej temat i od niej samej.

Dotychczas był jedynie biernym obserwatorem, nawet jeśli zdarzały się sytuacje, które wciąż potrafiły nim wstrząsnąć do głębi. Jednak to wciąż nie dotyczyło osób tak bliskich, jaką ostatnio stała się dla niego Marie Rauch. Nieustannie próbował sobie odpowiedzieć na pytanie, kim naprawdę była kobieta, którą przytulał w nocy, całował i prowadził z nią długie rozmowy. Miał rację Grünberg, twierdząc, że mało kto nie pobrudził sobie podczas tej ostatniej wojny rąk i sumienia, a jednak w Walterze wciąż coś krzyczało, że istniała granica, której on nie przekroczył. Sadyzm, niepotrzebna brutalność – to były kwestie, które w jego odczuciu były niewybaczalne. Gdzieś była granica człowieczeństwa, potem już nie istniało usprawiedliwienie.

Renate Zoll pomogła Chełmickiemu, poniekąd wręcz uratowała mu życie, jednak nie kierowało nią miłosierdzie, ale chęć przywiązania do siebie Waltera. Była w nim zakochana i dlatego zaryzykowała, bo zapewne los Juliana, jak i wielu innych więźniów Pawiaka, po prostu jej nie obchodził. Ale czy ktoś, kto pozbawiony jest tej powłoki, zwanej wrażliwością, w ogóle zdolny był do uczuć wyższych? To był pewien paradoks, ale podczas badania życiorysów wysoko postawionych funkcjonariuszy z aparatu represji, którzy bezpardonowo skazywali na śmierć setki tysięcy istnień ludzkich, okazywało się, że byli czułymi ojcami, kochającymi małżonkami i dla swoich bliskich potrafili naprawdę wiele zrobić. Lubili zwierzęta, dzieci i sztukę. A jednak kryli w sobie potwora, który był bezwzględny, podły i wyprany z ludzkich uczuć. Czy ten dualizm był do pogodzenia, co myślały rodziny tych oprawców, słuchając opowieści o tragediach, jakie zgotowali innym?

Sam miał mętlik w głowie, nie potrafił sobie nawet wyobrazić wyrachowanej Renate w roli kata. Była egocentryczna, chłodna dla innych, ale czy naprawdę byłaby zdolna, by napawać się ludzką krzywdą, którą sama zadawała?

Wszedł na salę rozpraw i usiadł w najdalszym jej kącie. Oprócz Renate na ławie oskarżonych stanął inny pracownik Pawiaka, niejaki Edmund Lener. W ławkach siedziało kilku dziennikarzy, którzy trzymali w rękach ołówki, a na ich kolanach leżały notatniki. Przy drzwiach i niedaleko stołu dla sędziów stali żołnierze polskiego

wojska, a oprócz tego salę powoli wypełniali zwykli gapie. Jedni żądni sensacji, niektórzy należeli do rodzin zeznających świadków, ale najbardziej rzucali się w oczy ci, którzy jeszcze przed procesem ocierali oczy albo mieli przygnębione miny. Zapewne to byli ci, którzy chcieli sprawiedliwości dla swoich ojców, matek czy dzieci.

Akt oskarżenia Renate Zoll był dość przerażający. Przynajmniej dwudziestu więźniów zostało pozbawionych przez nią życia, a to oznaczało w praktyce, że mogło być ich kilkakrotnie więcej, jednak materiał dowodowy obejmował tylko nieliczne ofiary. Renate Zoll nie była z zawodu katem, więzienie także nie było miejscem, gdzie zapadały wyroki czy powinno przesłuchiwać się osadzonych, a jednak dochodziło tam do morderstw na masową wręcz skalę.

W sali rozpraw wciąż panował rozgardiasz, słyhać było rozmowy, szuranie krzesel, ktoś próbował uchylić okno, bo zaczynało robić się duszno, gdy nagle zrobiło się cicho. Skład sędziowski zasiadł za stołem, a do sali wprowadzono skutą kajdankami i w zgrzebnym uniformie Renate Zoll i drugiego ze strażników. Walter bał się na nią spojrzeć, jednak w końcu podniósł głowę i popatrzył. Renate miała pobladłą, ale wciąż piękną twarz, a więzienne ubranie smutno zwisało na jej ramionach. Poczul ucisk w sercu i naprawdę zrobiło mu się jej żal. Nie wyglądała jak oprawca, ale jak ofiara. Mimo operacji twarzy, która pozbawiła Renate możliwości pokazywania emocji mimiką twarzy, jej oczy mówiły bardzo wiele. Trochę dzikie, chwilami smutne i pełne zawodu. Były to oczy człowieka, który już wie, że przegrał swoje życie.

Adwokatem Renate był młody człowiek o znudzonym obliczu, który starał się nie patrzeć ani na publiczność, ani na sędziów. Tak jakby miał świadomość bezsensowności swojej roli w tym procesie. Gdyby zbyt agresywnie zaczął bronić swojej klientki, jego kariera mogłaby zakończyć się, zanim na dobre się rozpoczęła. Bo jakież argumenty mogli mieć obrońcy w podobnych sprawach? Może udałoby się ograniczyć liczbę ofiar i z dwudziestu osób pozostałoby dziewiętnaście, jednak to i tak nie wystarczyłoby, by uchronić Renate Zoll przed wyrokiem skazującym. W sztandarową linię obrony, jakoby stojący przed sądem oprawcy byli jedynie wykonawcami rozkazów, nikt już nie wierzył. A może po prostu nie miało to znaczenia.

Prokurator przeczytał akt oskarżenia. Renate wbiła wzrok w podłogę, a z każdą wymienioną ofiarą jej twarz robiła się coraz bardziej blada. Kiedy skończył, adwokat Renate niemrawo wygłosił konwencjonalną formułkę o zwierzchnikach Renate i konieczności wykonywania przez nią poleceń. Mówił to głosem tak beznamiętnym, jakby ów tekst wypowiadał kilka razy dziennie, jedynie zmieniając bohatera procesu.

Walter był przekonany, że Renate odmówi składania zeznań, a jeśli to uczyni, będzie się bronić jak lwica i zadawać kłam oskarżeniom. Bez względu na to, jaka była prawda, proces stanowił walkę o życie.

– Tak – powiedziała hardo Renate. – Zastrzeliłam iluś tam terrorystów, ludzi, którzy byli wrogami Trzeciej Rzeszy. Nie wiem, ilu ich było, nie pamiętam. Może dziesięciu, a może stu. Najczęściej przystawiałam pistolet do skroni i w ten sposób pozbawiałam życia więźniów. Czy biłam, kopałam i polewiałam lodowatą wodą? Nie pamiętam szczegółów.

– Na szubienicę z nią! – nie wytrzymał ktoś z sali.

Wkrótce wybuchła wrzawa, bo do śmiałka, który krzyknął pierwszy, dołączyli inni. Byli żądni zemsty, a beznamiętne zeznania Renate Zoll jeszcze bardziej zaogni-

ły atmosferę. „Nie mów tak, bo zginiesz” – błagał ją w duchu Lossow, bo nie życzył jej śmierci. Przecież mogła się bronić, stosować uniki, a wtedy być może nie skończyłaby na stryczku, ale dostała karę więzienia.

Sędzia postukał młotkiem w stół i oznajmił, że jeśli publiczność będzie zachowywała się w podobny sposób, jak przed chwilą, to proces odbędzie się za zamkniętymi drzwiami. Ludzie momentalnie zamilkli i wówczas wystąpienie miał kolega po fachu Renate. Lossow jednak nie słuchał jego zeznań, odnotował jedynie, że ów człowiek niemal szlochał, błagając o wybaczenie i żebrząc o łagodny wyrok. Patrzył na Renate, która z pogardą spoglądała na Lenera, płaszczącego się przed sędziami i obecnymi na sali ludźmi. Walter zastanawiał się, czy Renate jest tak zła, czy tak dumna, że nie stać ją było na jakąkolwiek skruchę. Wciąż jednak nie miał wyrobionego zdania, bo padało zbyt wiele ogólników, a on chciał wiedzieć, co dokładnie zrobiła Renate.

Pierwsza do pulpitu dla świadków podeszła kobieta w trudnym do odgadnięcia wieku. Powiedziała, że ma trzydzieści dwa lata, ale Walter dodałby do tego jeszcze z dziesięć. Miała ziemistą cerę, brakowało jej przedniego uzębienia, a włosy, gdzieś posiwiałe, ściągnęła czarną gumką, jakie wycinało się ze zużytych dętek rowerowych. Była przygarbiona, ubrana w czystą, ale zbyt obszerną sukienkę i drżały jej ręce. Gdy padło pierwsze pytanie z ust prokuratora, kobieta zaczęła łkać i musiało minąć kilka minut, zanim się uspokoiła.

– Nazywaliśmy ją „Białą Suką”, bo nie odpuściła nikomu – wydukała kobieta i wytarła chusteczką nos. – Kopała nas, wrywała włosy i paznokcie albo biła taką metalową pałką, obleczoną skórą.

– Proszę opowiedzieć, co dokładnie zrobiła oskarżona świadkowi – powiedział prokurator.

– Pewnego dnia wylałam zupę na posadzkę i kazała mi ją zlizać z podłogi. Nachyliłam twarz, a ona wtedy nadepnęła na moją głowę. Uderzyłam zębami o beton. A za tę rozlaną zupę dostałam karcer. Przecież ja nie chciałam jej wylać, ja głodna byłam... I w tym karcerze dostałam jeszcze pałką. Biła po głowie, ramionach i pod kolanami. Upadałam, bo jak pod kolano biła, to traciłam równowagę. A ona wtedy mnie kopała. I te zęby, co mi się ruszały, całkiem kopniakami wybiła.

Z każdym wypowiedzanym słowem po sali rozchodził się szmer obrzydzenia. Niektóre, mniej odporne kobiety płakały cicho i kręciły głowami, jakby nie dowierzały, że tak można znęcać się nad człowiekiem.

To był pierwszy świadek, ale Walter już miał dosyć. Co gorsze, wierzył tej bezzębnej kobiecie, bo podobne sceny widział w dulgach. Myślał wówczas o swoich rodakach, że są prostymi osiłkami, którzy w ten sposób mogli poczuć się bardziej mężczy. Ale Renate była piękną, apetyczną kobietą o nieprzeciętnej inteligencji i ogładzie. Była też jednak cichą sadystką, która tylko w ten sposób mogła poczuć, że ma władzę.

– Wiesz, co czułam, gdy szłam po schodach do twojego mieszkania? – powiedziała ze smutkiem Hanka, wchodząc do urządzonego ze smakiem pokoju brata.

– Nie mam pojęcia. – Emil uśmiechnął się i dodał: – Nie trzeba było tych zabawek kupować, Karolek ma wszystko, co potrzeba.

– Nie chciałam, żeby zapamiętał mnie jako tę ciotkę, która przychodzi z pustymi rękami.

– No, ale przerwałem ci... – Lewin stuknął się w czoło. – Mów, mów...

– Że nacisnę dzwonek i znowu zobaczę w drzwiach „Białą Suke”. Boże, Emil, ty naprawdę żyłeś z tym potworem z Pawiaka czy ja jedynie miałam przywidzenia? – zapytała z trwogą.

– Z Renate? A bo to ja wiedziałem, że ona taka franca? Pojęcia nie miałem, tym bardziej że pomogła uwolnić jakiegoś Polaka i nosiła grypsy. Więc myślałem, że robota jak robota. Kto wiedział, że jedną ręką podaje grypsy, a drugą pałką okłada? Proces ma teraz, bo ją dupnęli Amerykanie za zachodnią granicą, ale ja to nawet tam chodzić nie chcę i słuchać, co wyprawiała, bo mi na samą myśl niedobrze. A co ona tobie robiła, siostrzyczko? – nieskładnie tłumaczył się Lewin, nie chcąc wdawać się w szczegóły. Poza tym pragnął zapomnieć, że wielu jego rodaków trafiało na Pawiak, bo on się o to postarał. Między innymi ten cały Łyszkin i Hanka.

– A niech gnije w więzieniu albo zdycha na szubienicy. Tak mnie któregoś dnia stłukła, że jedną nogą byłam na tamtym świecie. Nie byłam jej dłużna, ale to już nieważne. Nie chcę myśleć o przeszłości, bo robię się znowu zła na ciebie – westchnęła Hanka. – Jedynie wiara, żeś już dorósł i zmienił się, jakoś mnie trzyma, bo inaczej to jak od siostry po pysku byś oberwał...

– Ile razy mam o wybaczenie cię prosić, Hanka? Odkupię jakoś te swoje grzechy, ale od kogo, jak nie od własnej siostry, mam rozgrzeszenie otrzymać? – ze smutkiem powiedział Emil.

– A ta twoja panna to wie, żeś z Niemcami kombinował? – zaciekała się Lewinówna.

– Nie i mam nadzieję, że nigdy się nie dowie. Narzeczonego w powstaniu straciła, rzuciłaby mnie, a ja, siostra, to taki w niej zakochany jak ostatni sztubak. I tak czasem mi się śni, że ktoś jej któregoś dnia powie, co zrobiłem, a ona ode mnie odejdzie. Tak sobie miarkuję, Hanka, żebym ją za granicę, może do Anglii, zabrał. Tam mógłbym zacząć od początku... – Lewin ściszył głos.

– Ale ty przecie taki w nowej władzy zakochany? – Hanka prychnęła złośliwie.

– Zakochany, zakochany... taki jak i w szwabach byłem. A co ty myślisz, że oni kwitów na mnie nie mają? Co mi było robić? Iść pod sąd i krawat dostać czy się zbratać z nimi? No i teraz jedyne, co mi pozostało, to wyjechać, bo inaczej się te huncwoty w życiu Warszawy nie odczepią – perorował Emil.

– A czemuś szantażował Tomasza? – Hanka nie przestawała pytać. – I zmusiłeś go, żeby się ze mną ożenił.

Emil stracił animusz jedynie przez chwilę. Nie chciał pograżać się bardziej, niż

musiał, a w obecnej sytuacji Hanka powinna uwierzyć jemu.

– A gada bzdury, bo co ma gadać. Rozmówiłem się jedynie z nim. Co by nie myślał, żeś ty pierwsza lepsza i może się z tobą w łóżku wycierać bez ślubu. O to też masz do mnie pretensje? Że twojej czci broniłem? – Emil uznał, że w tej chwili najlepszą obroną jest atak.

– Dajmy już spokój...

Hanka nie chciała dalej dyskutować, bo w istocie Tomasz w tej chwili jawił jej się jako osoba kompletnie niegodna zaufania. Nie po tym, co zrobił.

– Swój dom zaproponowałam już komuś innemu, ale mam jeszcze mieszkanie w Chelsea, jeśliś chciał, to mógłbyś tam zamieszkać. I poproszę kogoś, kto języki zna, żeby ci trochę w tej Anglii pomógł. Masz rację, tutaj zawsze będzie się za tobą ciągnął smród. Nie żebym cię, nicponiu, tak bardzo żałowała, ale Karolek to w końcu mój bratanek, a on nic nie winny.

Hanka machnęła ręką i pomyślała, że jak Emil wyjedzie, wszystko skrupi się na niej i kto wie, czy ją o krycie zdrajcy nie posądzą. Gdyby był Igor, zapewne czułaby się bezpieczna, ale on przecież zabawiał się teraz ze swoją nową żoną w Ameryce.

– To co, idziemy? Poznasz Magdalenę. Zajdziemy do jej mieszkania na Mokotowie i razem na jakieś lody do centrum pojedziemy. A potem może byśmy i dzieciaki od tej twojej opiekunki zabrali?

Emil naprawdę cieszył się, że spędzi ten dzień z siostrą i narzeczoną. Co prawda nie uprzedził Magdaleny, na pomysł wpadł dość spontanicznie, jednak w końcu mógł się czymś przed narzeczoną pochwalić. Sławną siostrą. Liczył także po cichu na opowieści Hanki o życiu w Anglii, które chociaż wciąż ciężkie, nie mogło się równać z tym, jakie było ich udziałem w Polsce.

Mimo że nadeszła już jesień, było dość pogodnie i Hanka z przyjemnością poszła piechotą do mieszkania narzeczonej Emila, które oddalone było o kilka przystanków tramwajowych od miejsca, gdzie rezydował. Patrzyła z nostalgią na wciąż pełne gruzów ulice, pracujących w pocie czoła przodowników, którzy wznosili nowe budowle, i wdychała zapach Warszawy. Miejsc tak dobrze jej znanych sprzed wojny już nie było, tak jak Alicji. Nawet Emil uronił łezkę, gdy mu powiedziała o śmierci przyjaciółki i odwiedzinach w ich chałupie w Chełmicach.

Dopiero tego dnia, przemierzając kolejne metry warszawskich ulic, poczuła się naprawdę jak u siebie. Podobnie było, gdy przyjechała tutaj wraz Alicją, z Chełmic. Najpierw towarzyszył jej lęk, przerażało ją to wielkie miasto, ale po pewnym czasie stało się jej domem i miejscem, gdzie zrobiła karierę. Niebawem miała otrzymać samodzielne mieszkanie na MDM, w czym zapewne pomogła jej znajomość z Bierutem. Nie było mowy o jakiejś zażyłości, wymienili jedynie kilka zdawkowych zdań po jej koncercie, ale dla urzędników stała się nagle dobrem narodowym i próbowano ją obłaskawić na wszelkie możliwe sposoby. Nie było to coś, z czego była dumna, ale ona nigdy nie angażowała się politycznie i zależało jej jedynie na świętym spokoju dla siebie i dzieci.

Zbliżali się do kamienicy panny Walewskiej, gdy z oddali ujrzeli młodego chłopaka prowadzącego na smyczy ogromnego psa. Hanka z nostalgią pomyślała o Ziotku, wielkim mieszańcu, jakiego niegdyś dostała od Ireny „Wariatki”, a który pewnego dnia stał się jej prawdziwym przyjacielem.

– O, Szymcio idzie, mówiłem ci o nim. – Lewin uśmiechnął się promiennie.

Hanka potaknęła i zobaczyła, że chłopak ma nie lada problem z utrzymaniem na smyczy psa. Zwierzę zaczęło ciągnąć do przodu, skamleć i wyrywać się z rąk, nie zważając na krzyki i próby przywołania go do porządku. W końcu pies wygrał tę próbę sił i zaczął biec wprost na idących Hankę i Emila.

– Niech szlag trafi to bydlę! – syknął Lewin, ale wiedział, że ucieczka jedynie pogorszy sprawę.

Jednak Ziutek, im bliżej był idącej pary, tym mniejszą okazywał agresję. Jak oszalały machał ogonem i piszczał jak szczeniak na widok swojego pana. Lewin pomyślał, że psisko w ten sposób wita się z nim, w końcu był częstym gościem w mieszkaniu Magdaleny, ale on zmierzał wprost na Hankę.

– Chryste Panie! – jęknęła Lewinówna. – Przecież to Ziutek.

Kucnęła i pozwoliła, by pies lizał ją ogromnym jęzorem po rękach, a nawet twarzy. Zdyszany Szymek podbiegł do nich i zaczął przeproszać kobietę, którą znał jedynie ze zdjęć, siostrę pana Lewina. Ale po chwili zorientował się, że pani Lewin mówi do psa po imieniu, a on piszczy i łąsi się do niej.

– Pani zna Ziutka? – Szymek ledwie łapał oddech.

– Pewnie, że znam. Mieszkał ze mną w Magnuszewie, ale skąd ty go masz? – ze śmiechem zapytała Hanka.

– Od jednej takiej panny Aldony, przed powstaniem mi go pod opiekę dała. To znaczy wtedy miała na imię Ewa, ale jak tam się naprawdę nazywała, to ja nie wiem. Włosy to też rozmaicie czesała i raz czarna była, a raz ruda. W getcie się poznaliśmy, bo ja to na własnych plecach... – zaczął mówić Szymek, ale Hanka przerwała mu.

– Boże, Alicja... Dostałeś tego psa od Alicji. Jak dobrze, że chociaż on przeżył, bo jej, niestety, nie udało się – z westchnieniem powiedziała Hanka.

– Szkoda, taka akuratna kobitka z niej była – posmutniał Szymek.

Ich rozmowę przerwał Emil i zaproponował, że póki rozmawiają o psie, on wejdzie na górę i zaprosi pannę Magdalенę na wspólny spacer. Gdy tylko zniknął w bramie, Hanka i Szymek powrócili do rozmowy. Chłopak opowiadał o przygodach podczas powstania, gdy Ziutek chodził na zwiady, a Hanka o tym, jak polował na sarny pod Studziankami. Na końcu dodała:

– No i gdyby nie on, to by mnie chyba drugi raz gestapo przymknęło. Jak mnie ta „Biała Suka” goniła, to Ziutek do gardła się jej rzucił.

– Ale miała ksywę... – Szymek uśmiechnął się i zapytał: – A co to za jedna była?

– Renate Zoll. Jak siedziałam na Pawiej, to tak się znęcała nad więźniami, że ją w końcu ochrzcili „Białą Suką”. Wyjątkowy potwór. Widać polowała na mnie, ale Ziutek ją powstrzymał – powiedziała Lewinówna.

Szymek zamyślił się, ale nie powiedział ani słowa. Jedynie zapytał Hankę:

– Ale mam go pani oddać?

Pogłaskała go po głowie i odparła:

– Przecież to już jest twój pies...

Pociąg, którym podróżowały Alicja z Olgą, wypełniony był po brzegi niemal przez całą drogę z Moskwy do Brześcia. Jedni wsiadali, to w Mińsku, to w Smoleńsku, inni znowu wysiadali. Wśród pasażerów było wielu żołnierzy, którzy kończyli służbę i wracali do domów albo dopiero ją zaczynali i jechali do swoich jednostek. Po kilku miesiącach tułania się od obozu w Kołymie dopiero pierwszy raz kobiety znalazły się w cywilizowanym środku lokomocji. I wyglądały jak normalne Rosjanki. Co prawda ich stroje były bardzo skromne, jednak po waciakach i podartych łachach jawiły im się niczym ekskluzywne odzienia.

Dokumenty od Tatiany były doskonałe, ale oprócz pracowników dworca w Moskwie nikt ich nie sprawdzał. W pociągu był zbyt duży ścisk i konduktor, jeśli udało mu się przedrzeć przez tłum, jedynie zerkał na bilety podróżnych, po czym pchał się dalej, by dotrzeć do kolejnych wagonów. Liczne pakunki, plecaki wojskowe, a nawet kosze z drobiem skutecznie blokowały dostęp pracownikom kolei i przedstawicielom władzy. Było to na rękę kobietom i nawet nie przeszkadzał im zapach kurzych odchodów i spoconych ciał żołdaków, a także brak toalety.

Przy dłuższych postojach w polu czy w lasach ludzie wylegali na zewnątrz, by załatwić szybko swoje potrzeby fizjologiczne, po czym szybko wracali do wagonów i zajmowali najlepsze miejsce z możliwych. One także musiały dwa razy skorzystać z wizyty pod krzaczkiem, w przeciwnym razie nie wytrzymałyby, bowiem podróż do Brześcia trwała ponad dobę. Natalia często płakała, zapewne z nudów, ale nie była jedynym dzieckiem, które w ten sposób okazywało niezadowolenie.

Olga i Alicja siedziały ze ściśniętymi żołądkami i zastanawiały się, kiedy uda im się cokolwiek zjeść. Nie miały kartek żywnościowych, a na zakupy na bazarach nie posiadały środków, bo wszystkie pieniądze zostawiły w Moskwie. Większą część oddały Tatianie, a za resztę kupiły bilety na pociąg i mleko od jednej staruszki, która niemal ogołociła je do zera. W kieszeniach zostało im trochę kopiejek, ale miały dokupić jedzenie dla Natalii, więc one musiały być głodne. Gdy ktoś wyjmował pajdę chleba albo kawałek słoniny czy wędzoną rybę, zerkwały na siebie i przełykały ślinę, bo od poprzedniego dnia nie miały nic w ustach. Olga niejedną raz nawiązywała przyjazną konwersację w nadziei, że któryś ze współpasażerów zaproponuje poczęstunek, ale zdarzyło się to tylko raz i zostały obdarowane dorodnymi jabłkami, które pożarły wraz z pestkami i ogryzkami.

– Ten człowiek w okularach powiedział, że w Brześciu jest pełno radzieckiego wojska. I podobno strasznie trzepią na granicy z Polską. Mówił też, że miejscowi to przez zieloną przechodzą, ale też trzeba uważać. Albo na wojsko, albo na polskich partyzantów – szepnęła Olga do ucha Alicji.

– Dokumenty mamy niby w porządku – bez przekonania powiedziała Rosińska, ale wystraszyła się nieco. Chyba nie darowałyby sobie, gdyby tak blisko domu spieszyła sprawę i została kolejny raz zatrzymana.

– Ale są na nasze prawdziwe nazwiska. A wiadomo, co Kaganowskiemu do łba strzeliło? A może nadał na posterunek i zanim się wytłumaczysz, to... Lepiej nie



ryzykować. Jeszcze zaczną się za mocno przyglądać tym naszym papierom – szeptała Olga.

– Mam nadzieję, że jedyne, co mu strzeli do łba, to pocisk. Ale masz rację, z nimi nigdy nic nie wiadomo. Dojedziemy do Brześcia i rozeznamy się. Tylko, cholera jasna, już groszem nie śmierdzimy, a za darmo to mogą co najwyżej na nas donieść.

Były tak przerażone, że ich wędrówka zakończy się fiaskiem, iż zaczęły wyobrażać sobie wszystkie możliwe kataklizmy, jakie mogą je spotkać, łącznie z czekającym na nie w Brześciu zniechęconym Stiepanem Kaganowskim.

Alicja nie miała pojęcia, dlaczego właśnie w tym momencie, gdy była tak blisko Polski, stała się taka lękliwa. Podróżowały z obcymi ludźmi, niekiedy łodziami, które sprawiały wrażenie, jakby miały się rozlecieć. Spotykały dziwnych, niekiedy milczących mężczyzn albo przeciwnie – rozgadanych, rozochoconych alkoholem. Sypiały pod pokładami barek, gdzie cuchnęło przegniłymi warzywami albo smarami. Przykryte brudnymi derkami, modliły się o zdrowie Natalki i o własne życie, bo nie miały pojęcia, na kogo trafiały, przechodząc z jednego statku czy barki na drugi. Jadały niewiele, chowały się przed każdym, kto miał mundur, i wydawało im się, że ta podróż nigdy nie dobiegnie kresu. Jedyne dokumenty, które miały, to druki zwolnień z obozu i pismo z sądu, które po takim czasie były pogniecione, poplamione i – jak się okazało – wcale nieprzydatne. Pokazywały je każdemu, kto chciał na nie rzucić okiem, ale i tak na końcu pojawiała się jedno pytanie: „Dziengi?”

Były takie chwile, gdy Alicja chciała się poddać i zobojętniała na otaczający ją świat. Z mściwą satysfakcją myślała wówczas, że co prawda zginie, ale nie z rąk Kaganowskiego. Jakże ona go nienawidziła, jak okrutnie mu złorzeczyła... Nie pamiętała, kiedy ostatnio żywiła do kogoś tak straszne uczucia. Jednak los każdego dnia okazywał jej łaskawość. Ponieważ żyła ona, jej córka i Olga. Iwanowna, choć też niekiedy bliska załamania, budziła się jednak następnego dnia z nową porcją sił i powtarzała, niczym mantrę, że w końcu jest wolna. Snuła marzenia i dziękowała Alicji, że ta zechciała zabrać ją ze sobą.

Wysiadły w Brześciu i ruszyły w stronę wyjścia ze stacji. W istocie kręciło się wielu radzieckich żołnierzy, którzy gwizdami i cmokaniem zaczepiali idące kobiety, bez względu na ich wygląd. Z pewnością żołnierskie życie w celibacie dało im w kość, dlatego oglądali się za niemal każdą spódnicą.

Alicja czujnie przyglądała się żołnierzom w nadziei, że napotka polski mundur i w końcu będzie mogła normalnie porozmawiać i rozeznac się w sytuacji. Miała nadzieję, że gdy to nastąpi, nie polecą do władz, by sprawdzono ich rodaczki.

I w końcu zobaczyła grupkę polskich żołnierzy, palących papierosy, a niedaleko tłum cywili z bagażami, walizkami i innymi dobrami. Ze zdumieniem i radością usłyszała, że zgromadzeni ludzie także mówią po polsku.

– Jak to nas nie wypuszczą?! – krzyknęła jakaś kobiecina z dzieckiem. – Przecież wpisali nas na listę repatriacyjną. A teraz znowu nas zwodzą?

Do kobiety dołączyli inni. Żołnierze bezskutecznie próbowali zapanować na tłumem i w końcu któryś z nich gromkim głosem powiedział:

– Na razie pierwszeństwo mają ewakuowani z dalszych części Związku Radzieckiego. Niekiedy mają za sobą tydzień podróży albo i lepiej. Wy możecie powrócić do siebie i poczekać na decyzję komitetu.

Ktoś znowu zaczął wyklinać, jeszcze inny oświadczył z przekonaniem:

– Przecież jak wszyscy wyjadą, to tu się pusto zrobi jak po epidemii cholery. Nie puszczą nas wszystkich, ale ja się nie ruszam. Może tych, co koczują na dworcu, będą chcieli się pozbyć i uda się.

– To my też się nie ruszamy! – krzyknął ktoś.

– Rozejdźcie się. Ci, co będą mogli opuścić Białoruś, dostaną wezwanie – próbował uspokoić sytuację żołnierz.

Alicja przecisnęła się przez tłum koczujący na dworcu w Brześciu i podeszła do rzutkiego żołnierza, który pilnował porządku. A wszystko dlatego, że usłyszała o ewakuacji Polaków z dalekich zakątków Związku Radzieckiego.

– Żołnierzu... – próbowała przekrzyczeć tłum. – A gdzie mają się zgłosić ci, co z łagrów wracają?

– Dokumenty macie? Bo tu już było wielu takich, co to się chcieli podszyć i do Polski nielegalnie wjechać – powiedział ostro żołnierz.

Alicja wysupłała z tobołka dokumenty zwolnień z obozu oraz decyzję sądu i podała dokumenty polskiemu żołnierzowi, mając nadzieję, że w końcu się na coś przydadzą, a ona nie będzie musiała już płacić za podróż. Młody mężczyzna omiół wzrokiem papiery, podejrzliwie spoglądał na te dotyczące Olgi, z uwagi na rosyjskie nazwisko, ale w końcu mogła pochodzić z mieszanej rodziny i nie jemu było rozstrzygać pewne kwestie. Alicja miała nadzieję, że nie poprosi o dokumenty tożsamości, bowiem Olga miała paszport francuski, co kolejny raz skomplikowałoby sprawę.

– A dowód to panu oficerowi trzeba pokazać? – zapytała przymilnie.

– Jaki tam ze mnie oficer. – Prychnął i dodał: – Tutaj większość nie ma dokumentów, tylko kwity z radzieckich urzędów albo z łagrów. Przejdźcie do tamtej grupy, dostaniecie zupełę. Pociąg przyjedzie za dwie godziny. Do Lublina jedzie, a tam już was pokierują.

Przecisnęły się przez tłum repatriantów, których mimo posiadanych pozwoleń nie chciano wpuścić do Polski, i Alicja znalazła się wśród swoich, rodaków, którzy wracali z różnych zakątków Związku Radzieckiego. Nareszcie była wśród swoich i teraz to ona mogła służyć Oldze jako tłumaczka i przewodniczka.

Zupa była wodnista, z kawałkami ziemniaków, ale dla nich ów cienki posiłek okazał się zbawienny. Nakarmiły Natalię i same się posiliły. Alicja czuła ciepło rozchodzące się po jej żołądku i to drugie – w sercu. Tylko dwie godziny dzieliły ją od tego, by mogła powiedzieć na głos, że jest w domu. Przestała się bać, chociaż ta podróż ją wykończyła. Być może mogła pewne sprawy załatwić inaczej, ale skąd, u licha, mogła wiedzieć o akcjach ewakuacyjnych. Nie miała o tym pojęcia, bo tam, na dalekiej Kołymie, była w innym świecie.

\*\*\*

Gdy wysiadły na dworcu w Lublinie, Alicja przytuliła Olgę i westchnęła:

– Olga, udało się... Cholera jasna, udało się i jesteśmy wolne.

– I co teraz? – zapytała Iwanowna, która w przeciwieństwie do Alicji poczuła się teraz niepewnie, słysząc obcy język i nie mając pojęcia, co powinny teraz zrobić.

– Teraz to mamy już blisko do Chełmic. Być może moja rodzina już powróciła do domu, a jeśli nie, to na pewno ktoś nam pomoże. A potem pojedziemy do Warszawy i stamtąd wyślemy cię w dalszą podróż. W Warszawie jest mój syn, Sergiusz...

Alicja była bliska łez. Wzruszenie i radość ścisnęły ją za serce i miała nadzieję, że pewnego dnia ostatnie trzy lata będą jedynie złym snem.

Jesienna aura sprzyjała melancholii. Dotychczas Szymek nie zwracał uwagi na pogodę, ale teraz musiał w jakiś sposób usprawiedliwić swoje przygnębienie. Po pewnym czasie oprócz szkoły i zajęć w garkuchni zaczął śledzić procesy nazistowskich zbrodniarzy w nadziei, że któregoś dnia ujrzy nazwisko „Szmaty”, który zamordował Noemi. Niestety, na żadnej liście, do której miał dostęp, nie było nazwiska tego potwora, Josepha Ripkego.

Korciło go, by pójść na proces Renate Zoll. Dotychczas nie chciał tego robić, ale historia tej kobiety i jej związku z Lewinami robiła się podejrzana. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie został przez Renate wykorzystany. Przypomniawszy sobie, jak wypytywała go o Hankę Lewin i gdy wysłała go z koszem wiktuałów do szpitala Dzieciątka Jezus. Coraz częściej dochodził do wniosku, że jakkolwiek on był głupim gówniarzem, który każde życzliwe słowo brał za dobrą monetę i objaw sympatii, to pan Emil był cwany i miał nosa do ludzi. Musiał wiedzieć o sprawkach Renate Zoll albo przynajmniej domyślać się, że na Pawiej nie pełniła funkcji dekoracyjnej. A może nie była taka zła? Może współpraca Lewina z gestapo była bardziej niewinna, niż sądził? Cały czas bił się z myślami, gryzł się i nie wiedział, co ma myśleć o panu Lewinie. Jego siostra, Hanka Lewin, znała historię Renate, nawet poszczuła ją Ziutkiem, a jednak wybaczyła bratu. Może w tym tkwił klucz do spokoju ducha – w przebaczeniu?

Najpierw nie chciano go wpuścić do sądu, a potem na salę. Uciekł się do niewinnego kłamstwa i wraz z tłumem gapiów przemknął do pomieszczenia, gdzie odbywała się rozprawa Renate Zoll. Stał w kącie, tuż pod oknem, koło mężczyzny, który najpewniej był dziennikarzem, bo notował wszystko skrupulatnie. Słuchał zeznań świadków jedynie przez godzinę, po czym wybiegł na ulicę, potrącając stojących przy ścianach ludzi, strażnika przy drzwiach wejściowych, a potem przechodniów. Zatrzymał się dopiero za załomem budynku i zaczął łapczywie łapać powietrze. Miał ochotę wymiotować, ale opanował się. Usiadł na jakimś pogruchotanym murku i mimo zimna nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Nie mógł pojąć, jak panna Zoll mogła robić takie rzeczy. Bez względu na to, kim była. A najgorsze było to, że z powodu jego chęci zemsty na „Szmacie” zginął inny człowiek. Sanitariusz ze szpitala, któremu zaniósł kosz z wiktuałami. Mężczyzna, który był oskarżony wraz z Renate, niejaki Lener, szczegółowo opisał, co na jej wyraźną prośbę zrobił z pokiereszowanym przez nią sanitariuszem. Szymek pomyślał, że choć nie chciał, jednak przyczynił się do czyjejś śmierci i było mu z tego powodu bardzo smutno.

A co z panem Lewinem? Ten człowiek krył w sobie wiele tajemnic i Szymek nie był pewien, czy chciałby je wszystkie poznać. Jednak z każdym dniem rosło w nim dziwne poczucie, że powinien to uczynić. Chyba dlatego, że panna Magdalena i pan Emil planowali ślub. Czuł się w obowiązku, by wyznać prawdę panie Walewskiej, zanim ta przysięgnie panu Emilowi w kościele dożgonną miłość, ale powoli tracił orientację, czy to, co wie, jest prawdą, czy jedynie domysłami. Przecież pan Lewin już kilka razy go okłamał, a jednak niekiedy robił dla niego rzeczy godne naj-

wyższego uznania.

Szymon nie powrócił do domu, tylko udał się na Kercelak i odszukał jedną z bud, w której handel prowadził pan Franek. On znał Lewina najlepiej i chłopak miał nadzieję, że powie mu coś o nim. Franek bardzo się ucieszył, gdy zobaczył Szymka, bo miał wiele serca dla tego odważnego i niepokornego dzieciaka, a ostatnio ich drogi się rozeszły. „Diamentowa Rączka” był przekonany, że chłopak daleko zajdzie, bo był ambitny i samodzielny.

– A kogóż to moje piękne patrzyły widzą! – krzyknął jowialnie i wyciągnął dłoń w kierunku Szymka.

– W odwiedzinie do pana Franka przyszedłem – bąknął chłopak.

– A ty browarka to już możesz golnąć czy nie teges? – zapytał Franek.

Szymek pokręcił przecząco głową, ale nie chciał rozmawiać z panem Frankiem przy budach, więc rzekł:

– Ale pierogi u Paciorkowej to bym wtrząchnął.

– To będziesz pędzłował pierogi, a ja chlapnę jednego, bo mnie suszy jak Araba na Saharze.

Franek poklepał Szymka po ramieniu, po czym powiedział kilka zdań do swoich kompanów i ruszyli w kierunku drewnianego baraku, szumnie nazywanego Barem u Basi. W środku stało kilka stolików i krzeseł – jak to Franek mówił – „każde z innej parafii”, ale apetyczny zapach jedzenia niwelował niedostatki.

– Widzisz, jak się Paciorkowa wyżarła? Pamiętam, jak w czterdziestym piątym pod gołym niebem zupę warzyła i z jednej miski kilka osób jadło. Za stoliki robiły stosy cegieł, ale nikt gitary nie zawracał, tylko wcinali, aż im się uszy trzęsły – wspominał Franek i zajął jeden z wolnych stolików, na którym położył swoją szarą budrysówkę.

Zamówili przy skleconej z desek ladzie posiłek i piwo, po czym wrócili do stolika. Franek wypytywał o różne rzeczy Szymka, o szkołę, przyszłość i dziewczyny.

– E tam, nie jedna Zosia na świecie, a ty od razu grób i mogiła. Przy jednej dziurze to i mysz zdechnie... – Franek zamilkł, bo nagle zreflektował się, że chyba nie powinien rozmawiać jeszcze z Szymkiem jak z dorosłym.

– Panie Franku... – powiedział cicho chłopak – bo ja do pana to ze sprawą przychodzę.

„Diamentowa Rączka” nachylił się nad stołem i zapytał konspiracyjnym szeptem:

– Zielone potrzebujesz? Ruskie złoto masz na zbyciu czy ci upłynnić jakie fanty?

– Nie, nie potrzebuję pieniędzy. Jak się wyuczę na papugę, to będę normalnie zarabiać, już nie chcę tak jak kiedyś. Ale ja nie z tym, panie Franku, przychodzę, tylko mnie jedna rzecz uwiera jak za ciasne gacie. Jak jeszcze mieszkaliśmy na Pradze razem, to do pana Lewina jeden taki Rosjanin przylazł. Gadał po polsku, ale zaciągał gorzej jak ci zza Buga. Podśledzałem trochę, no i ten Rusek nawijał, że pan Lewin to na gestapo na Polaków donosił. I tak mnie to nie daje spokoju, bo że miał dobre układy z nimi, to nie była żadna tajemnica, ale co innego interesa robić, a co inne kapować. – Szymek był nieco zawstydzony, że wypytuje pana Franka o swojego opiekuna i mentora.

– Słuchaj, Szymek, ja ci powiem jedno: Lewin to może był lepszy frant, ale

ciebie to kochał bardziej jak swojego syna. Jak żeś żurawia zapuścił do getta i przepadł, to Emil z jakąś starą pukawką poszedł cię szukać. A po powstaniu to codziennie pod waszą kamienicą się kręcił i na ekshumacje łąził, żeby sprawdzić, czy cię szkopy do parku sztywnych nie wysłali – powiedział Franek.

– Ja to wiem wszystko i wdzięczny jestem panu Lewinowi, że mi nie dał z głodu zdechnąć albo z pejsakami w kanałach, ale chciałbym wiedzieć, bo ciągle do mnie jakieś informacje dochodzą, a ja nie wiem, czy to prawda. – Szymek mówił niemal błagalnym tonem.

Franek zawahał się. Znał wiele grzechów popełnionych przez Lewina, nie chciał jednak psuć chłopakowi tego idealnego wizerunku swojego kumpla.

– A ty, Szymek, to myślisz, że Lewin to był taki akuratny do zwierzeń jak panna w przyklasztornej szkole? No gdzie tam... Nawet jak ma co na sumieniu, to ja tam nic nie wiem. Z Niemcami dobrze żył, to prawda, ale to nie kryminał przecież. Więc daj sobie spokój, bo lepszego opiekuna od Lewina to ty nie znajdziesz.

Chłopak jeszcze próbował ciągnąć za język Franka, dopytując się o pannę Zoll, Bronkę i Adriannę, ale „Diamentowa Rączka” na wszystko miał usprawiedliwienie dla Lewina. Mimo wszystko jednak Szymek myślał, że nie jest prawdą, co kiedyś mu powiedział pan Lewin. Tłumaczył mu wówczas, że nieważne, jaki ktoś jest dla innych, istotne, w jaki sposób traktuje najbliższych. Ale dla Szymka, im był starszy, tym większe miało to znaczenie. Albo ktoś był szubrawcem, albo przyzwoitym człowiekiem, i trudno mu było myśleć ciepło o panie Zoll po tym, co usłyszał na sali sądowej.

Ordynator stanął przy łóżku Łyszkinina i powiedział z sarkazmem:

– Ktoś się bardzo o was martwi. Zapewniam jednak, że robimy wszystko, co tylko możemy.

– Tak, wiem, doktorze, ale Oleg to lekarz, którego znam od lat. Rozumiecie? – Igor wiedział, że dyplomacja nie należy do najmocniejszych stron w jego resorcie i zapewne osoba, która łączyła ordynatora z doktorem Litwinienką, po prostu wydała rozkaz przekazania niezbędnych informacji.

– Jeśli sobie życzyacie, możemy was wysłać pod Moskwę, ale nie ukrywam, że w waszej sytuacji to nie najlepszy pomysł. – Ordynator wciąż był nieco urażony, że Igor nie uwierzył w jego kompetencje.

– Nie gniewajcie się, doktorze. Moi pewnie chcieli się także dowiedzieć, czy nie symuluję za bardzo.

Łyszkinowi było głupio i chciał obrócić całą sprawę w żart, bo w istocie personel szpitala zajmował się nim wzorowo. Jednak Igor szukał każdego dostępnego sposobu, by nie stracić nogi. Będąc w Ameryce, często myślał o tym, żeby zostać kaleką, byleby go już nie wysyłali na żadne misje, ale, do licha, gdy widmo takiej sytuacji było bardzo blisko, w panice wręcz bronił się przed amputacją.

– Aha... Uratujemy waszą nogę, ale wciąż pozostaniecie u nas na obserwacji i oczywiście nie rezygnujemy z antybiotyków. Myślę, że za dziesięć dni, może dwa tygodnie, będziecie mogli spróbować zrobić kilka kroków – mruknął lekarz i odwrócił się na pięcie.

– Doktorze... – powiedział ze ściśniętym gardłem Igor. – Dziękuję. Z całego serca.

Po wyjściu lekarza położył dłonie pod głowę i uśmiechnął się do siebie, szczęśliwy.

– Gdybyś istniał, Boże, to bym ci teraz podziękował – powiedział do siebie po cichu, po czym wezwał pielęgniarkę i poprosił, by kolejny raz umożliwiła mu wykonanie telefonu.

\*\*\*

Hanka wychodziła z hotelu, gdy podszedł do niej mężczyzna w eleganckim płaszczu i pomachał jej przed nosem legitymacją Urzędu Bezpieczeństwa. Struchlała i miała wrażenie, że zemdleje, zwłaszcza gdy ów mężczyzna poprosił ją, by wsiadła do stojącego przed hotelem samochodu. Miliony myśli przebiegały jej przez głowę, łącznie z tą, że obawy związane z powrotem do Polski były jak najbardziej uzasadnione. Potem zaczęła się zastanawiać, czym naraziła się nowej władzy i już miała powołać się na znajomość z Bierutem, czym niespecjalnie lubiła się chwalić, gdy mężczyzna powiedział do niej:

– Jedziemy do szpitala MON, na Koszykową. Ktoś z waszych znajomych czeka tam na was.

Lęk nieco ustąpił i zamienił się w zdziwienie. Jedyne ludźmi, jakich znała w Warszawie, byli Emil i Sergiusz. Tego drugiego nie podejrzewała o pobyt w resortowym szpitalu, pozostał więc brat, ale nie miała pojęcia, co mogło mu się stać.

W grę wchodził wypadek, bo Emil czuł się znakomicie, gdy widziała go ostatni raz. A było to całkiem niedawno.

– Czy chodzi o Emila? – zapytała niepewnie.

– Dowiedcie się na miejscu – odpowiedział mężczyzna.

Hanka znowu zaczęła się bać, bo nie miała pojęcia, ani o kogo chodzi, ani o co. Po wejściu do gmachu mężczyzna jedynie machnął ręką do dyżurującego strażnika i ruszyli na pierwsze piętro.

– Tutaj was zostawię. Sala numer cztery, ostatnia po prawej stronie. Do widzenia. – Mężczyzna uklonił się i zbiegł po schodach.

Lewinówna weszła niepewnie na oddział i zaczęła iść w kierunku wskazanej sali. Nikt jej nie zatrzymywał ani o nic nie pytał. Dla personelu osoba, która znalazła się już na oddziale, musiała mieć do tego uprawnienia, dlatego nikt nie zainteresował się Hanką. Zapewne mieli dużo pracy i nie zwracali uwagi na kręcących się odwiedzających.

Stała w drzwiach i nie była w stanie zrobić kroku dalej. Dotknęła dłońmi policzków, co było oznaką radosnego zdziwienia i pokręciła przeczącą głową, jakby nie wierzyła własnym oczom.

– Nie przywitasz się ze mną, moja piękna? – powiedział Igor ze śmiechem, widząc skonsternowaną minę Hanki.

– Boże, Igor... – Lewinówna podeszła do łóżka i chwilę potem zatrwożyła się. – Co ci jest? Coś poważnego?

Łyszkin machnął ręką.

– Małe draśnięcie, nic mi nie będzie – bąknął lekceważąco, chociaż jeszcze kilka godzin wcześniej niemal umierał z niepokoju, że może zostać pozbawiony nogi. – Lepiej powiedz, co ty tutaj robisz?

– Wróciłam, żeby poczekać na ciebie i na to nasze wspólne życie, które mi obiecałeś w Los Angeles – skłamała.

Przekręcił głowę, kompletnie nie wierząc w taki motyw, i postanowił pierwszy zdobyć się na szczerłość.

– Tak naprawdę to wpadłem, oberwałem solidnie i jeszcze dzisiaj rano nie byłem pewny, czy będę miał obie nogi. No, a teraz ty powiedz prawdę. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Tomasz chciał mi zabrać Nadię, a nawet miał na to duże szanse, więc nie czekałam na katastrofę, tylko uciekłam do Polski, bo tutaj za nami nie przyjedzie. – Hanka także się uśmiechnęła, ale odwróciła, zawstydzona, głowę, że próbowała oszukać Łyszkiną.

– Od dzisiaj żadnych tajemnic. – Puścił do niej oko i dodał: – Teraz już może przyjechać. Tak mu porachuję kości, że będzie musiał wracać do Londynu na leżać.

– Kochany, piękniejszych słów nie mogłam od ciebie usłyszeć. Wiedziałam, że kochasz Nadię jak własną córkę. – Hanka roześmiała się znowu.

– W końcu pomogłem jej przyjść na świat.

– Ty jedynie panikowałeś, poród odbierał Mosel, ale to też było słodkie.

– Hanka, jakże ja się cieszę, że tutaj jesteś. Bez względu na motywy. Jak tylko stąd wyjdę, to... – Już chciał powiedzieć, że ożeni się z nią, ale w świetle prawa wciąż był żonaty.

– To ożenisz się ze mną? – zapytała nieco niepewnie.



– Nie ożenię się z tobą, ale będę przy tobie i dzieciach, dopóki nie upewnię się, że mogę to zrobić – powiedział ze smutkiem, obawiając się, że sprawi przykrość swojej ukochanej.

– Wiesz, Igor, nie miałam szczęścia do mężów. Jeden okazał się draniem, a drugi mi umarł. Może lepiej będzie, jeśli tym razem podejść do tego z rozwagą.

Hanka była zupełnie spokojna i w istocie to, czy na papierze będzie żoną Igora, kompletnie nie miało dla niej znaczenia. W jej sercu Łyszkin zawsze nim był.

– Draniem już jestem, ale rzeczywiście nie byłoby dobrze, gdybym przedwcześnie umarł – zażartował.

– I co teraz? – zapytała Lewinówna i chyba pierwszy raz zadała to pytanie, nie obawiając się odpowiedzi.

– Jak tylko wyjdę ze szpitala, zaczniemy urządzać nasz dom. I wiesz co, cholernie jestem szczęśliwy, że wiem, co teraz – powiedział cicho.

– Ja też... I mam przeczucie, że teraz nie będzie już w naszym życiu takich burz, a jedynie spokój. Już nie marzę o fajerwerkach, strzelających korkach od szampana, limuzynach i brokatowych sukniach, a jedynie o spokoju. Chcę się w niego zanurzyć i trwać w nim tak długo, jak to tylko możliwe – westchnęła.

– E... Pani Lewin, sam Bierut złożył hołd twojemu talentowi, nie rób z siebie takiej szarej myszki. – Łyszkin roześmiał się i dodał: – Przyjdź jutro z dziećmi, stęskniłem się za nimi. A jak wyjdę, to zajmę się kwestią mieszkania dla nas.

Hanka pokiwała głową, posiedziała chwilę, ale niezbyt długo, bo pojawiła się pielęgniarka i zarządziła zmianę opatrunku. Pożegnała się z Igorem i powiedziała, wychodząc:

– A klucze od mieszkania odbieram za tydzień.

Uśmiechnął się i zwrócił się do pielęgniarki:

– Posiadanie sławnej żony ma jednak swoje zalety.

– Nie miałam pojęcia, że Hanka Lewinówna to pańska żona – zdziwiła się pielęgniarka.

– Od bardzo dawna... od bardzo dawna – wyszeptał Igor i zacisnął zęby, bo zmiana opatrunku nie była niczym przyjemnym.

Dla Alicji przebycie kilkudziesięciu kilometrów różnymi środkami transportu wydawało się niewinną igraszką w porównaniu z tym, co przeszły we trzy, przemierzając bezkresne połączenie Związku Radzieckiego. A może to radość, że jest tak blisko domu, sprawiła, iż nie czuła zmęczenia i nawet niesienie Natalii nie było męczące?

– Daleko jeszcze? – jęknęła Olga.

Alicja zatrzymała się i postawiła córkę na ziemi. Uśmiechnęła się i wskazała dłonią zabudowania rozciągające się w niewielkiej dolinie.

– To Chełmice. Tutaj się urodziłam, tutaj zakochałam się i w tym miejscu urodziły się moje marzenia o karierze – powiedziała ze łzami w oczach.

– Spełniło się któreś? – zapytała Olga.

– Tak, chociaż inaczej, niż to sobie wyobrażałam. No i nie przewidziałam, że życie tak bardzo da mi w kość...

– Moje się nie spełniły. Ani jedno, dlatego wierzę, że wszystko przede mną.

– Przede mną też, bo teraz mam już inne marzenia. – Alicja roześmiała się i trzymając za rękę Natalię, powoli ruszyła przed siebie.

Patrzyła na swoje Chełmice zupełnie innymi oczami. Była już dorosła i popełniła wiele błędów, ale nie żałowała żadnego z nich, bo każda porażka ją czegoś nauczyła. Jednak było w niej coś, co nie zmieniło się przez lata. Tak samo, jak wtedy, gdy z głową pełną planów ślepo wierzyła w ich realizację i walczyła o swoje marzenia, tak i dzisiaj była gotowa wciąż bić się o swoje szczęście. Być może nie była już tak zachłanna na życie, jak niegdyś, ale wciąż uważała, że ten świat nie jest stworzony dla słabeuszy.

Minęły dworek w Chełmicach, który nie pysznił się jak wiele lat temu, ale stał zaniedbany i jakby zapomniany przez właścicieli. Kiedyś, gdy go mijała, czuła przyspieszone bicie serca, bo tam był jej ukochany. Idealny mężczyzna. Niestety, z tej miłości już nic nie pozostało. Jedynie wspomnienie i jakaś nieuchwytna nostalgia za młodością, która już minęła i nigdy nie powróci. Weszły na Wierzbową Drogę i podążyły w kierunku miasteczka. Alicja usiłowała rozpoznać stojące chałupy, miejsca, gdzie bawiła się z dziećmi, i ścieżki, którymi podążały z Hanką nad stawy, by plotkować o mieszkańcach Chełmic i wzdychać do swoich pierwszych miłości, traktując każdy gest wybranków za dobrą monetę.

Od czasu do czasu mijały furmanki i jakichś ludzi idących ze sprawunkami, ale Alicja nie rozpoznała nikogo. W końcu dotarły do jednopiętrowego budynku, w którym dziadek Broniek miał warsztat. Miała nadzieję, że zostanie w domu wszystkich i babka Alutka poczekała na nią, zanim wybierze się na tamten świat. Weszły po skrzypiących schodach i stanęły przed drzwiami mieszkania. Alicja przez chwilę wsłuchiwała się w dźwięki radia dobiegające z jej rodzinnego domu i zapukała. Otworzyła jej Michalina, która popatrzyła na nią z przerażeniem.

– Mamusiu... – jęknęła Alicja i w tym momencie drzwi zamknęły się z hukiem tuż przed jej nosem.

– Mówiłaś, że się ucieszą... – powiedziała niepewnie Olga.

– Co jest, do cholery? – mruknęła Alicja i tym razem załomotała pięściami.

Tym razem drzwi otworzył dziadek Bronek.

– Alicja? – wyszeptał. – To naprawdę ty?

– Boże, dziadku, no pewnie, że ja. Tak bardzo się zmieniłam? Możemy wejść? – zapytała z trwogą.

– Tak, oczywiście, wchodźcie, wchodźcie. – Dziadek sprawiał wrażenie oszłomionego i w końcu wydukał: – Przecież ty nie żyjesz...

– Żyję, dziadku, żyję. – Roześmiała się i przytuliła do staruszka, który nagle zaczął szlochać jak dziecko: – A to moja przyjaciółka z łagrów, Olga, i moja córka, Natalia.

– Przepraszam, córeczko, przepraszam... Myślałam, że z tej rozpaczki już mam przywidzenia i widzę ducha. – Michalina obłapywała Alicję, to znowu delikatnie szczypała, żeby sprawdzić, czy naprawdę to jej córka zawitała do domu, czy też nęka ją jakaś mara.

– Na miłość boską, o czym wy mówicie? Już mnie pochowaliście?

– Żebyś wiedziała – mruknął dziadek i spojrzał porozumiewawczo na Michalinę.

– Ja wiedziałam, że ona zawsze dotrzymuje słowa. – Alutka otarła chustką łzy, by chwilę potem powrócić do równowagi. – Bronek, leć na pocztę, nadaj telegram do Sergiusza, żeby nie zdążył do tej całej Anglii prysnąć. Niech przyjedzie po Alicję. I broń Boże, nie pisz, o co chodzi, bo się chłop jeszcze po drodze gdzie do rowu wpasuje.

– To co mam mu napisać? – jęknął dziadek.

– Że jestem umierająca i chcę się z nimi pożegnać. No już, idź, bo urząd zamkną – prychnęła i powiedziała do Michaliny: – Zajmij się tą panią i jej dzieckiem.

Alicja próbowała się dowiedzieć, o co chodzi, gdy w końcu podsunęli jej pod nos akt zgonu podpisany ręką Stiepana. A zatem w ten sposób załatwił sprawę, by zatrzymać ją w obozie i jednocześnie nie narazić się władzy. W końcu nazwisko generała musiało budzić respekt. Pozbawiając ją życia na papierze, pozbywał się problemu.

– Niech cię piekło pochłonie, Stiepanie – syknęła pod nosem Alicja.

W tym czasie wykończona podróżą Olga zdążyła zjeść zupę i tak jak stała, padła na tapczan i zasnęła, a obok niej mała Natałka.

To całe zamieszanie nagłym zmartwychwstaniem Alicji sprawiło, że nikt nie usłyszał, gdy powiedziała, iż Natalia jest jej córką. Wszyscy byli przekonani o tym, że Olga Iwanowna była matką małej, więc nikt nie pytał o Natalię.

– Jak to mam grób? Taki prawdziwy? – jęknęła Alicja.

– No przecież myśleliśmy, że nie żyjesz – bąknęła Michalina. – Jutro pójde do księdza i każe grabarzom usunąć.

– Zostaw – powiedziała Alutka. – Przecie ja niedługo się wybieram na tamtą stronę, to będzie jak znalazł. Nawet tabliczki nie trzeba będzie zmieniać, tylko datę się poprawi.

Michalina przeżegnała się.

– Co też mama wygaduje? Mama to nas wszystkich przeżyje – westchnęła, ale postanowiła, że te kwestie załatwi później.

Kiedy pierwsze emocje opadły, a rodzina powróciła do względnej równowagi, Alicja postanowiła opowiedzieć o Natalii.

– Ta dziewczynka to moja córka – wyszeptała.

Babka i matka zamilkły, zapewne dlatego, że odjęło im mowę.

– Czy za każdym razem, jak się zjawiasz, musisz jakiegoś dzieciaka przywozić? – zapytała babka po kilku minutach milczenia.

– Tym razem urodziłam ją, a nie przygarnęłam – bąknęła Alicja.

Kolejny raz nastąpiło niezręczne milczenie.

– Zaraz, zaraz... – odezwała się zatrwożona Michalina. – Ale żeby dzieciaka urodzić, to trzeba dwojga do tego, a ty przecież niby taka w tym Sergiuszu... A on prawie oszalał z rozpaczy.

– Jak by to powiedzieć, to stało się wbrew mojej woli... – Alicja spuściła głowę i dodała: – Ale to moje dziecko i kocham je.

Kobiety zerknęły na śpiącą dziewczynkę, jakby chciały sprawdzić, czy ma coś z Alicji, ale nie śmiały w obliczu takich faktów dyskutować o małej. Jedyne babka mruknęła pod nosem:

– Ruska swołocz. Bandyci cholerni.

Alicja nic nie mówiła, nie chcąc wracać pamięcią do tego strasznego wydarzenia. Zresztą, prawdę mówiąc, niewiele pamiętała, zmożona gorączką, a potem była niemal nieprzytomna. Uratował ją wtedy Kaganowski. Podarował jej życie, by potem wziąć je dla siebie.

– Co powiesz Sergiuszowi? – zapytała Michalina.

Kolejna osoba zadała jej to pytanie. Ale i tym razem Alicja odpowiedziała bez zastanowienia:

– Prawdę.

Sergiusz Dargiewicz powoli szykował się do wyjazdu za granicę. Robił to jednak bardzo niemrawo, zresztą jak wszystko, do czego się zabierał. Ta powolność i pewnego rodzaju nieudolność były bardzo na rękę Mateuszkowi, który wcale nie miał ochoty żegnać się ze szkołą i kolegami, a mieszkanie w wielkim, eleganckim domu w ogóle go nie fascynowało. Jedynie obietnica, że ojciec w końcu kupi mu psa, trochę go pocieszała. Tymczasem musiał się zadowolić gołębiem, którego Sergiusz przywiózł z Chełmic. Dziwnie było mieć zwierzę, które głównie lata, a tylko niekiedy przysiadła na parapecie, by podziobać wysypywane mu okruszki, i nawet nie ma klatki w ich domu.

Sergiusza połączyła z tym gołębiem dziwna relacja. Kiedy pojechał z Lewinówną do Chełmic, postanowił, że zanim pójdzie na grób Alicji, pożegna się z nią tak, jak kiedyś ona żegnała się ze swoim nienarodzonym dzieckiem. Był wtedy z nią i chyba właśnie w tym momencie zaczęło mu na niej naprawdę zależeć.

Wyszedł wówczas z domu Rosińskich i wyciągnął z samochodu klatkę z gołębiem. Specjalnie przywiózł go z Warszawy, chciał, żeby cały ceremoniał odbył się tak jak wówczas. Wierzył, że to coś pomoże, pogodzi się ze śmiercią Alicji i naprawdę przestanie na nią czekać. Zrobił, co trzeba i wypuścił na wolność gołębia, wyobrażając sobie, że wypuszcza w przestworza swoje uczucia do Alicji. Nie było to łatwe, ale w istocie zdobył się na to, by stanąć nad jej grobem. Nie płakał, nie rozpaczał, tylko towarzyszyło mu dziwne uczucie... bo przecież jej tam nie było. Stali z Hanką nad kupką ziemi, patrzyli na tablicę przytwierdzoną do krzyża i oboje byli nieco skonsternowani. To nawet nie był grób, tylko symbolicznie wbity krzyż, który miał przypominać rodzinie o jej śmierci. Nie czuł w zasadzie niczego podniosłego, równie dobrze podobną pamiątkę mógł wbić u siebie na podwórku.

Po kilku minutach udali się na groby rodziców Hanksi Lewinówny, a potem opuścili cmentarz i wsiedli do samochodu, by zabrać Mateuszka, pożegnać się z Rosińskimi i wrócić do Warszawy.

– Co jest, do cholery? – powiedział nagle zdziwiony Sergiusz.

– To gołąb – wyjaśniła mu Hanka, nie mając pojęcia, co wzbudziło w jej towarzyszu takie zdziwienie.

– No widzę, ale jego nie powinno tutaj być – jęknął.

Lewinówna wzruszyła ramionami, ale „Kary” wysiadł z furgonetki, wziął w dłonie gołębia i na powrót włożył go do klatki. Od tego dnia ten ptak bezustannie mu towarzyszył, jednak Sergiusz nie chciał trzymać go w klatce. Miał wrażenie, jakby symbolizował Alicję, a ona tak bardzo kochała wolność.

– Tato... – zagadnął Mateuszek. – A moglibyśmy po Gwiazdce wyjechać do tej Anglii? Umówiliśmy się z chłopakami, że sobie prezenty zrobimy. I ja już wymyśliłem dla Jurka taką piłeczkę ze sznurka.

– Synku, tyle razy ci mówiłem, żebyś nikomu o tym nie mówił – mruknął Sergiusz.

– Przecież nie mówię nikomu. To możemy? – obruszył się Mateuszek.

Sergiusz pomyślał, że to będą bardzo smutne święta. Obojętnie, czy zostaną w Warszawie, czy pojedą do Rosińskich albo spędzą je z jego siostrą w Londynie.

– Pewnie, nie będziemy się zimą w taką drogę pchali – powiedział „Kary”, bo w zasadzie było mu wszystko jedno.

Już miał wrócić do swoich zajęć w pralni, gdy rozległ się brzęczyk i wszedł listonosz.

– Telegram mam dla pana.

Sergiusz pokwitował i rozerwał druk, nieco podenerwowany. I miał ku temu powody, bo dziadek Broniek poprosił go o natychmiastowy przyjazd z powodu Alicji. Domyślił się, że to babka Alutka powoli żegna się ze światem i zapewne w ostatnich chwilach życia chciałaby zobaczyć swojego wnuczka. Smutno mu się zrobiło na sercu, bo uwielbiał tę staruszkę. Była charakterna, pełna humoru, a jej sarkazm działał niekiedy skuteczniej niż jakakolwiek awantura. Obie, babka i wnuczka, były tak bardzo do siebie podobne... Niekiedy, słuchając Alutki, miał wrażenie, że siedzi przed nim jego ukochana i droczy się z nim.

W pośpiechu zaczął pakować torbę i powiedział do Mateuszka:

– Jedziemy do babci, do Chełmic.

\*\*\*

Pogoda przypomniała, że zima nadchodzi wielkimi krokami, bo padający deszcz zamienił się w śnieg.

– Tato, śnieg – ucieszył się chłopiec.

– To taki marny śnieg. Zaraz zniknie albo zamieni się w deszcz – westchnął Sergiusz.

Z każdym kilometrem jechało mu się coraz ciężiej. Nie mógł jednak odpuścić sobie tej podróży, bo babka Alutka była im bardzo bliska. I gdyby nie ona, Michalina nigdy nie powierzyłaby mu opieki nad Mateuszkiem.

Wyjechali z Warszawy, gdy było już ciemno i do domu Rosińskich dotarli późnym wieczorem. Mateuszek zasnął w szoferce i Sergiusz musiał wnieść na rękach śpiącego chłopca. Zapukał do drzwi mieszkania. Otworzyła mu Michalina i chyba pierwszy raz od wielu miesięcy „Kary” zobaczył ją uśmiechniętą.

– Połóż go tutaj – powiedziała cicho, wskazując mały tapczanik.

Sergiusz zauważył, że w mieszkaniu jest jeszcze jakaś kobieta z dzieckiem. Obie już spały, podobnie jak babka i dziadek.

– Idź do warsztatu, na dół. Ktoś tam na ciebie czeka – szepnęła Michalina, wciąż się uśmiechając.

Sergiusz Dargiewicz nie miał pojęcia, co się dzieje. Babka Alutka chrapała aż miło, w mieszkaniu Rosińskich byli jacyś goście, a jego Michalina wysłała do warsztatu dziadka Bronka. Pomyślał, że pewnie przygotowano mu tam nocleg, bo mieszkanie Rosińskich było ciasne, a przecież spała w nim jeszcze ta obca kobieta. Zszedł zmęczony do pracowni i otworzył skrzypiące drzwi. Wewnątrz paliło się światło, a na małej kanapie siedziała jego Alicja, jak żywa. Stał w progu, jakby go wmurowało i zaczął się zastanawiać nad stanem swojego umysłu. Niespecjalnie wierzył w duchy i inne nadprzyrodzone istoty, ale tym razem i jego to spotkało. Po chwili otrząsnął się, ganiąc się za podobne myśli, i krzyknął:

– Alicja, moja kochana! Alicja, ja tak czułem, że ty nie mogłaś nas tak po pro-

stu zostawić. Ciągłe coś mnie prześladowało, że nie mogłaś tak po prostu...

Podszedł do niej i mocno przytulił. Ostatni raz płakał, gdy dowiedział się o jej śmierci, ale tym razem były to łzy radości i ogromnego szczęścia. Po chwili odsunął ją delikatnie od siebie, by popatrzeć na jej twarz i upewnić się, że nie jest ani snem, ani ułudą. Wyglądała nieco mizernie, ale najwyraźniej przygotowała się na to spotkanie po prawie trzech latach rozłąki, bo miała przypudrowany nos, delikatny róż na policzkach i starannie upięte włosy.

– Przepraszam, Sergiusz, że musiałeś przez to przechodzić – powiedziała cicho.

– Nie przepraszaj, przecież to nie twoja wina – wyszeptał.

– Wiem, Sergiusz, ale jak pomyślę, co musieliście czuć... – Rozpłakała się i dodała: – Mateuszek pewnie śpi, ale ja tak bardzo chciałabym go zobaczyć. Wiedziałam, że przyjedziesz od razu, po prostu wiedziałam, i czekałam na was.

Wbiegła na górę, weszła do mieszkania i uklękła przy tapczaniku, gdzie spał jej syn. Tak bardzo podrośł przez ten czas, ale wciąż miał ciemną, gęstą czuprynę, loki, jakich pewnie zazdrościła mu niejedna kobieta. Dotykała jego buzi, rączek i głaskała po włosach.

– Synku, wróciłam do ciebie, w końcu do ciebie wróciłam... – szeptała, a gorące łzy nie chciały przestać płynąć.

Tak bardzo za nim tęskniła, miłość do niego i Sergiusza była jej siłą, tak jak matczyne uczucie do Natalii. A teraz miała ich wszystkich na wyciągnięcie ręki... Wiedziała jednak, że zanim Mateuszek obudzi się następnego dnia, a Natalia wypełni dom swoim gaworzeniem, Sergiusz powinien dowiedzieć się kilku rzeczy. A potem... wtuli się w jedyne na świecie ramiona, w których pragnęła się schować.

Zeszli do pralni i wciąż trzymając się za ręce, opowiadali sobie o tym, co działo się z nimi przez te lata rozłąki. Nie kryli niczego, nawet tego, co mogło zranić drugą osobę. Oboje doszli do wniosku, że są takie sytuacje w życiu, w których żadne rozwiązanie nie wydaje się dobre. Nie chcieli kluczyć i kłamać, tylko razem przejść przez te smutne okoliczności.

– Gdybym tylko miał taką możliwość, to udusiłbym drania gołymi rękami. Alicja, zbyt wiele się nasłuchałem o łagrach. Nie wiem, czy miałaś inne wyjście, ale wierzę, że gdyby istniało, skorzystałabyś z niego. Cieszę się z twojego powrotu, że przeżyłaś, z resztą sobie poradzę. Dla mnie ważne jest to, co miałaś w sercu, choć Bóg mi świadkiem, wolę nie wyobrażać sobie... – powiedział z zaciętością w głosie, a potem dodał: – Dziękuję, że wyznałaś mi prawdę. Nigdy bym nie chciał, żebyś mnie okłamywała, bez względu na to, co się wydarzyło.

– A ta nauczycielka, ta panna Izabela, to ładna? – zapytała Alicja, mrużąc zielone oczy.

– Ładna, ale miała jedną paskudną wadę... – Uśmiechnął się.

– A jakąż to?

– Nie była tobą – odpowiedział Sergiusz, a potem zaczął rozpinąć guziki przy bluzce Alicji.

Wszystko, co mówili świadkowie poczyznań Renate Zoll w więzieniu na Pawiej, smagało Waltera niczym bat. Każde słowo było jak ostrze wbijane w jego umysł. Pozostawało w nim, odbijało się echem, a potem jakiś cichy głos śmiał się z jego naiwności. A czegoż mógł się spodziewać po strażniczce w więzieniu? Subtelności czy bezwzględności? On w głębi duszy łudził się, że jednak Renate okaże się inna, właśnie pełna delikatności, a jej proces jest pomyłką. Liczył, że oczyszczą ją z zarzutów, a on w końcu przestanie ją dzielić na Renate i Marie. Mrzonki małego chłopca czytającego bajkę, w której pocałunek był w stanie zamienić żabę w księcia. Ale on był starym koniem, a tego, czego słuchał, w żadnym razie nie można było nazwać baśnią. Przestał więc w końcu oszukiwać się jak naiwny sztubak i rozdzielać tę kobietę na dwie – tę cudowną Marie i okrutną Renate. To wciąż była ta sama osoba, nawet jeśli istniała w niej jakaś dwoistość. A może, w miarę zbliżania się nieuchronnego wyroku śmierci, zwycięży w niej ta subtelna Marie Rauch?

Myśli, które towarzyszyły Walterowi przez cały czas trwania procesu, nie tylko na sali rozpraw, ale także długo po tym, jak z niej wychodził, tłukły się w jego głowie jak oszalałe i chwilami miał wrażenie, że zwariuje. Delikatne dłonie dotykające czule jego twarzy i te same zaciskające się na skórzanej palce i tłukące drugiego człowieka, aż do nieprzytomności. Długie, zgrabne nogi, oplatające jego biodra, gdy się namiętnie kochali, i te same, ale obute w ciężkie oficerki, kopiące twarz kobiety, która wylała zupę. Oczy pełne miłości, gdy patrzyła na niego, i te same – pełne pogardy dla ludzkiego życia. Ciche jęki, gdy odczuwała rozkosz, i jęki tych, którym wyrывała obcęgami paznokcie. Wspaniałe akty miłosne i żalosne stosunki z Lenerem – oprawcą i sadystą. Piękno i brzydota uchwycone na tej samej twarzy, dobro i zło walczące w jednej kobiecej duszy. Dwie skrajności, tak różne osoby w tym samym człowieku.

Walter von Lossow nie spodziewał się po trybunale innego wyroku dla Renate Zoll i Lenera niż kara śmierci. Jednak gdy sędzia, starszy człowiek o siwej brodzie dobrotliwego Świętego Mikołaja, ogłaszał wyrok, Walter z trudem łapał oddech i wpatrywał się w Renate, by uchwycić jej reakcję. Ale jej oczy pozostały zimne, a twarz nie zmieniła wyrazu. Lener błagał o litość, wpadł w totalną histerię i bił się w piersi, żebrząc o wybaczenie, ale Renate milczała. Nawet nie płakała, tylko patrzyła w jeden punkt, jakby ów wyrok nie dotyczył jej, ale tej drugiej.

Lossow postanowił, że nie będzie żadnego wywiadu dla gazety, to było ponad jego siły, ale chciał się z nią zobaczyć, zanim zawiśnie. Pragnął ujrzeć w jej oczach tę drugą kobietę, delikatną, pełną ludzkich odruchów Marie, i taki jej obraz zapamiętać, gdy już stanie się to, co nieodwracalne.

Starania o widzenie podjął już wcześniej, ale dopiero gdy ogłoszono wyrok i Renate czekała na egzekucję, otrzymał zgodę na widzenie. Zapewne był to ostatni gest dobrej woli dla skazańca, zwłaszcza że Renate Zoll wręcz zabiegała o to spotkanie.

Miejsce, w którym przyszło im się zobaczyć ten ostatni raz w życiu, było ob-



skurne. Właściwie to była jedna z cel, przerobiona naprędce na miejsce widzeń skazańców z adwokatami czy rodziną, dlatego nie włożono żadnego wysiłku, by przynajmniej wyglądało schludnie. Ściany były niemal czarne, z wydrapanymi napisami przez tych, którzy przez lata siedzieli w tym pomieszczeniu, gdy służyło jako normalna cela. Małe zakratowane okienko, umieszczone niemal pod sufitem, sprawiało, że w pomieszczeniu panował półmrok. Pośrodku stał niewielki stół i dwa krzesła po obu jego stronach.

Wkrótce strażnik przyprowadził skutą kajdankami Renate, rozpiął je i wskazał jej krzesło, po czym stanął w rogu pomieszczenia.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Witaj, Renate – chłodno powitał ją Walter. – Chciałem się z tobą pożegnać i powiedzieć ci, że ostatnie miesiące były jednymi z najpiękniejszych w moim życiu, chociaż mam wrażenie, iż nie były do końca prawdziwe.

– A czym jest prawda, Walterze? – zapytała.

– Tym, co uczyniliśmy innym – odpowiedział cicho.

– Sam powiedziałeś, że nie sposób było przejść przez tę wojnę, nie brudząc sobie rąk. – Głos Renate był niemal beznamiętny.

– Tak, rąk. Jednak byli tacy, którzy byli unurzani w krwi innych – bąknął.

– Tak jak ja, prawda?

– Niestety, prawda, Renate. Naprawdę chciałaś tak żyć?

– Nie chciałam, ale kiedy zrobisz pewne rzeczy pierwszy raz, potem już idzie gładko i nie zastanawiasz się, czy to jest słuszne. Zresztą ja naprawdę uważałam, że to są ludzkie śmiecie, i chyba nadal tak uważam. – Wzruszyła ramionami.

– Marie była inna...

– Marie nie istniała, ale w istocie podobało mi się to wcielenie i pragnęłam w nim pozostać na zawsze. Nie tęskniłam ani przez moment za tymi krwawymi uczuciami, chciałam być taka jak ty. Wrażliwa, z jasno nakreślonymi wartościami. Ty też błdziłaś, także ich szukałaś, ja nie zdążyłam... I wszystko przez ciebie, Walterze. Kolejny raz uczucie do ciebie mnie zgubiło. – W jej głosie brzmiał wyrzut.

– Wiesz, że to nie ja... Ja... – Nie dokończył.

– A jednak to przez ciebie stracę życie i wiesz co, ty też coś stracisz. – Jej oczy popatrzyły lodowato na Lossowa.

– Tak, wiem, myślę, że nie raz zatęsknię za tobą, za Marie – powiedział niepewnie.

Roześmiała się.

– Ależ, Walterze, ty mój szlachetny rycerzu, przecież ty nie masz pojęcia, czym jest miłość. Szukasz jej, kluczysz i miotasz się, bo chciałbyś poczuć to odurzenie, które pozostanie w tobie na zawsze, a jednak nie potrafisz go znaleźć. Przynajmniej jeśli chodzi o kobiety. Może gdybyś miał dziecko, nauczyłbyś się tej sztuki, bo wtedy, w istocie, byłoby to uczucie dozgonne – powiedziała złośliwie Renate.

– Może masz rację. To inna miłość, taka jaką darzę rodziców i siostrę. Dana od początku do końca. Jednak myślałem, że tym razem miłość do kobiety będzie równie stała.

– Ale nie będzie, Walterze. Ani ta, ani następna. Chcę, żebyś już sobie poszedł. Właściwie chciałam ci tylko powiedzieć dwie rzeczy. Tylko dlatego zgodziłam się na to spotkanie. Jedną już powiedziałam. To przez ciebie. Właściwie to ty przygotowa-

łość dla mnie szubienicę.

Walter spuścił głowę. W istocie był moment, że miał wyrzuty sumienia, ale skąd mógł wiedzieć o tej całej mistyfikacji i o tym, iż pewnego dnia ktoś zainteresuje się jego informatorem.

– A ta druga? – bąknął, licząc na to, że Renate zdobędzie się na jakiś cieplejszy gest w stosunku do niego, chociażby z uwagi na to, co razem przeżyli.

– Dowiesz się, gdy mnie już nie będzie na tym świecie. Napisałam do ciebie list. Otrzymasz go po egzekucji.

Odwróciła głowę w kierunku strażnika i poprosiła o odprowadzenie jej do celi. Wstała zza stołu, ale Walter chwycił ją za nadgarstek.

– Renate... – wysapał. – Ja nie wiem, co powiedzieć. Jest mi przykro... Tak cholernie przykro...

Mówił dużo, szybko i w panice. Ale Renate już szła w kierunku drzwi, jakby w ogóle nie słuchała Waltera. Gdy strażnik zapinał jej kajdanki na przegubach, odwróciła się i powiedziała:

– Mam nadzieję, że to, co zrobię, będzie dla ciebie karą na całe życie.

Renate wraz ze strażnikiem opuścili pomieszczenie i zostawiono otwarte drzwi, by on także mógł z niego wyjść. Przez chwilę siedział oszołomiony i kompletnie bezradny. Niebawem Renate zostanie zgładzona, a on nie zdołał się z nią pojednać. Nie miał pojęcia, co mogła mu jeszcze zrobić i w tej chwili myślał jedynie o tym, że zije do niego nienawiścią i nawet perspektywa rychłej śmierci nie sprawiła, iż mu wybaczyła. Zasłonił twarz rękoma, a potem powiedział do siebie cicho:

– A jednak pożegnałem się dzisiaj z Renate Zoll, bo Marie Rauch nigdy nie pożegnałaby się ze mną w ten sposób.

– Mam nadzieję, *drugu*, że dobrze się czujesz? – powiedział „Kary”, siadając na taborecie, obok łóżka Igora.

– Za kilka dni wychodzę, ale pewnie minie trochę czasu, zanim zagram z synem w piłkę. – Igor uśmiechnął się, po czym spoważniał i powiedział: – Sergiusz, do prawdy nie wiem, jak to się stało, że nagle Alicja została uznana za zmarłą i jej powrót zajął tyle miesięcy.

– Ja wiem i gdybym mógł, obdarłbym ze skóry tego gnoja – syknął „Kary”.

– Jak mi się trochę polepszy, to ja już się nim zajmę – mruknął Igor i dodał: – Słyszałem...

– O czym?

Sergiusz zmarszczył czoło, sądząc, że Łyszkin dowiedział się o gwałtach i romansie Alicji z Kaganowskim. Prawdę mówiąc, nie ucieszył się zbytnio z tego powodu.

– O wyjeździe – niemal wyszeptał Igor.

– A, o tym... – Sergiusz odetchnął z ulgą. – Tak, jak tylko zima odpuści.

– To jeszcze trochę – jakby zmartwił się Igor. – Bo chciałbym, żebyś stamtąd wysłał list do moich rodziców.

Łyszkin celowo unikał nazwy państwa, do którego zamierzał udać się Sergiusz z rodziną. Tak na wypadek, gdyby ściany w szpitalu miały uszy.

– Gdybym miał więcej pieniędzy, to osobiście bym go zawiózł i powiedział im, co dla mnie zrobiłeś – zapewnił Sergiusz.

– Mam bogatą narzeczoną. – Igor puścił do niego oko i zaczęli rozmawiać o mało ważnych sprawach.

Szpital MON nie był najlepszym miejscem, by prowadzić poważne dyskusje, poza tym Igor nie chciał poruszać z nim tak trudnych tematów, jak mała Natalia, która pojawiła się u jego boku wraz z Alicją. Wolał zejść na karierę Hanki, ich nowe mieszkanie i plany na przyszłość. Postanowił, że inne ważne kwestie poruszą, gdy Igor opuści szpital, jak chociażby kwestię pomocy dla Olgi Iwanowny, która za żadne skarby świata nie chciała zostać w kraju, gdzie sięgały długie ręce zniechęconego przez nią Stalina.

– Powiadomiłeś Juliana? – zapytał w końcu.

Sergiusz pokiwał głową.

– Tak. Pomyśli, że zwariowałem. Najpierw wysłałem mu rozpaczliwą wiadomość o śmierci Alicji, a niebawem otrzymał informację, że jest cała i zdrowa.

– Panuje chaos i bałagan. Myślę, że minie wiele lat, zanim Europa podniesie się po tej wojnie. Niejedna rodzina pochowała kogoś, kto potem w cudowny sposób się odnalazł, albo czekają na powrót kogoś, kto już nie powróci. – Igor machnął ręką, ucieszony, że Sergiusz, mimo iż Julian był jego rywalem, potrafił zachować się w porządku.

– Masz rację, takich sytuacji nie da się uniknąć – westchnął i dodał ze śmiechem: – Na razie będziemy kawalerami, dopóki nasze dziewczyny nie nacieszą się

sobą. Pytlują na okrągło, a Hanka z dziećmi prawie się do nas przeprowadziła i musiałem chwilowo zamknąć pralnię, żeby dla wszystkich znaleźć legowisko. Nie mówiąc już o czwórce niesfornych dzieciaków. Uwierz, chłopie, dom wariatów. Dlatego tak często przychodzę do ciebie, bo w domu własnych myśli nie słyszę.

– Pamiętam, jak wyniosłeś się do pralni, bo nie chciałeś mieszkać w kołchozie, a tu, proszę, kołchoz zjawił się u ciebie. – Łyszkin puścił do niego oko. – Słuchaj, a jakbyś tak jakąś seteczkę zorganizował i coś na zagryzkę, to może ordynator nie zrugałby mnie za mocno.

– Jasne, przyjacielu, dla ciebie wszystko.

Sergiusz wrócił do swojego domu po południu i czuł szum w głowie. Nie skończyło się bowiem, jak to mówił Igor, na jednej seteczce, ale na kilku i „Kary” czuł się lekko pijany. Łyszkin miał łeb do chlania wódki i sprawiał wrażenie, jakby wylewał za kołnierz, ale on nie miał takiej mocnej głowy.

– No wiesz! – powiedziała z udawaną złością Alicja. – Upiłeś się z Łyszkinem, a kto odbierze Mateuszka ze szkoły?

– Mama – wybełkotał. – I zrobisz pranie... Jak ja się cieszę, że będziesz robiła pranie. Nie mogę patrzeć na brudne łachy, no nie mogę.

– Upiłeś Igora? W szpitalu? No doprawdy, jesteście nieodpowiedzialni – zde nerwowała się Hanka.

– Upić Łyszkiną? – Prychnął. – Musiałbym mu przywieźć całą cysternę wódki.

Kobiety już nic więcej nie powiedziały, jedynie przesympatyczna Olga Iwanowna zaproponowała mu herbatę, ale Sergiusz machnął tylko ręką i położył się na najbliższym wolnym tapczanie, po czym od razu zasnął.

– Muszę iść po Mateuszka – westchnęła Alicja. – Ale zaraz wrócę, więc nigdzie się nie ruszaj.

– Ależ ja się nigdzie nie wybieram. Dobrze się czuję, jak tak mam was wszystkich koło siebie. I zajmę się Natalką, a ty leć – odpowiedziała Hanka.

Alicja włożyła palto, które kupił jej na bazarze Sergiusz, by mogła wyglądać elegancko, i naciągnęła na głowę równie szykowny kapelusik. „Kary” rozpieszczał ją, bo kupował wszystko, co tylko jej się podobało, by wynagrodzić Alicji ten czas, gdy chodziła w waciaku i zniszczonych kubankach.

Szła ulicami Warszawy, tak zrujnowanej po powstaniu, ale czuła się dobrze, bo pobyt w „Raju” zdawał się jedynie koszmarem, z którego wreszcie udało jej się obudzić. Bywały noce, że budziła się zroszona potem i w panice zapalała światło, by popatrzeć na swoich bliskich. A gdy zobaczyła, że wszyscy są i nic im nie jest, wtulała się w Sergiusza i myślała, że jej walka tam, w obozie, miała sens, a nadzieja, którą się karmiła, nie była jedynie mrzonką, ale siłą. Cieszyła się, że nie poddała się i teraz była tutaj, napawając się spokojem.

Weszła do gmachu szkoły i podeszła pod klasę, gdzie zajęcia miał Mateuszek. Mogła poczekać przed wejściem do szkoły, a jednak jej ciekawość zwyciężyła. Chciała zobaczyć kobietę, która pragnęła zająć jej miejsce. Nie miała do niej ani cienia żalu, tak jak niegdyś do Weroniki Sarnowskiej. W końcu Sergiusz był cudownym mężczyzną, a ona była... martwa. Jednak korciło ją, żeby sprawdzić, jak wygląda kobieta, która wpadła w oko „Karemu”.

– Mama! – wykrzyknął Mateuszek, wybiegając z klasy.

Izabela Maliszewska zmieszkała się, widząc w drzwiach Alicję, po czym usiadła

za biurkiem i udawała, że wpisuje coś do dziennika. Rosińska jednak podeszła do niej i powiedziała z życzliwością w głosie:

– Dzień dobry. Chciałam pani podziękować, że pomogła pani mojemu synkowi w nauce, gdy ja... gdy mnie nie było.

Izabela popatrzyła na Alicję. Być może także chciała sprawdzić, za kim tak tęsknił Sergiusz.

– Gdy pani nie żyła. – Maliszewska uśmiechnęła się pod nosem.

– Dobrze powiedziane – mruknęła Alicja.

– Mateuszek to zdolny chłopiec – wydukała nauczycielka.

– Tym bardziej pani dziękuję – powtórzyła i wyszła z klasy.

Izabela była bardzo ładna, równie atrakcyjna, co pracująca niegdyś u Sergiusza Zosia, ale Alicja miała to szczęście, że on pokochał właśnie ją. Z jej ułomnościami, słabościami i ostrymi pazurkami, jakie niekiedy pokazywała światu, a które tylko Sergiusz potrafił nieco stępić. Musiał mieć w sobie ogromną siłę i determinację, jeśli sprawił, że miłość do Juliana Chełmickiego po prostu wypaliła się do końca. Kiedyś sądziła, iż nie jest to możliwe, a ich wzajemna fascynacja będzie trwała wiecznie, ale życie już nie raz jej pokazało, że nic nie trwa wiecznie. Ani to, co dobre, ani to, co jest złe. Jedno i drugie mija, dlatego ważne jest, aby tego pierwszego było znacznie więcej na życiowych szlakach.

Nie wiedzieć dlaczego pomyślała też o małym Szymku, podopiecznym Emila Lewina, który jako jedyny był dowodem na to, że nawet najgorsze kanalie miewają ludzkie odruchy. Hanka wybaczyła te wszystkie podłości swojemu bratu, żywiąc nawet pretensje do Alicji o ukrywanie przed nią różnych faktów, ale to była jego siostra. Ona zaś ani nie musiała mu wybaczać, ani nie chciała. Uważała, że Emil Lewin nie zasługiwał na przebaczenie, tak samo, jak Stiepan Kaganowski. Po prostu istniała granica jej miłosierdzia, a oni znajdowali się daleko za nią.

Wróciła z Mateuszkiem do domu i popatrzyła na panujący w nim bałagan, porozrzucone zabawki, brudne naczynia w zlewie i Olgę, która próbowała nad tym zapanować, bo Hanka zdawała się znowu bujać w obłokach, jak niegdyś, gdy wszyscy musieli o nią dbać, bo ona sama tego nie potrafiła. A jednak kochała ją tak bardzo, tę mimozę, łaknącą luksusu kobietę, która niekiedy irytowała Alicję swoją bezradnością, by chwilę potem zadziwiać odwagą i siłą. Żałowała, że niebawem znowu się rozstaną, ale miała nadzieję, iż kiedyś świat będzie wolny od dyktatorów i uprzedzeń, a one będą mogły bez przeszkód spotykać się, gdziekolwiek im się zamarzy.

Weronika kilka chwil stała przed drzwiami swojego domu, zanim nacisnęła klamkę. Od wielu dni między nią a Julianem panowały ciche dni i jeśli się do siebie odzywali, to tylko wówczas, gdy już naprawdę musieli. Julian był wściekły na żonę za to, że posunęła się do tak drastycznego kłamstwa, jak śmierć Alicji, a ona była zdruzgotana faktem, że w ogóle mógł ją o coś takiego podejrzewać. Żałowała, iż tego dnia, gdy odebrała wiadomości od ich adwokata, skusiła się, by przeczytać list, który nie był adresowany do niej, a potem tego, że go wyrzuciła i nie mogła teraz rzucić nim w twarz małżonka. Nie wiedziała, co dalej będzie z nimi i z ich małżeństwem. Byli ze sobą nadal z uwagi na Amelkę, a gdy przyjeżdżał Pawełek, udawali zgodną parę. Jednak jak długo mogli żyć w taki sposób?

Jedyną radością Weroniki były spotkania z Gustavem. Nie mieli romansu, ale jego życzliwość, ciepło, a wreszcie fascynacja jej osobą były jak balsam na zranione kobiece serce. Czuli, że przegrała walkę o swoją rodzinę, chociaż osoba, która najbardziej mogła mieć wpływ na rozpad jej małżeństwa, już nie żyła.

Weszła cicho do korytarza i zobaczyła Juliana pakującego swoją torbę podróżną.

– Co ty robisz, Julianie? – zapytała cicho.

– Wyjeżdżam na kilka dni. Do Polski – odpowiedział chłodno.

– Oszalałeś? A co będzie, jeśli nie wypuszczą cię z powrotem albo wtrącą do więzienia? – zapytała zatrwożona.

– Przecież ostatnio tak chwaliłaś Polskę, że teraz jest tam spokojnie i panuje porządek – burknął złośliwie.

– Daj spokój, Julianie. Nie zapominaj, kim byłeś i co spotkało twoich przyjaciół. – Weronika celowo nie wymieniła imienia Alicji, by nie zaognić i tak niezręcznej sytuacji.

– Załatwiłem sobie dokumenty z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, nie ruszą mnie. Już jakiś czas temu – odpowiedział jej, wciąż tym samym, bardzo nieprzyjemnym tonem.

Weronika milczała. Nie chciała, żeby wyjeżdżał, bo bała się o niego, a jeśli już tak postanowił, pragnęła, by pogodzili się przed podróżą. W życiu różnie bywało, a taki kraj, jakim stała się teraz Polska, był kompletnie nieprzewidywalny.

– Julian... – zaczęła niepewnie. – Przepraszam i przysięgam, że cię nie okłamałam.

Chełmicki uśmiechnął się półgębkiem i rzucił w jej kierunku złożoną na pół kartkę papieru.

– Nie pogrążaj się, Weroniko. Sergiusz napisał, że Alicja żyje, wróciła do Polski, a ja teraz jadę, by się z nią zobaczyć, odwiedzić Chełmice i rozmówić się z Emilem. Muszę zamknąć za sobą pewne drzwi, by iść dalej. A kiedy wrócę, wyprowadzę się. Nie ma sensu ciągnąć tej farsy. Ty będziesz mogła związać się z Gustavem, który ostatnio tak bardzo ci imponuje, a ja nie będę musiał udawać, że między nami może się coś poprawić. Nie umiem ci tego wybaczyć, Weroniko. Wiele rzeczy mógłbym,

ale nie coś takiego – z goryczą w głosie powiedział Julian.

Weronika sięgnęła po leżącą na stoliku kartkę i przeczytała. Nie miała pojęcia, o co chodzi, była kompletnie zdezorientowana. Przecież w poprzednim liście Sergiusz napisał o śmierci Alicji. Co prawda w tym ostatnim przeprosił za zamieszanie, ale mogło dotyczyć to różnych spraw. Jak zwykle jego wiadomość była dość lakoniczna. Co mogła teraz powiedzieć Julianowi, jeśli miał czarno na białym dowód jej kłamstwa? Problem tylko polegał na tym, że ona nie skłamała. Jednak Julian uwierzy jej dopiero wówczas, gdy spotka się z Dargiewiczem i wyjaśni tę sprawę. Odłożyła list z powrotem na stół i powiedziała:

– Mam nadzieję, że gdy wrócisz z Warszawy, przeprosisz mnie. Tak jak ja cię przeprosiłam za to, że przeczytałam twoją korespondencję.

Zostawiła Juliana w salonie i udała się do sypialni. Rzuciła się na łóżko i zaczęła płakać. Jej małżeństwo właśnie dobiegło końca, bez względu na to, czy Julian dowie się prawdy czy nie. Jeśli był gotów ryzykować swoją wolnością, a nawet życiem tylko po to, by spotkać się z Alicją, oznaczało, że nigdy nie przestał jej kochać. To nie była taka zwykła podróż z Lozanny do Genewy, ale wjazd do kraju, z którego mógł już nie wyjechać. Gotów był poświęcić ich rodzinę, byle tylko przez kilka dni pobyć z inną kobietą. I w dodatku z osobą, która była związana z innym mężczyzną. Tak, czuła, że ta cała maskarada dobiega końca, i nadszedł czas, by przestała się oszukiwać.

\*\*\*

– Jaki jest cel waszej wizyty w naszym kraju? – zapytał żołnierz na polskiej granicy.

– Jestem przedstawicielem MCK z Genewy i muszę się spotkać z władzami tu-tejszego oddziału – odpowiedział hardo Julian.

– Widzę, że wybraliście imperialistyczne rządy – mruknął żołnierz i oddał dokumenty Chełmickiemu.

Julian dotarł do Warszawy po południu. Miał wrażenie, że znalazł się w kompletnie obcym mieście. Wszystko, co nowe, powstawało na gruzach starego i różniło się od tego, co było przedtem, a tam, gdzie jeszcze nie trwała budowa, majaczyły jedynie złowrogie kontury zrujnowanych budynków. Komunikacja miejska jednak działała, most także był czynny i w ciągu godziny Chełmicki stanął przed drzwiami pralni Sergiusza Dargiewicza. Zapukał niepewnie i chwilę potem w drzwiach pojawiła się zupełnie obca kobieta, w dodatku mówiąca po rosyjsku.

– Chyba się pomyliłem – wydukał, zdezorientowany.

– Do Sergiusza i Alicji? – zapytała. – Oni *ujechali* do nowego *doma* pani Hanki i Igora.

Chełmicki wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie tylko dlatego, że dobrze trafił, a kobieta nie była nikim obcym, ale także z uwagi na Łyszkina. Pomyślał także, że w końcu Igor i Hanka się odnaleźli i mogą w spokoju wic gniazdko. On także odnalazł Alicję, ale cóż z tego, jeśli ich drogi pewnego dnia rozeszły się na zawsze.

– Julian – przedstawił się Chełmicki.

– Olga. – Kobieta uśmiechnęła się i zaprosiła przybysza do środka.

Przygotowała mu herbatę i kanapki, po czym nastąpiła między nimi niezręczna cisza, przerywana niekiedy zdawkowymi pytaniami. Olga kiepsko mówiła po polsku,

a Julian niespecjalnie lubił używać rosyjskiego. Poza tym nie bardzo wiedział, o czym miałby rozmawiać z kompletnie obcą osobą. Martwił się także o nocleg. Nie chciał zostać u Dargiewicza i patrzeć, jak jego ukochana kładzie się z nim do łóżka, ale nie miał pojęcia, który hotel przetrwał. Rozejrzał się po pralni i spostrzegł, że trochę się tutaj zmieniło od czasu, gdy był w Warszawie ostatnim razem. Szukał wówczas ratunku u Łyszkina i pomyślał, że teraz, w razie czego, zwali mu się na głowę. Miał nadzieję, że Lewinówna nie będzie miała nic przeciwko temu. Poza tym z kapitanem NKWD przy boku poczuje się bezpieczniej niż teraz.

Pod wieczór usłyszał śmiech przy drzwiach wejściowych i aż podniósł się z kanapy, nie mogąc się doczekać, kiedy zobaczy Alicję. Weszli z „Karym”, synem i jeszcze jakimś dzieckiem, wciąż roześmiani, gdy nagle oboje zamilkli. Alicja popatrzyła na Juliana, ale nie poczuła ani przyśpieszonego bicia serca, ani suchości w ustach, jak to zwykle bywało, a jedynie zdziwienie. Sergiusz także był skonsternowany wizytą Chełmickiego i bacznie przyglądał się reakcji swojej ukochanej.

– Julian, wszelki duch! – powiedziała nieco sztucznie Alicja, po czym podeszła do Chełmickiego, cmoknęła go głośno w obydwa policzki i dodała: – Bardzo ci dziękuję, że mi pomogłeś, bez ciebie pewne rzeczy nie mogłyby się udać, winna ci jestem życie.

– Daj spokój, Alicja – wymamrotał, wciąż oszołomiony jej widokiem po tak długim czasie. – To zasługa Łyszkina...

– Ale gdyby nie twoja interwencja, to ja nic bym nie wskórał. – Sergiusz także przywitał się z Chełmickim i dodał: – Wybacz, że tak cię wystraszyłem.

Julian nie miał pojęcia, o czym mówi „Kary” i jedynie podniósł brwi ze zdziwienia.

– No, wiesz, najpierw ci piszę, że Alicja nie żyje, a potem wysyłam informację o jej cudownym zmartwychwstaniu. Wybacz, ale sam sądziłem przez wiele miesięcy, iż ją straciliśmy. – Sergiusz poklepał go po ramieniu.

Chełmicki aż przysiadł z powrotem na kanapie, bo w jednej chwili poczuł się jak kanalia. Weronika powiedziała prawdę i w istocie bardziej obawiała się o jego stan psychiczny, niż kierowała się zazdrością. Przed wyjazdem powiedziała mu, że ma nadzieję na przeprosiny po jego powrocie. Winien jej był o wiele więcej. Gdyby przeczytał informację o śmierci Alicji, chyba kompletnie by się załamał, a dzięki żonie przez wiele miesięcy żył w błogiej nieświadomości.

– Sergiusz, podobno masz auto, mógłbyś mnie zawieźć do Łyszkinów? Jest późno, pogadamy jutro i jeśli pozwolisz, chciałbym porozmawiać z Alicją na osobności – wydukał, zmieszany.

– Pewnie, że cię odwiozę, ale obawiam się, iż będziesz kimał na podłodze, jeszcze nie do końca się urządzili. Hanka narzeka, że w podobnej klitce mieszkała służba w jej domu, ale na szczęście Igor potrafi jej to zrekompensować. Co do Alicji, jest dużą dziewczynką i nie jest moją własnością – odpowiedział Sergiusz.

– Oczywiście, Julianie, że możemy porozmawiać. Sergiusz wie, co do niego czuję i może spać spokojnie. – Alicja uśmiechnęła się łagodnie i przytuliła się do „Karego”.

Nie miała pojęcia, o czym chce porozmawiać z nią Julian, ale teraz już czuła się pewnie i mógł mówić wszystko, co chciał. To i tak nie miało na nią wpływu. Sergiusz miał w sobie coś, czego nigdy nie posiadał Julian Chełmicki i za to kochała go



najbardziej. Darzył ją głębokim uczuciem taką, jaka była. Ufał bezgranicznie i mogła powiedzieć mu wszystko bez lęku, że źle ją oceni. Nie nadużywała tego, ale miała świadomość swoich wad i ułomności. Jednak to właśnie te wady pozwalały jej przetrwać. Może była jak chwast, bo dostosowywała się do każdego warunków, by przeżyć. Szlachetne rośliny mogły rozwijać się tylko w określonych warunkach, w niesprzyjających ginęły albo więdły. Tak jak Julian. Wyglądał na przybitego, bo zapewne jego ideały zamieniły się w proch. Nie taką ojczyznę chciał zobaczyć i nie taką Alicję. Ale ona nie była w stanie wykorzenić pewnych cech ze swojej osobowości. Taka była i taką ją kochał Sergiusz.

– W takim razie to ja odwiozę Juliana do Łyszkinów – powiedziała ze śmiechem Alicja. – A wy z Olgą połóżycie dzieciaki spać.

– Dorobiliście się już dwójki? – zapytał Chełmicki.

– Widzisz, jaka z nas już duża rodzina. – Mimo wszystko Sergiusz wysłał w kierunku Juliana sygnał, żeby zanadto nie mieszał Alicji w głowie.

Chełmicki pomyślał tylko, że para przygarnęła kolejną sierotkę, i uśmiechnął się jedynie, a potem wraz z Alicją opuścili pralnię. Wsiedli do furgonetki Sergiusza i milczeli przez kilka minut, jadąc powoli zrujnowanymi ulicami Warszawy.

– Chciałaś ze mną porozmawiać – pierwsza odezwała się Alicja, jak zwykle niecierpliwa i ciekawa tego, co powie jej Julian. A może chciała mieć tę rozmowę za sobą i jak najszybciej wrócić w ramiona Sergiusza?

Była wdzięczna Chełmickiemu za jego starania, ale też była przekonana, że jej uczucia do Juliana wygasły. Jednak gdy siedzieli oboje w furgonetce, tak blisko siebie, poczuła nostalgię za czasami, gdy była odurzona pierwszą, młodzieńczą i idealną miłością. Było to uczucie tyleż doskonałe, co nieprawdziwe. Prawdziwa miłość okazała się dużo bardziej skomplikowana i trudna. A może było odwrotnie i ona była prosta, jedynie okoliczności wystawiały ją na ciężką próbę, by można było odróżnić ją od zauroczenia czy namiętności? Nie umiała na to pytanie odpowiedzieć, ale wiedziała jedno – nie zamieniłaby fałszywego złudzenia na prawdziwy, chociaż chwila mi trudny obraz.

– Przede wszystkim jestem ogromnie szczęśliwy, że żyjesz. I że tutaj jestem, a za chwilę zobaczę Łyszkin. Szwajcaria jest piękna i spokojna, ale w moim sercu wciąż żyła tęsknota za Polską i za tymi, których tutaj zostawiłem. – Julian zaczął dość sentymentalnie.

– A my zamierzamy wiosną wyjechać do Anglii. Nie chcę żyć w kraju, który za moją walkę z Niemcami wynagrodził mnie więzieniem i pobytem w łagrze. Jestem szczęśliwa, że przebywam z bliskimi, ale codziennie czuję lęk. Nie masz pojęcia, Julianie, co tam się działo. To inna planeta, inne życie. Co ja mówię, jakie życie? Nawet nie potrafię wyrazić, czym jest pobyt w takim miejscu. Możesz zapytać Olgę, ona spędziła tam jeszcze więcej czasu niż ja. Ona też chce wyjechać na drugą stronę, bo już nie wierzy w to, że może zasypiać spokojnie i równie błogo budzić się o świcie. Tak, Julianie, nadchodzi taki moment w życiu, że jedyne, o czym marzysz, to spokój – powiedziała Alicja, bo dla niej miłość do ojczyzny była kwestią drugorzędną. Zrobiła dla tego kraju tak wiele, a niestety w zamian otrzymała niemal trzy lata bólu i udręki.

– Ja też tutaj nie zostanę i nie mam pojęcia, co będzie dalej ze mną, moim miejscem na ziemi i małżeństwem. Chcę jeszcze pojechać do Chełmic, odwiedzić

dom i grób ojca. Alicja... ja jestem tak cholernie nieszczęśliwy... – jęknął w końcu.

– Julianie, bo miotasz się i ciągle żyjesz mrzonkami. Zejdź na ziemię, a wtedy odnajdziesz swoje miejsce – powiedziała bez przekonania.

Alicja sama musiała przebyć długą drogę, zanim poznała istotę szczęścia. Julian, podobnie jak ona i wielu innych, przeszedł przez własne piekło, ale najwyraźniej jeszcze życie nie dokuczyło mu wystarczająco mocno, by zrozumiał, że niekiedy owo szczęście tkwi w prostocie ludzkich oczekiwań. Obudzić się obok kogoś bliskiego, patrzeć na swoje dzieci, gdy dorastają, stawiają pierwsze kroki albo obrywają w szkole dwóje. To mieć codziennie chleb na śniadanie i pożywną zupę na obiad. Patrzeć na drzewa i kwiaty i nie oglądać każdego dnia trupów. To wolność, kiedy możesz wyjść na spacer, do kina czy na lody. Stać w miejscu, kiedy chcesz, i iść do przodu, gdy tak podpowiada serce i rozum. To wreszcie spokój, bo nie ma nic gorszego w życiu niż strach, niepokój i niepewność jutra. Ona już to wiedziała, Chełmicki jeszcze nie.

Mówiła mu to wszystko, bo wciąż żywiła do Juliana ciepłe uczucia i życzyła mu, aby i on odnalazł szczęście. Nie to mityczne i wzniosłe, ale takie zwyczajne. U boku Weroniki, w malowniczej Szwajcarii i patrząc każdego dnia, jak rośnie jego córka.

– Masz rację, Alicjo. Wrócę do domu i wszystko naprawię – westchnął. – Chyba pierwszy raz powiedziałem „do domu”, bo dotychczas uważałem, że to coś tymczasowego, miejsce pobytu. A Weronika tak bardzo się starała, tylko ja, głupiec, niczego nie widziałem. Byłem jak ślepiec, szukający szczęścia po omacku. Wiesz, ja ciągle miałem nadzieję, że wrócisz do mnie i będzie tak jak kiedyś...

Alicja zatrzymała furgonetkę przed domem Hanki i odwróciła się do Juliana. Uśmiechnęła się do niego i wzięła go za rękę.

– Julianie, to by nie wyszło. Zapewniam cię, że nie pogodziłbyś się z brzydką rzeczywistością. Kochany Julianie, ty nie zniósłbyś prawdy, po prostu, i znowu powstałby między nami mur. Jesteśmy różni i uwierz, nasze wartości są nie do pogodzenia. Tam, na Kołymie, zgwałciło mnie kilku osiłków. Nie pamiętam, jak wyglądali i kim byli, ale z tego okropnego czynu poczęło się dziecko. Moja najukochańsza córeczka. Potrafiłbyś ją pokochać, tak jak ja i Sergiusz? Żeby przetrwać, sypiałam z komendantem, chociaż nienawidziłam go i mam nadzieję, że los wymierzy mu sprawiedliwość za to, co mi zrobił. Ale zrobiłam to. Miałam gdzieś ideały, ja po prostu chciałam żyć i jeszcze kiedyś zobaczyć swoich bliskich. Nigdy byś tego ani nie zrozumiał, ani nie zaakceptował, bo ty jesteś szlachetną rośliną, a ja jedynie chwastem – powiedziała ze spokojem.

Chełmicki słuchał tej ponurej opowieści ze zdziwieniem i poczuł się jak wtedy, gdy Alicja powiedziała mu o romansie z Grossem. Miała rację, nie potrafiłby tego zaakceptować.

– Sergiusz o tym wie? – zapytał cicho.

– Tak, on wie wszystko. Może nie ze szczegółami, bo nie są mu one do niczego potrzebne, ale wciąż mnie kocha, czeka na mnie w suterenie pralni i pewnie teraz obgryza paznokcie z nerwów, że nadal są we mnie jakieś uczucia do ciebie. – Roześmiała się i dodała: – Są, ale takie, o które nie musi się już martwić.

– To wspaniały facet – bąknął Julian.

– Najwspanialszy. Dla mnie. Może innej kobiecie wydawałby się zbyt szorstki,

mało romantyczny i za praktyczny, ale żaden inny nie wytrzymałby ze mną i moimi przygodami. – Uśmiechnęła się.

Pożegnali się jak para przyjaciół. Tak, ta rozmowa potrzebna była im obojgu, by od tej pory mogli widywać się bez zbędnego napięcia i niepewności o uczucia, jakie się w nich tliły. Pozostały im piękne wspomnienia i to było wartością samą w sobie. Julian uratował jej poniekąd życie i gdyby jemu działa się krzywda, ona również rzuciłaby się mu na pomoc. Nie dlatego, by zostać jego żoną, ale dlatego, iż był w jej sercu. I wiedziała, że w nim pozostanie na zawsze.

Lossow przemierzał ulice Warszawy i starał się skupić na czymś innym niż myślenie od tym, co zrobiła Renate Zoll. W istocie nie mogła go bardziej ukarać, niż zostawiając go w przeświadczeniu, że przyczynił się do śmierci jej i swojego dziecka. Nie mógł już cofnąć czasu i zmienić przeszłości. Artykuł, który miał go wznieść na szczyty zawodu dziennikarza, okazał się trumną, w której pochowa Renate wraz ze swoim nienarodzonym dzieckiem. Nie miał pojęcia, jak będzie z tym żył, jedyne, co przyszło mu do głowy, to myśl, że został stworzony do samotnego życia. Właśnie wtedy, gdy nie był zauroczony kobietą, funkcjonował najlepiej. Skupiony na sobie i pragnieniach, do których dążenie było esencją życia. A potem chciał zmierzać ku kolejnym, które urodziły się w jego głowie.

Przystanął przed słupem ogłoszeniowym, bo jeden plakat przykuł jego uwagę. Hanka Lewin. To była wielka miłość Igora Łyszki. Taka długodystansowa, której Lossow bardzo mu zazdrościł. Igor poznał tę dziewczyną na urodzinach u starego Chełmickiego i od tego momentu kochał ją bezgranicznie. Walter nie spodziewał się tego po swoim przyjacielu bolszewiku. Pomyślał, że pójdzie na jej koncert, by wrócić wspomnieniami do starych, pięknych czasów, gdy we trójkę chodzili na wódkę i dziwki. Po występie może uda mu się do niej dostać. Być może miała jakieś wiadomości o Igorze. Miał nadzieję, że jego kompan przeżył tę wojnę, podobnie jak paniczek Chełmicki.

Koncert odbywał się w nowo otwartej knajpie Kameralna, przy Foksal, i również miał być kameralnym wydarzeniem, chociaż sądząc z epitetów, jakimi uraczono Lewinównę, była ona gwiazdą wielkiego formatu. Zależało mu na spotkaniu z Hanką, dlatego poszedł do lokalu znacznie wcześniej, zamówił pięćdziesiątkę z zagryzką i patrzył na przekrój ludzi wchodzących i wychodzących z lokalu. Towarzystwo było kompletnie przemieszane, widział statecznych dżentelmenów w ciemnych długich płaszczach i kapeluszach, które zdejmowali z gracją godną arystokraty, mężczyźni pachnących zbyt intensywnie wodą kolońską, ubranych z wątpliwą elegancją, w zbyt szerokie w ramionach marynarki, kolorowe krawaty i z wyczesanymi w dziwne fryzury włosami. Byli też zwykli ludzie, ubrani dość zgrzebnie, jak to w dwa lata po wojnie, ale jednak wszyscy chcieli zakosztować chociaż odrobiny rozrywki. To już nie była ta sama Warszawa, gdzie istniały podziały, a do pewnych lokali nie chodziło się bez fraka. Łyszkinowi zapewne spodobałaby się ta różnorodność, bo chociaż sam wywodził się poniekąd ze szlacheckiej rodziny, gardził tym środowiskiem całym sercem.

Rodzina Lossowów po wojnie zubożała, jednak wciąż starano się zachować resztki tradycji i dostojności. A on uważał, że to wszystko jest przeżytkiem i znaczenia w świecie nie zdobywa się urodzeniem i majątkiem, ale pracowitością i własnymi sukcesami. Pod tym względem podobała mu się Ameryka, tam wszystko było możliwe. Niekiedy marzyło mu się, by wyjechać do Stanów Zjednoczonych, ale obawiał się, że po ostatnim artykule, gdzie ostro obsmarował aliantów, będzie traktowany jak persona non grata i nikt nie zechce go zatrudnić. Poza tym nie znał aż tak do-

skonale języka i wiedział o tym kraju tyle, ile zdołał przeczytać w gazetach.

Wyciągnął z kieszeni nieco pomiętą kopertę z listem od Renate. Egzekucja odbyła się kilka dni wcześniej, a on wciąż nie był w stanie otworzyć ostatniej wiadomości od kobiety, która posiadała dwie twarze. W sensie dosłownym i metaforycznie. Pożegnała się z nim w sposób okrutny, ale nie miał już do niej żalu. Przyszło zrozumienie, w końcu to przez jego artykuł skończyła na szubienicy. On sam nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji i nie mógł wiedzieć, co się wówczas czuje i jakie emocje buzuja w człowieku. Jednak łudził się, że kiedy pogodziła się z nieuchronnością losu, napisała do niego coś, co pozwoli mu o niej myśleć w pozytywny sposób. Może pragnął otrzymać rozgrzeszenie, a może wspominać jedynie tę drugą twarz – Marie Rauch?

Otworzył kopertę i z bijącym sercem rozłożył kartkę. List był krótki, prawie lakoniczny, napisany zamasztysem, jakby osoba go tworząca była pełna złości i niechęci do niego. Jednak nie to było najważniejsze... Walter, czytając te kilka krótkich zdań, poczuł, jakby z każdym słowem ziemia osuwała mu się spod nóg. Przez chwilę stracił oddech, a potem wychylił pięćdziesiątkę wódki, którą kilka minut wcześniej przyniósł mu kelner. Nie był w stanie uwierzyć w to, co przeczytał, była w nim niezgoda na to, czego się dowiedział, krzyk rozpacz i wreszcie totalna niemoc, bo niczego już nie dało się zmienić.

Renate Zoll w chwili, gdy umierała na szubienicy, była w ciąży. Z nim. Nosila jego dziecko i gdyby chciała, mogła je uratować... Ale nie zrobiła tego, bo chciała, by cierpiał z tego powodu przez resztę życia. Miała rację, bardziej nie mogła go ukarać.

Po dwóch godzinach lokal wypełnił się do ostatniego miejsca, a nawet znaleźli się tacy, którzy stali pod ścianami, ściśnięci jak w warszawskim tramwaju, byle tylko posłuchać na żywo Hanki Lewin. Wkrótce pojawiła się i ona. Sądził, że będzie ubrana jak niegdyś w Gastronomii, gdy widział ją ostatni raz. Nie potrafiłby przypomnieć sobie zbyt dokładnie, jak wyglądała, bo był zbyt pijany, ale pamiętał długą, błyszczącą suknię i etolę z lisów. Zdziwił się, bo teraz Lewinówna ubrana była w dość skromną, chociaż elegancką sukienkę w kwiaty i przypominała bardziej tę nieśmiałą dziewczynę stojącą przy fortepianie w Chełmicach.

Jednak gdy zaczęła śpiewać przy akompaniamencie fortepianu, jej strój przestał się liczyć. Miała naprawdę kapitalny głos i Walter pomyślał, że występowanie do kotleta jest poniżej jej talentu. Wsłuchiwał się w jej pieśni, a potem w głos wzruszonego konferansjera, który dziękował Lewinównie za to, że gwiazda takiego formatu zechciała wystąpić w tak skromnym lokalu.

Jej śpiew pozwolił Walterowi przez chwilę zapomnieć o tym, co przeczytał w ostatnim liście od Renate. A może po prostu nie był w stanie powracać myślami do jego treści? To było tak okrutne, że aż niewiarygodne. Jednak wiedział, gdzieś w głębi swojej duszy, że Renate nie okłamała go. Pragnęła zemsty i dokonała jej, skazując go na to, by wciąż myślał o nich i o swoim nienarodzonym dziecku. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzi i jak będzie z tym żył. Wiedział jednak, że będzie musiał.

Hanka ukloniła się nisko, uśmiechnęła półgębkiem i zniknęła za kotarą zalepcza. Zaśpiewała zaledwie pięć piosenek i zostawiła publiczność lokalu w wielkim niedosyć, ale Lossow nie przyszedł tutaj, by posłuchać pieśni. Szybko wstał z krzesła, skinął na kelnera, rzucił na stół pieniądze za rachunek i pobiegł na tyły lokalu.

Drogę zastąpił mu barczysty mężczyzna w garniturze. Lossow nie zastanawiał się zbyt długo, tylko wyciągnął swoją legitymację prasową i pomachał nią przed oczami mężczyzny chroniącego wstępu na zaplecze. Ten chyba zdołał jedynie omieść wzrokiem dokument, notując w głowie, że mężczyzna przyjechał z zagranicy, i odsunął się. Hanka stała w korytarzu, odbierając od szefa lokalu podziękowania i słowa uznania. Zmarszczyła czoło, widząc obcego mężczyznę idącego w jej kierunku, bo chciała jak najszybciej powrócić do swojego nowego domu i nacieszyć się obecnością Igora.

– Walter von Lossow, pamięta mnie pani? – powiedział szybko.

Jej twarz rozpromieniła się i odpowiedziała ze śmiechem:

– No to jesteście wszyscy trzej.

65. Zakopane, 1947

– Żałuj, Łyszkin, że nie możesz z nami poszusować – powiedział Lossow, odpinając narty.

– Chciałem popatrzeć, jak łamiecie sobie karki, pijaczyska – roześmiał się Igor.

– Cholera, ja myślałem, że z moją nogą jest już coraz lepiej, ale boli jak diabli, gdy tylko trafiam na stromy odcinek – mruknął Julian.

– To chyba koniec na dzisiaj, wracamy na Krupówki. Trzeba coś łyknąć – powiedział Igor, którego nieco znudziło czekanie na kompanów, gdy ci oddawali się narciarskiej pasji.

– Wykończysz nas wódką, Łyszkin – parsknął Walter, bo miał wrażenie, że na Igora alkohol po prostu nie działa.

– A co mam innego robić? – warknął. – O tych kulach to mogę co najwyżej parę metrów przejść. Nieprzyzwyczajony jestem do takich ograniczeń.

– Za to wódkę łoisz bez żadnych – zarechotał Julian.

Spotkali się pierwszy raz we trójkę, odkąd wybuchła wojna. Minęło niemal osiem lat od tego momentu. Potem okoliczności sprawiły, że pomagali sobie w różnych dramatycznych sytuacjach, dlatego ich przyjaźń była jeszcze silniejsza niż przed wojną, kiedy łączyły ich jedynie wspólne wypadki do knajp i burdeli. I po tych wszystkich latach byli znowu razem, okaleczeni, z bagażem doświadczeń, ale wciąż tacy sami. Żadni przygód i rozrywek we własnym gronie, snucia pijackich opowieści i kłótni o sprawy egzystencjalne.

– My tam idziemy, a ty Łyszkin? – zapytał niepewnie Lossow.

– Posłuchajcie, no gdzie ja na panienki z tym kulasem pójdę? Idźcie sami, potem mi opowiecie. A poza tym jak mam teraz Hankę na co dzień, to jakoś mnie nawet nie ciągnie – bąknął Igor.

– W ramach solidarności też powinniśmy sobie odpuścić, ale Lossow jest wyposzczony, a moje małżeństwo właściwie nie istnieje – tłumaczył się Chełmicki.

– Mówię wam, idźcie na soczyste góralki, a mnie załatwcie taką, co mi jedynie towarzystwa dotrzyma. – Puścił do niego oko.

– Ale najpierw pojedziemy kolejką na Kasprowy Wierch – zarządził Julian. – Trzeba nam się jakoś sympatycznie pożegnać.

– Ech, rozniosło nas po całej Europie – mruknął Lossow.

– Ten jak zwykle sentymentalny – prychnął Łyszkin.

– Kto? Niby ja? To Chełmicki zawsze był niepoprawnym romantykiem – niby obruszył się Walter.

– Dobra, panowie, to jedziemy na ten Kasprowy, bo dziewczynki czekają, aż im dogodzimy. – Julian potarł dłonie.

– Powiedział sentymentalny romantyk. – Łyszkin ryknął śmiechem i poszukał swoich kul.

W normalnych okolicznościach poszliby piechotą, ale z uwagi na nogę Igora wynajęli sanie. Zakopane o tej porze roku tonęło w śniegu, a słońce, jakie towarzy-

szyło mężczyznom podczas wycieczki, sprawiało, że jego biel po prostu kłuła w oczy. Piękniejszej scenerii na ten ich wspólny wypad nie mogli sobie wymarzyć. Sanie sunęły po śniegu, dzwonki przytwierdzone do nich wydawały miłe dla ich ucha dźwięki, a świat wydawał się bajkowy i tak bardzo różny od zrujnowanej Warszawy czy Berlina.

Wjechali kolejką na szczyt i patrzyli na Tatry, gdzie mogli sobie wyobrazić, że tej strasznej wojny nigdy nie było. Jedynie Julian pamiętał, gdy przedzierał się tędy za granicę, by dotrzeć do Anglii. Nie chciał jednak myśleć o tym w takiej chwili, gdy znowu byli we trzech. Starsi, dojrzałsi, ale ich męska przyjaźń wciąż była taka sama.

\*\*\*

W ciągu dnia podziwiali widoki, a gdy nadchodził wieczór, rozmawiali przy wódce o swoich problemach, rozterkach i dylematach. A każdy miał ich pod dostatkiem, bo ta wojna zmieniła życie każdego z nich.

– Lossow, a jak by ci się taki potwór urodził, jak ta Renatka? – pocieszał go pijany Chełmicki. – Nic, tylko sobie w głowę palnąć. Czasami to we krwi ma się coś takiego, że nie daj Boże...

– Ja tam nie chcę się wtrącać, ale ten twój braciszek to nie wiem, skąd swoją wziął – odciął się Łyszkin.

– A pewnie od starej Lewinowej – czknął Julian.

– Zaraz Łyszkin da ci po mordzie, bo przecież Hanka to też Lewinówna – zarechotał Lossow.

– Chciałem cię jakoś pocieszyć, przyjacielu – tłumaczył się Chełmicki.

– Ale ci nie wyszło, paniczyku – mruknął Igor.

– Masz rację, Alicja wychowuje jedno nie swoje, drugie też jakieś nie tego, a ja i tak ją kocham. – Julian wychylił kolejny kieliszek.

– A dajże, spokój, Chełmicki. Coś się tak do tej latawicy przyssał. Ta twoja lekareczka to taka fertyczna kobitka, a ty wzdychasz do takiej, co z frycem do wyrka łąziła – mruknął Łyszkin.

– Tylko nie z frycem, licz się ze słowami, stary bolszewiku! – ryknął Lossow i zaczął się śmiać. – Ta twoja Hania to też nie taka święta. Tylko arystokratów za mężów brała, taka gwiazda, kurwa mać.

– Za to twoja panna to istny anioł. I taka subtelna, i delikatna, że aż na stryczku zawisała – odciął się Igor.

– Ale nam się baby trafiły, nic tylko się zapij na śmierć, człowieku. – Chełmicki zarechotał.

– Po prostu za duże wymagania macie, paniczyki. – Igor beknął.

– No nie wiem, czy to takie duże wymaganie, żeby ci baba powiedziała, kim jest i nie miała ciągotek, żeby znęcać się nad ludźmi. – Lossow nagle spoważniał.

– A może my po prostu źle wybieramy? – westchnął Julian.

– To one nas wybierają, a my możemy co najwyżej uciec, ale i tak najczęściej zostajemy i dajemy się wodzić za nos – mruknął Łyszkin.

– Ech, świat bez kobiet byłby dużo mniej skomplikowany – zakończył Chełmicki i stwierdził, że jest zbyt pijany, by tego wieczoru pójść na panienki.

– I znowu zostałem sam, tak jak wtedy, w Gastronomii. Ech, ale z was kompani. – Lossow podniósł się z krzesła, ale chwilę potem usiadł, bo nie bardzo mógł



utrzymać się na nogach.

– A co ja mam powiedzieć, jak mi już trzeci wieczór odpływacie? – Igor poklepał po ramieniu Waltera i skinął na gospodarza pensjonatu, by ten pomógł mu zaprowadzić kompanów do łóżek.

\*\*\*

Wkrótce ich męski wypad dobiegł końca i każdy z nich żałował, że był taki krótki. Obiecali sobie jednak, że przynajmniej raz w roku będą się spotykać, by lizać rany po niepowodzeniach, sprawdzać, jak układa się im życie i czy żaden z nich nie wpakował się w jakieś tarapaty. Igor i Julian pożegnali na dworcu w Warszawie Losowa, który następnego dnia odjeżdżał do Berlina. Nie mogli mu już pomóc, on sam także nic nie był w stanie zrobić, ale wierzyli, że pewnego dnia zapomni i powróci do normalnego życia. I będzie tym samym Walterem, jaki towarzyszył im podczas wypadu do Zakopanego.

– A ty, przyjacielu, co zamierzasz? – zapytał Igor, gdy wracali do domu Hanki i Łyszkina.

– Poproszę „Karego”, żeby pożyczył mi samochód. Pojadę do Chełmic, a potem wrócę do Lozanny, ratować swoje małżeństwo – powiedział Julian i dodał: – To nasze spotkanie... Cholera, bardzo mi was brakowało. Od razu patrzę na życie innymi oczami i zaczynam wierzyć, że świat nie kończy się na Alicji ani na miłości do ojczyzny.

– Po prostu dorosłeś, paniczku. – Łyszkin uśmiechnął się i trącił łokciem idącego obok Chełmickiego.

Sergiusz Dargiewicz nie robił problemów, by pożyczyć Chełmickiemu furgonetkę, ale obdarzył go setkami dobrych rad, uwag i ostrzeżeń, jakby Julian miał usiąść pierwszy raz za kółkiem. W zasadzie Julian mógł pojechać pociągiem, ale tam, na miejscu, już nie czekała na niego bryczka czy auto, którymi mógłby objechać wszystkie dobra Chełmickich. Na szczęście śniegu nie było jeszcze dużo i Julian miał nadzieję, że furgonetka nie utknie w nim, gdzieś na polnych drogach. Łudził się także, że Ludmiła uratowała cokolwiek z jego dziedzictwa, chociażby albumy ze zdjęciami albo rodową biżuterię. Zarówno jedno, jak i drugie miało dla Chełmickiego wartość sentymentalną, pragnął mieć cokolwiek, co wiązało się z jego rodziną. Chwilami żałował, że był jedynakiem, bo Emila Lewina już od dawna nie traktował jak brata.

Był taki moment, że Julian chciał tego i nie przeszkadzało mu pochodzenie jego matki ani fakt, iż urodził się z nieprawego łoża. Z czasem okazało się, że Emil wcale nie ma ochoty na zacieśnianie więzów rodzinnych, a jego nienawidził z całego serca. Kompletnie tego nie rozumiał. Był w stanie pojąć niechęć, jaką ten człowiek mógł żywić do ojca, który się go wyrzekł i niejako porzucił na pastwę losu i ubogich wieśniaków, ale zupełnie nie mógł pojąć niechęci, jaką żywił do niego. Kiedy ma się lat piętnaście, owe irracjonalne pretensje można było zrzucić na karb młodości i głupoty, ale gdy Emil dorósł, ani na jotę nie zmienił swojej postawy, a nawet wraz z wiekiem rosła w nim chęć zemsty na Julianie, właściwie nie wiadomo za co. Antoni kochał Juliana, gardził Emilem, ale, do diabła, jaki mógł mieć na to wpływ? Taki sam, jak na miejsce swojego urodzenia i tego, kim byli jego rodzice. Czyli żaden.

Teraz, po latach, i Chełmicki odczuwał złość na samą myśl o Lewinie i mężczyzna ten budził w nim jak najgorsze instynkty. Z każdego niemal źródła dowiadywał się, jak bardzo Emil próbował mu zaszkodzić. Polował na niego jak na zwierzynę łowną, wykorzystując gestapo. A przecież wiadomo było, że oni nie chcieli z nim pogwarzyć przy piwie, ale wycisnąć z niego, co się da, a potem zamordować. Tak, Emil Lewin posunął się nawet do tego, by nie tylko życzyć mu śmierci, ale bardzo się starał, aby właśnie taki scenariusz spotkał Chełmickiego. Julian nie sądził, żeby kiedykolwiek wybaczył bratu. Kiedy pierwszy raz Igor Łyszkin powiedział mu, co NKWD znalazło w archiwach na Szucha i że swoją gehennę na gestapo zawdzięczał Emilowi, nie chciał uwierzyć. Ale Igor nie miał najmniejszych powodów, by kłamać, zwłaszcza że Lewin miał niechybnie zostać jego szwagrem. On sam wpadł w Warszawie przez Emila, podobnie Hanka, rodzona siostra.

Najwyraźniej dla Lewina nie istniała żadna świętość. Ani Bóg, honor i ojczyzna, ani rodzina. Hanka podobno mu wybaczyła, ale Łyszkin twierdził, że nie wie o wielu sprawkach swojego brata. Juliana nie było stać na to, by wybaczyć Emilowi, mimo łączących ich więzów krwi. Może gdyby Lewin ukorzył się, żałował swoich haniebnych czynów, złamałby się, ale on nawet po wojnie nie odpuścił sobie, by dopiec Chełmickim.

Cała droga do Chełmic minęła Julianowi na rozważaniach o przyrodnim bra-

cie, tym, co zrobił, a przede wszystkim dlaczego czynił te wszystkie potworności. Czy w końcu przyniosło mu to ulgę? Czuł się teraz lepiej? Julian nie był w stanie odpowiedzieć na te pytania, ale sądził, że Lewin wcale nie zaznał spokoju, odgrywając się na wszystkich za swoje smutne dzieciństwo. Jego siostra, Hanka, miała równie parszywy start, a jednak potrafiła zrobić karierę, zgromadzić pokaźny majątek i wejść poprzez małżeństwo do znakomitego rodu Niechowskich. Tymczasem Lewin wciąż musiał podlizywać się władzy, by przetrwać i żyć w miarę dostatnio. Julian nie sądził bowiem, że kierowała nim wiara w panujący system. Emil Lewin po prostu nie miał żadnych ideałów, a jedyną osobą, jaka się dla niego liczyła, był on sam. Żałował Adrianny, że nie mogąc znieść tyranii tego gnoja, palnęła sobie w głowę i zostawiła pod jego opieką małego Karolka, który mając w ojcu taki wzorzec, mógł w przyszłości stać się taką samą kanalią jak Emil.

Wjechał na Wierzbową Drogę i drastycznie zwolnił. Nie dlatego, że pragnął napawać się widokami dobrze znanych mu z dzieciństwa i młodości miejsc, ale czuł lęk przed tym, co zobaczy, gdy wjedzie na posesję Antoniego Chełmickiego. Ostatni raz, kiedy tu był, z Sergiuszem, by pożegnać się z ojcem, dworek był już mocno zaniedbany i chylił się ku upadkowi, więc nie miał pojęcia, czego może spodziewać się w tej chwili, gdy wszystko zostało znacjonalizowane. A wiadomo było, że nikomu nie chciało się dbać o coś, co należało do państwa, czyli to tak, jakby było niczyje.

Wjechał przez otwartą bramę i zatrzymał się przed niskim budynkiem służbówek i pomieszczeń gospodarczych. Wszędzie panowała cisza, nawet z głównego budynku nie dobiegały żadne dźwięki. Tak jak można było się spodziewać, z domu odpadł w wielu miejscach tynk, framugi okienne były poszarzałe, a ozdoby przy niskich schodkach prowadzących do głównego wejścia – obłupane i zniszczone. Ktoś odmalował eleganckie dębowe drzwi paskudną, zieloną farbą olejną, niszcząc, zapewne bezpowrotnie, ich szlachetną fakturę. Do ściany przytwierdzono tabliczkę, informującą, że oto w budynku znajdują się biura gorzelni. Nie miał zamiaru tam wchodzić, zapewne wszystko zostało zmienione i dostosowane do potrzeb administracji, ale zastanawiał się, czy również zagospodarowano strych, na którym mógłby znaleźć jakieś pamiątki po rodzicach i dziadkach.

Najpierw postanowił porozmawiać z Ludmiłą i Majkowskim. Nie miał jednak pojęcia, do których drzwi zapukać, wybrał więc te najschludniejsze, licząc na to, że właśnie tam zostanie słynąca z porządku Ludmiłę. Zapukał nieśmiało i wkrótce usłyszał dźwięk przekręcanego klucza. Ludmiła, jak zawsze, miała skwaszoną minę, ale nie rozpoznała Juliana. Nie dlatego, że tak bardzo się zmienił, ale wzrok już miała kiepski, a okulary zostawiła na stole w kuchni.

– Pan do kogo? – warknęła.

– Pani Ludmiło, tak bardzo się postarzałem? – zapytał ze śmiechem.

– Mój Boże, pan Julianek... Wchodzi panicz, okulary zostawiłam w kuchni, a bez nich to ślepa jestem jak kret – odpowiedziała kobieta i zaraz potem zaczęła łkać.

Zaprosiła młodego Chełmickiego do pokoju, gdzie rozpoznał szafę i komodę pochodzącą z dworku, a sama poszła do kuchni po, jak to mówiła, drugie oczy.

– A gdzie tam. Nic się pan Julianek nie zmienił. Tylko tutaj wszystko jest inaczej niż było. – Znowu jej głos zaczął się łamać.

– Wiem, ten ogromny mężczyzna, Sergiusz, co was odwiedził, pisał mi, co się

stało – westchnął Chełmicki.

– A, panie Julianku, Majkowski to nie doczekał, już zaraz będzie pięć miesięcy, jak go pochowaliśmy na cmentarzu w Chełmicach. Sama zostałam jak ten palec, ale na szczęście jeszcze mi w miasteczku jacyś znajomi pozostali, to mam od czasu do czasu do kogo gębę otworzyć. – Ludmiła machnęła ręką.

– Pani Ludmiło, a zostało cokolwiek po moich rodzicach czy już wszystko rozszabrowane? – zapytał z niepokojem Julian.

– A tyle, co tę szafę mi dali i komodę. To jak pan Julianek chce... – Wskazała brodą meble.

– Nie, pani Ludmiło, niechże pani takich rzeczy nie opowiada, że miałbym pani z domu meble wynosić – przerwał jej. – Bardziej mi chodzi o albumy, rodowe srebra czy biżuterię po matce. No, cokolwiek, co mógłbym na pamiątkę po rodzicach wziąć.

– Albumy to zabrałam, oglądam je nawet czasami, jak mi smutno bardzo. Bo to przecież Chełmiccy kiedyś to ho, ho. Ale przecie nie moje, to panu Juliankowi dam. A reszta? – Ludmiła ściszyła głos. – Przyjechał ten obszarpaniec od Lewinów... no ten, co gadał, że on Antoniego syn... i wszystko, panie Julianie, wybebeszył, a co tylko dał radę, na taki duży samochód załadował i wywiózł. Głównie to papiery, ale sejf w bibliotece wyłamał i jak potem z Majkowskim zajrzeliśmy, to tylko wiatr w nim hulał. Nas przegonili, tylko tyle, co łaskawie parę mebli pozwolili zabrać, a reszta rozkradziona. Kto, co i kiedy, to ja, panie Julianku, tak dokładnie nie wiem, ale sejf to obrobił ten cały Lewin. A jakie panisko zgrywał, ważny taki, że go tylko do Rady Narodowej dać. Rozumie, pan Julianek, niby władza, a cham się dalej został.

Chełmicki zamyślił się. A więc rodowa biżuteria była teraz w rękach Emila Lewina. Julianowi nie chodziło o jej wartość, ale niektóre eksponaty tej kolekcji pochodziły sprzed dwóch wieków i należały do jego przodków.

Ludmiła wyciągnęła z szuflady komody oprawione w skórę albumy i do wieczora oglądali zdjęcia, wspominając słynne przyjęcia, które gromadziły tłumy w dworku. Rozpoznał na fotografii Helenę Ducret, Martina von Lossowa i Fiodora Łyszki. Znalazł nawet pamiątki po słynnych urodzinach ojca, kiedy to po raz pierwszy wystąpiła publicznie Hanka Lewinówna, a pijany Igor obraził Adriannę, twierdząc, że jest pustą lalką. Setki zdjęć, a każde z nich sprawiało, że coś ścisnęło Juliana za serce. Nostalgia za czasami, które nie powrócą, i za domem, który nigdy już nie będzie miejscem spotkań jego przyjaciół i znajomych.

Przenocował u Ludmiły, a następnego ranka oboje pojechali na chełmicki cmentarz, by odwiedzić wszystkich tych, którzy byli Julianowi bliscy. Spędzili tam mnóstwo czasu, bo historia tego cmentarza i grobów znajdujących się na nim była opowieścią o jego rodzie, począwszy do Ksawerego Chełmickiego, który przyczynił się do powstania miasteczka Chełmice. I nagle wszystko się skończyło. Najpierw przez Niemców, teraz przez komunistów.

Odwiózł Ludmiłę do jej domu, zapakował rodzinne albumy – oprócz jednego, bo gospodyni zachowała go, by przypominał jej lepsze czasy – i wyruszył obejrzeć to, co niegdyś należało do Chełmickich. Julian przemierzał ośnieżone polne ścieżki furgonetką „Karego” i patrzył na niemal bezkresne pola, po których dawniej jeździł konno. Przypominał sobie czystej krwi rumaki, będące oczkiem w głowie Antoniego,

a które to pewnego dnia musiały iść na wojnę, by walczyć wraz ze swoimi jeźdźcami o wolną Polskę.

Staął przed gorzelnią, ale nie wjechał na jej dziedziniec, bo nie chciał się tłumaczyć strażnikowi, który dumnie przechadzał się wzdłuż szlabanu, z karabinem przewieszonym przez ramię. Tutaj niewiele się zmieniło, panował duży ruch, a samochody ciężarowe wjeżdżały i wyjeżdżały z terenu gorzelni. Kiedyś odżegnywał się od tego, by zająć się tym zakładem, gdy już jego ojciec nie domagał, ale dzisiaj oddałby bardzo wiele, by tu powrócić, przejąć interes, a dom doprowadzić do dawnej świetności. Wiedział, że obecnie nie było to możliwe, ale może nadejdą takie czasy, a on miał przecież córkę. Być może jego mała Amelka kiedyś tutaj powróci i przywróci blask rodowemu majątkowi.

Wracając do Warszawy, powinien być przybity, ale nie był. Pożegnał się z tym miejscem i cieszył się, że zdołał tutaj przyjechać. Tak, ten pobyt w Polsce był czasem odcinania się od starych spraw, po to, by mógł cieszyć się tym, co nowe i na ten moment nieco obce. Zostawiał swoją przeszłość, dawną miłość i był gotów zacząć wszystko od początku. Alicja żyła, jego dwaj najlepsi przyjaciele także i właściwie był zadowolony z tej nieco sentymentalnej podróży. Jedyne, co mu dokuczało, to Emil Lewin. Postanowił, że spotka się z nim i rozmówi, w przeciwnym razie nie zna spokoju.

Emil Lewin nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak szczęśliwy, jak tego dnia. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w swoim życiu czuł się równie wspaniale. Był to dzień jego ślubu z Magdaleną Walewską, która za kilka godzin miała stać się Magdaleną Lewin. Kochał i był kochany. Nie zastanawiał się nad tym, że jego przyszła małżonka wiedziała o nim tak niewiele, a zwłaszcza nie była świadoma złych uczynków, jakich się dopuścił. To przecież nie miało znaczenia. Zamierzał stać się innym człowiekiem, nowym Emilem Lewinem, i rozpocząć życie w Anglii, gdzie nie będzie musiał się bać, że jego mroczne sekrety ujrzą światło dzienne. Wychowa z Magdaleną swojego syna, Karolka, a z czasem postara się o nowego członka rodziny. Żałował, że Szymek nie chce z nimi wyjechać, bo podobał mu się i nowy ustrój, i pewna ładna dziewczyna, nieco oszpecona przez niemieckich żołdaków.

Franek „Diamentowa Rączka”, który został poproszony na drużbę, od rana siedział w mieszkaniu Lewina i pomagał mu przyszykować się do tej wielkiej chwili. Właściwie siedział w kącie, raczył się gorzałką i pilnował, żeby Lewin nie rozmyślił się na kilka godzin przed ślubem. Jego kompan jednak sprawiał wrażenie, jakby naprawdę był uradowany z powodu ślubu.

– Aleś ty aliancki, Lewin. Wyglądasz jak przedwojenny cylinder. I te fale na włoskach, jak u amanta – chwalił Franek. – Walnij lufę, Lewin, na odwagę.

– E tam, Franek. Nie będę gorzałą w urzędzie i kościele zalatywał. Mam nadzieję, że nikt nie zwącha ślubu w kościele. To mogłoby mi zaszkodzić – mruknął Emil i przyglądał wymodelowane brylantyną włosy.

Zerknął do lustra, nie wiadomo, który raz tego dnia, i uznał, że jest całkiem przystojnym mężczyzną. A gdy włoży swój elegancki garnitur, wszystkie panny będą do niego wzdychać i zazdrościć Magdalenie.

– Ale w końcu żeś porządną pannę znalazł. Adrianna puściła cię kantem, a o tej Niemrze to nawet gadać mi się nie chce. A ta Magdalenka to taka, że bym ją sam tak parę razy po bożemu... – Nie dokończył, bo Lewin posłał mu ostre spojrzenie.

– Nie chlaj tyle, bo mi będziesz się kiwał przed ołtarzem, Franek – warknął.

– A kiedy ja tylko tak, dla kurażu. Żadną miarą nie pijany. Coś ty, Lewin, przecież ślub takiego galanta to poważna sprawa – obruszył się Franek.

Właściwie Emil nie był zbyt zadowolony, że musiał prosić na drużbę Franek, który kompletnie nie pasował do takiego wyszukanego towarzystwa jak Walewscy czy jego sławna siostra, co to z Bierutem na zdjęciach w gazecie występowała. Gdy oznajmiła mu, że jej kochanek, ten cały Łyszkin, nie zjawi się na ślubie, odetchnął z ulgą. Nie zmartwił się także nieobecnością Alicji Rosińskiej, jednak z żalem stwierdził, że nie ma kogo poprosić na drużbę. Pozostał mu więc tylko Franek, którego pouczył, żeby mało gadał i wyglądał elegancko.

Usłyszeli pukanie do drzwi.

– O, Szymcio przyszedł. Pewnie u Magdaleny jest już Hanka i Zosia, i szykują pannę młodą do ślubu – powiedział Lewin i bez żadnych złych przeczuć otworzył

szeroko drzwi.

Zobaczywszy, kto za nimi stoi, miał ochotę od razu je zamknąć, ale przybyły gość wsunął nogę między framugę a drzwi, popchnął je i wkroczył do środka.

– A gdzie się tak wyszykowałeś, Lewin. Ach, prawda, ty, zdaje się, dzisiaj masz ślub – z nutką złośliwości powiedział Julian Chełmicki.

Odepchnął stojącego w drzwiach Emila, wszedł do pokoju i rozsiadł się w fotelu. Lewin był tak zszokowany, że zabrakło mu głosu, ale zaraz odzyskał rezon, wszedł za Chełmickim do pomieszczenia i warknął:

– Czego chcesz?

Franek, skonsternowany, patrzył raz na jednego, raz na drugiego mężczyznę, nie mając pojęcia, kim jest przybysz, którego tak niechętnie powitał Emil.

– Chyba musimy porozmawiać, bracie.

– U... Ale się porobiło, psia mać. – „Diamentowa Rączka” zagwizdał przeciągle.

– Franek... – zwrócił się Lewin do swojego kompana. – Wyjdźże trochę na podwórko, papierosa sobie zapal, pospaceruj.

– Zimno jak w kieleckim lesie, a ty mi tu spacerować każesz – burknął Franek.

– To na klatce schodowej posiedź – wycedził Emil i posłał Frankowi takie spojrzenie, że nawet siedząc w ciepłym mieszkaniu, zrobiło mu się zimno.

Wstał potulnie, założył kapotę i wyszedł z mieszkania. Kiedy za Frankiem zamknęły się drzwi wejściowe, Lewin ponowił pytanie:

– Po coś tu przylazłeś, Chełmicki? I ja nie żaden twój brat, brataj się z kim innym. Z tym swoim radzieckim kolegą, który chciał mi łeb odstrzelić, albo z tym szwabem, co to mnie chciał przymknąć.

– Po swoje przyszedłem – burknął coraz bardziej wściekły Chełmicki. – Słyszałem, że w Chełmicach byłeś, dom mi zrujnowałeś i przytuliłeś, co nie twoje.

Emil poczuł ogarniającą go złość. Niemal natychmiast zrobił się purpurowy na twarzy i krzyknął:

– Won, psie! Gównu ci się należy, teraz to wszystko państwowe, wspólne.

– Oddaj, co mi po matce zostało i zostawię cię w spokoju, szubrawcu – powiedział spokojnie, ale stanowczo Julian.

– W dupę mnie możesz pocałować, Chełmicki, i wynocha mi z domu, bo milicję wezwę i cię jak posledniego bandziora w kajdankach wyprowadzą, a potem to już się tobą zajmą, jak potrzeba – odparował Emil.

– Tak jak Kamilem Grotowskim? – zapytał Julian, wciąż nie tracąc zimnej krwi.

Lewin otworzył usta, przestraszony, ale za chwilę je zamknął, co było dla Chełmickiego dowodem, że jego brat maczał palce w śmierci Kamila.

– A ta twoja panna, łączniczka z powstania, co jej narzeczonego szwabę utłukły, to wie, żeś donosił na gestapo i dorobił się na szmalcownictwie? Albo żeś własnego brata i siostrę na Szucha posłał? Może wie, a może nie. Pójdę i zapytam – powiedział Julian i wstał z fotela.

– Dobrze, już dobrze, oddam ci te świecidełka. I tak mi na nich nie zależy – mruknął Lewin i podszedł do kredensu.

Wyjął z kieszeni klucz i włożył do zamka niewielkiego barku. Miał już wyciągnąć szkatułkę z precjozami Chełmickich, gdy jego wzrok padł na leżącego tam visa.

Dalej wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Emil pomyślał, że Chełmicki może nie zadowolić się błyskotkami i naprawdę pójdzie do Magdaleny, by jej wszystko opowiedzieć. Nie mógł do tego dopuścić, bo to zrujnowałoby mu życie. Jeśli pozbędzie się go, będzie miał spokój, a potem i tak opuści kraj. I niech go milicja szuka w Anglii. Zdenerwowanemu Emilowi taki plan wydawał się jedynym możliwym rozwiązaniem. Drżącą ręką chwycił pistolet, odbezpieczył, wycelował w Juliana i wystrzelił. Chełmicki dostał w pierś, chwycił się za miejsce, gdzie dosięgła go bratobójcza kula, i zsunął się z fotela. Emil stanął nad Julianem, który zwijał się z bólu i rzeził, ale wciąż żył. Lewin nie zastanawiał się długo i dokończył swoje dzieło, strzelając po raz drugi, tym razem w głowę.

Stojący na klatce schodowej Franek usłyszał dźwięk wystrzału i z przerażeniem popatrzył na drzwi mieszkania Lewina. Jakiś mężczyzna z mieszkania piętro niżej wyjrzał na klatkę i zapytał:

– Słyszał pan? – zapytał Franka.

– To z ulicy, tak jakby – wydukał „Diamentowa Rączka”.

– Może milicję trzeba wezwać? W aptece, po drugiej stronie, mają telefon – bez przekonania powiedział mężczyzna.

– Ale milicjanta to ja widziałem, jak biegł na tamtą budowę. Pewnie jakiego szabrownika gonił. – Franek machnął ręką.

– A to nic tam po nas – mruknął mężczyzna i zamknął drzwi.

Franek dał susa po schodach i wbiegł do mieszkania. Lewinowy brat leżał na dywanie, w kałuży krwi, a Emil stał nad nim z pistoletem w ręku. Chciał strzelić jeszcze raz do leżącego człowieka, ale najpewniej skończyły mu się naboje w magazynku, bo rozległ się jedynie szcęk zamka. „Diamentowa Rączka” popatrzył pobladły na Emila.

– Coś ty zrobił, Lewin? Coś ty zrobił? Tera zamiast do ołtarza, to do ancla pójdziesz – wybełkotał Franek.

– Do żadnego ancla nie pójde. Zawiniemy go w dywan, zapakujemy do twojej furgonetki i wywieziesz go za miasto. Wrzucisz do Wisły i po krzyku – stanowczo powiedział Lewin.

– Coś ty, Lewin? Szaleju się obzarłeś? Ja się na mokrą robotę nie pisałem i piśać nie będę, bo za to można krawat dostać.

– Ty, Franek, mnie z równowagi nie wyprowadzaj! – warknął Emil. – Bo skończysz jak mój braciszek i Bronka. Ja niejednego franta na tamten świat wysłałem, to i ciebie mogę. A takie mam znajomości, że nawet nie będę musiał sobie brudzić łap.

„Diamentowa Rączka”, wciąż blady, stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, a potem spojrzał na Lewina. Ten miał oczy pełne wściekłości, jakby był w zupełnym amoku. Franek nie zamierzał jednak brać udziału w morderstwie, nawet jeśli nie on pociągnął za spust. Bez słowa wybiegł z mieszkania. Wyszedł na ulicę i z trudem łapał powietrze. Nie wiedział, czy bardziej był zszokowany propozycją Lewina, by mu pomógł pozbyć się zwłok, czy jego bezwzględnością, gdy mu odmówił. I jeszcze przyznał się do zaszlachtowania Bronki. Nie lubił jej i denerwowała go, ale nigdy nie myślał, żeby jej gardło poderznąć jak bez mała prosięciu. Oparł się o ścianę sąsiedniego budynku, bliski omdlenia, i zaczął się zastanawiać, jak wybrnąć z sytuacji. W istocie Lewin miał koneksje u nowej władzy i mógł sprawić, że zgnije w więzieniu albo skończy w drewnianej jesionce, ale przecież nie mógł tak po prostu zawinąć tru-



pa w dywan i wyrzucić do Wisły.

– Źle się pan czuje, panie Franku? – Usłyszał głos Szymka i podniósł na niego wzrok.

Chłopak miał na sobie eleganckie palto, spod którego widać było poły marynarki i śnieżnobiałą koszulę. Trzymał w dłoni bukiet kwiatów, które odebrał z kwiaciarni, i zapewne zmierzał w kierunku mieszkania Lewina.

– Źle, Szymek. Oj, źle... – bąknął Franek.

– A co się stało? Chodźmy do pana Emila, to dwa kroki stąd, odpocznie pan, ciepłej herbaty się napije. – Szymek wziął go pod rękę, sądząc, że ten po prostu zasłabł.

Franek chwycił go za rękaw i jęknął:

– Nie idź tam, Szymek. Broń cię Boże, żebyś tam laźł. Ja cię okłamałem, Szymcio, bo Lewin dla ciebie jak ojciec. Ale to kanalia. Rozumiesz, kanalia ostatnia! – „Diamentowa Rączka” puścił rękaw chłopaka i teraz trzymał go za kołnierz płaszcza i potrząsał nim kompletnie rozedrgany.

– Chodźmy, panie Franku. Za rogiem jest pijalnia piwa. Pogadamy – ze spokojem i jakąś rezygnacją powiedział Szymek.

Uwolnił się z rąk Franka, po czym wziął go pod łokieć i zaprowadził do małej knajpy, znajdującej się nieopodal. Ten mężczyzna, który, jak to mawiał niekiedy, z niejednego pieca jadł chleb, był blady jak ściana, miał łzy w oczach, a gdy podnosił kufel do ust, trzęsły mu się ręce.

– Niech pan mówi, panie Franku, z pieluch już dawno wyrosłem – ponaglił Szymek.

I „Diamentowa Rączka” rzeczywiście zaczął mówić. Nie tylko to, co wiedział, ale także czego się domyślał. Nie pominął nawet procederu Lewina związanego z szykanowaniem osób ukrywających Żydów, szantażem Tomasza Niechowskiego oraz śmiercią Bronki i Juliana Chełmickiego.

Szymek Wielopolski słuchał tego z pozornym spokojem, ale gdzieś w środku runął cały jego świat i wszystko, w co wierzył. Na przykład w to, że panna Adrianna sama odebrała sobie życie. W tym momencie był niemal pewny, że Emil Lewin jej w tym pomógł. Jego opiekun i mentor okazał się bardzo złym człowiekiem.

Mimo młodego wieku sięgnął po kufel z napoczętym piwem Franka i wychylił duszkiem. Potem postawił go na stole i powiedział:

– Niech pan wraca do domu albo gdzieś się zaszyje, u rodziny czy znajomych. Ja muszę załatwić jeszcze jedną sprawę.

Franek chwycił go za rękaw płaszcza.

– Nie idź tam, Szymek. To człowiek bez sumienia – wyszeptał konspiracyjnie i dodał, łkając: – I jak ja mam teraz być drużbą na jego ślubie?

– Nie będzie żadnego ślubu – wysyczał Szymek i wybiegł z pijalni piwa, zostawiając na stole bukiet kwiatów.

Szedł ulicą i zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Franka. W pewien sposób poczuł ulgę, że w końcu dowiedział się prawdy o Emilu Lewinie i już był pewien, dokąd powinien pójść. Nie miało dla niego znaczenia, co Lewin dla niego zrobił, ale jakim był człowiekiem. Mimo że uważał się już za prawie dorosłego, zapłakał jak dziecko, które straciło rodziców. Prawda, jaką usłyszał, była gorsza, niż się spodziewał. Dławiła go, rozrywała mu duszę i tkwiła jak zadra w jego umyśle. Szedł ze

spuszczoną głową i czuł gorące łzy, które szczypały go w policzki na mroźnym powietrzu.

Wpadł do mieszkania pani Walewskiej. Stała pośrodku pokoju, rozpromieniona, z wysoko upiętymi włosami i w pięknej kremowej sukni, na którą założyła futrzaną narzutkę. Zosia stała przy niej i jeszcze poprawiała jej loki przy szykownym, jasnym kapeluszu. Nigdy wcześniej panna Walewska nie była taka śliczna jak tego dnia, a na jej twarzy malowało się szczęście.

– Szymek, a co ty tutaj robisz? – zapytała ze śmiechem. – Zapomniałeś czegoś?

– Muszę pani coś powiedzieć, panno Magdaleno – niemal wyszeptał.

Walewska spojrzała na chłopca i jego zapłakaną twarz, po czym usiadła przy stole i poprosiła:

– Zosiu, zostaw nas samych, moja droga. Szymek chyba musi mi coś wyznać...

\*\*\*

Furgonetka Sergiusza powoli zbliżała się do kamienicy, w której mieszkała Walewska. Za kierownicą siedziała Alicja, a obok niej Hanka, ubrana w futro z norek i elegancki kapelusz.

– Mam wyrzuty sumienia, w końcu jestem druhną, ale nie codziennie rozstaję się z przyjaciółką, która wyjeżdża tak daleko – powiedziała Hanka.

– Nie maź się, bo ci makijaż spłynie i będziesz wyglądała jak sierota boża. – Alicja starała się zachować równowagę, bo Lewinówna od poprzedniego wieczoru tylko chlipała w chusteczkę.

– Nie nacieszyłam się tobą, a teraz nie wiadomo, kiedy cię zobaczę. Przecież ja nie mogę się pokazywać w Londynie, bo pewnie tam już na mnie czekają z wyrokiem sądu – jęknęła.

– Zbadam sytuację na miejscu i wierzę, że nie będzie tak źle, a my będziemy mogły się niebawem spotkać – pocieszała ją Alicja.

– Może wymknę się z przyjęcia i jeszcze do was zajdę? Przecież zanim się zapakujecie, to trochę czasu minie – zapytała Lewinówna rozpaczliwie.

– Niewiele mamy rzeczy, bo przecież przed granicą musimy cudze zabrać i tych, co muszą opuścić Polskę. Kilka tobołków, więc nie zdążysz na pewno. I idź już, bo panna młoda pomyśli, że ją druwna wystawiła do wiatru. I tak szczęście, że ta mała Zośka jej trochę pomogła... Wiesz, swoją drogą to życie bywa skomplikowane. Okazało się, że moja Olga знаła Waltera von Lossowa i byli tak blisko siebie, a jednak nie dane było im się zobaczyć.

– Oj, bywa. Jeszcze tak niedawno się witałyśmy, a teraz już nadszedł czas pożegnania. Sergiusz mówił, że do wiosny poczekacie, ale teraz zaczęło mu się śpieszyć – mruknęła Hanka.

– Nadarzyła się okazja i musimy z niej skorzystać, Hanka. A potem nie wiadomo, jak by było. Ja naprawdę nie chcę tutaj zostać... – Alicja poklepała Hankę po dłoni.

Już miały wyściskać się na pożegnanie, gdy nagle Hanka popatrzyła przed siebie i zobaczyła wychodzącą z budynku Magdalенę Walewską. Zerknęła na zegarek i zdziwiła się, bo do ślubu zostały ponad dwie godziny. Jej przysła bratowa stanęła

na chodniku, rozejrzała się, to w prawą stronę, to w lewą, rzuciła na leżący obok budynku stos cegieł wiązanekę i zaczęła iść szybkim krokiem.

– Co jest, do cholery? – zapytała na głos Hanka i wysiadła z samochodu.

Pobiegła za Walewską i w pewnym momencie dogoniła ją. Zaczęły rozmawiać, wymachiwać rękami, a potem wzajemnie się przytulać. Alicja nie miała pojęcia ani o czym rozmawiały, ani co takiego mogło strzelić do głowy pannie młodej. Pomyślała, że może piękna Magdalena w końcu przejrzała tego drania, Emila, i rozmyśliła się. Wcale nie byłaby zdziwiona i nawet korciło ją, żeby pójść do niej i wyjawic parę tajemnic narzeczonego, ale Hanka ubłagała ją, by tego nie robiła. Podobno jej brat bardzo zmienił się pod wpływem tej kobiety i stał się innym, lepszym człowiekiem. Alicja Rosińska nie wierzyła nigdy w cudowne przemiany pod wpływem miłości. To była tylko maska. Wiedziała o tym, bo sama kiedyś podobną nader często zakładała.

Czekała wciąż przed kamienicą, wpatrzona w rozmawiające kobiety, i nie wiedziała, co robić. Wreszcie panna Magdalena oddaliła się, a Hanka powróciła do auta. Wsiadła do środka, odwróciła się w stronę Alicji i jęknęła:

– Ślubu nie będzie. Za to pogrzeb na pewno.

– Emil nie żyje? – zapytała zdziwiona Alicja, bo wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie śmierci tego szubrawca.

Lewinówna zakryła twarz rękoma i wyszeptała:

– Emil żyje, ale zastrzelił Juliana Chełmickiego. Muszę wrócić po Walewską, muszę powiadomić Igora... Alicja, jedź, bo jeszcze będą chcieli czegoś od ciebie... Ja sama... Ja nie wiem, co mam zrobić, ale Igor będzie wiedział. Jedź, przyjaciółko, ty i tak już nie pomożesz Julianowi. Tak mi przykro, Alicja... Tak bardzo, bo to mój brat... – bełkotała Hanka.

– Rodzeństwa się nie wybiera – odpowiedziała oszołomiona Alicja i poczekała, aż Hanka wysiądzie z furgonetki.

Czuła, jakby uderzył w nią rozpędzony pociąg. Julian nie żył. Udało mu się ująć z życiem, gdy trafił w ręce gestapo, wylizał się z ran odniesionych podczas powstania, a niedawno podnosił się z duchowego dna. I właśnie wtedy, gdy Julianowi naprawdę zachciało się żyć pełną piersią, gdy pożegnał się z nią i swoim domem, by rozpocząć wszystko od początku, ten szubrawiec go zabił. Nie, to nie mogło mu ująć na sucho. Nie tym razem.

Ruszyła z impetem sprzed domu Walewskiej na Mokotowie i pojechała w stronę kamienicy Emila Lewina. Mijały ją z Hanką po drodze, przyjaciółka nawet zastanawiała się, czy jej brat jest już gotowy do ślubu, gdy tymczasem wycierał zakrwawione dłonie. Zatrzymała samochód po drugiej stronie, tuż obok apteki, i zaczęła gmerać pod siedzeniem kierowcy. W końcu wyciągnęła brudne szmaty, a z nich wysupłała wysłużonego visa. Schowała go do głębokich kieszeni swojego eleganckiego płaszcza i wysiadła z samochodu. Szybkim krokiem przeszła na drugą stronę jezdni i weszła do sieni. Wbiegła na najwyższe piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Lewina. Nie miała pojęcia, które to drzwi, ale nie musiała ani szukać, ani nikogo pytać. Wystrojony Lewin właśnie zamykał drzwi swojego mieszkania. Nacisnął klamkę, by sprawdzić, czy to zrobił, a potem odwrócił się i zobaczył stojącą na schodach Alicję. Nie zdążył wykonać ruchu, by schronić się w domu, chociaż przeczuwał, z jakiego powodu się tutaj znalazła. Nie miał pojęcia, skąd mogła wiedzieć o tym, co zrobił

z Chełmickim, ale po prostu wiedział, po co przyszła. Przymknął powieki, myśląc w ostatnich chwilach życia o pięknej Magdalenie, gdy padł strzał. Po chwili nie słyszał już nic.

## Epilog

### 1. Warszawa, 5 marca 1953

Hanka Łyszkin spoglądała na zachmurzone niebo, a potem na podwórko, które powoli zamieniało się w grzęzawisko.

– Mówiłam w zeszłym roku, żeby posiać trawę – powiedziała do siedzącego przy kuchennym stole Igora.

W oddali słychać było muzykę dobiegającą ze stojącego na szafce radia.

– Za każdym razem, gdy włączam radio, lecą twoje piosenki. Jakbym nie miał dosyć twojego gderania w domu – mruknął Igor i pociągnął łyk kawy.

– Jest aż tak źle? – Uśmiechnęła się i usiadła na jego kolanach.

– W nocy jest całkiem dobrze. – Uszczypnął ją delikatnie w pośladek.

– A ci znowu... – burknęła wchodząca do kuchni Nadia, po czym zapytała: – Zrobiłaś mi kanapki do szkoły? Karol już zwlókł się z łóżka? Nie będę na niego czekała, przez niego zawsze się spóźniam.

– Gadasz jak nakręcona – stwierdziła Hanka i dodała: – To leć, Grzesia i Karola sama zaprowadzę do szkoły.

– Ale wstyd, żeby takich starych koni mama pod klasę odprowadzała – mruknęła.

– Cicho bądźcie, podają komunikat na temat stanu zdrowia Stalina – przerwał im rozmowę Łyszkin i przekręcił gałkę w radiu.

– W naszej klasie to wszyscy nauczyciele chodzą markotni, jakby to był co najmniej ich ojciec – mruknęła Nadia.

Igor i Hanka popatrzyli na siebie, ale przy córce nie chcieli nic mówić. Dla nich śmierć Stalina byłaby nadzieją na lepsze jutro i jakieś zmiany. Odkąd odsunięto od ważnych spraw generała Sudopłatowa i zesłano go w niełasce na Krym, nic już nie było pewne. Na szczęście Igor przebywał na wojskowej rencie i nie był nikim ważnym, ale wiadomość o generale wzburzyła go i chyba dopiero wówczas przestał wierzyć w tę całą politykę sprawiedliwości i dobrostanu. Poza tym liczył, że coś się zmieni, Polska i kraje socjalistyczne otworzą się na świat, a on będzie mógł spotkać się ze swoimi rodzicami, którzy po jego wpadce przeprowadzili się do Wielkiej Brytanii i tam podobno żyli spokojnie i dostatnio.

Hanka Lewinówna kochała swoje obecne życie mimo wielu niedogodności, z jakimi musiała borykać się każdego dnia. Jednak problemy, z którymi się stykała, nie wydawały jej się poważne. Zwłaszcza że miała przy boku Igora. Mieszkali w nowym domu, na Saskiej Kępie, i próbowali wychować trójkę dzieci, z których każde miało inny charakter. Nadia była wciąż małą dzikuską, chodzącą własnymi ścieżkami, Grześ, dla odmiany, bardzo spokojnym dzieckiem, co ogromnie martwiło Igora, a Karolek – syn Emila – wymagał ciągłej uwagi i troski, bo inaczej rozrabiał, a wtedy Igor wpadał we wściekłość. Szczególnie gdy musiał kolejny raz iść do szkoły i wy-

słuchiwać od nauczycieli o jego wyczynach.

Hanka przywykła, że nie błyszczy na scenie jak niegdyś, jednak jako jedna z nielicznych artystek bloku wschodniego wyjeżdżała na drugą stronę, by dawać koncerty. Jakby polskie władze pragnęły pokazać, że u nich też są wspaniali artyści. Jedyne miejsce, do którego nie zaglądała, to była Wielka Brytania. Jeśli chciała zobaczyć się z Alicją, ta przyjeżdżała do Paryża czy Amsterdamu. Lewinówna wcale nie była pewna, czy gdzieś nie kręcą się wysłannicy Urzędu Bezpieczeństwa, by sprawdzić jej kontakty i poczynania. Alicja jednak miała ogromną wprawę w udawaniu, że jest jedynie zagorzałą wielbicielką talentu Hanki Lewin.

Łyszkin od dawna już przestał wierzyć w system, który go stworzył, chociaż nadal uważał, że socjalizm jest przyszłością świata. W przeciwnym razie podziały w społeczeństwach wciąż mogą się pogłębiać. Korzystał także z faktu, że ma sławną żonę, która mogła opuszczać Polskę bez przeszkód i wyjeżdżać za żelazną kurtynę, jako najlepszy towar eksportowy Rzeczypospolitej, i zawsze wkładał jej do walizki listy, które wysyłała do Łyszkinów w Anglii i Waltera von Lossowa w Berlinie. Od czasów spotkania w Zakopanem Walter i Igor mieli tylko jedną okazję, by się zobaczyć. Była to smutna okoliczność – pogrzeb Juliana Chełmickiego. O jego śmierć oskarżono nieżyjącego Emila Lewina, którego także dosięgła ręka sprawiedliwości, jednak śledztwo w tej sprawie zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawcy. Nikt nie wiedział, kto dokonał tej krwawej zemsty na Lewinie, snuto jedynie domysły, ale prawdę Emil zabrał ze sobą do grobu.

Ten dzień był podobny do wielu innych, jakie przeżyli Łyszkinowie w Warszawie. Jedyne, co go różniło od pozostałych, to informacja, jaką podały wieczorem stacje radiowe i wszystkie radiowęzły w kraju. Józef Stalin umarł, a wraz z nim pewna epoka.

\*\*\*

– Myślisz, że to już? – Szymek zerwał się na równe nogi i chwycił stojącą w rogu pokoju torbę.

– Uspokój się, Szymek – uśmiechnęła się Zosia. – Jeszcze nie.

– A boś się tak skrzywiła, to myślałem, że już – mruknął i z powrotem usiadł do stołu.

– Ty to lepiej ucz się do zaliczenia i patrz w książki, a nie na mnie.

– E tam, zaliczenia są co miesiąc, a ojcem się zostaje raz. – Szymek machnął ręką.

– To będziemy mieli tylko jedno? – zatrwożyła się Zosia.

– Pani Wielopolska, jak będziemy mieli swoje mieszkanie, to pomyślimy, ale póki co... Rozejrzyj się. Pokój w akademiku nie jest najlepszym miejscem do wychowywania dzieci. Już teraz ledwo możemy dwa kroki do przodu zrobić – prychnął Szymek.

– Pani Zofia Wielopolska... Wciąż, gdy to mówię, płakać mi się chce ze wzruszenia.

– Kobieto, urodź ty w końcu, bo nie wytrzymam z tobą – burknął Szymek, jeszcze raz zerknął na żonę i jej ogromny brzuch, a potem powrócił do artykułów z kodeksu karnego.

W istocie warunki nie były najlepsze ku temu, by wychowywać dzieci. Pokój

był nieduży, a wstawienie łóżeczka jeszcze uszczupliło wolną powierzchnię. Korzystali ze wspólnej kuchni i łazienek, a utrzymywali się jedynie ze stypendiów. Szymek był jednak szczęśliwy, ponieważ udało mu się dostać na wymarzone studia. Zosia także studiowała, a oboje należeli do Związku Młodzieży Polskiej.

Szymek niekiedy odwiedzał grób pana Lewina i mimo że ten był łotrem i mordercą, dziękował mu w duchu za te wszystkie lata, kiedy dawał mu szansę na lepsze życie. Nie miał pojęcia, jakby się ono ułożyło, gdyby nie pan Emil. Być może byłby w tym samym miejscu, w którym znajdował się obecnie, a może zszedłby na złą drogę i skończył w więzieniu, jako drobny złodziejasek.

Miał kontakt z Karolkiem i był częstym gościem na Saskiej Kępie, u Łyszkiniów, ale nie chciał przyjąć od nich żadnej pomocy. Zgodził się jedynie, by pani Hanka kupiła wyprawkę dla jego przyszłego potomka. Widywał się także z Magdaleną Walewską, ale niezbyt często, ponieważ za każdym razem, gdy się spotykali, pytała, czy to on zastrzelił Emila Lewina. Kiedy zaprzeczał, kiwała głową, ale odnosił wrażenie, że nie za bardzo mu wierzy, chociaż milicja go przesłuchała i dokładnie sprawdziła. Franek „Diamentowa Rączka” także podejrzewał, że to on wymierzył sprawiedliwość Lewinowi. Złościło to Szymka, bo nie chciał uchodzić za mordercę, mimo że pewnego dnia zaczął pogardzać swoim mentorem.

Nagle usłyszeli rumor na korytarzu, chociaż pora była dość późna, a potem usłyszeli głos w radiowęźle:

– *Dzisiaj, o godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt, odszedł od nas Józef Stalin. Kochaliśmy go. Jak ojca i przyjaciela. Jego czyny należą do historii, której maleńką częścią jest i nasze życie.*

– To straszne – jęknęła Zosia. – Nie chcę rodzić w dniu, gdy umarł taki wielki człowiek. Muszę wytrzymać do jutra. Naprawdę nie wiem, co się stanie ze światem, jeśli umarł Józef Stalin, ojciec najlepszy nas wszystkich.

Po chwili kolejny raz tego dnia zaczęła płakać.

\*\*\*

– Słyszałeś, tatko? – Magdalena Walewska podkreśliła gałkę stojącego w salonie radia. – Stalin umarł.

– On nie umarł, on zdechł. Niech się smaży w piekle, ospowaty parszywiec. Madziu, otwieraj butelkę, jest co świętować.

– Doktor Piotrowski ma zaraz po mnie przyjechać i wracamy do Warszawy – odpowiedziała Magdalena i zarumieniła się.

Magdalena Walewska długo nie mogła dojść do siebie po tym, gdy dzień, który miał być najpiękniejszym w życiu, okazał się najgorszym. Analizując jednak to, co się wówczas wydarzyło, doszła do wniosku, że gdyby jej narzeczony nie zginął tego dnia, ona mogłaby uczynić coś głupiego. Wiadomości od Szymka były tak druzgocące, że nie potrafiłaby wybaczyć Emilowi. A jednak... dotychczas nikt jej tak nie kochał, jak Lewin. Nawet jej Władek.

Z czasem zaczęła umawiać się z innymi mężczyznami, ale mimowolnie wciąż porównywała ich do Lewina i miała nadzieję, że któryś z nich pokocha ją równie mocno.

– Przecież to on będzie prowadził, a nie ty. Możesz chyba w takie święto chlapać kielicha z ojczulkiem. – Walewski machnął ręką, po czym wstał zza stołu

i tanecznym krokiem sam podszedł do kredensu.

Wyciągnął z niego butelkę wódki, trzy kieliszki i nalał każdemu po jednym. Swojej żonie, córce i sobie. Podniósł kieliszek do góry i nie bardzo wiedział, jaki toast powinien wnieść przy tej okazji, więc powiedział:

– Za Józefa Stalina! I żeby się taki drugi nigdy nie narodził...

## 2. Lozanna, 5 marca 1953

W mieszkaniu Gustava i Weroniki Durand paliła się jedynie lampa w salonie, rzucająca subtelne światło na elegancko urządzone wnętrze. Weronika opierała głowę o ramię męża i powoli sączyła czerwone wino z pękatego kieliszka.

– Jestem skonana. Dzisiaj miałam trzy zabiegi. Dwa woreczki i jeden wyrostek – zamruczała.

– Zaraz przygotuję ci kąpiel, kochanie. I naprawdę nie musisz się tak zaharowywać, stać mnie na to, żeby utrzymać pięcioosobową rodzinę – powiedział ciepło Gustav i dodał: – Jak oni mogą tak wykorzystywać moją piękną żonę.

Weronika zmrużyła oczy i uśmiechnęła się. Lubiła swoją pracę, nawet jeśli niekiedy powracała do domu śmiertelnie zmęczona, ale jeszcze bardziej uwielbiała, gdy jej mąż rozczulał się nad jej stanem. A potem zawsze mówił, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką widział.

Weronika pracowała nie tylko dlatego, że pragnęła się czuć przydatna, ale nie chciała zbyt mocno nadwyręzać zasobów finansowych małżonka. Paweł studiował w szkole medycznej, a to pochłaniało fortunę. Mogłaby sprzedać dom, w którym mieszkała niegdyś z Julianem, ale nie potrafiła. Jeździli tam w weekendy, a Weronika wspominała czas z nim spędzony. Ten zły i ten dobry. Pozbyła się natomiast koni. Nie znała się na nich, a Clara, córka Gustava, straciła zainteresowanie nimi. Pozostały jedynie stajnie i padok. Niekiedy, siedząc na tarasie, Weronika wpatrywała się w to miejsce i wyobrażała sobie stado rumaków, a pośród nich krzątającego się Juliana. Głaskał je po lśniącej sierści, a czasem przytulał się do ich łbów i okazywał im więcej czułości niż własnej żonie.

Gustav był mężem, o jakim zawsze marzyła i przypominał jej bardzo Tadeusza, pierwszego męża, którego pochowała dawno temu. A potem pojawił się w jej życiu Julian. Uczucie do niego było szaleństwem, jakimś narkotycznym upojeniem, gdy człowiek wyłącza zdrowy rozsądek i jakiegokolwiek myślenie. Wspominała go jednak z nostalgią i tęskniła niekiedy za jego śmiechem z czasów, gdy jeszcze był pogodnym człowiekiem. Przestał nim być, gdy stracił swoją miłość, Alicję Rosińską. A Weronika była tak zaślepiona, że nawet tego nie zauważyła. Teraz jednak czuła się naprawdę szczęśliwa, a przede wszystkim mogła bez wyrzutów sumienia każdego dnia rozkoszować się spokojem, jaki daje świat bez wojen i z kochanymi ludźmi obok.



### 3. Berlin, 5 marca 1953

Lossow upił kolejny łyk kawy i wpatrywał się w czarny radioodbiornik, nastawiony na radio Moskwa. Nie pamiętał, kiedy leżał ostatnio we własnym łóżku. Odkąd nadano komunikat o złym stanie zdrowia Stalina, koczował w redakcji, czekając na jego śmierć lub wyzdrowienie. Niekiedy kładł się na wąskiej kanapie w sali narad, by po godzinie czy dwóch zrywać się na równe nogi i biec do pokoju redakcyjnego i wysłuchiwać kolejnych komunikatów.

– Ja tam nie wiem, czy jego przypadkiem ktoś nie załatwił. Naraził się wielu ludziom – powiedział Ulrich, kolega redakcyjny, i podpałił kolejnego papierosa.

– Jak zwykle wężysz spisek. Trzeba puścić telefonogram do Moskwy. Mamy tam kilku zaprzyjaźnionych dziennikarzy – zarządził.

– Ty to zawsze znajdziesz powód, by pójść do pokoju Olgi Iwanowny. – Zarechotał.

– Tobie to tylko jedno w głowie, Ulrich. Znamy się z Olgą... bardzo długo – bąknął Walter.

– I bardzo się lubimy... dodaj – nie dawał za wygraną Ulrich.

– Dodaję... I bardzo się lubimy.

Walter wyszczerzył zęby i pobiegł do sąsiedniego pokoju, gdzie siedziała Olga, zajmująca się materiałami prasowymi z radzieckich gazet, które następnie tłumaczyła na niemiecki.

– Olgo! – Wpadł zdyszany do jej pokoju. – Trzeba nadać telefonogram do jednego takiego z „Prawdy”, oni muszą wiedzieć więcej niż my.

Olga Iwanowna uśmiechnęła się do wchodzącego Waltera. Zawsze się uśmiechała, gdy go widziała. Za każdym razem. Nie sypiali ze sobą ani nie flirtowali. Po prostu byli przyjaciółmi.

W jednym z listów, jakie krążyły pomiędzy Francją, w której Olga była kelnerką, i Wielką Brytanią, gdzie mieszkała Alicja, poprosiła ją o zdobycie adresu Waltera w Berlinie. Po kilku miesiącach otrzymała go i napisała do niego długi, serdeczny list. Po dwóch latach spotkali się i Walter zaproponował jej pracę w redakcji. Jej znajomość niemieckiego i oczywiście rosyjskiego była nieoceniona, zwłaszcza gdy rozdzwięk pomiędzy Wschodem i Zachodem zaczął się pogłębiać.

Lossow niekiedy patrzył na Olgę z czułością, bywały chwile, gdy miał ochotę pójść z nią do łóżka, a i ona wysyłała mu sygnały, że podoba jej się jako mężczyzna. Jednak tym razem Walter postanowił, że zacznie od przyjaźni i poznania swojej wybranki, bo szalonej miłości od pierwszego wejrzenia bał się jak ognia piekielnego. Nie chciał już się mamić namiętnością i ułudą, jaką dawało zakochanie. Pragnął pewnego dnia obudzić się i być pewnym, że to jest miłość, a nie zadurzenie. Dlatego wciąż czekał.

– Właśnie dzwoniли do mnie z Moskwy. Stalin zmarł kilkanaście minut temu – powiedziała Olga ciepło.

– A zatem to koniec – mruknął Walter i usiadł na krześle obok Olgi.

– Koniec. – Uśmiechnęła się i dodała: – Mam nadzieję, że dla wielu ludzi będzie to jakiś koniec, a dla innych nowy początek.

#### 4. Londyn, 5 marca 1953

Alicja nachylała się nad rozłożoną makietą następnego numeru gazety i wciąż kręciła nosem. Przyglądała kolejne zdjęcia sukienek będących hitami pięćdziesiątego trzeciego roku i nie mogła się zdecydować. Zerknęła na zegarek i pomyślała ze złością, że znowu jej nie będzie, zanim Natalia i Mateusz pójdą spać. Jednak nie potrafiła odpuścić, bo chciała, żeby jej pismo dla kobiet w końcu się wybiło. Pragnęła, aby jej magazyn czytały kobiety, które chcą w życiu czegoś więcej aniżeli dobrze sytuowanego męża. Sergiusz uważał, że społeczeństwo jeszcze nie dorosło do tego, by pogodzić się z istnieniem silnych, niezależnych finansowo kobiet, ale ona uważała, że ktoś musi być pierwszy.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami i w progu stanął Sergiusz. Ostentacyjnie zerknął na zegarek i powiedział stanowczo:

– Zbierajcie się.

Alicja rozejrzała się dookoła, zdziwiona, bo w pokoju nie było nikogo oprócz niej.

– Masz zwidy? – zapytała ze śmiechem.

Podszedł do niej, pogłaskał ją po wypukłym brzuchu i mruknął:

– Ja nie mam, ale ty, zdaje się, zapominasz o naszym dziecku.

– Zapewniam cię, że o nim nie da się zapomnieć. Kopało mnie całe popołudnie. Jeśli to chłopak, zostanie piłkarzem, jeśli dziewczynka – tancerką.

– To pewnie będzie dziewczynka, bo nie wiem, po kim nasz syn miałby odziedziczyć zamiłowanie do futbolu. – Roześmiał się.

– Za godzinę skończę – powiedziała ciepło.

– Na pewno. – Prychnął, po czym zgasił lampkę stojącą na biurku.

– No co ty robisz, Sergiusz? Muszę to mieć na dziesiątą rano. Zwariowałeś? – rozzłościła się.

Jednak „Kary” kompletnie się tym nie przejął. Zapalił światło i rozejrzał się po biurze. Wziął do ręki płaszcz Alicji, zarzucił jej na ramiona, zapiał jeden guzik przy szyi, po czym wziął ją na ręce i dosłownie wyniósł z biura. Zdażyła jedynie krzyknąć do portiera, żeby pozamykał redakcję, i już wsiadali do ich nowego samochodu, triumpha TR2 z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku.

Zatrzeszczało radio i usłyszeli głos spikera. Informował o śmierci Stalina. Alicja wyłączyła odbiornik i zwróciła się do męża:

– Nic ważnego. Lepiej opowiedz, gdzie pojedziemy na wakacje, żebyśmy mogli podróżować z opuszczonym dachem.

– Kiedy nadejdzie lato, twój brzuch może się nie zmieścić do mojego samochodu – prychnął.

– Szkoda, że musimy czekać do lata. Może się zmieszczę, ale mój brzuch będzie taki ogromny... Boję się, że uniosę się do góry jak balon i będziesz musiał wynająć awionetkę, żeby mnie w chmurach poszukać. – Wydęła wargi w grymasie.

– Obawiam się, moja droga, że awionetka może nie wystarczyć i będę musiał wynająć jakiś samolot transportowy. – Roześmiał się i dodał: – Ale wiesz, na południu Francji już teraz zrobiło się ciepło. Jesteśmy spakowani, a dzieci odwiozłem do

starych Łyszkinów. Prześpij się, a gdy wstaniesz, będziemy już bardzo blisko naszej doliny spokoju na najbliższe dwa tygodnie.

– Oszalałeś? Naprawdę jesteś nieodpowiedzialny, przecież ja nie zostawię gazety, muszę sama wszystkiego dopilnować. Zawracaj do domu! – krzyknęła, chociaż spodziewała się, że Sergiusz i tak jej nie posłucha.

– A chcesz się ze mną założyć, że zostawisz? O butelkę pierwszorzędnej whisky – mruknął.

– A jak wygram? – zaczęła się przekomarzać.

– Nie wygrasz, ale zawsze możesz próbować. – Puścił do niej oko i ruszył przed siebie.

KONIEC

